

ANNE MCALLISTER
KATE HEWITT

Podróż marzeń



Anne McAllister
Kate Hewitt

Podróż marzeń

Tłumaczenie:
Kamil Maksymiuk, Jan Kabat, Małgorzata Fabianowska

Anne McAllister

Rajski zakątek

Tłumaczenie: Kamil Maksymiuk

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Yannis?

Głos dobiegał z daleka, jakby z drugiego końca świata. A może z drugiego końca... telefonu? Rzeczywiście, trzymał go do góry nogami. Przeturlał się na plecy i poprawił komórkę.

– Yannis, słyszysz mnie? – ktoś znowu zapytał.

O tak, teraz lepiej. Głośniej. Nadal nie otwierał oczu. Nie miał na to siły.

– Tak, słyszę – odparł zaspanym, zachrypniętym głosem.

Choć spał pewnie kilka godzin, miał wrażenie, że zasnął pięć sekund temu i nagle wyrwał się ze snu.

– Ojej, czyżbym cię obudziła? Tego się właśnie obawiałam...

Teraz już rozpoznawał głos w słuchawce. Maggie. To od niej trzy lata temu kupił ten stary dom położony przy plaży. Teraz była jego sąsiadką, a raczej lokatorką – zajmowała małe mieszkanie nad garażem stojącym obok domu. Wiedział, że Maggie nienawidzi o cokolwiek go prosić. Choć była już w podeszłym wieku, wciąż pozostawała energiczną, niezależną kobietą. Skoro do niego dzwoniła, na dodatek o takiej godzinie – domyślał się, że jest jeszcze wcześniej – musiała to być jakaś bardzo ważna sprawa.

– Co się dzieje, Maggie? – wychrypiał.

Z reguły jetlag nie dawał mu się tak mocno we znaki. Spędził jednak ponad trzydzieści godzin w samolocie, wracając z Malezji do domu. Czuł się rozbity i połamany, jakby przejechał po nim czołg. Powoli, z wielkim wysiłkiem, rozkleił powieki. Było już widno, ale, dzięki Bogu, jeszcze niezbyt jasno. Gdyby zaatakowało go słońce, jego głowa by chyba wybuchła. Przez uchylone żaluzje dostrzegł za oknem poranną mgłę. Mgłę, która będzie spowijała kalifornijskie wybrzeże tak długo, aż unicestwią ją promienie słońca i upał. Zerknął na zegarek. Nie było jeszcze siódmej.

– Nic się nie stało. To znaczy, z mieszkaniem wszystko w porządku. Nie było huraganu, dach jest na miejscu – odparła Maggie żartobliwie, ale w jej głosie pobrzmiwało zdenerwowanie. – Mam do ciebie prośbę.

– Wal śmiało. Dla ciebie wszystko.

Gdy trzy lata temu oświadczył, że jest zainteresowany kupnem tego domu, agentka nieruchomości zdradziła nerwowym tonem: „Właścicielka chce... nadal tu mieszkać. Nad garażem. To jest jej warunek sprzedaży”. Yannis był zaskoczony, lecz po namyśle doszedł do wniosku, że tak może będzie lepiej. Osiemdziesięciopięcioletnia lokatorka zapewne jest mniej hałaśliwa i kłopotliwa niż większość osób, które przyciąga kalifornijska wysepka Balboa słynąca z pięknych plaż i atmosfery luzu. Agentka nieruchomości poradziła mu, by wynajął

starszej pani mieszkanie nad garażem na okres sześciu miesięcy, a potem się jej pozbył.

Yannis nigdy by tego nie zrobił. Przecież Maggie Newell była nie tylko właścicielką domu, ale też starszą osobą oraz, co nie bez znaczenia, kobietą. Zaproponował jej, żeby nadal mieszkała w domu, a on wprowadzi się do mieszkanek nad garażem. Po prostu podobała mu się ta nieruchomości i jej położenie. Nie robiło mu różnicy, w którym z mieszkań się ulokuje. Maggie się nie zgodziła. Powiedziała, że wspinanie się po schodach będzie dla niej na starcie lata dobrym ćwiczeniem. Zamieszkał więc w domu, a ona nad garażem. Taki układ im obojgu bardzo odpowiadał. Yannis dość często podróżował w interesach, importując i eksportując najwyższej jakości drewno dla producentów mebli robionych na zamówienie, a Maggie nigdy się stąd nie ruszała, dzięki czemu mogła pilnować wszystkiego podczas jego nieobecności. Yannis zawsze przywoził jej z podróży drobne prezenciki, dzięki czemu powiększała swoją kolekcję kartek pocztowych i kuchennych ściereczek. Odwdzięczała mu się pieczeniem ciast i ciasteczek oraz od czasu do czasu zanosila mu coś ciepłego do zjedzenia na obiad.

Nie wyobrażał sobie życia bez Maggie. Była nie tylko idealną sąsiadką i lokatorką, ale jej obecność oznaczała również, że nie miał zbyt dużo miejsca dla gości, czyli członków swojej rodziny. Rodzina Savasów przede wszystkim składała się z niezliczonej liczby kuzynów i kuzynek. Yannis lubił swoją rodzinę... zwłaszcza na odległość. Cieszył się, że Savasowie są rozsiani po całym globie, ale czasami przeklinał braci Wright, że wynaleźli samoloty.

Ciągle uczył się mówić „nie”. Zanim dwa tygodnie temu wyruszył do południowo-wschodniej Azji, zadzwoniła do niego jedna z jego kuzynek, Anastazja. Zapytała, czy w czasie wakacji znajdzie się u niego miejsce „dla nas wszystkich”, co oznaczało mniejszą lub większą grupkę bliższych lub dalszych kuzynów i ich przyjaciół. Powiedział, że w tym roku nie prowadzi „rodzinnego hotelu”. Uśmiechnął się teraz pod nosem, wspominając tamtą rozmowę. Był z siebie dumny.

Powoli podniósł się i wygramolił z łóżka.

– Maggie, czego potrzebujesz? – rzucił do słuchawki. – Jeśli chodzi o kuchenne ściereczki, nie masz się o co martwić. Przywiozłem ci pół tuzina.

– O, na Boga! – zaśmiała się. – Rozpieszczasz mnie, kochany.

– Jesteś tego warta. No więc czego potrzebujesz?

Maggie westchnęła ciężko.

– Potknęłam się dziś rano o... przeklęty dywan. A może o własne nogi? Tak czy owak, padłam na ziemię jak ścięte drzewo. Trochę bolało. I dalej boli. Podwiózłbyś mnie do szpitala?

– Szpitala? – zdumiał się Yannis. – Jest aż tak źle?

– Nie, wszystko w porządku. Mam tylko mały problem z biodrem. Chyba

powinam zrobić sobie prześwietlenie.

– Zaraz u ciebie będę!

Wskoczył w dzinsy i zarzucił na siebie starą bluzę z logo uniwersytetu Yale. Niecałą minutę później już pukał do drzwi Maggie. Kazała mu wejść do środka. Siedziała na sofie z niezadowoloną miną. Była ubrana do wyjścia. Białe włosy upięła w prosty kok.

– Wybacz, kochany. Nie lubię cię kłopotać.

– Żaden problem. – Uklęknął przy niej. – Jesteś w stanie chodzić?

– Tak.

– Ale może nie powinnaś?

– Przecież nie będziesz mnie nosił na rękach! – odparła obruszona. Bardzo dbała o swój wizerunek niezależnej, w pełni sprawnej starszej pani. Jak kiedyś przyznała, najbardziej w życiu bała się niedołęstwa.

– Dlaczego nie? Ważysz tyle co piórko.

– Ani mi się śni!

Podniosła się i zrobiła kilka kroków, lecz nagle jęknęła i straciła równowagę. Runęłaby na ziemię, gdyby Yannis jej nie złapał.

Już bez pytania wziął ją na ręce i zaniósł na dół do garażu, gdzie stało jego porsche i jej ford.

– Lepiej weźmy mój wóz – zasugerowała Maggie.

– Dlaczego?

– W twoim nie ma miejsca na fotelik dziecięcy.

Rozdziawił usta, zamarł w pół kroku i prawie ją upuścił.

– Na co?

– Fotelik. Dla dziecka. Dla Harry'ego.

– Harry'ego?

– Synka Misty – wyjaśniła.

Misty była wnuczką drugiego męża Maggie. Miała długie blond włosy, duże, błękitne oczy i, co najgorsze, zupełnie pstro w głowie. Jedna z tych pięknych, opalonych młodych dziewczyn, które całe dnie spędzają na plaży, chodzą z surferami i traktują życie jak zabawę. Misty miała już chyba dwadzieścia lat, ale w sferze emocjonalnej przypominała raczej ośmiolatkę. Yannis był oburzony, gdy dowiedział się, że Misty zostanie matką. „Dziecko urodzi dziecko” – westchnął wtedy, nie wierząc w optymistyczne prognozy Maggie, że Misty dzięki temu może spoważnieje i wydorosłeje.

– Henry tu jest? – zdumiał się teraz.

– Tak. Śpi w pokoju. Możesz go obudzić. Nie będzie marudził. To znaczy, nie za bardzo – dodała z lekkim rozbawieniem.

Jemu nie było do śmiechu. Spojrzał tęsknie na swoje ukochane porsche, po czym ostrożnie wsadził Maggie na fotel pasażera w jej fordzie.

– Gdzie jest Misty? A może nie powinienem pytać?

– Pojechała porozmawiać z Devinem.

Devin, ojciec dziecka. Yannis zapamiętał to nietypowe imię, choć nigdy nie widział tego faceta na oczy. Wiedział tylko, że służy w wojsku. Spojrzał na Maggie. Jej twarz pokrywała niepokojąca bladość.

– Nie zemdlejesz – powiedział. To nie było pytanie, tylko coś pomiędzy rozkazem a prośbą.

– Nie zemdleję – zapewniła go. – Wracaj po Harry'ego. Kluczyki do mojego samochodu leżą w miseczce z kogucikiem na kuchennej półce.

Yannis wbiegł po schodach, wziął klucze, a potem wkroczył do pokoju, w którym podobno znajdowało się dziecko. Dostrzegł kołyskę. Przynajmniej Misty przekazała Maggie dziecko w kołysce, a nie porzuciła je niczym niechcianą zabawkę. Może dziewczyna zaczyna dorastać? – pomyślał, życząc jej tego. Podszedł bliżej. Chłopczyk leżał na plecach, machał ciemną główką i rozglądał się na boki. Yannis nie miał pojęcia, w jakim wieku jest ta istota. Pewnie nie ma jeszcze roku, zdecydował po chwili. Pamiętał, że na początku ubiegłego lata Misty chodziła jeszcze z brzuchem, narzekając na ciężę. Harry urodził się zapewne w środku wakacji.

– Jak się masz, Harry? – rzucił do dziecka nienaturalnie pogodnym tonem.

Chłopiec niczym zahipnotyzowany zaczął wpatrywać się w Yannisa, zupełnie obcego człowieka. Dla niego to spotkanie było zapewne takim samym zaskoczeniem jak dla Yannisa. Po chwili twarz chłopca zmarszczyła się jak rodzynka.

O nie! Tylko nie to! – zawył w duchu Yannis.

– Nawet się nie waż – oświadczył surowym tonem, chwytając chłopca, zanim zdążył zakwilić. Harry spojrzał na niego zdumiony. Jego błękitne oczy były wybałuszone, ale na szczęście nie lśniły łzami. – Chodź, idziemy do babci.

Chłopiec nie odezwał się, gdy Yannis niósł go po schodach. Dopiero na widok Maggie zaczął wydawać radosne odgłosy. Wyciągnął do niej rączki.

– Och, nie mogę cię wziąć, kochanie. – Zerknęła na Yannisa. – Tak szybko go przewinałeś?

– Co?!

– Dopiero co wstał. Zaraz będzie miał mokro.

Yannis zacisnął zęby.

– Musimy zawieźć cię do szpitala.

– Mogę poczekać.

Zgromił ją spojrzeniem. Maggie siedziała z dłońmi splecionymi na kolanach. Dostrzegął na jej ustach delikatny uśmiezek.

– Dobrze się bawisz, prawda? – zapytał oskarżycielskim tonem.

– Ja? – odparła niewinnie. – Przecież boli mnie biodro.

– Wiem. Ale i tak jest ci wesoło.

Teraz już jawnie się uśmiechnęła. W jej policzkach pojawiły się dołeczki.

– Daj mi Harry'ego. Skoro nie umiesz go przewinać...

Yannis zjeżył się.

– Sugerujesz, że nie jestem w stanie zmienić pieluchy?

– Broń Boże. Wiem, że jesteś w stanie zrobić wszystko, kochany.

Tak, to była prawidłowa odpowiedź, ale czuł, że Maggie nie do końca w to wierzy. Naprawdę uważała, że nie umie przewinać niemowlęcia?

– Chodź, Harry. Daj nam minutę – rzucił do Maggie i wrócił do mieszkania.

To nie była dla niego pierwszozna. Robił to już tysiąc razy! No, może ciut mniej, ale kiedy pochodzi się z tak dużej rodziny jak on – i jest się prawie najstarszym z rodzeństwa – od opieki nad dziećmi się nie ucieknie.

Błyskawicznie poradził sobie z mokrą pieluchą Harry'ego i założył mu nową, suchą. Podobno przewijanie dziecka jest jak jazda na rowerze: nigdy się tego nie zapomina. Musiał przyznać, że chłopiec ładnie współpracował. Tylko dwa razy przewrócił się na brzuch i chciał zrejterować. Yannis miał jednak dobry refleks.

– No, załatwione. Idziemy. Musimy w końcu zawieźć twoją babcię do szpitala.

Napisał krótką wiadomość dla Misty, informując ją, gdzie będą, i zapraszając po odbiór Harry'ego. Położył karteczkę na stole i zszedł do garażu.

– Zuch chłopak! – pochwaliła go Maggie.

Posadził chłopca w foteliku i przypiął go pasami. Najbliższy szpital znajdował się kilka kilometrów stąd. Yannis nigdy tam nie był, ale Maggie знаła dobrze to miejsce.

– Tam zmarł Walter – wyszeptała.

– Ty nie umrzesz – odparł z przekonaniem.

Maggie zaśmiała się.

– Nie, dzisiaj jeszcze chyba nie.

– Ani dzisiaj, ani nigdy, Maggie.

Nie dodał już nic, tylko skupił się na tym, aby jak najprędzej dostać się do szpitala. Gdy dotarli na miejsce, wtargnął na salę ostrego dyżuru, aby wziąć wózek inwalidzki dla Maggie. Zjawiły się salowa i pielęgniarka. Wyszły z nim na parking i przeniosły Maggie na wózek.

– Proszę wypełnić formularze, kiedy już pan zaparkuje – rzuciła pielęgniarka przez ramię.

– Ale ja...

Nie jestem sam – dokończył w myślach, ponieważ pielęgniarka już zniknęła w budynku. Miał przecież ze sobą Harry'ego, który podskakiwał w swoim foteliku na tylnym siedzeniu, wydając z siebie nieartykułowane odgłosy. Na jego buzi pojawił się uśmiech, gdy Yannis pochylił się nad nim. Mimowolnie też uniósł

kąciki ust.

– Znajdziemy miejsce do parkowania, a potem pójdziemy do babci, dobrze, kolego?

Zaparkował wóz, wyjął Harry'ego i wszedł do szpitala. Rozejrzył się dookoła. Nigdzie nie mógł znaleźć Maggie.

– Zabrali ją na prześwietlenie – powiedziała recepcjonistka, uśmiechając się do Harry'ego. – Och, jaki śliczniutki! W jakim jest wieku?

– Nie wiem.

Kobieta uniosła brwi.

– To nie moje dziecko – dodał.

– Och, szkoda – odparła. Yannis nie podzielał jej zdania, ale nie zamierzał wchodzić w dyskusję. – Starsza pani sama wypełniła wszystkie formularze. Teraz robią jej prześwietlenie. To trochę potrwa. Może pan poczekać tutaj. – Wskazała zatłoczoną poczekalnię, która nie wyglądała zbyt zachęcająco.

– Chyba się przejdziemy – zdecydował Yannis. Podał recepcjonistce numer swojego telefonu. – Proszę do mnie zadzwonić, kiedy wróci pani Newell.

Usiadł na ławce na skwerze za szpitalem. Mały pełzał po trawie, podczas gdy on siedział z komórką przytkniętą do ucha. Przez ostatnie dwa tygodnie nie było go w kraju, więc uzbierało się sporo zaległości w interesach. W trakcie piątej rozmowy na drugiej linii zadzwoniła do niego recepcjonistka.

– Pani Newell wróciła z prześwietlenia.

Wziął na ręce Harry'ego i popędził do budynku. Recepcjonistka skierowała go do sali numer trzy. Wszedł do środka. Maggie leżała na noszach na kółkach. Otaczała ją bucząca i tykająca maszyna.

– Niedługo wrócę. Zapytam, co da się zrobić – powiedziała pielęgniarka i wyszła z pokoju.

– Dziękuję – odparła Maggie.

Yannis omiół ją zatroskanym wzrokiem. Nie wyglądała jak energiczna, pogodna starsza pani, którą znał. Tęnęła w obszernym szpitalnym fartuchu. Jej twarz była pobladła i pomarszczona.

– Boli? – zapytał.

– Troszeczkę.

– Zajmą się tym – pocieszył ją. – Zaraz będziesz znowu na chodzie. Pobiegniesz w tym maratonie, o którym ciągle wspominasz.

– No nie wiem – odparła przytłumionym tonem. Yannis dostrzegł w niej pesymizm i rezygnację, cechy tak bardzo do niej niepodobne i niepasujące. – Jest złamane.

– Co?

– Moje biodro. Organizują mi operację.

– Operację? – powtórzył oszołomiony.

Skinęła głową.

– Tak. Na jutro rano.

Zanim przetrwał jej słowa, wróciła pielęgniarka.

– Wszystko załatwione. Na oddziale chirurgicznym mamy wolny pokój. Teraz tam się przeniesiemy. Rozmawiałam z asystentką doktora Singha, który przeprowadzi operację jutro o dziewiątej rano.

Pielęgniarka zaczęła odłączać Maggie od skomplikowanej, groźnie wyglądającej aparatury, zostawiając jedynie kroplówkę wczepioną w jej szczupłe ramię, następnie wychyliła się na korytarz i zawołała salowego.

– Przykro mi – zwróciła się do Yannisa – ale obawiam się, że nie może pan z nami pójść. Od czasu epidemii grypy, którą mieliśmy w zimie, szpitalne przepisy nie pozwalają dzieciom poniżej czternastego roku życia przebywać na żadnym z oddziałów.

– To nie moje dziecko – sprostował.

– Ale to pan trzyma je na rękach.

Zatkało go.

– Jeśli może pan zostawić dziecko pod opieką kogoś innego...

– Nie, nie mogę.

Pielęgniarka uśmiechnęła się do niego uprzejmie.

– Proszę zrozumieć, że takie mamy przepisy. Niech pan pójdzie do domu i zadzwoni za godzinę, gdy pani Newell już się u nas zadomowi. A może ona do pana przedzwoni? Proszę się nie martwić. Będzie pod naszym czujnym okiem.

– Wiem, ale..

Urwał, ponieważ nie wiedział, co powiedzieć. Pielęgniarkę wzywały inne obowiązki. Wyszła. Po chwili wszedł salowy. Yannis patrzył, jak mężczyzna pakuje ubrania Maggie do worka, który położył na półce pod wózkiem.

– Maggie! – odezwał się Yannis bezradnie, wiedząc, że za chwilę zostanie tu sam, z obcym dzieckiem na rękach.

– Wiem, wiem – westchnęła ponuro. – I co my teraz zrobimy?

– My? Chyba raczej: ja.

Na jej twarzy odmalowało się poczucie winy.

– Wybacz. Powinam była przewidzieć, że...

– To nie twoja wina – przerwał jej. – Nie martw się. Wszystko będzie w porządku.

Był w stanie dać sobie radę z Harrym przez kilka godzin.

– Wytrzymasz do wieczora? – zapytała Maggie.

– Do wieczora?!

A więc Misty miała wrócić dopiero pod koniec dnia? – oburzył się. Irytowała go postawa życiowa tej dziewczyny. Oczekiwała, że cały świat – czytaj: Maggie – będzie wyręczał ją w macierzyńskich obowiązkach? No, dobrze, nie mogła

przewidzieć, że akurat dzisiaj Maggie przewróci się i złamie biodro. Yannis również uważał, że Maggie jest niezniszczalna. Ale Misty musi wreszcie zrozumieć, że wszystko się zmieniło i nie może dalej żyć jak beztraska nastolatka.

– Proszę poczekać! – zawołał do pchającego nosze sanitariusza, który przystanął niechętnie tuż przed windą. – Maggie, na wszelki wypadek daj mi numer Misty.

– Znajdziesz go w miseczce z kogucikiem na szafce w kuchni.

Salowy wepchnął nosze do windy i wcisnął guzik. Yannis wyciągnął rękę i mocno ścisnął ramię Maggie, aby dodać jej otuchy.

– O nic się nie martw. Wszystko będzie dobrze. Prawda, Harry? – Pociągnął chłopca za dyndającą nóżkę. Harry zachichotał. – Kiedy dokładnie Misty wraca?

– W połowie miesiąca.

Chyba się przesłyszał.

– Możesz powtórzyć?

– Piętnastego marca.

Yannis rozdziawił usta.

– Co?!

Drzwi windy zaczęły się zamykać. Wetknął w nie stopę.

– To dopiero za dwa tygodnie!

Maggie przytaknęła.

– Wiem. Misty ma nadzieję, że do tego czasu zdoła dogadać się z ojcem Harry'ego i weźmie z nim ślub, gdy wyjdzie z wojska. Chyba po cichu liczy na to, że może nawet pobiorą się tam, na miejscu.

– Czyli gdzie?

– W Niemczech.

Znowu poczuł się tak, jakby ktoś go rąbnął w głowę ciężkim, bardzo ciężkim przedmiotem.

– W Niemczech?!

– Ciszej, proszę! – upomniał go sanitariusz.

– Powiedz, że żartujesz – wycedził przez zęby Yannis.

– Nie żartuję. Najpierw pojechała do Londynu, a potem do Niemiec. Devin ma dwa tygodnie... wolnego? Nie wiem, jak to się mówi w wojsku.

– Nie chciał przylecieć do Stanów, żeby zobaczyć się z synem?

– On chyba nie wie o Harrym...

– Do diabła! Co za ludzie! – wybuchnął Yannis.

– Proszę pana! – warknął salowy z nieprzyjazną miną.

– Przykro mi, kochany – przeprosiła Maggie. – Gdybym wiedziała...

Yannis wziął głęboki wdech.

– Dobra, nic nie szkodzi – skłamał. Wiedział, że cała ta parszywa sytuacja to nie wina Maggie. – Zadzwoń do niej. Każę jej wracać.

– Niepotrzebnie. Wszystko jest już załatwione.

Dzięki Bogu, pomyślał. Uśmiechnął się z ulgą.

– Czyli Misty lada dzień wróci?

– Nie. Ale nie będziesz sam. Cat ci pomoże.

Cat?!

Miał wrażenie, że jest uwięziony w jakimś koszmarze. Uszczypnął się w rękę, ale się nie obudził.

– Cat ucieszy się ze spotkania z tobą – zapewniła go Maggie.

Drzwi windy zatrzasnęły się z głuchym trzaskiem.

Cat się ucieszy? Już to widzę! – pomyślał, nadal oszołomiony wszystkimi tymi szokującymi informacjami. Runął na krzesło z Harrym na rękach.

Cat. Catriona MacLean. Najseksowniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkał. Prawdziwa – i jedyna – wnuczka Maggie, w przeciwieństwie do Misty, wnuczki przyszywanej. Cat, kobieta, która na pewno dobrze go nie wspominała...

A być może nawet go nienawidziła.

Samolotem byłoby szybciej i prościej, pomyślała, pocierając zmęczone oczy i jedną ręką masując obolały kark. Z San Francisco do hrabstwa Orange leci się godzinę, włączając w to wszystkie formalności załatwiane na lotnisku. Wiedziała jednak, że będzie potrzebowała swojego samochodu, gdy dotrze na wyspę Balboa. W południowej Kalifornii trudno jest poruszać się po mieście wyłącznie środkami komunikacji miejskiej. Poza tym babcia powiedziała, że operacja odbędzie się dopiero jutro rano. Cat spokojnie więc wyjechała dopiero po pracy, prowadząc auto bez nerwów i bez pośpiechu. Przecież to nie była sprawa życia i śmierci. Babcia nie umierała. Po prostu upadła i złamała biodro. To się przydarza wielu ludziom. Nigdy nie słyszała, żeby złamane biodro kogoś zabiło!

Z drugiej strony, Maggie Newell jest już, technicznie rzecz biorąc, staruszką – odpowiedział jej jakiś głos z tyłu głowy.

– Wcale nie! Babcia jest młodziutką osiemdziesięcioletką! – powiedziała Cat na głos, uderzając pięścią w kierownicę.

Co dokładnie oznaczało określenie „młodziutka osiemdziesięcioletka”? Nie do końca wiedziała. Wiedziała tylko, że nie chce stracić babci. Ani teraz, ani nigdy! Zazwyczaj nawet nie myślała o takich rzeczach. Babcia wydawała się zawsze taka sama, jakby w ogóle się nie zmieniała, nie starzała. Margaret Newell zawsze była silną, zdrową, energiczną kobietą. Musiała taka być, aby dawać sobie radę z humorzystą, zbuntowaną, osieroconą siedmiolatką.

– Wyliże się – powiedziała Cat na głos. – Wyjdzie z tego.

Mimo to nie umiała zagłuszyć w sobie niepokoju. Przecież nikt nie potrafi oszukać czasu. Organizm babci na pewno jednak się starzał. Pewnego dnia, może wcale nie za sto lat, jej życie dobiegnie kresu... Nie, nie chciała teraz o tym

myśleć! Nie wyobrażała sobie życia bez babci.

Jej uwagę od czarnych myśli odwróciły dziwne odgłosy wydawane przez silnik jej piętnastoletniego wozu. Silnik, a może zdarte opony? Zazwyczaj samochód nie był jej podstawowym środkiem transportu. W San Francisco nie ma potrzeby za każdym razem siadać za kółkiem. Cat najczęściej podróżowała autobusami albo podwoził ją Adam, jej narzeczony. Oczywiście zamierzała kupić nowe opony przed wizytą, jaką zamierzała złożyć babci na Wielkanoc. Ale do świąt pozostał jeszcze miesiąc. Poza tym liczyła na to, że Adam z nią przyjedzie. Po co miałyby więc kupować nowe opony? Tak naprawdę wiedziała jednak, że powinna była je wymienić w ubiegłym tygodniu. Powinna być przygotowana. Kiedy ktoś z twoich bliskich ma osiemdziesiąt lat, trzeba być przygotowanym na wszystko. „Wszystko”, czyli między innymi nagłą śmierć.

Do diabła! – zaklęła w duchu i znowu uderzyła pięścią w kierownicę.

– Nie umieraj, babciu! – powiedziała na głos, choć tę prośbę słyszały jedynie jej dwa koty, Huxtable i Bascombe, drzemające na tylnym siedzeniu. – Wszystko będzie dobrze.

Przypomniała sobie te okropne miesiące tuż po tym, jak zginęli jej rodzice i zamieszkała z babcią i Walterem. Miała wtedy siedem lat. Była zrozpaczona, załamana, ale przede wszystkim wściekła. Nienawidziła całego świata. Babcia okazywała jej współczucie, ale też kazała skupiać się na jasnej stronie życia.

– Jakiej jasnej stronie? – dziwiła się Cat.

– Masz babcię i dziadka, którzy kochają cię bardziej niż wszystko inne na świecie.

Cat nie do końca wierzyła w te słowa. Nawet gdyby były prawdziwe, ta miłość i tak wydawała jej się niewiele warta w porównaniu z tym, co bezpowrotnie utraciła. Dopiero po długim czasie zrozumiała, że babcia też cierpiała. Cat straciła rodziców, a babcia swoją jedyną córkę i zięcia. W dodatku nagle na jej barki spadł obowiązek opieki nad kłótliwym, trudnym dzieckiem. Akurat w momencie, gdy Maggie i Walter szykowali się do spokojnej emerytury.

Cat, mała dziewczynka zamykająca się w kokonie smutku, nawet nie drgnęła, gdy kilka dni po śmierci rodziców babcia objęła ją i powiedziała:

– Chodź, pośpiewamy sobie.

– Co?! – oburzyła się Cat.

Babcia otarła z własnych policzków ślady po łzach i zapytała:

– Lubisz musicale?

Cat nie знаła tego gatunku filmowego. Siedziała dalej naburmuszona, podczas gdy babcia zaczęła śpiewać. Szczerze mówiąc, nie miała zbyt mocnego ani czystego głosu, ale nadrabiała entuzjazmem. Najpierw zaśpiewała piosenkę *Zagwiźdź wesolą melodię*, a potem *Zrób radosną minę*. Cat nie mogła powstrzymać się od chichotu. Babcia przytuliła ją mocno. W Cat coś nagle pękło. W objęciach

babci zaczęła na zmianę szlochać i śmiać się; babcia jej zresztą wtórowała. Cat wreszcie poczuła się bezpieczna, pocieszona. Wspominając tamte chwile, teraz też miała ochotę mocno uściskać Maggie.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała podczas rozmowy telefonicznej z nią, uważając na to, aby jej głos się nie załamał. – Będziemy znowu śpiewały. A nawet tańczyły. Zobaczysz!

Wyobraziła sobie tańczącą babcie i uśmiechnęła się pod nosem. Łzy, które napłynęły jej do oczu, wyparowały. Czowała się lepiej. Takie sztuczki zawsze działały. Pocieszała się śpiewaniem piosenek ze starych musicali we wszystkich trudnych momentach, których było niemało, zwłaszcza gdy była zbuntowaną nastolatką. I potem, gdy nieszczęśliwie się zakochała... Ale to już zamknięty rozdział. Teraz była z Adamem, bardzo poważnym bankierem, człowiekiem godnym zaufania. Chciał ją poślubić. Ona jego też! Ślub, dzieci, rodzina – tego właśnie pragnęła najmocniej.

Cat i jej dwa koty wreszcie dotarły do miasta Newport, w obrębie którego znajdowała się wyspa Balboa, cel jej podróży. Dochodziła pierwsza w nocy; Cat była zmęczona. Jedyne postój zrobiła na stacji benzynowej w King City. Ziewnęła tak szeroko, aż prawie zwichnęła sobie szczękę.

– Już zaraz będziemy w domu – poinformowała swoich futrzastych współpasażerów.

Nagle poczuła ukłucie w sercu. „W domu”? Odruchowo użyła tego określenia. Dawniej myślała, że dom babci kiedyś stanie się znowu jej domem. Miejscem, w którym wychowa swoje dzieci. Ale to już nieaktualne marzenie. Nie chciała nawet o tym myśleć, ponieważ za każdym razem przypominał jej się Yannis Savas i otwierały się stare rany. Tak jak w tej chwili. Miała ochotę zahamować i zawrócić do San Francisco. Przez dwa lata właśnie to robiła: trzymała się z dala od tego człowieka. Tym razem nie mogła jednak uciec. Wiedziała, że babcia jej potrzebuje.

Włączyła radio i poszukała stacji nadającej heavy metal. Piekielny hałas buchnął z głośników. Bascombe prychnął gniewnie.

– Wybacz, Baz – powiedziała do kota, ale nie ściszyła radia. Potrzebowała w tej chwili takiej muzyki.

Babcia przez telefon powiedziała, że do szpitala zawiózł ją Yannis. Jak zwykle rozpływała się nad nim. Podobno był „taki opiekuńczy, taki dobry”. Nie mogła słuchać tych zachwyty. Miała zamiar dojechać na miejsce i przejąć dowodzenie. Sama chciała opiekować się babcia, bez jego pomocy. Babcia powiedziała, że dopiero co wrócił z Malezji i jest wyczerpany. Tak, Cat wiedziała, że Yannis dużo pracuje. Ale lubi też rozrywki. Na przykład podrywanie kobiet. Uwodzenie ich. Całowanie. Rozkochywanie ich w sobie... A potem: bach! Koniec. Nie lubi się angażować, więc mówi „żegnaj” i przechodzi do następnej.

Zacisnęła palce na kierownicy.

Och, biedny, zmęczony, przeklęty Yannis! – zawołała w duchu z jadowitą ironią. Jeśli w tej chwili już leży w łóżku, to na pewno nie śpi. I nie jest w nim sam.

Gdy wreszcie dotarła na Balboę, wszędzie było już pusto i cicho. Zazwyczaj trudno było przebić się przez główne ulice wysepki, a teraz już po kilku minutach zatrzymała się pod domem babci. Wszystkie światła w domu Yannisa były wyłączone. Nad garażem, w salonie babci, paliło się światło. Pewnie zapomniała zgasić, gdy jechała do szpitala.

Wysiadła z samochodu, rozkoszując się ciszą mąconą jedynie odgłosem fal uderzających o brzeg. Przeciągnęła się i napełniła płuca wilgotnym, morskim powietrzem, które tak uwielbiała. Otworzyła tylne drzwi i zgarnęła na ręce oba koty. Weszła po schodach, uchyliła drzwi i wrzuciła koty do środka, a następnie wróciła do samochodu po bagaże. Zaniósła je na górę i postawiła w korytarzu. Koty zaczęły ocierać się o jej nogi, mruczac i miaucząc unisono.

– Dawaj jedzenie, podła kobieto – przetłumaczyła z kociego na ludzki. Wyciągnęła z torby dwie puszki karmy i nałożyła je do dwóch miseczek. Napełniła żwirkiem kuwetę, którą babcia trzymała w domu specjalnie na wypadek ich wizyt. Hux i Baz wylizali miseczki i domagali się dokładki. – Jutro! Idźcie teraz spać.

Ignorowała ich skargi. Padała ze zmęczenia. Jej mózg co chwila się zawieszał, oczy piekły i szczypały. Skoro babci nie ma w domu, nie będzie musiała spać na sofie, tylko w jej łóżku. W łazience rozebrała się do podkoszulka i majtek. Nie miała siły grzebać w walizce w poszukiwaniu koszulki nocnej. Wyszczotkowała zęby i potrząsnęła głową, widząc w lustrze upiornie przekrwione oczy. Ziewnęła szeroko, walcząc z opadającymi powiekami. Otworzyła drzwi do sypialni, pstryknęła światło...

I zamarła.

W łóżku babci był Yannis, a na nim leżało dziecko.

ROZDZIAŁ DRUGI

Podniósł do twarzy rękę. Ostre światło wdarło się pod jego powieki. Mrużąc oczy, próbował się zorientować, gdzie, do diabła, się znajduje i co się dzieje. Prawie w tym samym momencie do jego zamglonego umysłu dotarły dwa fakty: na jego klatce piersiowej spało dziecko, a w progu pokoju stała Catriona MacLean.

– Wyłącz to przekłete światło – warknął, chociaż widok, który miał przed oczami, był rozkoszą dla oczu. Cat nie miała na sobie spodni, jedynie cienki podkoszulek. Przesunął wzrokiem po jej długich nogach.

Harry poruszył się niespokojnie.

– Zgaś to światło, kobieto – powtórzył. – Chyba że chcesz, żeby dzieciak się obudził i zaczął znowu ryczeć.

Po trzech godzinach nieprzerwanego płaczu, Harry wreszcie zamilkł i zasnął. Yannis miał zszargane nerwy. Chłopiec prawdopodobnie dalej byłby wniebogłosy, gdyby Yannis nie przypomniał sobie o sztuczce, którą stosował jego brat, Theo. Położył malca na swojej piersi i czekał, czy to zadziała. Zadziałało. Chłopiec po chwili zapadł w sen.

Cat wreszcie zgasła światło. Yannis widział teraz tylko zarys jej szczupłej, wysokiej sylwetki.

– Co ty tu robisz? – zapytała ostrym tonem.

– Gdzie?

– W łóżku babci.

– Zgadnij – mruknął z irytacją. – Zamknij za sobą drzwi, kiedy będziesz próbowała to rozgryźć w sąsiednim pokoju. Wyjdę stąd, gdy będę miał pewność, że dzieciak się nie obudzi.

Cat prychnęła, odwróciła się i zamknęła za sobą drzwi. Yannis zacisnął zęby. Zamknął oczy, ale pod powiekami nadal widział Cat, jej długie nogi, seksowne ciało. Zaklął w myślach. Nie miał szans, żeby z powrotem zasnąć. Wsunął delikatnie rękę pod brzusek Harry'ego, aby go podnieść i położyć w pościeli. Harry poruszył się przez sen. Yannis zamarł.

Drzwi znowu lekko się uchyliły.

– No i co? – zapytała Cat.

– Wyjdź! – syknął przez zaciśnięte zęby.

Wstrzymał oddech, czekając, aż chłopiec znowu zaśnie. Następnie położył go pod kołdrę, pogłaskał po główce i powoli zaczął wstawać. Raptem coś wskoczyło na łóżko.

– Co do dia...

Coś otarło się o jego ramię. Wyciągnął rękę i dotknął miękkiego futra. Kot. Jej kot. Znowu przeklął w myślach. Złapał intruza, przeszedł na palcach do drzwi

i zamknął je za sobą bezgłośnie.

Catriona MacLean na jego widok pospiesznie włożyła workowate szorty. Szkoda. Chciałby jeszcze popatrzeć trochę na jej długie, szczupłe nogi. Dobrze je pamiętał. Zbyt dobrze, do diabła! Dostrzegł, że pod bluzką nie ma stanika; oczami wyobraźni ujrzał jej jędrne, kształtne piersi. Gdy wreszcie jego spojrzenie padło na jej twarz, zauważyła, że Cat gromi go wzrokiem. Wypuścił kota i zapytał:

– Twój?

Cat wzięła kota w ramiona i przytuliła go mocno, wtulając twarz w puszyste futerko. Yannis przeklął zwierzaka, który zasłaniał jej biust. Tak samo jak ona, nie potrafił ukryć irytacji.

– Mój – odparła oziębło. – Co ty tu robisz? Ty i twoje... dziecko?

– Nie moje.

Po jej twarzy przemknęły emocje, których nie umiał zidentyfikować.

– W takim razie dlaczego je tu przywiozłeś?

– Bo tu mieszka. Ma tu łóżeczko.

– Swoje łóżeczko? – powtórzyła zdezorientowana.

– Kołyskę. Nie zauważyłaś?

– Nie. Zobaczyłam ciebie z...

– Harrym.

Jej oczy wypełniło zdumienie.

– To dziecko ma na imię Harry?

Skinął głową. Cat mocniej przytuliła kota, zasłaniając się nim jak rycerz tarczą, ale oczywiście koty nigdy nie pozwalają, żeby człowiek w jakimkolwiek celu je wykorzystywał. Wywinął się więc z jej ramion i odszedł powolnym krokiem z obrażoną miną. Takie właśnie są koty. Dlatego Yannis wołał psy.

– To dziecko Misty? – zapytała z wahaniem i niedowierzaniem.

– Zgadza się.

Obserwował, jak Catriona MacLean trawi tę informację. Na jej twarzy odmalowało się zmęczenie i rezygnacja. Zacisnęła usta. Wyglądało na to, że jej zdanie na temat matki dziecka pokrywa się z jego opinią.

Wreszcie w czymś się zgadzamy, pomyślał z gorzką ironią.

– Gdzie jest Misty?

– W Niemczech.

– Co? Żartujesz, prawda?

– Wyglądam, jakbym żartował?

Patrzyła na niego w milczeniu. Wreszcie chyba zrozumiała, że to nie wygłupy. Potrząsnęła głową.

– Och, na miłość boską – westchnęła załamana. Jej twarz była tak blada, że piegi na policzkach, zazwyczaj niewidoczne w takim świetle, można było wręcz policzyć co do jednego. Nieposkromiona Catriona MacLean wyglądała na

umordowaną i pokonaną. Pierwszy raz widział ją w takim stanie. Zazwyczaj sprawiała wrażenie osoby silnej, twardej, bojowej. Taką maskę zakładała dla świata. I dla niego.

- Co on tu robi? Z tobą?
- Twoja babcia go niańczyła.
- A Misty pojechała sobie zagranicę?
- Tak, do ojca Harry'ego – wyjaśnił.

Zmarszczyła czoło.

- Dlaczego nie zabrała go ze sobą?
- Maggie powiedziała, że ojciec Harry'ego nie wie o jego istnieniu.
- Czyli pojechała mu powiedzieć.

To nie było pytanie, tylko stwierdzenie. Pokręciła głową.

- Ile jej nie będzie? Dzień, dwa?
- Tak, dwa. Ale tygodnie.
- Słucham?
- Wyjechała na dwa tygodnie.
- Co!?

– Ciszej! – upomniał ją. – Znowu go obudzisz. A uwierz mi, że tego nie chcesz.

Ku jego zdumieniu, niepokorna Cat zacisnęła usta i wpatrywała się w niego bez słowa. On robił to samo. Zastanawiał się, co takiego ta kobieta w sobie ma. Nie była klasyczną pięknoscią. Nie była też w jego typie. Yannis zazwyczaj wybierał blondynki z długimi, prostymi włosami, niskie, filigranowe, o opływowych, kobiecych kształtach – takie, które idealnie mieszczą się pod ramieniem. Cat z kolei prawie dorównywała mu wzrostem, miała sylwetkę bardziej kanciastą niż kobietą, na skórze milion piegów, przerwę pomiędzy przednimi zębami i zielone oczy, które ciskały gromy, a nie zapraszały do sypialni. Nie, w ogóle nie była w jego typie!

A mimo to zapragnął jej od pierwszego wejrzenia.

I nadal jej chciał. Do diabła, nic się nie zmieniło. Bez względu na to, co o niej myślał, jego ciało gwałtownie na nią reagowało.

Nie potrzebował i nienawidził wszelkich komplikacji. Całe życie ich unikał. Może dlatego tak wiele kobiet mu wytykało, że ma fobię na punkcie związków. Niektóre chciały dociec, jakaż to trauma z przeszłości tak uszkodziła jego psychikę, że nie potrafił się angażować w głębsze i trwalsze znajomości z płcią przeciwną.

– On nie jest „uszkodzony”, tylko samolubny – wyjaśniła jego siostra Tallie jednej z jego kochanek.

Cóż, trafiła w sedno. Związki wymagają wysiłku. Pochłaniają cenny czas. Nie był zainteresowany takimi układami. Cenił sobie wolność, swobodę, nie chciał być w nic uwikłany, w niczym uwięziony. Z Cat spędził trzy miesiące. Cudowne

miesiące. Nigdy z żadną kobietą nie było mu tak dobrze. Ani w łóżku, ani poza nim. Ona jednak oczekiwała od niego więcej, niż chciał jej dać. Maggie powiedziała, że Cat wreszcie znalazła sobie kogoś, kto chciał dać jej to, czego potrzebowała. Yannis zerknął na jej dłoń, aby sprawdzić, czy nosi pierścionek.

Owszem, nosiła. Duży, błyszczący, chyba diamentowy. Zacisnął zęby.

– No, no – mruknął.

– Co?

– Nieważne. Pójdę już sobie.

– Nie! – zaprotestowała. Zdumiał go desperacki ton jej głosu. Najwyraźniej sama siebie zaszokowała, ponieważ od razu zasłoniła usta ręką i wytrzeszczyła oczy. Oboje nasłuchiwali, czy jej okrzyk nie wyrwał Harry'ego ze snu. Na szczęście nie. Cat opuściła powoli rękę i wyszeptwała: – Nie, nie możesz odejść.

– Nie mogę?

Wzruszyła ramionami, nieco zmieszana.

– To znaczy... on mnie nie zna.

– Kto?

– Harry.

– Mnie też nie znał jeszcze piętnaście godzin temu.

– Ale teraz już zna – zauważyła.

– I co z tego?

Jej policzki zabarwił rumieniec.

– Przecież nie chcesz, żeby wpadł w dziką rozpacz, kiedy się obudzi i ujrzy przed sobą obcą osobę, prawda?

Jej pierścionek znowu zamigotał w półmroku.

– Chyba ty nie chcesz – odburknął.

Wydęła wargi, uniosła brodę i oświadczyła tonem eksperta:

– Małe dzieci potrzebują stabilizacji. Nie lubią nowości.

– Skąd wiesz?

– Codziennie mam z nimi kontakt. Jestem bibliotekarką. Prowadzę z nimi zajęcia.

– Mam rozumieć, że umiesz uciszać dzieciaki, tak?

– Tak, ale...

– W takim razie dasz sobie radę – rzucił z przekonaniem.

– Nie! Nie jestem typową bibliotekarką. Pracuję w oparciu o specjalne programy. Opowiadam im historyjki, bawimy się kukielkami...

– Harry na pewno jest miłośnikiem kukielek.

Skrzyżowała ręce na piersi.

– Nabijasz się ze mnie?

– Wcale nie – odparł, ale lubił, gdy jej oczy rozpalał gniewny błysk. Zawsze to lubił.

– Ależ tak. – Spiorunowała go wzrokiem. – Harry się obudzi, nie rozpozna mnie i się zdenerwuje. To nie wyjdzie mu na dobre.

– Trudno. Jak na razie życie go nie rozpieszcza.

Cat otworzyła usta, ale po chwili je zamknęła. Zapewne myślała o tym, jak wygląda życie tego chłopca, synka niedojrzałej, niefrasobliwej dziewczyny. Swoje rozmyślania zwięźczyła długim westchnieniem.

– Biedny Harry. Babcia popełniła błąd, biorąc go do siebie.

Yannis zmarszczył czoło.

– Uważasz, że tak byłoby lepiej? – zapytał ostrym tonem.

– Możliwe. Misty pierwszy raz w życiu zachowałaby się odpowiedzialnie.

Może...

– Nie sądzę.

– Tak, pewnie nie. Ale nie wiem, co teraz zrobić. Nie mogę opiekować się Harrym przez dwa tygodnie! A babcia nie jest w stanie się nim zająć.

– Numer telefonu Misty znajdziesz na karteczce w kuchni – poinformował ją Yannis. – Może będziesz miała więcej szczęścia, próbując się do niej dodzwonić.

– Wątpię. Jest w Niemczech, tak? – Potrząsnęła głową. – Naprawdę nie pojmuję, dlaczego babcia się na to zgodziła. Nie pisnęła mi o tym ani słówkiem, kiedy rozmawialiśmy przez telefon! – poskarżyła się.

– A ja dowiedziałem się o dzieciaku dopiero w momencie, gdy pakowałem Maggie do samochodu, żeby zawieźć ją do szpitala.

– Zastawiła na nas pułapkę?

– Na to wygląda.

Zapadło długie milczenie, które przerwało dopiero bezradne pytanie Cat:

– To co teraz zrobimy?

Yannis zrobił zdziwioną minę.

– My?

– Ach, zapomniałam. Jesteś skończonym egoistą – warknęła.

– Przecież cały dzień zajmowałem się Harrym!

– Ale teraz chcesz sobie pójść.

– A ty chcesz, żebym spędził z tobą noc? – zapytał z uniesioną brwią.

– Nie chcę – odpowiedziała natychmiast, rumieniąc się lekko. – Próbuję tylko znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji.

– Cóż, ja już odwaliłem swoją robotę. Maggie powiedziała, że wszystkim się sama zajmiesz.

– Mnie powiedziała co innego!

– Co?

– Że... powinnam ci pomóc.

– Mamy ze sobą współpracować? To niemożliwe. Poza tym jesteś jej wnuczką.

– A ty jej sąsiadem i przyjacielem!
– A ty ciotką Harry'ego – przebił ją. – Albo kuzynką. W każdym razie: rodziną.

– Wcale nie! Misty to wnuczka Waltera, co oznacza, że nie jestem z nią spokrewniona.

– Ja również nie – burknął.

Zapadła cisza, w której słyhać było szum morza za oknem. Cat zastanawiała się nad czymś intensywnie, aż wreszcie westchnęła:

– Dobrze. Idź sobie. Jesteś wolnym człowiekiem. Nie można od ciebie oczekiwać nawet najmniejszego poświęcenia.

Ruszyła w stronę sypialni, gdzie spał Harry, lecz Yannis zabarykadował jej drogę swoim potężnym ciałem.

– Jeśli naprawdę mnie potrzebujesz, zostanę.

Zaskoczyły go własne słowa, jakby ktoś wepchnął mu je do ust. Cat zatrzymała się krok od niego. Z tej odległości widział każdy pieg na jej twarzy, czuł znajomy zapach jej włosów.

– Nie, dziękuję, nie potrzebuję ciebie – rzekła z emfazą.

– Ty nie, ale Harry może tak?

Przejechała dłonią włosy. Pierścionek zamigotał.

– Może tak – mruknęła. – Jeśli wcześniej ciągle płakał przy tobie, to co będzie, jak zobaczy mnie, zupełnie obcą osobę? Ale nieważne. Masz rację. Opieka nad nim to teraz mój obowiązek, a nie twój. – Spojrzała wymownie na drzwi wyjściowe. – Jest już późno. Przyjechałam tu z San Francisco własnym samochodem. Chciałabym położyć się spać.

Yannis też chciał pójść do łóżka. Z nią. Do diabła! Co w niego wstąpiło? Cóż, sprawa była całkiem prosta. Był przecież tylko zdrowym, dorosłym mężczyzną, który miał ciągle słabość do tej kobiety. Odpędził od siebie tę niewygodną myśl. Przecież Catriona MacLean to nie tylko seksowne ciało. To kobieta, która chce od życia czegoś zupełnie innego niż on.

– Dobranoc – mruknęła mało uprzejmym tonem. Wyminęła go i położyła dłoń na klamce. – Zgaś światło, kiedy będziesz wychodził.

Ani drgnął.

– Często masz bliski kontakt z tak małymi dziećmi?

– Rzadko. Prawie nigdy. Nie prowadzę zajęć z niemowlakami.

– To jak dasz sobie z nim radę?

Wzruszyła ramionami.

– Bez obaw. Nie zginę.

– Martwię się o niego, a nie o ciebie.

– Nic mu się nie stanie – odparła z przekonaniem. – Kiedy byłam nastolatką, raz czy dwa razy zajmowałam się niemowlakiem. Poza tym na co dzień mam do

czynienia z przedszkolakami, a to prawie to samo.

– Nie. Zupełnie co innego.

– Dam. Sobie. Radę.

Wątpił w to. Harry zafundował mu trzygodzinny festiwal złego humoru i płaczu. Yannis przynajmniej już mniej więcej wiedział, jak się z nim obchodzić. Częściej opiekował się małymi dziećmi niż Cat. Co prawda to było dawno temu, ale coś mu tam w głowie zostało. Nie, Cat nie da sobie z nim rady. Harry nie był potulnym cherubinkiem. Wierzgał, kiedy zmieniało mu się pieluchy, i potrafił pełzać z prędkością błyskawicy. Żywe srebro. Istnieje ryzyko, że Cat w porę go nie złapie. Harry spadnie z łóżka...

– Zostanę – oświadczył nagle.

– Nie!

– Och, na miłość boską! Jeszcze dwie minuty temu nie chciałaś, żebym sobie poszedł.

– To była... przesadna reakcja – wymamrotała.

– Nie masz pojęcia, do czego zdolny jest ten maluch.

Przygryzła dolną wargę.

– Nie chcę, żebyś wyświadczał mi przysługę.

– Nie wyświadczam przysługi tobie, tylko jemu – sprostował.

Cat otworzyła usta, jakby miała zamiar z nim dyskutować, ale się rozmyśliła.

Wzruszyła ramionami i mruknęła:

– Skoro tak uważasz...

Yannis doszedł do wniosku, że ktoś powinien dokładnie zbadać jego głowę, ponieważ chyba postradał zmysły! Dlaczego się w to pakował? Owszem, chciałby znowu wylądować z Cat w łóżku, ale nie z wyjąłym niemowlakiem na piersi. Wiedział jednak, że nie ma szans na upojną noc z Cat. Była zaręczona. Co chwila świeciła mu po oczach tym przeklętym pierścionkiem. Musiał zostać – z powodu Harry'ego.

– Tak uważam – odparł.

– W porządku. – Jej głos był całkowicie obojętny. – Przygotuję dla siebie sofę.

Minęła go, ocierając się o jego ramię, i podeszła do skrzyni przy oknie. Yannis wiedział, że powinien obrócić się na pięcie i pomaszerować prosto do sypialni, ale oczywiście tego nie uczynił. Zrobił to, co zawsze, gdy w pobliżu była Cat MacLean – patrzył na nią. Gdy nachyliła się, grzebiąc w skrzyni, poczuł gwałtowny przypływ pożądania. Odwróć się! – nakazywał sobie w duchu, ale nie mógł oderwać od niej wzroku. Wreszcie wyciągnęła pościel i rzuciła ją na sofę.

– Co? – zapytała

Odwrócił się gwałtownie.

– Nic – odburknął.

Po chwili rozległo się ciche kwilenie. Cat spojrzała na niego zaalarmowana.

– On ciebie... potrzebuje.

– Nie mnie, tylko swojej matki.

– Jest głodny? – zapytała nieco nerwowym tonem.

– Może. Dawałem mu butelkę o ósmej. – W kuchni było mnóstwo mlecznej mieszanki dla dzieci. Misty albo Maggie zrobiła zapasy. Mimo to najpierw zadzwonił do swojej siostry, Tallie, matki czwórki dzieci, aby zapytać, czym powinien karmić Harry'ego i z jaką częstotliwością.

Tak jak się spodziewał, Tallie parsknęła śmiechem.

– Masz dziecko?

– Opiekuję się kimś. Przez chwilę.

Zadała mu tuzin pytań, ale na większość z nich nie znał odpowiedzi. Nie wiedział, w jakim dokładnie wieku jest Harry ani jakie ma nawyki żywieniowe. Tallie dała mu jednak kilka cennych i skutecznych rad. Harry nie płakał przez tamte trzy godziny z powodu głodu. Krzyczał, ponieważ był w obcym miejscu z obcym człowiekiem. Pewnie tęsknił za domem i za matką.

A na to nic nie można było poradzić.

Cat miała ochotę się rozplakać. Boże, co za koszmar! – pomyślała załamana. Babcia nie tylko złamała biodro, ale będzie miała operację, a potem nie wiadomo jak długo zostanie w szpitalu. Czy w ogóle będzie mogła chodzić o własnych siłach? Nie wiadomo. Ale to nie wszystko. Teraz Cat musiała się martwić nie tylko o babcię, ale też o dziecko Misty, która wyjechała sobie na dwa tygodnie.

Babcia, dziecko, a na dokładkę – Yannis Savas!

Nic się nie zmienił. Był tak samo przystojny i pociągający jak zawsze. Ciągle potrafił – niech go diabli! – przyspieszyć bicie jej serca, wprawić jej ciało w drżenie i zamienić mózg w papkę. Miała ochotę zapakować koty z powrotem do samochodu i z piskiem opon wrócić do San Francisco. Ale nie mogła tego zrobić. Babcia nie miała nikogo innego. A Cat ją kochała. Nie ma co marzyć o ucieczce. Ani o śnie. Powinna zasnąć w momencie, gdy jej głowa zetknęła się z poduszką, ale nic takiego się nie stało. Leżała, przewracając się z boku na bok na małej, twardej sofie, rozmyślając o całej tej sytuacji. Misty pewnie wpadłaby w szal, gdyby się dowiedziała, że Cat będzie sprawowała opiekę nad jej dzieckiem. Misty nigdy nie przynosiła do Maggie swojego synka, kiedy akurat znajdowała się tam Cat. Aż do dzisiejszego dnia Cat nigdy nie widziała na oczy Harry'ego. Teraz też widziała go tylko przez kilka chwil, gdy leżał wtulony w nagi, potężny tors Yannis... Znowu coś w niej drgnęło. Zaciśnęła oczy, aby wyrzucić z pamięci ten obraz, ale to nie było takie łatwe. Dawno temu pragnęła założyć rodzinę z Yannisem. To dlatego widok jego z dzieckiem tak na nią podziałał. Obudziły się w niej tamte marzenia, tamte nadzieje... Jej serce znowu przeszył ostry ból. Po co się tym katować? – pytała w myślach. Przecież to skończona historia. On nie chciał

mieć dzieci. Ani z nią, ani żadną inną kobietą. Dlatego się rozstali. Interesowały go tylko przelotne, luźne romanse. To na pewno nadal aktualne.

Śpij już, zamiast myśleć o bzdurach! – upomniała samą siebie. Zamknęła oczy, ale twarz Yannisa była jakby wypalona na wewnętrznej stronie jej powiek. Coś połaskotało ją w twarz. Otworzyła oczy i ujrzała przed sobą Bascombe'a. Pocierał nosem o jej nos, domagając się jedzenia, zabawy albo głaskania.

– Uch! – jęknęła z irytacją. Uwielbiała swoje koty, ale dzisiaj była zbyt rozdrażniona, żeby się nimi zajmować. Chwyciła go i postawiła na podłodze. Znowu zamknęła oczy. Yannis nie zniknął z wewnętrznej strony powiek. Myśli o nim nie wyleciały jej z głowy.

Nie pierwszy raz nie mogła się od niego uwolnić. Właściwie było tak od dnia, w którym go poznała. Pamiętała tamto popołudnie, jakby to było wczoraj. Wracała ze sklepu objuczona zakupami dla babci, gdy nagle ujrzała tego wysokiego, atletycznego mężczyznę ze zmierzwionymi przez wiatr czarnymi włosami. Szedł od strony domu jej babci. Nigdy wcześniej nie widziała tak przystojnego mężczyzny. Momentalnie ciężkie siatki przestały jej ciążyć, ręce przestały boleć. Zwolniła kroku, aby móc przyjrzeć się nieznanemu, zanim go wyminie i już nigdy nie zobaczy. On również zwolnił. Poczuła, że ona też wpadła mu w oko. Niemal słyszała, jak w tle rozbrzmiewa jakaś romantyczna piosenka musicalowa, którą śpiewała w dzieciństwie, na przykład *Pewnego czarownego wieczoru* – mimo że był środek dnia. Zawsze miała skłonności do nadmiernego romantyzmu. Wszyscy dookoła jej powtarzali, że ma nieco zbyt wybujałą fantazję. Modliła się w duchu, aby ten boski przystojniak ją zatrzymał, zagadał, zaprosił na randkę. W sekundę wyobraziła sobie, jak właśnie to robi, zakochuje się w niej, bierze z nią ślub, ona rodzi mu trójkę dzieci, przygarniają psa ze schroniska i do końca życia są idealnie szczęśliwi.

Jej marzenie się spełniło. To znaczy, częściowo. Mężczyzna rzeczywiście zatrzymał się, uśmiechnął do niej i zaczął z nią rozmawiać. Okazało się, że przyszedł zobaczyć się z jej babcią, ponieważ był zainteresowany domem Maggie. A potem zaprosił Cat na kolację. Zaiskrzyło między nimi. Yannis po jakimś czasie kupił dom babci. Wszystko było idealnie. Nawet seks był idealny. Namiętny, intensywny i niewiarygodny. Nie było w tym nic dziwnego, ponieważ byli dla siebie stworzeni. Cat myślała, że spotkała mężczyznę, z którym spędzi resztę życia.

A potem...

Potem wszystko się popsuło i rozpadło. Okazało się, że życie nie przypomina romantycznego musicalu. Na pięknym obrazku pojawiały się rysy. Yannis wydawał się odległy, ilekroć Cat wspominała o swoim odwiecznym marzeniu: założeniu rodziny. Zmieniał temat za każdym razem, gdy padało słowo „małżeństwo”. Coraz częściej wyjeżdżał na kilka dni do Singapuru, Finlandii czy Tanzanii. Codziennie czekała na czułą, wzruszającą wiadomość od niego, aż

wreszcie przysyłał jej zdawkowy, zimny mejl z informacją, że postanowił spędzić tydzień na plaży w Goa, a potem polecieć prosto do Nowej Zelandii, gdzie znowu musiał coś załatwić. Nie tylko się od niej oddalał emocjonalnie, ale też chciał być z dala od niej fizycznie. Wiedziała, że to początek końca...

No i była jeszcze historia z Misty. Misty zawsze chciała każdej rzeczy, która należała do Cat – nieważne, czy chodziło o zabawkę, ubranie czy chłopaka. Cat zdążyła się do tego przyzwyczaić. Nie sądziła, że Yannis zwróci uwagę na jej kuzynkę. A jednak. Miała powody przypuszczać, że coś jest między Yannisem a Misty. Pewnego razu widziała, jak o siódmej rano Misty wychodzi z jego domu! Zażądała wyjaśnienia. Odpowiedział pytaniem:

– Czego właściwie chcesz, Cat?

Wiedziała dokładnie, czego pragnie. Odparła więc szczerze:

– Miłości. Małżeństwa. Rodziny.

Patrzyła, jak jego twarz blednie. Trudno o bardziej wymowną reakcję. On nie marzył o takim życiu. Coś w niej umarło.

– Nie spałem z Misty – odezwał się po chwili. – Przyszła po swoje okulary, które zostawiła wczoraj na patiu. Chciała je zabrać przed pójściem do pracy.

Cat mu uwierzyła. Poczuła, jak w jej sercu znowu zaczyna się tlić płomyk nadziei. Natychmiast jednak zgasł, gdy Yannis oświadczył:

– Mnie nie interesuje małżeństwo, dzieci, i tak dalej. Nigdy o tym nie marzyłem.

Jego słowa zmiażdżyły jej serce niczym ogromny głaz. Jakimś cudem udało jej się zachować kamienną twarz, choć w środku broczyła krwią. Powoli wstała i ruszyła do drzwi.

– Mam nadzieję, że się na mnie nie gniewasz? – zapytał.

Nie odwróciła się.

– Oczywiście, że nie – rzuciła przez ramię.

– To dobrze – westchnął z ulgą. Widocznie ta sprawa bardzo go trapiła i dlatego ostatnio się od niej oddalał. Teraz, wreszcie spokojniejszy, rozchmurzył się i zapytał: – Pójdziemy później na pizzę?

Nie, nie poszli. Ona chciała mieć z nim dzieci, a on zjeść z nią pizzę! Wiedziała, że to koniec. Tyle, jeśli chodzi o wielką miłość i piękne marzenia.

Koniec z Yannisem Savasem.

Niecałe trzy miesiące później podjęła pracę bibliotekarki w San Francisco. Babcia nie była wniebowzięta, ale Cat się nie ugięła. Przeprowadzka do innego miasta oddalonego o pięćset kilometrów od mężczyzny, który nie chciał być jej jedyną miłością, mężem i ojcem jej dzieci, wydawała jej się wtedy bardzo rozsądnym posunięciem. Przed babcią udawała, że to nie ma nic wspólnego z Yannisem.

Od tamtej pory zawsze go unikała. Aż do teraz. Ujrzała go i odkryła, że

Yannis Savas wciąż był tak samo przystojny i seksowny jak kiedyś. Nadal się jej podobał. I to bardzo. Mimo że była teraz zaręczona – ze wspaniałym mężczyzną, który pragnął dokładnie tego samego, co ona – gdy tylko ponownie ujrzała Yannisa, przypomniały jej się wszystkie teksty romantycznych piosenek, które kiedyś znała na pamięć. Jej infantylne fantazje odżyły. A to wszystko przez to, że leżał w łóżku z dzieckiem i wyglądał dokładnie tak, jak w jej starych marzeniach.

– Do diabła z nim! – warknęła pod nosem, podniosła się i z głośnym plasknięciem postawiła stopy na podłodze. – Cholera – zaklęła, modląc się w duchu, aby Harry nie zaczął płakać, lub, co gorsza, w drzwiach nie pojawił się nagle Yannis z gniewną miną.

Minęła minuta, może dwie. Cat trwała w bezruchu, oddychając najciszej, jak potrafiła. Usłyszała ciche kwilenie, ale nie kroki. Powoli położyła się z powrotem na sofie. Harry z każdą sekundą coraz głośniej płakał. Po kilku chwilach Yannis wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Przemknęło jej przez myśl, że postanowił wrócić do swojego domu, nie mając już siły i cierpliwości niańczyć cudze dziecko.

Nie zapalił światła. Cat leżała w ciemności, udając, że śpi i nasłuchując intensywnie. Yannis minął sofę i otworzył lodówkę. W żółtawym świetle widziała jego ostry profil, zmierzwione włosy opadające na wysokie czoło, muskularny tors i szczupłe nogi. Miał na sobie jedynie jasne bokserki. Wyjął butelkę ze smoczką, zamknął lodówkę i zapalił światło. Cat podniosła powieki i obróciła głowę. Nie mogła się oprzeć pokusie, by popatrzeć, jak Yannis podgrzewa mleko dla dziecka.

– Chcesz go nakarmić?

Zamarła. Skąd wiedział, że go podgląda? Postanowiła udawać, że jego głos wyrwał ją ze snu.

– Słucham? – Oparła się o łokieć i powiedziała zaspanym głosem: – Obudziłeś mnie.

– Tak, jasne – mruknął.

Rzeczywiście, jak mogła udawać, że spała, skoro Harry darł się wniebogłosy? Yannis potrząsnął butelką i wylał sobie kilka kropel na nadgarstek.

– Widzę, że się na tym znasz – powiedziała pełna podziwu.

– To nie mój pierwszy raz. – Podeszedł i wyciągnął ku niej rękę z butelką. Cat ani drgnęła. – Dobra, nie przeszkadzaj sobie. Śpij dalej – mruknął z lekką drwiną.

Otworzył drzwi do sypialni. Harry tak hałasował, że mógłby obudzić zmarłego. Yannis zamknął za sobą drewniane drzwi, które trochę tłumiliły wrzaski. Po kilku sekundach płacz ustał. Cat słyszała tylko głośne czkanie, siorbanie i łagodny szept Yannisa. Taki sam, jakim kiedyś do niej przemawiał, gdy leżeli razem w łóżku. Szepty. Czułe słówka. Słodkie głupstwa... Uwielbiała to wszystko. Jej umysł wypełniły wspomnienia. Leżała w ciemności, wsłuchując się w głos

Yannisa, w ciszę, w szum morza, w bicie własnego serca. Znalazła się w jakimś dziwnym stanie, zawieszona pomiędzy rzeczywistością, marzeniami a wspomnieniami, pomiędzy myślami a uczuciami, pomiędzy chwilą obecną, przeszłością a przyszłością.

Gdy Harry po jakimś czasie zupełnie ucichł, wyobraziła sobie, jak chłopiec leży wtulony w Yannisa. Aby odpędzić od siebie ten obraz, zaczęła rozmyślać o babci. O tym, co będzie po operacji. Potem zaczęła myśleć o Adamie, ale przerwało jej cichutkie gaworzenie Harry'ego, któremu po chwili odpowiedział męski, głęboki głos. Wyglądało to tak, jakby obaj mężczyźni – mały i duży – prowadzili ze sobą jakąś tajemniczą rozmowę.

A potem Cat usłyszała coś dziwnego. Wytężyła słuch. Nie, to niemożliwe! – zawołała w myślach. A jednak. Tak, to nie mogło być nic innego. Coś łagodnego, rytmicznego, melodyjnego...

Yannis Savas w sąsiednim pokoju śpiewał dziecku kołysankę.

ROZDZIAŁ TRZECI

Obudziła się kilka godzin później, wzięła prysznic i ubrała się w piaskowożółte, płócienne spodnie i pomarańczową bluzkę, jaskrawszą niż jej włosy, które związała w kucyk. Siedziała przy stole kuchennym, popijając kawę, gdy nagle wszedł Yannis, niosąc dziecko na rękach. Odetchnęła z ulgą, widząc, że jest ubrany. Jego policzki i brodę przyciemniał zarost. Pamiętała, że właśnie tak wyglądał rano po spędzonych z nią nocach. Ogarnęła ją nagła tęsknota za tamtymi czasami, ale kolejny raz przypomniała sobie, że to nie jest dla niej odpowiedni mężczyzna. Może wcale tego nie chciał, ale trzy lata temu bardzo ją zawiódł i zranił. Nie mogła o tym zapominać!

– Dzień dobry – przywitała go neutralnym tonem.

– Dobry – mruknął ochryple.

– Jak wam się spało?

Omiótł ją ostrym spojrzeniem.

– Wspaniale – burknął.

Chciała mu przypomnieć, że to przecież nie niej wina. To nie ona w nocy wyla i płakała, tylko Harry, a Harry nie jest jej dzieckiem, tylko Misty!

– Dzień dobry, Harry – przywitała się z chłopcem. – Dobrze spałeś?

Chłopczyk skrzywił się, jakby poczuł na języku cytrynę, i wtulił buzię w tors Yannisa.

Świetnie, pomyślała Cat. Ten mały, podobnie jak Yannis, też mnie nie lubi... Chciała wyciągnąć rękę i połaskotać bosc stópki chłopca, ale to oznaczało, że jej dłoń zbliżyłaby się do biodra Yannisa. Choć miał na sobie granatowy podkoszulek i szorty, nie chciała przekraczać niewidzialnej, ale łatwej do wyczucia bariery. Najlepiej zachować pewien bezpieczny dystans, zarówno psychiczny, jak i fizyczny.

– Zrobiłam kawę. Poczęstuj się, jeśli masz ochotę.

Yannis uwielbiał rano wypić kubek gorącej kawy. Chciała mu zrobić na złość i zaparzyć dzbanek herbaty, ale uznała, że powinna zachowywać się jak poważna, dorosła osoba. Yannis obdarzył ją zniewalającym uśmiechem.

– Spadłaś mi z nieba. – Przerzucił dziecko na drugą rękę, aby mógł przelać kawę z dzbanka do kubka. – Dziękuję.

Z uśmiechem przytknął kubek do ust. Harry wyciągnął rączkę, żeby złapać za kubek, ale Yannis był szybszy i udaremnił jego zamiary.

– Jesteś w tym dobry – powiedziała Cat ze szczerym podziwem.

– W nalewaniu kawy?

– W pilnowaniu dzieci.

– Lata praktyki.

– Czyżbym o czymś nie wiedziała? Masz pod opieką jakąś gromadkę dzieci?
– zapytała.

Przytaknął z powagą.

– Czasami. W mojej rodzinie roi się od siostrzenic, bratanków, kuzynów.
Dzikię plemię.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nigdy tak naprawdę nie rozmawiała z nim o jego rodzinie.

– Jesteś szczęściarzem – powiedziała z zazdrością.

Skrzywił się.

– Tak, mam szczęście, ponieważ to nie są moje dzieci – rzucił z sarkazmem.

Nie, nie zmienił się ani odrobinę, pomyślała zawiedziona. Bez względu na to, czy lubił dzieci, czy ich nie znosił, doskonale potrafił obchodzić się z Harrym, niczym doświadczony tatuś. Wziął czystą buteleczkę, napełnił ją wodą, a potem otworzył opakowanie z mieszanką mleczną dla dzieci. Gdy próbował wsypać łyżeczką proszek do buteleczki, Harry zaczął się wić i wyrywać. Yannis zamarł bezradnie z łyżeczką w powietrzu. A jednak nie jest takim nadprzyrodzonym superopiekunem! – ucieszyła się Cat.

– Pomogę ci – zainteresowała, biorąc od niego łyżeczkę i przypadkowo muskając palcami jego dłoń. Przeszedł ją dreszcz, jakby przez jej ciało przebiegł ładunek elektryczny. Takie rzeczy naprawdę się zdarzają? Poczwała się jak bohaterka romansów. Z tą różnicą, że w tej historii brakowało romantycznego bohatera i namiętnego, pięknego uczucia...

– Jeszcze trzy łyżeczki – instruował Yannis.

Stała tak blisko niego, że czuła ciepło, które emanowało z jego ciała. Zakręciła buteleczkę i potrząsnęła nią energicznie. Nagle podskoczyła, gdy oplótł ją ramieniem.

– Co robisz?

– Chcę wziąć czystą łyżkę. Blokujesz szufladę – wyjaśnił spokojnym tonem.
– Muszę nakarmić małego.

Stała w całkowitym bezruchu, ale w środku była cała rozedrgana. Odetchnęła dopiero wtedy, gdy wyjął puszkę brzoskwiń z szafki i wreszcie usiadł z Harrym przy stole.

– Gdzieś tu powinno być krzeselko dziecięce – powiedziała. – Można je przymocować do stołu. Podobno Misty zostawiła je tutaj, żeby go ze sobą ciągle nie nosić. Widocznie często odwiedza babcię z Harrym... tak? – Spojrzała na Yannisa pytająco.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Jesteśmy sąsiadami, ale szanujemy swoją prywatność – wyjaśnił.

Otworzyła schowek na miotły.

– O, jest.

Wpatrywała się w złożone krzeselko, nie mając pojęcia, jak je rozłożyć.

– Pokaż – odezwał się Yannis, po czym wstał od stołu i podał jej dziecko.

– Ale...

Urwała oszołomiona. Harry był o wiele cięższy, niż podejrzewała. Wiercił się i wił w jej rękach i prawie go upuściła, zanim zdołała mocno go chwycić i ścisnąć. Tak jak wczoraj powiedziała Yannisowi, była przyzwyczajona do opieki nad przedszkolakami, a nie niemowlętami. Dziwnie się czuła, trzymając w rękach rozbrykane małe dziecko, a zarazem właśnie tak to sobie wyobrażała. Nie mogła się oprzeć pokusie, by potrzeć nosem pokrytą czarnym meszkiem główkę Harry'ego i wciągnąć głęboko w płuca przyjemny zapach jego skóry zmieszany z owocową wonią szamponu. Przymknęła powieki, rozkoszując się tym zapachem, tą chwilą – namiastką tego, co kiedyś będzie miała.

Yannis błyskawicznie poradził sobie z rozłożeniem i ustawieniem krzeselka. Cat znowu była pod wrażeniem. Harry chwycił w piąstkę kosmyk jej włosów i mocno szarpnął.

– Au! – jęknęła.

Yannis wyszczerzył zęby.

– Brawo, mały. Ja też lubiłem jej włosy.

Cat oblała się rumieńcem. Pamiętała, jak Yannis uwielbiał zanurzać dłonie w jej włosach, a czasami nawet wtulać w nie twarz, gdy spali razem. Harry znowu szarpnął. Spróbowała poluzować zadziwiająco mocno zaciśnięte na jej włosach paluszki.

– Pomogę ci – odezwał się Yannis.

Zanim zdołała zaprotestować, on już przystąpił do interwencji. Stał obok niej, musnął kciukiem jej policzek, odgiął piąstkę dziecka, a następnie odgarnął zmaltretowany kosmyk z jej twarzy. Cat próbowała zachować obojętność, ale nie do końca się jej to udało. W oczach Yannisa dostrzegła wyraźny błysk pożądania. Jednocześnie zmieszana i wstrząśnięta, odwróciła wzrok.

– O, już masz krzeselko – powiedziała do chłopca i usadziła go przy stole.

Erotyczne napięcie rozpląnęło się w tej osobliwie rodzinnej atmosferze.

Harry uśmiechnął się szeroko i zaczął tłuc piąstkami o blat.

– Domagasz się posiłku, tak? – zgadł Yannis, pogłaskał go po główce, usiadł obok niego i zaczął go karmić małutkimi kawałeczkami brzoskwini z puszki.

Cat patrzyła na tę scenkę jak zahipnotyzowana, nadal czując na swoje skórze dotyk jego ciepłej dłoni, wciąż wstrząśnięta jego pożądliwym spojrzeniem.

– Ja go nakarmię – odezwała się wreszcie. – Możesz sobie iść.

– Czyżbyś mnie wyganiała? – zapytał z uniesioną brwią.

– Nie, skądże. Ale na pewno jesteś zajęty.

– Owszem, jestem.

Nie przestawał jednak karmić dziecka. Cat przestąpiła niecierpliwie z nogi na nogę.

– Jestem ci wdzięczna za wczorajszą i dzisiejszą pomoc, ale nie chcę dłużej zabierać ci cennego czasu.

– Naprawdę?

Nie rozumiała, o co mu chodzi.

– Naprawdę.

– Nie zamierzasz przypadkiem pojechać do szpitala?

– Oczywiście, zamierzam. Babcia ma o dziewiątej operację. Muszę nakarmić Harry'ego, przewinąć go i... – Zerknęła na zegarek. – O kurczę! Nie wiedziałam, że jest już tak późno. Czy Harry ma zapasowe pieluchy?

– Ma. – Yannis wepchnął kolejną łyżeczkę jedzenia do buzi chłopca. – Ale nie może z tobą pojechać.

– Dlaczego nie?

– Dzieci nie mają wstępu do szpitala.

– Co? – zapytała zaskoczona.

– Nie wpuszczają dzieci poniżej czternastego roku życia. Takie są przepisy.

– Żartujesz, prawda?

Pokręcił głową.

– Nie wiedziałam, że...

– Ja też nie. Aż do wczoraj, kiedy nie chcieli mnie wpuścić z małym. – Po chwili dodał: – Może zostać ze mną.

– Nie chcę cię... wykorzystywać.

Wzruszył ramionami, nie zerkając na nią.

– Damy sobie radę, prawda, kolego?

Obaj mężczyźni, mały i duży, wymienili uśmiechy. Cat poczuła się nagle zupełnie zbędna.

– Cóż, dziękuję – wymamrotała.

– Pozdrów od nas Maggie – powiedział, nadal na nią nie patrząc.

Stała jeszcze chwilę, całkowicie ignorowana, jakby niewidzialna, aż wreszcie uznała, że nie pozostało jej nic innego, jak odwrócić się i wyjść.

Gdy trzy kwadranse później dotarła do szpitala, babcię już przeniesiono z łóżka na nosze na kółkach. Maggie uśmiechnęła się do niej trochę nieprzytomnie.

– Już mnie czymś nafaszerowali. Czuję się jak stara hipiska. Powinnam zaśpiewać coś z musicalu *Hair*, ale nie mam siły.

Cat zaśmiała się łagodnie, ale nie mogła przestać się martwić. Jej z natury energiczna babcia wyglądała na zmęczoną. Pomyślała, że to na pewno w jakimś stopniu wina lekarstw, ale widok bladej babci nie nastrajał jej optymistycznie. Postanowiła jednak nie dać niczego po sobie poznać.

– Pójdiesz na przesłuchanie do teatru, kiedy będą to wystawiać –

zażartowała.

Położyła rękę na kruchej, zimnej dłoni babci. Nachyliła się i pocałowała ją w policzek. Jej skóra była tak blada, delikatna, niemal przezroczysta. Maggie uśmiechnęła się ustami i oczami. Po chwili zerknęła w stronę drzwi i zapytała:

– Gdzie Adam?

– Adam? Pewnie w pracy.

– Nie przyjechał?

Babcia nie darzyła Adama zbyt dużą sympatią, choć Cat nie rozumiała, skąd się bierze jej awersja.

– Chciałaś, żeby przyjechał?

– Oczywiście, że nie – odparła babcia, krzywiąc się lekko. – Ale myślałam, że ty będziesz chciała.

– Nie, to znaczy... Oczywiście, że chciałabym, żeby był tu ze mną, ale on nie może bez uprzedzenia wziąć urlopu. – Nie kłamała. W przeciwieństwie do niej, Adam miał bardzo wymagającą pracę. Właściwie pracował na półtora etatu, prawie codziennie zostając w banku do późnych godzin. – Obiecałam mu, że zadzwonię i powiem, jak się czujesz po operacji i jak długo tutaj zostanę. A właśnie – wbiła w babcię nieco karcący wzrok – gdy wczoraj rozmawialiśmy przez telefon, nie wspomniałaś o Harrym!

– Ach, Harry – wyszeptała Maggie, zamykając oczy. Na jej ustach rozkwitł błogi uśmiech.

Cat była daleka od wzruszenia.

– Nie wierzę, że pozwoliłaś na to Misty!

– Przecież musiała pojechać do Devina.

– Musiała czy chciała? Tak czy owak, to żadna wymówka.

– Naprawdę? Ja uważam, że całkiem niezła – odparła babcia, nadal nie podnosząc powiek.

Cat zacisnęła zęby. Wiedziała, że babcia na wszystko pozwala Misty, ale nie myślała, że aprobeje jej skandaliczne, niedojrzałe postępowanie.

– Ona ciebie wykorzystuje!

– Cóż, może troszeczkę, ale...

– Ona taka po prostu jest – wycedziła Cat, powtarzając słowa, które już wiele razy słyszała z ust babci podczas podobnych rozmów. – To jednak nie oznacza, że zachowuje się w porządku.

– Mam nadzieję, że nie będziesz za to karała biednego Harry'ego?

– Oczywiście, że nie!

– Ani Yannisa? – Babcia otworzyła nagle oczy i spojrzała na wnuczkę zupełnie przytomnym, przenikliwym wzrokiem.

– Yannis świetnie daje sobie radę z opieką nad Harrym.

– Wiedziałam, że tak będzie. – Maggie uśmiechnęła się i znowu zamknęła

oczy.

– Przestań to robić.

– Co?

– Co chwila otwierać i zamykać oczy. Wyglądasz jak... zwłoki.

Babcia zaśmiała się.

– Przykro mi, kochanie, ale tak źle ze mną jeszcze nie jest.

– To dobrze. Musisz wyzdrowieć. – Cat poczuła, że emocje, które w sobie tłumiała i tamowała, nagle zalewają jej wnętrze. Łzy napłynęły jej do oczu. – Przecież wiesz, że mam tylko ciebie...

– Myślałam, że masz też Adama. – Zanim Cat zdążyła odpowiedzieć, Maggie dodała: – Gdzie jest teraz Harry?

– Z Yannisem.

– Ach. – Powieki babci znowu opady. Uśmiechnęła się spokojnie, nieco sennie. – Powinnaś poślubić takiego mężczyznę.

– Yannisa nie interesuje małżeństwo – burknęła Cat.

– Rozmawiałas z nim o tym?

Cat wzruszyła ramionami. Nigdy nie dzieliła się swoimi marzeniami i nadziejami z babcią, która co prawda wiedziała, że Yannis zaprosił ją kilka razy na randkę, ale nie znała szczegółów ich znajomości. Maggie jednak od tak dawna mieszkała obok niego, że zapewne widziała go z połową kobiet zamieszkujących południową Kalifornię i zdawała sobie sprawę, że Yannisa Savasa nie interesują poważne związki, tylko przelotne romanse.

– Może powinnaś jeszcze raz z nim to przedyskutować – zasugerowała Maggie.

Nie powinnam, pomyślała Cat. Nie chciała jednak drażnić tego tematu. Nachyliła się i pocałowała ją w policzek.

– Zobaczmy się po operacji. Kocham cię, babciu.

Yannis jęknął w duchu.

– Zjazd rodzinny? – powtórzył po matce, Malenie Savas. Czuł, jak w jego ustach formuje się słowo „nie”, lecz wiedział, że taka lakoniczna odmowa na nią nie zadziała. – Chyba nie dam rady.

Trzymał telefon wciśnięty pomiędzy policzek a ramię. Nachylił się, by złapać małego, który pełzał pod kuchennym stołem, zbliżając się z wyciągniętą rączką do gniazdka elektrycznego.

– Dlatego informuję cię o tym wcześniej, żebyś mógł sobie wziąć wolny weekend. – Matka przemawiała pogodnym, swiergoczącym tonem, lecz Yannis wyczuwał w jej głosie dobrze znaną wszystkim dzieciom, nawet tym już dorosłym, groźbę: przyjdź, bo się pogniewam, a może nawet wydziedziczę.

Wcale nie miał awersji do swojej rodziny. Lubił jej członków – ale osobno, nigdy razem. A zlot rodzinny w jego przypadku oznaczał ogromny, hałaśliwy tłum,

który przyprawiał go o natychmiastową migrenę i odruch ucieczki.

– Kiedy?

Harry, powstrzymany przed włożeniem palca do gniazda, teraz ów palec próbował wetknąć w oko swojego opiekuna.

– W dzień matki – odparła pani Savas. Yannis znowu zawył w środku. – Co to za hałas?

– Zmywarka do naczyń.

– Brzmi jak odgłosy wydawane przez dziecko. – Zamilkła i po chwili dodała:

– To dziecko! – Malena natychmiast się podekscytowała. – Yannis! Czyżbyś o czymś mi nie powiedział?

– Przestań! – mruknął zarówno do matki, jak i Harry'ego. – Naprawdę nie będę mógł przyjechać.

W głosie matki ekscytacja ustąpiła miejsca irytacji.

– Specjalnie wybrałam ten dzień, żebyś mógł się zobaczyć ze swoim ojcem.

– Sokrates Savas przed Bożym Narodzeniem miał zawał serca, ale teraz znowu pracował pełną parą, czyli wpadł w pracoholizm. Yannis wiedział, że jego matka nie pochwała takiego trybu życia męża, ale najwyraźniej znowu do tego przywykła.

– Poza tym mógłbyś się łaskawie objawić, aby pokazać swojej rodzonej mamusi, jak bardzo ją kochasz.

– To szantaż emocjonalny – burknął.

– Cóż, to twoja interpretacja. A więc?

– Kocham cię.

– Wiem o tym. I wiem, że nienawidzisz tłumów – powiedziała tonem sugerującym, że słyszała to usprawiedliwienie już tysiąc razy, co było zresztą prawdą. – Ale to nie jest „tłum”. To twoja rodzina! Oni tylko chcą...

– Tego, co dla mnie najlepsze – dokończył za nią znane mu matczyne powiedzonko. Potrafił tak samo jak ona niemal śpiewnym tonem powtarzać jej ulubione zdania, jak refreny w piosence.

– Tak. Dokładnie tak.

– Być może – westchnął. – Ale też chcą mojego domu podczas wakacji. Chcą spraszać tutaj swoich znajomych i całe lato wylegiwać się na plaży. Chcą, żebym był ojcem chrzestnym ich dzieci...

– To powinien być dla ciebie zaszczyt!

– Tak. Zaszczyt. Ogromny – mruknął mało przekonująco.

Harry wepchnął palce w jego usta, a następnie zachichotał głośno, gdy Yannis je leciutko ugryzł.

– Masz tam dziecko! – zawołała Malena. – Czyje?

– Nie moje. Muszę już lecieć, mamo. Ktoś dzwoni na drugiej linii. – Nie kłamał. Rzeczywiście ktoś dzwonił. – Jestem zajęty.

– Opieką nad dzieckiem?

– Pa, pa, mammo. Będziemy w kontakcie.

Rozłączył się, zanim zdążyła odpowiedzieć. Na drugiej linii dzwonił producent mebli z Kolorado. Szybko zakończył z nim rozmowę i odłożył wreszcie komórkę. Wiedział, że od tej pory matka znowu zacznie go dręczyć rozmowami o dzieciach. Malena Savas marzyła o tym, aby wszystkie jej dzieci założyły rodziny i podarowały jej wnuki. George i Sophy znowu się zeszli i oczekiwali dziecka, co oznaczało, że Yannis został ostatnim „bezdzielnym dzieckiem”.

– Tu nie chodzi o mnie! – powiedziała podczas świąt Bożego Narodzenia, gdy w kuchni przyparła go do muru, a raczej ściany, i zaczęła kolejne przesłuchanie połączone z kazaniem. – Chcę, żebyś był szczęśliwy! To jest moje marzenie.

– A czy małżeństwo z ojcem uczyniło z ciebie najszczęśliwszą kobietą na ziemi? – wypalił, zanim zdążył ugryźć się w język.

Wszystkie dzieci państwa Savas zdawały sobie sprawę, że bycie żoną Sokratesa nie było idyllą, tak samo jak bycie jego córką czy synem. To był ciężko pracujący, konkretny, często srogi mężczyzna z tendencjami do cholerycznych napadów.

– Twój ojciec bywa... trudny – przyznała Malena – ale dzięki niemu życie nie jest nudne, tylko zaskakujące, ekscytujące.

– Pięknie powiedziane. Mogę to sobie zapisać na kartce?

Ukarła go delikatnym uderzeniem w rękę.

– Kocham twojego ojca. Choć nie zawsze jest łatwym człowiekiem, aż po grób pozostanie moją jedyną miłością. Nie zamieniłabym mojego życia na żadne inne.

– Ale to nie dzięki ojcu, tylko dzięki wnukom, które wreszcie ci się rodzą jeden po drugim – zauważył cynicznie.

Zaśmiała się głośno.

– Masz trochę racji. Wnuki dają ogromną radość, synku. Życzę ci, żebyś...

– Nie, dziękuję. Nie chcę wnuków.

– Ale będziesz je miał.

Energicznie pokręcił głową.

– Nie będę. Najpierw trzeba mieć dzieci. A tego również nie planuję.

– Och, to bez znaczenia. Życie zawsze krzyżuje nam plany. Niejeden szczęśliwy ojciec i dziadek mówił dokładnie to samo, co ty przed chwilą. Po prostu nie znalazłeś jeszcze odpowiedniej kobiety – pocieszyła go z pogodnym uśmiechem.

W tamtym momencie pomyślał odruchowo o rudowłosej kobiecie z brązowymi piegami i zielonymi oczami. Czyżby dlatego, że Cat jest „odpowiednią kobietą”? – pomyślał wówczas zaniepokojony. Nie, po prostu ona jako jedyna wspomniała przy nim o małżeństwie, tłumaczył sobie potem, aby

przestać o tym myśleć.

– Nie istnieje ktoś taki jak „odpowiednia kobieta” – oświadczył, kończąc tamtą rozmowę.

Teraz usiadł na podłodze, spojrzał Harry'emu w oczy i powiedział:

– Jestem singlem. Szczęśliwym singlem. Niech tak już zostanie na zawsze.

Chłopiec wyszczerzył ząbki i wpełzł na Yannisa, który nie zamierzał się żenić tylko po to, aby sprawić przyjemność swojej matce. Albo komukolwiek innemu. Lubił swoje życie takie, jakie było. Kochał wolność. Potrzebował jej jak powietrza! Niektórzy ludzie, na przykład Tallie, nazywali go samolubem. Cóż, może nim był. Wiedział jednak, że rodzina bywa straszliwym, wielogłowym potworem, który chce człowieka pożreć. W najlepszym wypadku ciągle czegoś oczekuje lub wymaga. Na przykład obecności na rodzinnym zlocie z okazji dnia matki.

– Nigdy się nie żeń, kolego – nakazał Harry'emu srogim tonem. – Nawet jeśli wszyscy będą cię do tego namawiać.

Harry wspiął się na jego tors i wetknął mu palec prosto w oko.

Cat niewiele wiedziała o teorii względności. Z natury i zamiłowania była humanistką. W liceum fizykę traktowała po macoszemu. Nie musiała jednak być Einsteinem, by zrozumieć, że czas to rzecz względna. Czasami płynie szybko niczym rwąca rzeka, a czasami każda sekunda jest jak kropla spadająca z przeciekającego kranu. W niektórych miejscach, zwłaszcza w poczekalniach, wskazówki zegara zupełnie zamierają.

– Przyjdę porozmawiać z panią po operacji – obiecał jej rano doktor Singh, dodając otuchy przyjaznym uśmiechem. Pewnie traktował tak każdą osobę, której ktoś bliski przechodził poważną operację, pomyślała Cat, wpędzając się w jeszcze większe nerwy.

Operacja jej babci musiała być bardzo poważna, ponieważ trwała już trzy godziny. Poczekalnia stopniowo się wyludniała. Pacjenci, na których czekali inni ludzie, byli już po operacji. Ci, którzy zostali, siedzieli w pomieszczeniu w mniejszych lub większych grupkach, pocieszając się nawzajem. Tylko Cat była bez towarzystwa. Chodziła w tę i z powrotem po korytarzu, obgryzając paznokcie i modląc się o zdrowie babci.

Zabrzęczała jej komórka. Czyżby dzwonił doktor Singh?

– Tak?

– Cześć.

Adam. Tylko Adam.

– O, cześć – odpowiedziała słabym głosem.

– Zmęczona? Mówiłem ci, żebyś tam nie jechała.

– Musiałam. Babcia ma teraz operację. Powinna się niedługo skończyć.

– To dobrze. Czyli wracasz dziś wieczorem?

– Co? Nie! – zawołała.
– Wobec tego kiedy?
– Nie wiem. Dopiero tu przyjechałam. Nie mam pojęcia, jak babcia się teraz czuje. Ani jak długo zostanie w szpitalu.
– Nic tam nie działasz. Nie możesz też brać tylu wolnych dni. Ludzie ciebie potrzebują.

– Jestem tylko bibliotekarką – przypomniała mu, po czym dodała rozdrażniona: – Tu nie chodzi o byle co i byle kogo, tylko o moją babcie! Naprawdę tego nie rozumiesz?

– Oczywiście, że rozumiem. Po prostu... tęsknię za tobą, Cat.
– Och. – Jej irytacja nieco osłabła. Uśmiechnęła się. – Ja za tobą też.
– Co z twoją sukienką?
– Jaką sukienką?
– Tą, którą musisz kupić na bal Wanamakerów.

Prezes banku, w którym pracował Adam, co roku organizował wielki bal. Tylko ci, którzy się liczyli, otrzymywali zaproszenie na tę imprezę. Rok temu Adam po raz pierwszy dostał tego zaszczytu. Cat mu nie towarzyszyła; wtedy jeszcze nie byli zaręczeni, spotykali się dopiero od miesiąca. Opowiedział jej jednak o imprezie w najdrobniejszych szczegółach. Gdy w styczniu się zaręczyli, jedną z pierwszych rzeczy, jaką do niej powiedział, było: „W tym toku będziesz mogła pójść ze mną do Wanamakerów”.

– Do balu pozostał już tylko tydzień – przypomniał jej teraz. – A ty nadal nie masz sukienki – dodał zmartwionym tonem.

Większość mężczyzn nie ingerowałaby w wybór sukienki swojej partnerki, lecz dla Adama była to najwyraźniej bardzo ważna sprawa. Gdy wręczył jej pisemne zaproszenie, powiedział: „Musisz wyglądać elegancko”, a następnie omiół ją wzrokiem – tamtego dnia miała na sobie zwyczajną, czarną spódnicę i kremową bluzkę, w której najczęściej chodziła do pracy – a wyraz jego twarzy zdradził, że ma wątpliwości, czy to w ogóle realne, aby tak się prezentowała. Z udawanym entuzjazmem oświadczyła, że chętnie zapoluje na odpowiednią sukienkę. „Pójdę z tobą” – zaznaczył natychmiast, jakby nie wierzył w jej dobry gust. Jak na razie jednak nie udało im się pójść na zakupy.

Cat nie cierpiała kupować ubrań. Odkąd w ósmej klasie usłyszała, jak Michael Garner, jej kolega z klasy, powiedział, że przypomina mu niezgrabnego żurawia, kompleksy Cat na punkcie własnego ciała jeszcze bardziej się nasiliły. Nie lubiła patrzeć na swoją patykowatą sylwetkę w lustrze, a tym bardziej w przymierzalniach sklepowych, gdzie człowiek ogląda siebie aż w trzech lustrach i wygląda jak żywy trup. To był dla niej zawsze horror, po którym ciężko jej było dość do siebie, czyli nie myśleć o swoim wyglądzie.

– Tutaj czegoś poszukam – rzuciła niechętnie.

W słuchawce zaległa długa cisza, aż wreszcie Adam westchnął:

– Tak, chyba nie mamy innego wyjścia. Kiedy wrócisz, będzie już za późno. Ale pamiętaj: ma być elegancka! I nie czarna.

– Dlaczego nie? – Elegancka kreacja zawsze kojarzyła jej się z czernią. Lubiła ten kolor. Był niczym kamuflaż. Wystarczyło, że uwagę ludzi przyciągały jej ognistoczerwone włosy i wzrost siatkarki.

– Nie może być czarna, bo to nie pogrzeb, tylko radosne przyjęcie.

– Dobrze, będę o tym pamiętała.

– Zadzwońię wieczorem zapytać, czy coś udało ci się znaleźć.

– Dzisiaj nie pójdę na zakupy.

– Dlaczego nie?

– Bo babcia ma operację!

– Ach, tak. Faktycznie. Muszę już lecieć. Pogadamy później. Kocham cię.

– Ja ciebie też – odparła, lecz Adam już się rozłączył.

Kupiła kawę z automatu w rogu poczekalni. Upiła kilka łyków, ale nerwy ścisnęły jej gardło i żołądek.

– Ciągle ją operują?

Odwróciła się gwałtownie, niemal upuszczając plastikowy kubeczek. Przed nią stał Yannis z Harrym na rękach.

– Co ty tu robisz?

– Myślałem, że zadzwonisz, kiedy będzie już po wszystkim, ale tego nie zrobiłaś, więc postanowiłem przyjechać i sprawdzić, co się dzieje. Jak się czujesz?

To pytanie zaskoczyło ją. Dlaczego go to interesowało?

– W porządku – skłamała. – Nie zadzwoniłam, bo nie mam żadnych informacji. Ciągle czekam, aż ktoś tu do mnie wyjdzie. – Zerknęła na Harry'ego. – Mówiłeś, że nie można tu przyprowadzać dzieci.

– Nie wpuszczają ich na oddział, ale do poczekalni tak. – Poczowała na sobie jego badawcze spojrzenie. – Denerwujesz się, prawda?

Z trudem przełknęła ślinę.

– Tak. Trochę. Mam wrażenie, że siedzę tu już od stu lat.

– Mojego ojca też długo operowali.

Zdziwiła się. Nie wiedziała o problemach zdrowotnych pana Savasa. Nie chciała jednak o nic pytać, skoro sam nie był skłonny do wynurzeń na ten temat.

– Kiedy ją zabrali? Mówili, ile to będzie trwało?

Cat powiedziała mu wszystko, co wiedziała, czyli niewiele. Dobrze było porozmawiać z kimś, kto martwił się o babcię – nawet z kimś takim jak Yannis. Kupił im obojgu gorącą czekoladę z automatu. Smakowała o wiele lepiej niż lurowata kawa.

– Dziękuję. – Oplotła palcami gorący kubeczek i wzięła głęboki wdech, aby się trochę uspokoić. Po chwili była nawet w stanie przywołać na usta leciutki

uśmiech.

– To dobry znak.

– Co?

– Twój uśmiech. Pierwszy w dniu dzisiejszym.

W jego oczach dostrzegła coś ciepłego, przyjaznego. Kiedy byli razem, często tak na nią patrzył.

– Pani MacLean?

Odwróciła głowę i ujrzała w drzwiach doktora Singha. Zerwała się z miejsca i ruszyła, niemal pobiegła w jego stronę.

– Co z moją babcią? – zapytała gorączkowym tonem.

Lekarz wskazał głową jeden z pokoi tuż za poczekalnią, w których przeprowadzono rozmowy z bliskimi operowanych pacjentów. Cat usiłowała wyczytać coś z twarzy chirurga, ale widziała tylko nieprzeniknioną minę, której zapewne uczą na akademiach medycznych.

– Zapraszam panią i pani męża.

Męża?

Była pewna, że Yannis zaraz wyjaśni tę pomyłkę, ale tego nie zrobił.

– Chcesz pójść sama? Ja mogę zaczekać tu z Harrym.

Poprosiła, żeby poszedł razem z nią. W małym, pustawym pokoju usiadła na krześle. Yannis stanął tuż za nią, nadal trzymając chłopca na rękach. Lekarz usiadł za biurkiem, na którym rozłożył kilka kartek.

– Pani babcia czuje się dobrze – oświadczył doktor Singh ku niewysłowionej uldze Cat. – Teraz musi dojść do siebie po zabiegu. Musimy być ostrożni ze względu na jej wiek. Kiedy będzie gotowa wrócić do swojego pokoju, będą państwo mogli się z nią zobaczyć. Niestety, bez dziecka – dodał przeproszającym tonem.

– Rozumiemy – odparła Cat.

Lekarz podsunął jej jedną z kartek i wyjaśnił:

– Biorąc pod uwagę rodzaj złamania, postanowiliśmy wszczepić jej endoprotezę stawu biodrowego. Będzie bardziej stabilna i wytrzymała niż uszkodzona kość. Proszę spojrzeć. Oto co zrobiliśmy...

Doktor Singh zaczął długo i szczegółowo tłumaczyć, na czym polegał zabieg, lecz Cat niewiele rozumiała z medycznego żargonu. I tak nie byłaby w stanie się skupić, ponieważ rozpraszała ją bliska obecność Yannisa za jej plecami. Kątem oka dostrzegała jego wypłowiałe dżinsy i niemal czuła na włosach jego ciepły oddech. Rozmowa, którą prowadził z lekarzem, była dla niej tylko odległym echem. Może to przez nerwy i zmęczenie?

– Ma pani jakieś pytania, pani MacLean?

Ocknęła się i poczuła na sobie wyczekujący wzrok lekarza.

– Kiedy będzie mogła wrócić do domu? – zapytał Yannis.

– Za trzy lub cztery dni wypiszemy ją ze szpitala. Ale na razie nie wróci do domu. Będzie musiała zostać jakiś czas pod okiem lekarzy, a potem uczyć się na rehabilitację. To czasochłonny proces, który zajmie kilka tygodni.

Cat jęknęła pod nosem.

– To jej się nie spodoba – westchnął Yannis.

Lekarz pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Niestety, tak to wygląda. Jeśli pacjentka chce znowu stanąć na nogach i chodzić o własnych siłach, musi przejść pełny proces rehabilitacyjny.

– Chce, i to bardzo – zapewnił go Yannis. – To niezwykle samodzielna osoba. Mieszka na drugim piętrze, a nawet nie chce słyszeć o windzie.

Wielokrotnie jej proponował, że zainstaluje windę. Maggie zawsze odmawiała, a nawet się trochę obrażała. Nie cierpiała, gdy ktoś sugerował, że jest starą osobą, którą trzeba traktować w specjalny sposób.

Lekarz skrzywił się.

– W takim razie będzie musiała zamieszkać gdzie indziej. Rzecz jasna, tylko na jakiś czas. – Zebrał papiery z biurka, wsadził je do tekturowej teczki i podał Cat.

– Proszę, to dla pani. Jutro mam zamiar przeprowadzić rozmowę z pani babcią, żeby wiedziała, jak będzie wyglądała jej najbliższa przyszłość. Byłbym wdzięczny, gdyby państwo mogli być przy tym obecni. Przynajmniej jedno z was.

– Oczywiście – odparł Yannis.

Cat skinęła głową i wstała.

Doktor Singh uściśnął im obojgu dłoni.

– Proszę się nie martwić. To wyjątkowo, że tak powiem, dziarska starsza pani – zaśmiał się lekko. Zapewne Maggie Newell nie była potulną pacjentką. – Przede wszystkim ma rodzinę, która się o nią troszczy. To szalenie istotne. Recepcjonistka powiadomi państwa, kiedy przeniosą ją do pokoju, żebyście jej mogli złożyć wizytę. Rzecz jasna, bez dziecka. – Lekarz mrugnął okiem do Harry'ego i zmierzwił dłonią jego ciemne włoski, po czym wyszedł z pomieszczenia.

Do Cat dopiero teraz dotarły słowa chirurga.

– Nie może wrócić do domu... – wyszeptała, nie kryjąc zdenerwowania.

Oczywiście powinna była to przewidzieć. Złamane biodro to nie to samo co rozcięty palec. Tak bardzo martwiła się o dalszą przyszłość – o to, czy babcia będzie mogła mieszkać sama – że zupełnie nie zwracała sobie głowy myśleniem o tym, co będzie tuż po operacji.

– Na razie nie może – mruknął Yannis.

– Muszę ją zabrać do San Francisco – wypowiedziała na głos jedyną myśl, jaka przyszła jej do głowy.

– Dlaczego?

– Bo nie może chodzić po schodach! Nie słuchałeś tego, co mówi lekarz? –

zapytała podniesionym głosem. Była roztrzęsiona i trochę przerażona, chociaż wiedziała, że nie powinna wyładowywać się na Yannisie.

– Słuchałem uważnie – odparł powoli. – Nic nie wspomniał o konieczności przeprowadzki do San Francisco. Tutaj można bez problemu znaleźć mieszkanie na parterze.

– Za kupę forsy – odparła. Wyspa Balboa była atrakcją turystyczną, mekką urlopowiczów i letnich wczasowiczów.

– I tak płaci mi za wynajem mieszkania – przypomniał jej Yannis.

– Nie mam pojęcia, dlaczego sprzedała swój dom. To najgłupsza rzecz, jaką w życiu zrobiła! – Zgromiła wzrokiem swojego rozmówcę, choć wiedziała, że to nie jego wina. On po prostu kupił to, co jej babcia chciała sprzedać.

– Bez nerwów – powiedział spokojnym tonem, który jeszcze bardziej ją rozdrażnił. Chwyił ją za łokieć i wyprowadził z pokoju. Przeszli kilka metrów, mijając stanowisko recepcjonistki, której Yannis posłał uprzejmy uśmiech.

– Łatwo ci mówić – warknęła Cat, gdy stanęli dalej. – To nie twój problem.

– Maggie nie jest żadnym problemem – zaznaczył stanowczo. – Może zostać ze mną.

– Co?

– Do moich drzwi prowadzą dwa małe schodki. To wszystko. Chyba da sobie z nimi radę, prawda? Zamontuję poręcz, żeby było jej łatwiej. Mam też duży, wolny pokój z oddzielną łazienką. Szybko się w nim zadomowi, szczególnie że przez tyle lat tam mieszkała. To najlepsze rozwiązanie.

– Wcale nie. Babcia nie zgodzi się na... – urwała, ponieważ zdała sobie sprawę, że jej babcia prawdopodobnie będzie wolała zamieszkać u Yannisa, w swoim dawnym domu, niż przeprowadzać się do San Francisco.

– Widzisz? – uśmiechnął się triumfalnie, jakby odgadł jej tok rozumowania.

Tak, on ma rację, pomyślała rozdrażniona. Nie miała jednak zamiaru od razu się poddawać.

– Nie możemy za nią decydować. Sama musi dokonać wyboru, całkowicie świadomie, uwzględniając wszystkie za i przeciw. – Miała nadzieję, że babcia jednak wybierze San Francisco. Przeszyła Yannisa ostrym spojrzeniem i zapytała:

– Dlaczego nie powiedziałeś doktorowi, że nie jesteś moim mężem?

Wzruszył ramionami.

– Co za różnica? Chyba że doktor wpadł ci w oko...

– Oszalałeś? Jestem zaręczona!

– Tak słyszałem. Kiedy przyjeżdża twój narzeczony?

– Nie przyjeżdża.

– Dlaczego?

– Jest bardzo zapracowany.

– Ach, zapomniałem. Maggie mówiła to samo.

Zdziwiła się, że babcia opowiadała Yannisowi o Adamie.

– Co jeszcze mówiła? – zapytała z ciekawości.

– Niewiele. – Skrzywił się, gdy Harry pociągnął go za włosy. Zerknął na zegarek. – Chcesz, żebym z tobą poczekał, aż recepcjonistka da ci znać, kiedy można zobaczyć się z Maggie?

– Nie, nie musisz.

– Dobrze. Powiedz jej, że przyjechałem i że jutro ją odwiedzę. Zadzwoń też do mnie, kiedy będziesz wracała do domu. Przygotuję kolację.

– Kolację? Nie musisz...

– Wiem, że nie muszę. Wieczorem chcę trochę popracować, więc gdy wrócisz, zaopiekuj się Harrym.

Przytaknęła.

– Pocałuj ciocię na do widzenia – powiedział do chłopca.

Cat zrobiła zdziwioną minę. Harry wyciągnął do niej rączki i wyduł usta. Poczula, jak jej serce ściska wzruszenie. Uśmiechnęła się, nachyliła i przytknęła wargi do buzi chłopca. Potem pocałowała go w policzek i czubek noska. Ale to nie był koniec pocałunków. Gdy wyprostowała się, zamarła ze zdumienia, widząc nachylającego się ku niej Yannisa.

To nie był namiętny pocałunek, który ścina z nóg. Był lekki i krótki, ale na tyle szokujący, że Cat zakręciło się w głowie, a jej zmysły nagle się rozbudziły. Zanim odsunął się od niej, zacisnęła dłonie w pięści i przytknęła je do bioder, aby w przyływie ogłupiającego pożądania nie opleść go ramionami.

Na ustach Yannisa pojawił się delikatny uśmiech, a w jego oczach coś błysnęło, coś nieczytelnego, ale bardzo niepokojącego. Poczula, jak jej twarz zaczyna płonąć rumieńcem.

– Dlaczego to zrobiłeś? – ostrym tonem zażądała odpowiedzi.

Yannis skinął głową w kierunku poczekalni.

– Miała minę, jakby na to czekała.

– Kto? – Odwróciła się i zobaczyła recepcjonistkę, która, wyraźnie zawstydzona, że ich podglądała, spuściła głowę i ostentacyjnie zaczęła przeglądać jakieś papiery rozłożone na biurku. – Pocałowałeś mnie z powodu recepcjonistki?

Potrząsnął głową.

– Nie. Pocałowałem cię, ponieważ miałem na to ochotę. – Nachylił się i znowu dotknął wargami jej lekko drżących ust. Posadził sobie Harry'ego na barkach, odwrócił się i rzucił do Cat przez ramię: – Do zobaczenia na kolacji.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Chyba zwariował! Pocałował Cat MacLean... i to dwukrotnie!

Zacisnął ręce na kierownicy i potrząsnął głową, ubolewając nad swoją głupotą. Co w niego wstąpiło?

Cóż, wiedział dokładnie, co nim zawładnęło. To, co czuł zawsze, gdy znajdował się w pobliżu Cat. Już w momencie, gdy ujrzał ją przed domem Maggie z siatkami pełnymi zakupów, ogarnęło go pożądanie. A potem im więcej spędzał z nią czasu, tym bardziej jej pragnął. Było cudownie, ale Cat nagle wszystko zepsuła, zniszczyła. Po trzech najwspanialszych miesiącach w jego życiu pewnego dnia zażądała od niego odpowiedzi na pytanie: na czym stoimy? Jemu pasował tamten układ: inteligentne rozmowy, dobra zabawa i najlepszy seks, jakiego w życiu doświadczył. Lecz dla niej to było za mało. Chciała małżeństwa, dzieci, wspólnego domu, wspólnej przyszłości. Czyli, innymi słowy, życia pełnego ograniczeń, obowiązków, odpowiedzialności. Dla niej poważny związek – scementowany małżeństwem – był jednak czymś dobrym. Nadal tak uważała. Świadczył o tym przeklęty pierścionek zaręczynowy, którego widok doprowadzał go do szału.

Ale gdzie teraz podziewał się jej ukochany narzeczony? Teraz, gdy tak bardzo go potrzebowała? Był zajęty. Zapracowany. Yannisowi nie mieściło się to w głowie. Naprawdę nie mógł wziąć jednego dnia urlopu, aby trzymać Cat za rękę, gdy jej babcia przechodziła operację? Kim jest ten facet?

Znowu wrócił myślami do tego, co zrobił w szpitalu. Pocałował Cat. Zazwyczaj nie molestował zaręczonych kobiet. Ale sytuacja była wyjątkowa. Potrzebowała kogoś, kto ją pocieszy, przytuli, pocałuje... Nie jego wina, że jej narzeczony miał to wszystko gdzieś! Poza tym nadal nie potrafił się jej oprzeć. W jej obecności przyspieszał mu puls, budziło się ciało. Mózg się wyłączał, a kierować nim zaczynała inna część męskiej anatomii.

Oblizwał wargi czubkiem języka. Mógłby przysiąc, że nadal czuje na nich słodycz jej różowych, drżących ust.

Cat otarła usta wierzchem dłoni, gdy tylko Yannis wyszedł z poczekalni. Co mu strzeliło do głowy? Te pocałunki były skandaliczne. Zupełnie bezsensowne. I... piekielnie podniecające. Przeklinała go w myślach, jednocześnie nadal czując w całym ciele przyjemne wibrowanie. Całe szczęście, że po kilku minutach recepcjonistka powiadomiła ją, że może już zobaczyć się z babcią.

Cat uchyliła drzwi pokoju i stanęła w progu. Maggie Newell już od wielu lat była filigranową staruszką, ale teraz, leżąc w ogromnym, śnieżnobiałym łóżku, wyglądała na jeszcze mniejszą, tak strasznie kruchą. Miała zamknięte oczy, bezkrwiste usta i policzki prawie równie białe jak poduszka. Można by pomyśleć,

że nie żyje, gdyby na ekranie aparatury nie skakała co chwila zielona linia.

– Proszę się nie martwić. Jest w dobrym stanie – uspokoiła ją pielęgniarka, która weszła do pokoju, aby zrobić notatki na podstawie wyników wyświetlanych przez urządzenia.

– Kto jest w dobrym stanie? – rozległ się ochryply, wątkły głos.

– Babciu! – Cat przebiegła przez pomieszczenie. Ujrzała, jak podnoszą się powieki babci, a na jej ustach rozkwita leciutki uśmiech.

– A więc jeszcze żyję – mruknęła Maggie.

– Oczywiście, że żyjesz! – Cat ostrożnie ujęła jej dłoń i uniosła ją do swoich ust. Babcia zacisnęła palce na jej palcach. – Dzięki Bogu...

– Nie będziesz tak mówiła, kiedy wrócę do domu.

– Będę – zapewniła ją Cat. Pocałowała babcię w policzek, który był o wiele cieplejszy niż jej krucha ręka. Powieki staruszki powoli opadły.

Pielęgniarka spisała wyniki, a następnie zwróciła się do Cat:

– Może pani tu zostać, ale pacjentka będzie głównie spała.

Maggie raptownie otworzyła oczy.

– Nie, nie może zostać! – zaprotestowała ze zdumiewającą werwą. – Musi wracać do domu. Pomagać Yannisowi w opiece nad Harrym.

– Yannis doskonale sobie radzi beze mnie. Wpadł tu z Harrym, kiedy cię operowali.

Usta babci wygiął senny uśmiech.

– Dobry chłopiec.

Kto? Yannis czy Harry? – zastanawiała się Cat.

– Idź do domu.

Potrząsnęła głową.

– Nie. Jeszcze nie.

– Martwisz się o mnie?

– Troszeczkę – przyznała. – Ale nucę w myślach wesołą piosenkę. Jedną z tych, których mnie nauczyłaś w dzieciństwie – dodała z uśmiechem.

Babcia zaśmiała się pod nosem.

– Niedługo będziesz mi życzyć podróży na drugi koniec tęczy.

– Nigdy!

Maggie zaczęła skubać kościstymi palcami brzeg kołdry, którą była przykryta.

– Przyjdzie taki moment...

– Nie!

– Komplikuję ci życie, moje dziecko.

– Jesteś nieodłączną jego częścią – poprawiła ją Cat. – Jedną z najlepszych części mojego życia.

– To miłe, że tak myślisz... Ale zapewne zmienisz zdanie, gdy stąd wyjdę.

A właśnie. Kiedy stąd wyjdę?

– Nie wiem – odparła szczerze. – Musisz jeszcze parę dni zostać w szpitalu, a potem czeka cię rehabilitacja. Jutro rano przyjdzie porozmawiać z tobą doktor Singh.

Nie wspomniała o propozycji Yannisa. Jeszcze nie teraz. Miała nadzieję, że nigdy to nie nastąpi. Może babcia dojdzie do wniosku, że powrót do mieszkania nad garażem jest złym pomysłem i sama zasugeruje, że chciałyby zamieszkać w San Francisco, blisko swojej wnuczki.

Zabrzączał jej telefon. Zerknęła na ekran.

– To Adam – powiedziała do babci, po czym rzuciła do słuchawki: – Cześć. Dzwonisz w dobrym momencie. Babcia jest już po operacji. Czuję się dobrze.

– To świetnie. A ja rozwiązałem twój problem z sukienką.

– Co? Jak?

– Zjadłem dziś lunch z Margaritą. Pamiętasz ją, prawda?

Owszem, pamiętała. Młoda kobieta robiąca efektowną karierę w tej samej firmie co Adam. Margarita była szczupła, piękna, bystra i wyrafinowana. Cat czuła się przy niej jak kłębek kompleksów.

– Powiedziałem jej, że potrzebujesz sukienki na bal – kontynuował Adam. – Odparła, że zna świetne miejsce, gdzie można kupić elegancką sukienkę.

Znowu to słowo. „Elegancka”. Cat miała na nie już lekkie uczulenie.

– Sama kupię sobie sukienkę, Adam. Tutaj jest mnóstwo sklepów.

– Jasne, ale myślałem, że większość czasu będziesz spędzała w szpitalu. Nie chcę, żebyś zawracała sobie tym głowę. Margarita powiedziała, że z przyjemnością poszuka dla ciebie czegoś odpowiedniego.

Cat wiedziała, że babcia, choć ma zamknięte oczy, przysłuchuje się ich rozmowie.

– Sama dam sobie radę – powiedziała Cat z przekonaniem. – Ale podziękuj Margaricie za chęć pomocy.

– Jak chcesz – mruknął Adam.

– Jeśli będę miała jakieś trudności, dam ci znać.

– Dobrze – odezwał się żywszym tonem. – Jeśli do weekendu nic nie znajdziesz i nadal nie będziesz mogła wrócić do domu, przyjadę i poszukamy razem.

– Naprawdę?

Pomyślała, że obecność Adama u jej boku byłaby nie tylko miła, ale i pomocna. Nie miałyby czasu analizować tych bezsensownych pocałunków Yannisa ani swojej niepokojącej reakcji, która była w tym wszystkim najgorsza.

– Zobaczę, co się da zrobić – odparł Adam. – Jutro do ciebie zadzwonię. Pozdrów ode mnie babcię. Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Powoli odsunęła telefon od ucha, przywołując w myślach twarz swojego narzeczonego. Adam był nieprzeciętnie przystojnym mężczyzną, wysokim blondynem z gładką twarzą i regularnymi rysami. Jego uroda była bardziej klasyczna niż Yannisa, ale to właśnie mroczna, męska twarz tego drugiego wyparła z jej umysłu godne modela oblicze Adama. Może dlatego, że babcia znowu zaczęła opowiadać o Yannisie?

– To takie miłe z jego strony, że zajmuje się Harrym.

– Owszem – mruknęła Cat.

– Odkąd wprowadził się do mnie, ciągle mi w czymś pomaga. Odsprzedanie mu domu było najlepszą rzeczą, jaką mogłam na starość zrobić.

Cat chętnie polemizowałaby z tym stwierdzeniem. Zwłaszcza teraz, gdy babcia nie mogła wspinać się po schodach. Postanowiła jednak nie poruszać jeszcze tego tematu.

– Miałam nadzieję, że ty i Yannis... będziecie razem.

Babcia nigdy wcześniej o tym nie wspomniała. Cat milczała dłuższą chwilę, aż wreszcie odpowiedziała stanowczym głosem:

– Nie.

Maggie westchnęła.

– To tylko takie moje... życzenie. Nie lubisz go?

Cat przywołała na usta sztuczny uśmiech.

– Yannis jest dla ciebie bardzo dobry.

– Tak, ale pytam o to, co ty o nim myślisz.

– Yannisa nie interesują poważne związki.

– Może tylko tak mówi, a w głębi serca...

– Nie, babciu – przerwała jej poirytowanym tonem. – Życie to nie bajka. Ani nie musical.

Wzięła głęboki wdech. Niepotrzebnie się uniosła. Bała się, że uraziła babcię, ale Maggie uśmiechnęła się smutno i zacisnęła palce na jej dłoni.

– Niestety, masz rację, moje dziecko. Ale musisz przyznać, że te piosenki pomagają człowiekowi w trudnych chwilach.

– Tak, pomagają.

Ale tylko trochę i tylko czasami, pomyślała ponuro. Nie są magicznymi zaklęciami, które potrafią ulepszyć rzeczywistość. Albo odmienić drugą osobę. Nachyliła się i złożyła na policzku babci delikatny pocałunek.

– Muszę już lecieć. Yannis od rana ma na głowie Harry'ego. Teraz moja kolej.

Babcia posłała jej czuły uśmiech.

– Jesteś wspaniałą dziewczyną.

– Wiem – zaśmiała się lekko.

– Yannis też powinien to dostrzec.

– Wystarczy, że Adam to dostrzega – odparła Cat.

Maggie uniosła lekko brwi i westchnęła:

– Mam nadzieję. Mam nadzieję...

Wracała do domu zdenerwowana. Powinna była podziękować za wspólną kolację. To zbyt niebezpieczne, nawet jeśli będą siedzieli przy stole z małym, rozbrykanym chłopcem. Choć była zaręczona z Adamem, wyglądało na to, że nie jest odporna na magnetyczny urok Yannisa. Najgorsze było jednak to, że on wcale nie próbował jej znowu uwieść czy oczarować. Był po prostu sobą. Człowiekiem, w którym trzy lata temu zakochała się po uszy.

Może powinna udawać, że boli ją głowa, i dzięki temu wymigać się od wspólnego posiłku? Wziąć Harry'ego, zamknąć się w mieszkaniu babci i uraczyć się tym, co zostało w lodówce... Tak, to dobry plan. Wzięła głęboki wdech, wysiadła z samochodu, przemaszerowała przez trawnik i zapukała w drzwi kuchenne. Gdy Yannis je otworzył, Cat od razu przybrała zbolaną minę, symulując migrenę. Dopiero po chwili dostrzegła, że przed nią stoi nie Yannis, tylko jakiś inny zabójczo przystojny mężczyzna, nieco wyższy i młodszy od Yannisa. Miał mokre, czarne włosy, perłowo biały uśmiech, nagi tors i nisko wiszące na biodrach szorty, które stanowiły jedyny element jego ubioru. Zmierzył ją od stóp do głów szarozielonymi oczami i jeszcze szerzej się uśmiechnął z jawną aprobatą.

– Cat, prawda? Wejdz. Jestem Milos. Milos Savas.

Nawet gdyby nie zdradził swojego nazwiska, wiedziałyby, że jest spokrewniony z Yannisem. Podobieństwo było uderzające.

– Jestem kuzynem Yannisa – wyjaśnił, ściskając jej dłoń. Zaprowadził ją do kuchni. – Yannis przewija małego. Jesteś ciocią Harry'ego?

– Nie. To znaczy, tak. W pewnym sensie. Jego matka jest moją kuzynką. W pewnym sensie – dodała ponownie.

Milos wyszczerzył zęby w sympatycznym uśmiechu.

– Wiem, jak to jest. Nasza rodzinka to też niezła płatania. Napijesz się piwa? A może mrożonej herbaty? – Zerknął do lodówki. – Powinno być gdzieś też wino.

– Poproszę o mrożoną herbatę.

Milos napełnił jej szklankę, a sam otworzył sobie butelkę piwa.

– Masz ochotę na piwko, Yannis? – zawołał w kierunku pokoju.

Yannis, z Harrym na rękach, wkroczył do kuchni dopiero po dłuższej chwili. Pewnie wcześniej był na plaży z kuzynem, ponieważ też miał na sobie szerokie szorty, a jego włosy były lśniące i wilgotne. W przeciwieństwie do Milosa, miał na sobie podkoszulek, ale zdradzieckie, niesubordynowane serce Cat i tak zaczęło od razu bić ze zdwojoną prędkością.

– Poznałaś już Milosa – mruknął pod nosem.

– Tak. Przyszłabym po Harry'ego wcześniej, gdybym wiedziała, że masz

gościa...

– To niezapowiedziana wizyta – westchnął.

– Hej, przecież Neely zadzwoniła do ciebie i powiedziała, że przyjadę! – wtrącił Milos.

– To nie jest równoznaczne z zaproszeniem – zauważył Yannis.

Milos wzruszył ramionami. Uśmiech nie schodził z jego ust.

– Ty u mnie zawsze jesteś mile widziany.

– U ciebie? Na jakiejś wyspie koralowej poza granicami cywilizacji? Nie, dzięki.

– Nie wiesz, co tracisz.

Cat z zazdrością przysłuchiwała się tej wymianie zdań. Sama nie miała rodzeństwa ani żadnych kuzynów. Z wyjątkiem Misty, ale nigdy nie miała z nią dobrych stosunków.

– Jak się czuje Maggie? – zapytał Yannis.

– Dobrze – odparła niepewnym głosem. – Przynajmniej tak mówią lekarze. Jest bardzo blada. To dziwne, ale wydaje się mniejsza. Jakby się skurczyła.

– To pewnie dlatego, że jest teraz przykuta do łóżka. Ona zawsze się wydaje większa i silniejsza niż w rzeczywistości dzięki temu, że ma w sobie tyle energii.

– To prawda.

– Ja, niestety, jej nie znam – wtrącił Milos. – I pewnie nie poznam, bo będę tu tylko przez parę dni.

– Tylko przez parę dni – powtórzył Yannis niczym echo, a następnie westchnął rozdzierająco.

Milos zaśmiał się pełną piersią.

– Yannis jest wkurzony, bo nie lubi odwiedzin bez zapowiedzi. Na szczęście jego mama jest bardziej gościnna. Powiedziała Sebowi i Neely, czyli mojemu bratu i bratowej, że Yannis się ucieszy, kiedy do niego wpadnę przejazdem. Lecę na małą wysepkę na Oceanie Spokojnym. Czekają mnie dwa lata pracy w tamtejszej klinice.

– On jest łapiduchem – wtrącił Yannis.

– Zgoda się. Jestem lekarzem. Właśnie skończyłem staż.

Cat osłupiała. Ten chłopak jest lekarzem? Przecież wygląda na osiemnastoletniego surfera czy deskorolkowca!

– Niech ci to nie imponuje – mruknął do niej Yannis. – Jedzie tam, żeby się opalać, pływać w morzu i podrywać dziewczyny.

– Trzeba sobie jakoś umilać czas – odparł Milos, nie obrażając się. – Yannis jest zazdrosny, bo nie poszedł na medycynę.

– Zwróciłem śniadanie, kiedy w szkole rozcinaliśmy żaby. To był koniec moich marzeń o medycynie. Potrzymaj Harry'ego, muszę wyjąć steki – powiedział do Cat.

Podał jej chłopca, który zrobił niewyraźną minę. Kiedy jednak uśmiechnęła się szeroko i zaczęła do niego mówić, buzia dziecka rozpogodziła się. Harry uszczypnął ją w policzek i powiedział coś po niemowlęcemu.

– Co to znaczyło?

– Chce iść na dwór i patrzeć, jak grilluję steki – wyjaśnił Yannis. – Chodź. – Pchnął ramieniem drzwi, niosąc tackę z kawałkami mięsa i kolbami kukurydzy w stronę już rozpalonego grilla.

Mieli zjeść przy stoliku ustawionym na patiu pomiędzy domem Yannisa a garażem, nad którym znajdowało się mieszkanie Maggie. Mały ogródek był pełen kwiatków babci i przypominał Cat o wszystkich razach, kiedy bawiła się tutaj pod jej czujnym okiem. Teraz to ona bacznie pilnowała Harry'ego, który pełzał po ziemi.

– Nie! Zostaw to! – zawołała, gdy chłopiec uniósł do buzi małą gałązkę.

Podniosła go i zaczęła się z nim bawić w koci łapci, jednocześnie usilnie starając się nie zerkać na Yannisa, który stał przy grillu. Jej uwagę na szczęście odwracał Milos, wypytyując ją o pracę, robienie kukiełek z dziećmi oraz tworzenie ozdób z materiału, które sprzedawała w internecie. Yannis nie odzywał się ani słowem, ale podejrzewała, że podsłuchuje, więc celowo podkreślała, jak bardzo jest zadowolona ze swojego życia w San Francisco.

Gdy steki były już gotowe, a kukurydza ładnie się zarumieniła, Yannis przyniósł z kuchni kupioną w sklepie surówkę ziemniaczaną, a następnie przytasczył z mieszkania Maggie rozkładane krzeselko Harry'ego. Usiedli przy stole i zaczęli jeść. Yannis milczał, Milos nie przestawał mówić, Harry próbował zrzucić wszystko ze stołu, a Cat zatopiła się we wspomnieniach. Przypomniła sobie, kiedy ostatni raz siedziała w tym miejscu. Jedli wtedy kolację z babcią. Yannis usmażył na grillu łososia. Siedział naprzeciwko niej i w pewnym momencie zaczął pod stołem gładzić bosą stopą jej łydkę. Cat podskoczyła gwałtownie, a następnie oblała się wściekłym rumieńcem.

– Coś cię ugryzło? – zapytała babcia.

– N-nie. To znaczy, tak.

Yannis wyszczerzył zęby w uśmiechu i dalej rozmawiał swobodnie z Maggie, udając, że w tym samym czasie wcale nie próbuje uwieść jej wnuczki. Po posiłku babcia wróciła do swojego mieszkania, ale Cat została, aby pomóc przy sprzątnięciu ze stołu. Potem poszła z Yannisem na wieczorny spacer. Ich znajomość weszła na wyższy poziom... Teraz przyszło jej do głowy, że może byłoby lepiej, gdyby tamtego wieczoru babcia kazała jej wrócić do mieszkania. Oczywiście Maggie nigdy by tego nie zrobiła. Cat miała wówczas już dwadzieścia trzy lata, była dorosłą osobą. Nie, nie mogła winić babci za to, co się stało. Winna była tylko ona sama. Drugi raz nie popełniłaby takiego błędu. Zwłaszcza teraz, gdy była zaręczona ze wspaniałym mężczyzną.

Przerwała swoje rozmyślenia i zerknęła na Yannisa. Obserwował ją uważnie, nieco podejrzliwie. Od jak dawna na nią patrzył? Odwróciła wzrok, na wszelki wypadek schowała nogi pod krzesłem i zaczęła wypytywać Milosa o jego studia medyczne. Milos wyraźnie czerpał wielką przyjemność z faktu, że znalazł się w centrum jej zainteresowania. Widocznie lubił skupiać na sobie uwagę kobiet i ani razu nie zaprosił do rozmowy Yannisa.

Słońce powoli chowało się za horyzontem. Ogród znajdował się już teraz całkowicie w cieniu, który zakrywał również twarz Yannisa. Mimo to Cat czuła na sobie jego spojrzenie. Ilekroć jednak zerkała w jego stronę, on natychmiast zaczynał robić zabawne miny do Harry'ego albo karmić chłopca owocami z puszki. Wreszcie doszła do wniosku, że zmysły ją oszukały – wcale na nią nie patrzył. Nie był nią zainteresowany. Nic dziwnego, przecież pamiętał, dlaczego się rozstali. Wiedział, że nie są do siebie dopasowani.

Musnęła kciukiem swój pierścionek zaręczynowy. Tak, znalazła już odpowiedniego mężczyznę. Po co zawracać sobie głowę Yannisem?

– Ładna rzecz – powiedział Milos, wpatrując się w pierścionek. – Prezent?

Opowiedziała mu o Adamie. Wiedząc, że Yannis słyszy każde jej słowo, wyraźnie dała do zrozumienia, że jest zakochana w swoim narzeczonym.

– Ale nie ma go tu z tobą? – zapytał Milos.

Wskazała dłonią na swoje serce.

– Jest tu ze mną – odparła z powagą.

– W takim razie może z nami pójść. Nie mam nic przeciwko.

– Słucham?

– Pomyślałem, że moglibyśmy pójść się czegoś napić. Na tej wyspie istnieje chyba jakieś życie nocne, co?

Spojrzał na Yannisa, który wzruszył ramionami. Milos wstał i wyciągnął do Cat rękę.

– Chodź. Nie mogę pójść sam. Musisz mnie obronić przed wszystkimi pięknymi singielkami, które na mnie tutaj czyhają – zażartował. – Yannis zajmie się dzieciakiem.

– Dziękuję, ale teraz moja kolej. Yannis cały dzień miał na głowie Harry'ego.

– To dobrze. On jest świetną niańką. Wiem, co mówię, bo kiedyś mnie niańczył.

– Jak widać, nadal to robię – mruknął Yannis.

Milos zaśmiał się pod nosem, ale nie odrywał wzroku od Cat.

– Jesteś pewna, że nie skorzystasz z zaproszenia?

– Przykro mi. Ale dziękuję.

– Szkoda – westchnął i zaczął sprzątać ze stołu.

Cat również wstała.

– Dziękuję za kolację. Muszę zapakować Harry'ego do łóżka, ale najpierw pomogę posprzątać. – To były pierwsze słowa, które od rozpoczęcia kolacji wypowiedziała do Yannisa.

Przez dłuższą chwilę patrzył na nią w milczeniu, aż wreszcie się odezwał:

– Zostaw to. Harry jest śpiący. Najpierw doprowadzę go do porządku. – Chłopiec miał buzię i rączki umazane jedzeniem. Yannis wziął ze stołu mokrą chusteczkę i dokładnie wytarł nią chłopca. – Do zobaczenia jutro, kolego. – Oddał go Cat i mruknął do niej chłodnym tonem: – Dobranoc.

Nie mógł dosadniej dać jej do zrozumienia, że nie życzy sobie już jej towarzystwa.

– Dobranoc. Dziękuję za posiłek – rzuciła uprzejmie.

Ruszyła szybkim krokiem do mieszkania nad garażem. Po chwili usłyszała, jak Yannis mówi do kuzyna:

– Możemy wpaść do baru Los Amigos, jeśli masz ochotę na damskie towarzystwo.

Choć do weekendu było daleko, w barze panował tłok i zgiełk. Milos ruszył w stronę baru, rzucając przez ramię:

– Lecę po piwka.

Yannis oparł się o ścianę i wbił ręce w kieszenie dzinsów. Kiedy sprowadził się na wyspę, prawie każdy wieczór spędzał w takich lokalach. Teraz omiótł wzrokiem przyciemnione wnętrza wypełnione wystrojonymi, wymalowanymi dziewczynami i kobietami oraz facetami, którzy tu wpadli, licząc na jakąś ciekawą znajomość. Yannis skrzywił się z lekkim niesmakiem. Poczł się staro. Wolałby w tej chwili siedzieć w swoim warsztacie. Patrzył, jak Milos, trzymając już w obu rękach dwie butelki z piwem, zatrzymał się na środku sali, rozmawiając z jakąś ładną dziewczyną o wyglądzie licealistki. Yannis zacisnął zęby. Nie miał nic przeciwko temu, żeby jego kuzyn poderwał tę dziewczynę. Niech robi, co chce. Był natomiast wściekły, że Milos w ogóle do niego przyjechał. Wszyscy członkowie jego rodziny żyli w przekonaniu, że w każdej chwili mogą złożyć mu wizytę i skorzystać z jego domu niczym z hotelu. Właśnie dlatego Yannis czasami miał dość swojej rodziny.

Poza tym miał inne plany na dzisiejszy wieczór.

Zamierzał zjeść kolację z Cat. Owszem, zjedli wspólnie kolację, ale nie tak to sobie wyobrażał. Cały czas, do diabła, rozmawiała z Milosem, który najpierw z nią flirtował, a potem zaprosił na wspólny wypad do klubu czy baru. Yannis miał ochotę przeskoczyć przez stół i chwycić kuzyna za gardło. Dlaczego? Nie chciał o tym myśleć. Na szczęście udało mu się nie ulec temu impulsowi. Przede wszystkim jednak dziwił się Cat, że tolerowała zaloty Milosa. Przecież była zaręczona. Ale może wcale nie jest zakochana? Twierdziła, że Adam jest miłością jej życia i chce z nim założyć rodzinę. I ciągle wymachiwała tym przeklętym

pierścionkiem!

Milos nadal stał i rozmawiał z młodziutką blondynką. Dał jej nawet jedno z piw, które kupił w barze. Coś otarło się o ramię Yannisa. Odwrócił głowę i ujrzał uśmiechającą się do niego efektowną brunetkę. Zatrzepotała rzęsami i powiedziała:

– Cześć. Jestem Marnie. Dobrze się bawisz?

– Średnio – mruknął.

– Ja też. – Podeszła do niego bliżej, ocierając się o niego biustem. – Chodźmy stąd w jakieś ciekawsze miejsce.

Spojrzał w jej uwodzicielskie, błękitne oczy, które nie wywołały w nim żadnej reakcji. Wiedział, że żadna z kobiet obecnych w tym lokalu nie wznieci w nim choćby najmniejszej iskry. Zerknął na zegarek.

– Dziękuję, ale muszę lecieć – rzucił przez ramię i ruszył do wyjścia. Nie martwił się o Milosa. Wiedział, że da sobie radę.

Wybrał okrężną drogę do domu, by przespacerować się wzdłuż wybrzeża. Tu, z dala od buzującego życiem centrum, było pusto i cicho. Słyszał, jak fale uderzają o piaszczystą plażę, a wysoko ponad jego głowę leci samolot, przecinając ciemne, lecz bezchmurne niebo. Wiele razy spacerował tą drogą z wieloma kobietami, ale dzisiaj pamiętał tylko o jednej. O Cat, z którą kiedyś sypiał w jednym łóżku, opalał się na plaży, leżał na sofie, czytając wspólnie gazety, rozmawiał na wszystkie możliwe tematy, śmiał się i... był szczęśliwy. A przynajmniej tak mu się wydawało, co na jedno wychodzi. W tej chwili jednak tęsknił za obecną Cat – kobietą, która tak strasznie martwiła się o swoją babcię, trzymała w rękach Harry'ego, jakby był bombą, której nie umie rozbroić, i nadal miała w sobie to coś, co sprawia, że wszystkie inne kobiety, nawet te piękne, wydają się przy niej przeciętne i nieciekawe.

Obszedł całą wyspę. Dwukrotnie. Dopiero późnym wieczorem wrócił do domu i zaszył się w warsztacie, gdzie rozbierał i odnawiał przeszklony regał na książki. Usiłował zatracić się w pracy, wyłączyć przegrzany mózg, ale jego myśli uparcie krążyły wokół Cat. Robota mu nie szła. Po kwadransie wstał, otarł pot z czoła, zdjął rękawice i poszedł do łóżka, ale sen nie chciał na niego spłynąć. Widział światła palące się w mieszkaniu nad garażem. Próbował nie myśleć o znajdującej się tam kobiecie. Powtarzał sobie, że przecież oboje chcą czegoś zupełnie innego. Z drugiej strony, jak udowodniła mu wizyta w barze, nie miał ochoty na żadną inną kobietę. Minęła północ, a potem pierwsza i druga w nocy. Wciąż nie spał, gdy ktoś zapukał do drzwi kuchennych. Pewnie Milos zapomniał klucza. Albo go po pijaku zgubił.

Przeklinając pod nosem, Yannis zwałókł się z łóżka i poczłapał do drzwi. Uchylił je i zrobił zdziwioną minę.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam – wydukała Cat z ponurą miną.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Co się stało? Gdzie jest Harry?

Cat stała zgarbiona, obejmując się ramionami. Miała potargane włosy, a piegi na jej bladej twarzy wyglądały jak narysowane czarną kredką. Potrząsnęła głową.

– On nie chce przestać płakać...

Miała minę, jakby sama zaraz miała się załamać i zalać łzami. Yannis odetchnął jednak z ulgą. Nie chodziło o nic poważnego.

– Przystanie – pocieszył ją, ale wiedział, że opieka nad Harrym to nie bułka z masłem. Wczoraj w nocy Harry jego też niemalże doprowadził na skraj załamania nerwowego.

– Próbowałam wszystkiego – powiedziała bezradnie. – Dawałam mu butelkę, karmiłam, nosiłam po pokoju, kołysałam, klepałam po plecach, śpiewałam... A on dalej krzyczy i krzyczy!

– Płacze, odkąd zabrałaś go ze sobą? – zapytał zaniepokojony.

– Nie. Zaczął dopiero wtedy, gdy go położyłam. Nie patrz tak na mnie – jęknęła. – Ja nic nie zrobiłam!

Tak, wiedział, że to nie jej wina. I wcale nie dlatego teraz tak intensywnie się w nią wpatrywał. Tym razem nie miała na sobie jedynie T-shirtu, pod którym rysowałyby się nagie piersi, tylko była ubrana w sweter i szorty, ale i tak musiał zacisnąć palce w pięści, by nie chwycić jej gwałtownie, nie przyciągnąć do siebie i nie pocałować bez pytania. Może chodziło o jej kruchość, o desperację malującą się na jej twarzy. A może zdał sobie sprawę, jak bardzo za nią tęsknił – za tym uczuciem, które go ogarniało, gdy trzymał ją w ramionach. Gdy ją całował i jej dotykał. Kiedy się z nią kochał...

Poczuł, jak wzbiera w nim drapieżne pożądanie.

– Wracaj do mieszkania. Przyjdę za minutę.

Uśmiechnęła się do niego blado, ale z wdzięcznością, podziękowała i odeszła. Yannis wrócił do sypialni, zarzucił na siebie sweter i wskoczył w dżinsy. Był marzec; może chłodna temperatura ostudzi jego nagle rozbudzone w środku nocy libido? A może jak kubeł zimnej wody podziiała na niego świadomość, że ma do czynienia z Cat – kobietą, która chce miłości, dzieci, rodziny? Nie, nawet to go nie ostudziło. Widocznie ciało zagłuszało umysł i przyćmiewało zdrowy rozsądek.

Zbliżając się do garażu, już usłyszał płacz Harry'ego. To był ten sam przeraźliwy odgłos, który ubiegłej nocy prawie wywiercił mu dziury w głowie. Wbiegł po schodach i pchnął drzwi, które Cat zostawiła uchylone. Chodziła w tę i z powrotem po salonie, trzymając w rękach histerycznie szlochającego chłopca. Jak na małe dziecko, jest wyposażony w potężne płuca, pomyślał Yannis

z pewnym podziwem.

Harry otworzył oczka, ujrzał Yannisa stojącego w progu, i zaległa nagła, błoga cisza.

– No, świetnie – odezwała się Cat głosem, w którym mieszała się ogromna ulga z lekką zazdrością. – Wystarczy, że na ciebie spojrzę, i od razu mu przechodzi.

Yannis miał już wyszczerzyć zęby w triumfalnym uśmiechu, lecz Harry po chwili wykrzywił buzię i znowu wydał z siebie głośny lament.

– Kiedy to się zaczęło?

– Najpierw go wykapałam i przeczytałam kilka bajek. Próbował gryźć kartki, ale jakoś się udało. Potem dałam mu butelkę i zasnął. Myślałam, że wszystko jest w porządku. I było – zaznaczyła dobitnie. – Ale mniej więcej godzinę później obudził się i zaczął najpierw się krzywić, a potem krzyczeć. Tak jak teraz.

– Wczoraj też to robił.

– Nie płakał, kiedy cię obudziłam. Spał na tobie.

– Tak, położyłem go na sobie i usnął po kilku minutach.

– Myślisz, że to mu pomogło?

Yannis wzruszył ramionami.

– Kto wie?

– To istnieje możliwość, że jeśli zrobię to samo, Harry przestanie płakać?

Oczami wyobraźni ujrzał to, o czym mówiła. Widok Cat leżącej w łóżku rozпалиłby go do czerwoności. Już teraz poczuł przyływ pożądania, którego nie umiał opanować.

– Ja spróbuję – mruknął i wyrwał chłopca z jej uścisku. – Cicho, cicho, wszystko w porządku – szeptał do niego, kołysząc nim łagodnie.

Harry spojrział w twarz Yannisa z wyraźnym zaskoczeniem. Dopiero po chwili go poznał, a następnie chwycił go za rękę i zaczął gryźć jego kciuk. Yannis jęknął pod nosem i odsunął dłoń, ale twarz chłopca cała zmarszczyła się jak rodzyńka i znowu zaczął głośno lamentować. Yannis oddał mu swój kciuk. Płacz znowu ustał.

Olśniło go.

– On ząbkuje. – Doszedł do wniosku, że wczoraj w nocy Harry też ząbkował. Dlaczego wcześniej na to nie wpadł? Zapytał Cat: – Maggie trzyma w domu brandy?

– Chcesz się napić? Teraz?

– To nie dla mnie, tylko dla niego.

Ten berbec ma nie tylko mocne płuca, ale i ostre zęby, pomyślał, gdy Harry znowu ugryzł go w kciuk.

– Nie możesz dawać dziecku brandy! – zaprotestowała Cat, patrząc na niego, jakby postradał zmysły.

– Przecież nie chcę go upijać – sprostował. – Mama wcierała dzieciom kilka kropel alkoholu w dziąsła. W ramach znieczulenia.

– Misty by nas za to zabiła...

– W takim razie niech się tutaj teleportuje i uspokoi swoje dziecko – warknął Yannis, poirytowany na samą myśl o matce dziecka. – Co z tą brandy?

Cat poszła do kuchni, zaczęła przeszukiwać szafki, aż w końcu wróciła, niosąc małą, ciemną buteleczkę.

– Co to jest?

– Wyciąg z wanilii. Domowa mikstura z małą domieszką alkoholu. – Odkręciła korek. – Mam nadzieję, że zadziała.

Yannis miał już całkowitą pewność, że Harry ząbkuje, ponieważ gdy wyjął kciuk z jego buzi, mały natychmiast zaczął wyć. Kazał Cat przelać trochę mikstury do miseczki, a następnie zanurzył w niej palec, uniósł go do buzi Harry'ego i zaczął wcierać kropelki w jego obolałe dziąsła. Mały wytrzeszczył oczka, czknął dwa razy, a potem zaczął ssać kciuk Yannisa, już nie używając ząbków.

– Lepiej? – zapytał łagodnym głosem.

Harry głośno pociągnął nosem, przytulił się do niego i położył główkę na jego ramieniu. Yannis zaczął spacerować po mieszkaniu, nie wyjmując palca z buzi chłopca. Po paru minutach Cat zauważyła ledwie słyszalnym szeptem:

– Zamyka oczka. Może zaraz zaśnie?

– Miejmy nadzieję.

Rzeczywiście, kilka chwil później chłopiec usnął.

– Dziękuję – wyszeptła Cat.

– To był twój pomysł z tą waniliową mieszanką.

– Tak, ale brandy pewnie też by podziałało. Bałam się tylko, że gdyby Misty się dowiedziała...

– Misty tu nie ma. Porzuciła swoje dziecko, więc nie ma prawa zgłaszać pretensji.

– To prawda. Ale ona zawsze...

Nie dokończyła. Yannis patrzył na nią wyczekująco. Potrząsnęła głową.

– Misty zawsze mnie nie cierpiała. Była wściekła, kiedy zamieszkałam z babcią i Walterem. Chociaż sama miała rodziców, a moi nie żyli, zawsze była... nie wiem, jakby trochę zazdrosna? Zawsze chciała tego, co ja miałam. Na przykład cie... – W porę ugryzła się w język.

Yannis uniósł brwi.

– Na przykład mnie?

Przytaknęła niechętnie, spuszczaając głowę.

– Nigdy nie byłem nią zainteresowany – odparł szczerze. Pamiętał jednak, że Misty rzeczywiście próbowała go podrywać, a on jej na to z uprzejmości pozwalał, choć nie darzył tej dziewczyny żadną sympatią.

– To już bez znaczenia. Prawda? – odezwała się Cat beznamiętnym tonem, ale w jej oczach dostrzegł pretensję, urazę.

Westchnął ciężko.

– Nie chciałem cię zranić.

– Wiem – odparła ostrym tonem. – Po prostu powiedziałeś mi prawdę. Nie interesuje cię małżeństwo, dzieci i inne głupoty, o których marzy większość kobiet. Rozumiem. Akceptuję to. Zamknęłam ten rozdział. – Uniosła dłoń, na której błyszczał jej pierścionek zaręczynowy.

Yannis zacisnął zęby.

– Skoro Harry wreszcie zasnął, możemy go położyć do łóżka – zasugerowała równie zmęczonym, co rozdrażnionym tonem. Yannis znowu miał ochotę zamknąć ją w swoich ramionach, ale trzymał na rękach Harry'ego.

– Oczywiście – bąknął.

– Dziękuję.

Otworzyła drzwi, aby Yannis mógł położyć chłopca w kołysce. Kiedy to uczynił, odwrócił się i spojrzał na łóżko Maggie. Pościel była skotłowana i pozwijana po tym, jak Cat nie mogła zasnąć, gdy Harry nie chciał przestać płakać. Wpatrywał się w prześcieradło i kołdrę, zalewany falami wspomnień. Tak często zostawiali łóżko w podobnym stanie po wspólnym, wspaniałym seksie. Pamiętał, jak wiła się pod nim, wbijała paznokcie w jego plecy, szczytowała razem z nim. Pamiętał, jak leżała wtulona w niego, zasłaniając swoimi gęstymi włosami jego twarz. Zawsze uwielbiał jej włosy. Sprawiały wrażenie, że są oddzielną istotą. Wiecznie poruszały się, falowały i pachniały świeżym powietrzem i cynamonem. Uwielbiał zanurzać w nich dłonie, oplatać je wokół swoich palców. Czasami robił to w środku nocy, po czym budził Cat pocałunkami i pieszczotami. Czasami to ona go budziła, całując jego ucho, brodę, dotykając dłońmi ciała, spragniona kolejnego uniesienia...

Boże, prawie jęknął, przypominając sobie tamte chwile. Zerknął na nią. Gromiła go wzrokiem.

– Nawet o tym nie myśl – wycodziła przez zęby ze wściekłą miną.

Skąd wiedziała, o czym myślał? Widocznie sama też o tym myślała. A to oznacza, że wcale nie wyrzuciła go jeszcze ze swojej pamięci, jej ciało o niczym nie zapomniało. Ale była zaręczona. Miała poślubić innego mężczyznę. Jakiegoś faceta, który wolał siedzieć teraz w robocie niż być razem z nią.

Przemaszerowała do drzwi i otworzyła je na oścież.

– Dziękuję – rzekła sztywno. – I dobranoc.

Nie potrafił ukryć zaskoczenia. Liczył przynajmniej na kieliszek wina, krótką pogawędkę na sofie. Dostrzegwał w niej jednak jawną wrogość. Była wściekła... na niego, a może na siebie? Tak, na pewno przed chwilą poczuła to samo co on. To przyciąganie. Pożądanie. Rzadko spotykaną chemię.

W przeciwnym razie nie chciałyby jak najprędzej wyrzucić go za drzwi!

Ruszył przed siebie wolnym krokiem, nie odrywając wzroku od Cat, aż wreszcie zatrzymał się tuż przy niej, tak blisko, że gdyby się odrobinę nachylił, dotknąłby wargami jej ust. Zauważył, jak na jej policzki wypływa rumieniec, a piersi zakryte bawełnianą bluzką falują w górę i w dół wraz z każdym przyspieszonym oddechem.

– Dobranoc – powtórzyła, tym razem przez zaciśnięte zęby. Nie patrzyła na niego. Wbiła wzrok w ścianę za jego plecami.

– Jeszcze nie – odparł cicho.

Uniosła głowę. O to mu chodziło. Miała zdumioną minę.

– Co masz na myśli?

– Należy mi się jakaś nagroda.

– Masz ochotę na... łyżeczkę wyciągu z wanilii?

Uśmiechnął się i powoli pokręcił głową, a potem nachylił się i wyszeptał:

– Nie. Mam ochotę na to.

Zanim zdążyła zaprotestować, pocałował ją w usta.

Gdy pocałował ją w szpitalu, zrobił to spontanicznie, ulegając nagłemu impulsowi. To był tylko test. Krótki, delikatny pocałunek, jak muśnięcie skrzydła motyla, które wywołało huragan w jego wnętrzu. Obudziło wszystkie wspomnienia, które dręczyły go cały dzień i cały wieczór.

Marzył o tym, aby znowu ją pocałować.

I to właśnie zrobił, już nie w ramach eksperymentu, nie w afekcie, tylko z czystą premedytacją. Zachłysnął się jej słodyczą. Zastanawiał się, czy Cat zaciśnie usta i odtrąci go, ale na szczęście tego nie uczyniła. Rozchyliła usta. Usłyszał, jak oddech zamiera jej w piersi i zauważył, że przechodzi ją lekki dreszcz. Już po chwili stała jednak w całkowitym bezruchu. Objął ją. Była jak sparaliżowana, skamieniała.

– Cat?

Przymknęła powieki, a gdy po dłuższej chwili je podniosła, jej oczy były zimne. Patrzyła mu prosto w twarz, nawet nie mrugając. Uwolniła się z jego objęć i mruknęła beznamiętnie:

– Chyba wystarczy.

– Cat...

– Dobranoc, Yannis.

W jej stanowczym, lodowatym głosie usłyszał lekkie drżenie. Czyli wcale nie była aż tak obojętna, jak chciała, żeby sobie pomyślał. Poczł odrobinę satysfakcji, która odbiła się na jego ustach triumfalnym uśmiechem.

– Spij dobrze, Cat.

Wiedziała, że to jedyne wyjście.

– Tak, to pilna sprawa – rzuciła do słuchawki. Pierwszy raz w życiu prosiła

Adama, żeby choć przez chwilę była dla niego ważniejsza niż jego praca. – Sam powiedziałeś, że przyjedziesz w weekend.

Adam wydawał się zaskoczony.

– Ciągłe powtarzałaś, że sama dasz sobie radę i znajdziesz sukienkę.

– Tak, ale uświadomiłam sobie, że to jest bardzo ważna sprawa. Dla ciebie. I... dla mnie. Potrzebuję więc twojej opinii. – To była prawda, ale bardziej niż jego opinii potrzebowała jego obecności. Po tym, co się wydarzyło ubiegłej nocy, wpadła w lekką panikę. Pocałunek Yannisa zupełnie wyprowadził ją z równowagi. Chciała znowu skupić się na tym, co w jej życiu jest ważne. Na narzeczonym. Na ich wspólnej przyszłości. Na dzieciach, o których marzyła.

– Tęsknię za tobą – wyszeptała do Adama. – Bardzo.

Nagle poczuła w ustach gorzki smak kłamstwa. Może wcale nie tęskniła za nim tak bardzo jak powinna? Nie, wolała teraz tego nie analizować. Nie była w stanie trzeźwo myśleć. Dziękowała tylko Bogu, że wczoraj nie odwzajemniła pocałunku Yannisa. Ale dlaczego mu na to w ogóle pozwoliła? Kiedy kilka chwil wcześniej ich spojrzenia spotkały się nad niezasałanym łóżkiem, nie umiała obronić się przed falą wspomnień, która ją zalała. A gdy stanął tak blisko niej, że wdychała jego zapach i widziała każdy włos na jego nieogolonej twarzy, wszystkie jej nerwy zawibrowały. Umierała ze strachu. Nie przed nim, tylko przed tym, co mogłoby się między nimi wydarzyć...

Ale to na szczęście nigdy się nie wydarzy, pocieszyła się w myślach i skupiła na głosie Adama w słuchawce.

– Loomis zaprosił mnie na partyjkę golfa w sobotę. To ważne – podkreślił. – Oczywiście nie golf, tylko wejście głębiej w to towarzystwo. Tata od zawsze mi to powtarzał. – Jego ojciec również był bankierem. – Wiesz, że moja praca...

– Tak, wiem – przerwała mu Cat, usiłując ukryć swoją irytację.

Adam widocznie wyczuł jej rozdrażnienie, ponieważ natychmiast dodał:

– Wcale nie mówię, że nie przyjadę! Ja też za tobą tęsknię, kochanie. Po prostu nie mogę przylecieć jutro od razu po pracy.

– W takim razie przyleć po spotkaniu z Loomisem.

– Potem idę z nim na lunch.

– To po lunchu.

– Nie wiem, o której skończymy.

– Czy nie możesz po prostu... – urwała, ponieważ poczuła, że przekracza pewną granicę. Z drugiej strony bała się, że jeśli Adam nie przyjedzie, może wydarzyć się coś strasznego. Już się zresztą wydarzyło. W momencie gdy znowu, po tak długiej przerwie, ujrzała Yannisa, coś się w niej obudziło, odrodziło. Cały wczorajszy dzień udawało jej się panować nad tymi wskrzeszonymi uczuciami i myślami. Ignorowała je albo tamowała. Gdy Harry obudził ją w nocy, długo się wahała, zanim zwróciła się o pomoc do Yannisa. Spodziewała się zresztą, że gdy

otworzy jej drzwi, zaraz z sypialni zacznie go niecierpliwie przywoływać jakaś kobieta. Właściwie wolałaby, żeby tak się właśnie stało. Może wtedy by jej przeszło. A tak... cóż, jeszcze głębiej w to wpadła. Problem polegał na tym, że Yannis tak wspaniale zajmował się Harrym; robił wszystko to, co powinien robić jako ojciec jej dzieci, tak jak kiedyś to sobie wyobrażała.

Ale przecież on ani odrobinę się nie zmienił. Nie kochał jej. Co najwyżej znowu miał na nią ochotę. Ubiegłej nocy zaciągnąłby ją do łóżka, gdyby wyraziła na to zgodę. Była tego pewna. A ona znowu by się w nim zakochała jak idiotka. Zakochała w mężczyźnie, który nie chciał tego, czego ona chciała, nie mógł jej dać tego, czego potrzebowała.

– W porządku – powiedział Adam, przerywając ciszę, która zdawała się trwać całe wieki. – Zarezerwuję lot na sobotnie popołudnie. Wytrzymasz?

– Spróbuję.

– Zobaczysz, będzie fajnie! – zapalił się nagle. – Znajdziemy ci sukienkę. Pójdziemy na kolację. W jakieś romantyczne miejsce. Gdzieś, gdzie na stolikach palą się świece i...

– Nie zapominaj, że będziemy się opiekować Harrym.

– Co? A tak, Harry. – Jego ton się zmienił. Nie brzmiał już tak entuzjastycznie. – No cóż, coś wymyślimy. Może sąsiad twojej babci go przypilnuje?

– Yannis?

– Tak. Już wcześniej chyba pomagał, prawda?

Przytaknęła, ale tak naprawdę chciała czegoś innego. Chciała, aby spędzili ten czas właśnie we trójkę: ona, Adam i Harry. Dzięki temu miałyby przedsmak tego, co czeka ich w przyszłości. Miała nadzieję, że niedalekiej...

Gdy zeszła na dół, niosąc Harry'ego, Yannis siedział na patiu, czyszcząc jakiś kawałek starego drewna. Choć był marzec i nadal było chłodno, nie miał na sobie koszuli.

– Dzień dobry – powitała go, próbując nie patrzeć na jego umięśnione plecy. Nie zatrzymała się, aby zamienić z nim choćby kilka słów.

Yannis wyprostował się i odgarnął z czoła ciemne, wilgotne od potu włosy. Odstawił drewno, opierając je o ścianę, po czym ruszył w jej stronę, wyciągając rękę do Harry'ego.

– Jedziesz do szpitala?

– Tak – potwierdziła. Chłopiec również wyciągał ku niemu rączki, ale Cat nie wypuszczała go z ramion. – Miłego dnia.

Yannis zmarszczył czoło.

– A co z Harrym?

– Moja dawna koleżanka z liceum zgodziła się go popilnować. – Odwróciła się do garażu i ruszyła do przodu.

– Co? Nie! To zły pomysł – zaprotestował, dopadając ją przy drzwiach.

Poczuła na karku jego oddech. Rzuciła przez ramię:

– Claire ma dzieci. Harry będzie się z nimi bawił.

– Ale on nie zna tych ludzi!

– Mnie też jeszcze wczoraj nie znał – zauważyła przytomnie. – Zresztą ciebie również nie – dodała.

– Ale już mnie zna – odparł i wyrwał jej chłopca, który wtulił się w niego z radosną miną. – I chyba całkiem mnie lubi. Płakał jeszcze w nocy?

– Nie. To znaczy, tylko raz. Bardzo krótko. Udało mi się go uspokoić.

Harry podskakiwał w ramionach Yannisa i ciągnął go za policzki swoimi pulchnymi rączkami. Yannis zmarszczył nos i ugryzł go leciutko w paluszek. Chłopiec wesoło zachichotał. Cat miała gniewną minę.

– Dziecko potrzebuje stabilizacji – rzekł Yannis. – Nie możemy oddawać go jakiegś nowoj, obcej osobie.

Ton jego głosu sugerował, że lepiej z nim nie dyskutować. Cat nie znała go od tej strony. Nie wiedziała o istnieniu takiego Yannisa: tak opiekuńczego, dbającego o dobro dziecka... które nawet nie jest jego dzieckiem. Musiała przyznać, że to ją rozczulało. Poczuła, jak ulatuje z niej złość.

– Chcesz znowu z nim zostać? – zapytała.

– Myślałem o tym, żeby pojechać razem z tobą.

– Do szpitala?

– Tak.

Omiotła wzrokiem jego nagi tors.

– W takim stroju?

Uśmiechnął się zniewalająco.

– Daj mi pięć minut – rzucił przez ramię, maszerując w stronę swojego domu z Harrym na rękach.

– Oddaj mi go! – zawołała za nim Cat, ale nie zatrzymał się.

Miała ochotę odwrócić się, wsiaść do auta i pojechać do szpitala bez niego. Ale została. Po paru minutach Yannis wyłonił się z domu. Miał na sobie dżinsy i błękitną koszulę rozpiętą pod szyją i z podwiniętymi rękawami. Harry siedział mu na barana. Choć nie było między nimi żadnego podobieństwa, z wyjątkiem ciemnych włosów, widoczna była jakaś więź, dzięki której Cat miała wrażenie, że patrzy na ojca i synka.

– Jesteśmy gotowi – powiedział.

– A może Milos chce pojechać z nami? – zapytała z nadzieją, choć wiedziała, że szanse są niewielkie. W obecności kuzyna Yannis na pewno by jej nie pocałował. A bała się, że znowu to zrobi.

– Milos późno wrócił do domu – odparł Yannis z wiele mówiącym uśmiechem. – Pewnie obudzi się z potężnym kacem. Ma za swoje.

Przez całą drogę do szpitala rozmawiali. Cat co chwila się śmiała. Yannis zawsze potrafił ją rozbawić jak nikt inny. Nic a nic się nie zmienił. Nadal był zabawnym, czarującym i zabójczo przystojnym mężczyzną, w którym kiedyś się zakochała. Na dodatek okazało się, że ma wrodzony talent do opieki nad dziećmi... Jęknęła w duchu. Wiedziała, że nie może mu ulec. Musi się bronić. Nie miała jednak pojęcia, jak to robić, zwłaszcza że wcale z nią nie flirtował. Nie próbował jej uwodzić. Był po prostu sobą: wspaniałym mężczyzną, doskonałym kompanem i świetnym rozmówcą. Pytał o jej pracę bibliotekarki. Opisywała mu, jak opowiada dzieciom bajki i prowadzi z nimi nietypowe zajęcia.

– Dzieci przynoszą z domu materiały i robią z nich kukielki. To niesamowite uczucie patrzeć, jak ze starych skrawków tworzą coś nowego, oryginalnego, jakby je ponownie przywracały do życia.

Myślała, że Yannis zaraz jej przerwie, znudzony opowieścią, ale słuchał uważnie, aż w końcu powiedział:

– Ja robię coś podobnego.

– Jak to? – zdziwiła się.

– Robicie ze starymi materiałami to, co ja robię z drewnem.

Już wiedziała, co ma na myśli. Mimo że głównym źródłem dochodów Yannisa był import i eksport drewna, kochał pracować w drewnie. Czasami sam tworzył nowe meble, ale częściej odnawiał stare, zniszczone, na nowo odkrywając ich piękno.

– Przywracasz je do życia – zgodziła się.

– Obecnie pracuję nad holenderską komodą z siedemnastego wieku. Rozbieram ją kawałek po kawałku, odnawiam, i ponownie składam, aby przywrócić jej... duszę.

Wiatr wpadający przez uchyloną szybę targał jego ciemnymi, gęstymi włosami. Cat nie mogła oderwać od niego wzroku.

– To nad nią pracowałeś, kiedy zeszałam na dół? – zapytała.

Skinał głową.

– Komoda należy do rodziny mojej bratowej, Sophy, żony George'a. Ma prawie czterysta lat.

– Nie bałeś się rozbierać takiego zabytku?

– To dla mnie zaszczyt – odparł z powagą. – Poza tym była w fatalnym stanie, prawie się przewracała. Ktoś musiał ją uratować. Ocalić przez bandę dzieciaków z piekła rodem.

– Są aż tak niegrzeczne?

– Na razie Sophy i George mają tylko jedno dziecko, córeczkę Lily. Ale w drodze jest chłopak. Pewnie na tym nie poprzestaną – westchnął, kręcąc głową.

– Im więcej, tym lepiej. I weselej.

– Skoro tak twierdzisz – odparł, wyraźnie się z nią nie zgadzając.

Robił w życiu głupsze rzeczy.

Jako dziesięcioletni chłopiec zjechał na rowerze z dachu jednopiętrowego domu, łamiąc sobie obie ręce. W wieku siedemnastu lat, mając na sobie jedynie slipki do kąpieli, wszedł w krzewy trującego bluszczu, żeby wyciągnąć piłkę, a potem przez dwa tygodnie wyglądał jak statysta z krwawego horroru. Rok później zaprosił piękną Lucy Gaines na bal szkolny, zapominając, że wcześniej obiecał to swojej mniej urodziwej koleżance, typowej chłopczycy Raquel Vilas, która obraziła się na niego i zerwała znajomość. Lucy ostatecznie poszła na bal z innym chłopakiem. Yannis został w domu.

To, co zrobił dzisiaj, uplasowałoby się jednak wysoko na liście jego głupich czynów. Co mu strzeliło do głowy, żeby pojechać z Cat do szpitala? Był na siebie zły, ale nie dlatego, że przebywanie z nią było katogą. Przeciwnie, było przyjemne. Zbyt przyjemne. Dzięki luźnej pogawędce w drodze do szpitala przypomniał sobie, jak wiele rzadkich zalet posiada Catriona MacLean. Podobał mu się zapał, z jakim podchodziła do swojej pracy. Dzieci, które odwiedzały ją w bibliotece, nazywała swoimi pociechami. Ilekroć opowiadała o prowadzonych przez nią zajęciach, w jej oczach widział iskierki. Cenił kobiety, które mają jakąś pasję i lubią swoją pracę.

– Po ślubie zamierzasz dalej pracować? – Pytanie, które padło z ust Yannisa, zaskoczyło Cat w takim samym stopniu jak jego samego.

– Tak, chcę pracować aż do momentu, gdy będziemy mieli dzieci – odparła. Zerknęła na tylne siedzenie, gdzie Harry wesoło podskakiwał w swoim foteliku. – W przeciwieństwie do Misty chcę być nie tylko matką, ale i opiekunką swojego dziecka.

– Nigdy w to nie wątpił – mruknął.

Nic się nie zmieniło, pomyślał. Dla Cat nadal najważniejszą rzeczą na świecie jest rodzina. Ta, której jeszcze nie miała, ale o której marzyła. Odkąd zobaczył, jak opiekuje się Harrym, łatwo mu było wyobrazić ją sobie w roli matki. Czulej, kochającej matki. Na myśl o tym poczuł, jak coś w nim drgnęło, coś go ukłuło. Zazdrość? Żal? Nie potrafił tego określić. Dopiero gdy dotarli do szpitala i wysiedli z samochodu, przypomniał sobie o absurdzie całej tej sytuacji. Razem z Cat i Harrym znowu udawali rodzinę. Kobieta i mężczyzna, którzy nie byli parą, oraz dziecko, które nie należało do żadnego z nich. Co za niedorzeczność! O dziwo, odgrywanie tej roli nie przeszkadzało mu.

– Ależ słodkiego chłopca państwo mają! – zachwyciła się recepcjonistka. – Jest bardziej podobny do tatusia niż do mamusi.

Yannis rozłożył ręce z lekkim uśmiechem.

Gdy przeszli do poczekalni, Cat wyszeptała:

– Mogłeś jej powiedzieć, że to nie jest nasze dziecko. I że nie jesteśmy małżeństwem!

Wzruszył ramionami.

– To bez znaczenia.

Kwadrans później Cat wróciła, pchając wózek, na którym siedziała Maggie. Gdy w pewnym momencie Cat stanęła obok Yannisa trzymającego na rękach Harry'ego, Maggie przyłożyła dłonie do serca, uśmiechnęła się i westchnęła z zachwytem:

– Och, co za przeurocza rodzinka!

– Babciu! – zganiała ją Cat.

– Przecież niczego wam nie sugeruję... – broniła się Maggie z błyskiem w oku.

W drodze powrotnej do domu Cat nagle wymamrotała:

– Przepraszam.

– Za co? – zdziwił się Yannis.

– Za to, co powiedziała babcia. O mnie, o tobie i o Harrym.

– Ach, za to. Nie ma sprawy.

– Babcia czasami zapomina, że jestem z Adamem – dodała po chwili.

Yannis zacisnął palce na kierownicy.

– No tak, Adam – mruknął. – Twój wymarzony facet, który pragnie małżeństwa, rodziny, i tak dalej. Gdzie jest teraz? Wiem, że mówiłaś, ale jakoś wypadło mi z pamięci.

– W San Francisco. W pracy – odparła rozdrażnionym tonem.

Uśmiechnął się pod nosem. O to mu właśnie chodziło. Chciał ją sprowokować.

– W pracy? Jasne...

– Nie wierzysz mi? Myślisz, że go sobie wymyśliłam? Że żaden Adam nie istnieje?

Poczuł na sobie jej gromiące spojrzenie. Potrząsnął głową.

– Nie. Ale chciałbym go poznać.

– Będziesz miał okazję. W ten weekend.

Zamrugnął zaskoczony.

– Jak to?

– Przylatuje do mnie w sobotę po południu.

– Och, doprawdy? – burknął.

Tak mocno zacisnął dłonie na kierownicy, że zbieleły mu kostki. Nie wiedział, dlaczego ta wiadomość tak na niego podziałała. Przez resztę drogi prowadził samochód w całkowitym milczeniu i w paskudnym nastroju. Cat również się nie odzywała. Sprawiała wrażenie pochłoniętej własnymi myślami, które pewnie krążyły wokół Adama.

Gdy dojechali na miejsce, Harry słodko spał w swoim foteliku.

– I co teraz? – zapytała Cat, patrząc na jego błogą minkę. – Nie powinniśmy

przerywać mu snu.

– Ja go zaniosę.

– A jeśli go obudzisz?

– Nie obudzę.

Co prawda nie miał żadnej pewności, ale pomyślał, że jeśli Harry się obudzi, będzie miał okazję spędzić z Cat trochę więcej czasu. To mu pasowało. Nie miał ochoty jeszcze kończyć tego dnia. Gdy stanęła obok niego, wciągnął w nozdrza zapach jej szamponu i skóry, który tak dobrze znał. Delikatnie wyjął Harry'ego z fotelika. Chłopiec zamruczał pod nosem, ale się nie obudził. Yannis ruszył w kierunku swojego domu.

– Co robisz? – zapytała Cat, zatrzymując się na schodach prowadzących do mieszkania babci.

– Niosę go do siebie, żeby spokojnie dokończył drzemkę.

– Jego kołyska jest tutaj!

Nie odpowiedział, tylko wszedł do domu przez drzwi kuchenne. Cat ruszyła za nim szybkim krokiem.

– Nie musisz się nim opiekować! – zawołała, przechodząc przez kuchnię.

– Ciii! Śpi.

Yannis skinął głową na Harry'ego śpiącego słodko w wielkim łóżku, po czym cichutko zamknął drzwi.

– Co mam teraz robić? – zapytała Cat.

Wzruszył ramionami.

– Poczytaj sobie gazetę. Wymyśl, co mamy zjeść na kolację. Albo... porozmawiaj ze mną, kiedy będę pracował nad komodą.

Spodziewał się, że Cat poprosi o coś do czytania i usiądzie w fotelu, dlatego zdziwił się, kiedy powiedziała:

– Wybieram to ostatnie.

To było takie niesprawiedliwe.

Yannis przez cały dzień był taki miły i czarujący. Słuchał uważnie każdego jej słowa, nawet gdy zaczęła rozwlekle opowiadać o swojej pracy. Zainteresował się nawet jej kukiełkami! To było urocze. Ale przede wszystkim niepokojące i niebezpieczne. Nie powinna z nim teraz zostawać sam na sam. Powinna wstać i pójść do mieszkania babci, poczekać, aż Harry się obudzi, a potem zajmować się nim do wieczora. Zamiast tego poszła za Yannisem do jego warsztatu, usiadła na drewnianym stołeczku i patrzyła, jak pracuje nad odrestaurowaniem zabytkowej komody.

– Chcesz dotknąć? – zapytał nagle.

– Czego?

Ciebie? – pomyślała w pierwszej sekundzie, oblewając się lekkim rumieńcem. Miała nadzieję, że go nie dostrzegł.

– Komody.

Wstała niechętnie i musnęła dłonią wiekowe, wypolerowane drewno. Było gładkie i ciepłe, prawie jak ciało. Jak jego ciało. Znowu poczuła, że się czerwieni. Odwróciła wzrok i wymamrotała:

– Powinam już pójść.

– Zostań – poprosił. – Porozmawiaj ze mną. Samemu mi się nudzi.

Zamrugnęła zaskoczona. Nigdy wcześniej nie prosił jej, aby siedziała z nim w warsztacie. Kilka razy ją tu przyprowadził, żeby pokazać, nad czym aktualnie pracuje, ale na tym się kończyło. Teraz przyglądała się, jak delikatnie, niemal z czułością, poleruje każdy kawałeczek drewna. Wiedziała, że jego silne dłonie potrafią być niezwykle subtelne. Znowu zatopiła się we wspomnieniach, przypominając sobie ich wspólne noce i poranki. W pewnym momencie do warsztatu wszedł Milos w mokrych szortach, ociekając wodą. Prawie zapomniała o jego istnieniu. Przywitał ją z promiennym uśmiechem, ale zmierzony ostrym spojrzeniem przez Yannisa, szybko się pożegnał i zniknął w domu. Wrócił jednak po kwadransie z wiadomością, że Harry się obudził. Cat poszła po chłopca i przyniosła go do warsztatu.

– Umieram z głodu – poskarżył się Milos. – Zamówię pizzę. Jaką lubicie?

– Dla mnie z kiełbasą i grzybami – podyktował mu Yannis – a dla Cat wegetariańską z podwójnymi oliwkami i karczochami.

Cat spojrzała na niego zdumiona. Pamiętał, jaką lubiła pizzę? Dostrzegł jej zaskoczoną minę i powiedział:

– Trudno zapomnieć takie dziwaczne preferencje.

Wcale nie tak trudno, pomyślała. Adam nigdy nie pamiętał o takich szczegółach. Zawsze zamawiał dla niej pizzę z pepperoni. Taką, w jakiej sam gustował. Nie miała prawa narzekać. Też lubiła pepperoni. Poza tym Adam miał wiele innych zalet. Był mężczyzną, z którym chciała założyć rodzinę.

Kilka godzin później zaniósł wreszcie Harry'ego do mieszkania babci. Ułożyła go w kołysce, a następnie stanęła w tonącej w mroku kuchni, wyglądając przez okno. Yannis dalej pracował w warsztacie. Podglądała, jak naprawia połamane nogi komody, a potem je poleruje. Pamiętała, jak gładził jej nogi powolnymi ruchami, sięgając coraz wyżej i wyżej, zbliżając się do jej ud, przyprowadzając ją o dreszcz rozkoszy...

Nagle Yannis zerwał się z taboretu i zniknął jej z oczu. Cat wciągnęła gwałtownie powietrze. Takie zachowanie było do niego niepodobne. Minęła minuta, może dwie. Yannis wyszedł z domu przez drzwi kuchenne. Odsunęła się od okna, żeby jej nie zobaczył. On jednak nie spojrzał w jej kierunku. Zarzucił skórzaną kurtkę na ramiona. Po chwili dołączył do niego Milos. Powiedział coś do Yannisa, narysował w powietrzu kobiece kształty i wybuchnął śmiechem. Yannis pokiwał głową i również się uśmiechnął. Następnie ruszyli w stronę centrum

miasta.

Cat domyśliła się, o co chodziło. Była dziewiąta wieczorem. O tej porze na wyspie otwarte są jedynie bary, kluby i restauracje. Na pewno nie chodziło im o te ostatnie – przecież zjedli razem z nią pizzę.

Chodziło im o co innego.

Yannis, tak samo jak jego kuzyn, miał ochotę na kobietę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gdy nazajutrz rano zeszła na dół z Harrym, aby pojechać do szpitala, Yannisa nie było ani na podwórku, ani w warsztacie. Nie miała ochoty go widzieć ani z nim rozmawiać. Umówili się jednak, że będą siebie nawzajem o wszystkim informować – o wszystkim, co ma związek z Harrym. Podeszła więc do drzwi jego domu i zapukała.

Yannis otworzył dopiero po minucie. Był zaspany, nieogolony, rozczochrany i, pomijając bokserki, rozebrany.

– Obudziłam cię? Wybacz.

Zastanawiała się, czy był sam, czy zostawił kogoś w łóżku. Spojrzył na nią wrogim wzrokiem. Milczał.

– Nie powinnam tu przychodzić – wymamrotała. – Chciałam tylko powiedzieć, że zostawiam Harry'ego u Claire, a potem jadę do babci.

Tym razem nie sprzeciwił się temu pomysłowi.

– Rób, co chcesz – mruknął.

Rób bo chcesz? – powtórzyła w myślach. Najbardziej chciałaby go teraz... pocałować. Zawsze uwielbiała to, jak wyglądał po przebudzeniu. Uwielbiała ocierać się policzkiem o jego nieogoloną twarz, bawić się jego zmierzwionymi, sterczącymi na wszystkie strony włosami. Teraz też pragnęła to zrobić, ale na szczęście udało się jej trzymać ręce przy sobie.

– W porządku. Wracaj do łóżka – odparła, odwróciła się i wsiadła do samochodu, przypinając Harry'ego do fotelika. Gratulowała sobie w duchu silnej woli. Nie pocałowała Yannisa, nie dotknęła go, nie zapytała, czy jest sam, czy z inną kobietą.

Może już wyrosła z romantycznych, musicalowych happy endów?

– Pani babcia czuje się bardzo dobrze – poinformował ją doktor Singh, gdy zjawiała się w szpitalu. – Chce jak najprędzej wrócić do domu, do normalnego życia. Rzadko się widuje u pacjentów, zwłaszcza w tym wieku, tyle woli życia. To wyjątkowa kobieta.

– Tak, to prawda – zgodziła się Cat.

– Prawdopodobnie za tydzień będzie mogła wyjść ze szpitala i zacząć rekonwalescencję. Pozostaje tylko kwestia jej mieszkania. Wspominali państwo, że pani Newell nie mieszka na parterze, prawda?

– Niestety. Dlatego przyszło mi do głowy, że mogłabym zabrać ją ze sobą do San Francisco. Co prawda ja też nie mieszkam na parterze, ale mogłabym poszukać dla niej jakiegoś dogodnego lokum.

Lekarz skinął głową.

– To jest pewne rozwiązanie. Wprawdzie oznaczałoby oddanie się w ręce

innych lekarzy i specjalistów od rehabilitacji, ale nie ma chyba żadnych przeciwwskazań. Rzecz jasna, musi to pani dokładnie z babcią przedyskutować. Od siebie tylko dodam, że najważniejszym czynnikiem przy wracaniu do zdrowia jest dobry stan psychiczny pacjenta. Proszę o tym pamiętać.

– Oczywiście. Dziękuję.

Wzięła sobie do serca słowa doktora. Weszła do pokoju, w którym leżała Maggie, i ogłosiła pogodnym tonem:

– Przynoszę dobre wieści! Już za tydzień będziesz mogła stąd wyjść.

– Za tydzień?

Na twarzy babci odmalowała się nie ulga, lecz ogromne rozczarowanie.

– Doktor Singh mówi, że można już myśleć o tym, gdzie zamieszkaż po wyjściu ze szpitala.

– Wracam do domu.

– Tak byłoby najlepiej, ale nie możesz jeszcze wchodzić po schodach – tłumaczyła jej cierpliwie. – Może pojechałabyś ze mną do San Francisco?

– U ciebie też są schody.

– Mogę cię ulokować w tymczasowym domu opieki. Zwróć uwagę na słowo „tymczasowy” – dodała, nadal trzymając się pogodnego tonu i wesołej miny.

Babcia milczała.

– A może chciałabyś zamieszkać u Adama?

Maggie zacisnęła usta, po czym burknęła:

– Nie sądzę, żeby mu się to uśmiechało.

– Mylisz się! Adam się ucieszy – oświadczyła z przekonaniem, którego wcale nie czuła. – Pomyśl o tym.

– Chcę wrócić do domu – burknęła babcia, kończąc dyskusję na ten temat.

Cat wracała ze szpitala z mieszanymi uczuciami. Cieszyła się, że babcia jest w dobrym stanie, ale martwiła się tym, co dalej. Pojechała odebrać Harry'ego od Claire, która sama miała dwójkę dzieci: rocznego Andrew i czteroletnią Izzy. Izzy uwielbiała inne dzieci i podobno od razu zapałała ogromną sympatią do Harry'ego, który wszędzie za nią chodził, a raczej pęzał.

– On potrzebuje starszej siostrzyczki – śmiała się Claire.

– Nie ma na to szans. Ale może kiedyś doczeka się młodszej siostry.

Ciekawe, czy Misty dogadała się z Devinem? – zastanawiała się Cat, rozmyślając o przyszłości Harry'ego. Martwiła się o dobro tego ślicznego, uroczego chłopca. Czy Misty w ogóle nadaje się na matkę? Po chwili pomyślała jednak, że nie ma prawa jej oceniać i potępiać. Przecież bycie samotną matką nie jest kolorową bajką. Tak, miała nadzieję, że Misty weźmie ślub z ojcem Harry'ego i cała ta historia dobrze się zakończy.

Chciał odzyskać swoje dawne życie, które zniknęło w momencie, gdy Maggie złamała biodro i zjawiała się Cat. Nie widzieli się przez trzy lata. Kiedy

wyjechała do San Francisco, najpierw wpadł w gniew, a potem liczył na to, że Cat zrozumie, że łączyło ich coś wyjątkowego, i wróci do niego. Ale nie wróciła. Yannis wzruszył ramionami, pozbierał się i żył dalej. Tak, jego życie bez Cat straciło na uroku. Nie znał nikogo, kto byłby w stanie tak go rozbawić, rozbroić, podniecić... Żadna kobieta, z którą później się spotykał, nie działała na niego aż tak mocno.

Mimo to nie rozdrapywał tej rany. Starał się nie myśleć o Cat. Teraz to już było jednak, do diabła, niemożliwe. Przyjechała na Balboę i przywiozła ze sobą wszystkie wspomnienia. Znowu jej zapragnął – i to z taką pasją, o jaką siebie nie podejrzewał. To dlatego wczoraj spędził z nią prawie cały dzień, a potem zaprosił ją do swojego warsztatu. Jej obecność sprawiała mu przyjemność. Lubił z nią rozmawiać. Uwielbiał na nią patrzeć. Nienawidził marzyć przy niej o tym, czego nie mógł mieć, nie mógł zrobić.

Wczoraj, gdy zabrała Harry'ego i wróciła do mieszkania Maggie, Yannis został w warsztacie, pracując nad komodą. Nie potrafił się jednak skupić. Jego myśli ciągle wirowały wokół Cat, a palce drżały i ślizgały się po drewnie. Postanowił przerwać pracę, zanim zniszczy nogę zabytkowej komody. Zerwał się z taboretu, wbiegł do domu i wyciągnął Milosa na miasto, do klubu, gdzie jego kuzyn podrywał dziewczęta, a on sam siedział przy barze aż do zamknięcia, sącząc piwo, ignorując zaczepiające go kobiety i rozmyślając coraz mniej trzeźwo, ale coraz bardziej ponuro, o Catrionie MacLean.

Gdy tylko otworzyła drzwi, rozdzwonił się telefon.

Cat położyła Harry'ego na kocu na podłodze, nasypała mu do plastikowej miseczki garść miodowych chrupków do mleka i pobiegła podnieść słuchawkę.

– Halo?

Coś zatrzeszczało, zapiszczało, po czym usłyszała kobiecy, podejrzliwy głos:

– Kto mówi?

– To ty, Misty?

– Tak. Kto mówi?

– Cat.

– Cat? – Misty nie ucieszyła się. – Co ty tam robisz?

– Czekam na telefon od ciebie – odparła z pretensją. – Dzwoniłam do ciebie sto razy, ale nie odbierałaś.

– Coś się stało? O Boże, coś się stało Harry'emu?

Zdumiała ją ta nuta autentycznej paniki w głosie Misty. Ładnie to o niej świadczyło.

– Nie, nie chodzi o Harry'ego.

Misty odetchnęła z ulgą, ale po chwili przeszła do ataku:

– Moja komórka tutaj nie działa. Mogę dzwonić tylko z automatu. Dzwonię codziennie od paru dni, ale nikt nigdy nie odbiera! Co się tam dzieje? Gdzie jest

babcia? Jak się czuje Harry?

– Dobrze. Teraz siedzi i wcina chrupki.

– Och. Naprawdę? To fajnie. – Głos Misty nagle stał się mniej wrogi. – Ale... gdzie jest babcia? Dlaczego ty się zajmujesz Harrym?

– Jeśli dasz mi dojść do słowa, to wszystko ci wytłumaczę.

– Dobra, gadaj.

– Babcia złamała biodro. Leży w szpitalu.

– O cholera! Jak to się stało?

Cat w telegraficznym skrócie o wszystkim jej opowiedziała, kończąc słowami:

– Dowiedziałabyś się o tym wcześniej, gdybyś odsłuchiwała moje wiadomości.

– Ja też zostawiałabym wiadomości na telefonie babci, ale ona nie ma włączonej automatycznej sekretarki. Nie myśl sobie, że ot tak, nagle sobie wyjechałam i mam wszystko gdzieś.

Rzeczywiście, Cat tak myślała. Ale teraz powoli zmieniała zdanie. Wierzyła, że Misty nie kłamie. Faktycznie całymi dniami nikogo nie było w domu, a gdy Cat wracała wieczorem, Misty, przebywając w innej strefie czasowej, pewnie już dawno spała.

– Wcale tak nie myślę – powiedziała wreszcie ugodowym tonem. – Rozumiem cię.

– Nie sądzę! – warknęła Misty. – To mój synek! Ty nie masz dzieci. Jak więc możesz rozumieć?

Cat zaniemówiła zdumiona. Przed chwilą pomyślała coś dobrego o Misty, a sekundę później Misty skoczyła jej do gardła. Zawsze tak pomiędzy nimi było: zupełny brak zrozumienia. Nadawały na zupełnie innych falach.

– Nie trzeba mieć własnych dzieci, żeby je dobrze traktować – powiedziała Cat, patrząc na Harry'ego.

W słuchawce zaległa cisza.

– Chyba masz rację – mruknęła Misty. – Dzięki.

– Za co?

– Za opiekę nad Harrym.

Cat uśmiechnęła się pod nosem.

– Nie ma sprawy. Harry dobrze się czuje.

– A co z jego ząbkami? Ząbkował, kiedy wyjeżdżałam.

– Zdecydowanie dalej ząbkuje. – Nie chciała wspominać o jego napadach płaczu. Ani uciszaniu go za pomocą wyciągu z wanilii.

– Czasami tak strasznie płacze, że nie wiem, co mam robić – powiedziała Misty zatroskanym tonem. – Wiem, że to go bardzo boli. Biedactwo! Chciałam go ze sobą wziąć, ale... – urwała. Po dłuższej chwili dodała: – Źle zrobiłam, że go zostawiłam.

Cat poczuła się rozdarta. Z jednej strony chciała powiedzieć: „tak, źle zrobiłaś”, a z drugiej pocieszyć ją, bo słyhać było, że Misty naprawdę martwi się o swoje dziecko.

– Teraz czuje się już lepiej. Uwielbia bawić się na plaży. – Wołała nie mówić, że Harry za każdym razem próbuje jeść piasek. – Lubi pluskać się w wodzie.

– Mam nadzieję, że nacierasz go olejkiem do opalania! On ma taką jasną, delikatną skórę.

– Oczywiście, zawsze go nacieram – odparła Cat zgodnie z prawdą.

Po dłuższej chwili milczenia Misty oświadczyła:

– Chyba wracam następnym samolotem.

– Co?

– Tak bardzo za nim tęsknię...

– Babcia powiedziała, że poleciałaś tam, żeby załatwić coś... ważnego.

– Tak. Powiedzieć Devinowi, że ma synka. To on najpierw do mnie zadzwonił i poprosił, żebym przyleciała. Byłam w totalnym szoku. Rozstaliśmy się, zanim odkryłam, że jestem w ciąży. Nie chciałam mu mówić o Harrym przez telefon. To zbyt ważna sprawa. Rozumiesz, prawda?

– Tak, jasne.

– No właśnie. Musiałam więc polecieć do niego.

– I jak ci poszło?

– Dobrze – odparła Misty pogodnym tonem. – Wzięliśmy ślub.

Cat zaniemówiła.

– Wiem, jesteś w szoku. On też był w szoku, kiedy powiedziałam mu o Harrym. Potem wpadł w szal. Nie mógł zrozumieć, dlaczego trzymałam to przed nim w tajemnicy. Ja też w sumie tego nie rozumiem – przyznała. – Devin rozstał się ze mną, bo wysłali go na drugi koniec świata, i nawet nie mógł mi powiedzieć, co tam będzie robił. Wiedziałam tylko, że coś niebezpiecznego. On służy w oddziałach specjalnych.

Cat o tym nie wiedziała. Właściwie wszystko, co słyszała teraz od Misty, było dla niej zaskoczeniem.

– Teraz wrócił do bazy w Niemczech. Jest na przepustce. Powiedział, że zadzwonił do mnie, bo uświadomił sobie, że prawie w każdym momencie może zginąć i nie chce żyć beze mnie. Czy to nie piękne? – zapytała Misty wzruszonym głosem.

– Bardzo piękne – odparła Cat. W tej chwili czuła się trochę zazdrosna.

– Devin nie może się doczekać, aż zobaczy małego. Przylecimy tak szybko, jak się da.

– Ale...

– Zadzwonię do ciebie przed przylotem. Ucałuj ode mnie mojego chłopca!

Trzask. Koniec rozmowy.

Cat stała osłupiała i oszołomiona, wpatrując się dalej w słuchawkę. Z jednej strony Misty była taka jak zawsze, spontaniczna i nieprzewidywalna, ale też nagle pokazała swoje drugie, nieznane oblicze dziewczyny całkiem rozsądnej, odpowiedzialnej, troskliwej, obdarzonej instynktem macierzyńskim. I... zameźnej.

Dopiero głośny protest Harry'ego wyrwał Cat z zamyślenia. Chłopiec patrzył na nią z wyrzutem, trzymając w rączkach pustą miseczkę i domagając się kolejnej porcji smakołyków.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W sobotę Cat znowu zamierzała na kilka godzin oddać Harry'ego pod opiekę Claire, ale z samego rana obudził ją telefon od Yannisa.

– Przynies mi Harry'ego, kiedy będziesz jechała do szpitala.

– Mogę go oddać Claire – odparła zaspanym głosem.

– Obudziłem cię?

– Nie... To znaczy, tak.

– Przepraszam – mruknął. – Myślałem, że o tej porze Harry już nie daje ci spać.

Zerknęła na chłopca drzemącego słodko obok niej. Pogłaskała go po główce.

– Jest już trochę grzeczniejszy. Znacznie lepiej się rozumiemy.

– To dobrze. Masz szczęście.

Tak, mam szczęście, powtórzyła w myślach. Cieszyła się, że dane jej było spędzić tych kilka dni z Harrym. Każda chwila była dla niej przyjemnym przeżyciem, nawet kiedy chłopiec nie był aniołkiem – wtedy uczyła się po prostu, jak postępować z małymi dziećmi, jak odgadywać, czego chcą, jak ich pilnować. Ogarniał ją upiorny smutek na myśl o powrocie Misty.

– Misty niedługo wraca.

– Co? Kiedy? – zapytał zaskoczony.

– Chyba jutro. Muszę już kończyć.

– Przynies Harry'ego – powtórzył Yannis, zanim się rozłączyła.

Nakarmiła i przewinęła Harry'ego, a potem wzięła prysznic, zjadła śniadanie i zeszła na dół. Yannis otworzył jej drzwi tym razem w ubraniu, choć jeszcze się nie ogolił i nie uczesał. Wziął od niej chłopca i powiedział:

– Podobno Misty miała wyjechać na dwa tygodnie.

Cat wzruszyła ramionami.

– Tak, ale widocznie zmieniła zdanie. Tęskni za Harrym. Może wcale nie jest taka, jak myśleliśmy – przyznała niechętnie.

– Doprawdy? Śmiem wątpić. Wyjechała i ani razu nie zadzwoniła.

– Mówi, że dzwoniła, ale nikogo nie było w domu. Co zresztą jest prawdą.

Tak czy inaczej, postanowiła wrócić wcześniej, zwłaszcza że jej misja zakończyła się powodzeniem.

– Misja?

– Wzięła ślub.

Yannis rozdziawił usta ze zdumienia.

– Z tym żołnierzem?

Przytaknęła.

– Devin też przylatuje. Chce poznać Harry'ego.

Yannis zerknął na chłopca i zapytał:

– Co o tym sądzisz, kolego? Wreszcie poznasz swojego tatę.

Harry uśmiechnął się i klasnął w dłonie, a potem pociągnął go za policzek.

– Ta! – powiedział. – Ta!

Cat z niedowierzaniem patrzyła, jak Yannis oblewa się rumieńcem. Nie podejrzewała, że takie zjawisko jak rumieniec na twarzy Yannisa jest w ogóle możliwe.

– Nie, pomyliłeś się, kolego – odparł zmieszany.

– Ta! Ta, ta, ta! – wołał chłopiec.

Pierwszy raz w życiu dostrzegła u Yannisa również coś w rodzaju lekkiego popłochu. Nie chciał, żeby chłopiec uważał go za tatę. To chyba było dla niego już zbyt wiele.

– Może on tylko... ćwiczy mówienie? – zasugerowała Cat.

– Mam nadzieję.

Na jego twarzy nadal jednak malował się niepokój.

Po południu Cat pojechała na lotnisko, aby odebrać Adama.

– Catriona! – zawołał na jej widok, uśmiechając się szeroko.

– Nareszcie – westchnęła, rzuciła mu się w objęcia i pocałowała go z płomienną pasją, gniotąc jego usta i ściskając ramiona.

Gdy zabrakło mu tchu, przerwał pocałunek i spojrzał na nią oszołomiony, głośno łapiąc oddech.

– O rany! Może częściej powinnaś wyjeżdżać? – zażartował.

– Nie. – Energicznie potrząsnęła głową. W ogóle nie powinna się ani na chwilę z nim rozstawać. – Gdzie masz bagaże?

– Przyleciałem tylko na jedną noc.

Stłumiła jęk zawodu. Liczyła, że Adam zostanie z nią przez dwa, trzy dni. Zaprowadziła go do samochodu. Wsiadł do środka, rozejrzał się i zapytał:

– Gdzie jest to dziecko, o którym mówiłaś?

– Opiekuje się nim sąsiad babci.

Przyjrzała się Adamowi, jakby nie widziała go sto lat i musiała sobie wszystko po kolei przypominać. Nie mogła się powstrzymać przed porównywaniem go do Yannisa. Adam był wyższy. Miał bardziej klasyczną urodę. Jego włosy miały miodowy odcień i zawsze wyglądały idealnie, nawet gdy rozwiewał je wiatr. Włosy Yannisa były wiecznie w nieładzie, kręciły się niesfornie na czole i szyi. Nos Adama był prosty, jakby odrysowany od linijki, natomiast u Yannisa widać było ślad po dawnym złamaniu. Adam nie posiadał żadnych widocznych niedoskonałości: był idealny, a jego osobowość współgrała z aparycją. Oczytany, kulturalny, poważny i zamożny dżentelmen. Nigdy się z nią nie droczył ani nie kłócił. Nie mogła mu tak naprawdę nic zarzucić. No,

z wyjątkiem obsesji na punkcie sukienki, w której miała się udać na bal...

– Macie tu jakieś luksusowe domy handlowe? – zapytał, gdy ruszyli z lotniska.

– Zdziwisz się, ale tak.

Pojechała do domu handlowego Neiman Marcus. Gdy weszli do środka, Adam omiół wnętrze wzrokiem i odetchnął z ulgą.

– O tak, tu coś na pewno znajdziemy! – ucieszył się.

Cat znalazła doskonałą sukienkę już po pięciu minutach. Adam nalegał, aby szukali dalej, ponieważ może trafić się coś jeszcze lepszego, ale Cat nie chciała przymierzać sukienek, w których wyglądałaby jak beza lub inne słodkie ciasteczko. Wybrała więc ciemnogrnatową, która podkreślała jej szczupłą figurę, alabastrową karnację i ognistoczerwone włosy. Klasyczna i elegancka, ale seksowna. Coś, w czym mogłaby się pojawić na ślubie angielskiej rodziny królewskiej.

Adam kazał jej dobrać do sukienki szal i buty. Po zakupach pojechali do szpitala. Cat czuła lekką treść, wchodząc z Adamem do pokoju babci. On zawsze zachowywał się wobec niej uprzejmie i czarująco, ale babcia czasami odnosiła się do niego zbyt chłodno. Na szczęście dzisiaj była w lepszym nastroju niż wczoraj. Była dla Adama wyjątkowo miła. Mówiła to, co należy, nie wzdychała, nie wywracała oczami. Cat pokazała jej sukienkę, którą kupili w centrum handlowym, i opowiedziała o prestiżowym balu u Wanamakerów.

– To w przyszły weekend? – zapytała Maggie.

– W sobotę.

– Chcesz mnie zostawić? – Oczy babci jakby zgasty. – A jeśli będę cię potrzebowała?

– Przecież to tylko jeden weekend. Poza tym jeśli wcześniej wypiszą cię ze szpitala, będziesz mogła pojechać tam razem ze mną. Adam pomoże mi znaleźć dla ciebie mieszkanie.

– Dziękuję, nie trzeba – mruknęła. – Zostaję z Yannisem.

– Słucham?

– Wczoraj z nim o tym rozmawiałam. Mówił, że wspominał ci o tym pomysle.

– Tak, wspominał. Ale moim zdaniem to nie jest dobry pomysł...

– Nie jest dobry. Jest najlepszy! – oświadczyła babcia.

– Cóż, moim zdaniem to bardzo miłe z jego strony – zabrał głos Adam. – Dzięki temu nie będzie pani narażona na stres związany z przeprowadzką do wielkiego, obcego miasta. Poza tym wszystkie te komplikacje związane z rehabilitacją...

Cat skrzyżowała ramiona na piersi i westchnęła ciężko. Czyli babcia i Adam byli po stronie Yannisisa. Po jej stronie nie było nikogo.

– To taki kochany chłopiec – powiedziała Maggie z błogim uśmiechem.

Cat miała ochotę parsknąć śmiechem. Kochany chłopiec? Czy można tak powiedzieć o człowieku, który za jej plecami kontaktował się z babcią, żeby przekonać ją do swojego przeklętego pomysłu?

– Odwiedził mnie wczoraj wieczorem. Przywiózł mi kwiaty. – Maggie skinieniem głowy wskazała stojące na oknie kwiatki. Stokrotki w słoiku po dżemie.

– To kwiatki z twojego ogródka! – zawołała Cat.

– Jego ogródka – poprawiła ją babcia. – Przecież dom i cała działka należą do Yannis. Poza tym liczy się sam gest, prawda?

Cat nie tak czule jak zwykle pożegnała się z babcią i gdy byli na zewnątrz, powiedziała do Adama:

– Jedziemy po Harry'ego.

Adam Landry – bo tak miał na nazwisko – nie wyglądał jak bankier, pomyślał Yannis, lustrując go dokładnie wzrokiem. Przypominał mu modela albo aktora. Wysoki, szczupły i opalony. Miał idealną fryzurę i idealne zęby, które niemal oślepiły Yannis śnieżnobiałym blaskiem, gdy uśmiechnął się do niego przy powitaniu.

– Wracamy od babci – odezwała się Cat. – Przyszliśmy po Harry'ego.

– Harry śpi.

Wcale nie miał pewności, czy chłopiec śpi. Milos czuwał nad Harrym, odkąd wrócili z plaży. Yannis przez ostatnią godzinę załatwiał przez telefon interesy. Teraz nie miał zamiaru pozwolić na to, aby Harry powędrował w ręce Cat i jego narzeczonego, o którym przecież nic nie wiedział. Chciał go najpierw wy badać.

– Wejdźcie. Napijemy się piwa – zaproponował.

– Nie możemy...

– Jasne, że możemy – wtrącił Adam z przyjaznym uśmiechem. – Miło mi ciebie poznać. Wiele o tobie słyszałem.

– Naprawdę?

– Nie ode mnie! – zaznaczyła Cat.

– Od jej babci. Mówiła, że... lubi twoje kwiatki – zaśmiał się Adam.

Yannis również się zaśmiał. Wprowadził ich do środka, wyjął z lodówki trzy piwa i wcisnął jedną butelkę Adamowi. Cat podziękowała z wrogą miną. Rozmowa się nie kleiła, przede wszystkim dlatego, że Cat co chwila przerywała albo jemu, albo swojemu narzeczonemu. Widocznie chciała utrudnić przepływ informacji pomiędzy nimi dwoma, bojąc się, że coś wyjdzie na jaw. Na przykład nasze ostatnie pocałunki? – pomyślał Yannis, uśmiechając się pod nosem. Dopiero gdy do kuchni wkroczył Milos z Harrym, atmosfera stała się nieco luźniejsza. Cat wzięła chłopca na ręce, odwróciła się do Adama i powiedziała:

– Czyż nie jest rozkoszny?

Adam skinął głową z nieco niewyraźną miną. Yannis mu się nie dziwił. Harry nie patrzył na niego przyjaźnie. Zamiast uśmiechnąć się do nieznajomego,

wykrzywił buzię i ukrył ją we włosach Cat. Następnie Milos zaczął wypytywać Adama o życie w San Francisco, wspomniał o tym, że mieszka tam jedna z jego siostr, a potem rozmowa zeszła na ligę bejsbolową. Yannis nie miał na ten temat nic do powiedzenia.

– Ja to zrobię – powiedział do Cat, gdy nie mogła poradzić sobie z otwarciem pudełka z krakersami dla Harry'ego.

Zgromiła go wzrokiem.

– Chcę tylko pomóc.

– Ostatnio jesteś wyjątkowo skory do pomocy – syknęła z drwiną.

– Co masz na myśli?

– Na przykład... zaproponowałeś babci, żeby z tobą zamieszkała.

– Co w tym złego?

– Wszystko – warknęła i odeszła.

Gdy jakiś czas później Cat wyszła na chwilę do łazienki, Yannis zagadnął Adama:

– Co myślisz o pomysle Cat, żeby jej babcia przeprowadziła się do San Francisco?

– Sądzę, że to kiepski pomysł – odparł Adam. Yannis pokiwał głową i przyznał mu w myślach parę punktów za zdrowy rozsądek. Po chwili jednak Adam dodał: – Moim zdaniem dla Cat to też byłoby niedobre. Ma niezdrową obsesję na punkcie swojej babci.

– To jej jedyna rodzina – zauważył Yannis.

– Wiem. I rozumiem, że Cat martwi się o nią, ale... trochę przesadnie. Pani Newell ma w sobie więcej życia niż niejedna nastolatka.

Wróciła Cat i od razu wzięła Harry'ego na ręce. Yannis dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo się zmieniła w ciągu ostatnich paru dni. Z początku podchodziła do Harry'ego jak do kolczastego jeża albo bomby, która zaraz wybuchnie w jej rękach, ale teraz ciągle chciała go trzymać, dotykać, całować. Nie miał wątpliwości, że Cat będzie wspaniałą matką dla własnych dzieci, a jej dzieci będą szczęśliwe, mając taką mamę.

Podarowała Harry'emu pluszowego króliczka, którego kupiła na lotnisku, gdy czekała na Adama. Chłopiec rozpromienił się na widok ślicznego pluszaka, wziął królika za uszy i pomachał nim w powietrzu, śmiejąc się rozkosznie.

– Cieszę się, że poznałeś Harry'ego – powiedziała Cat do Adama. Pocałowała chłopca w czółko, a potem spojrzała na swojego narzeczonego z nagłym niepokojem, jakby chciała zapytać: Chcesz mieć takiego bobasa?

– Ja też się cieszę. To szalenie... miłe – wydukał Adam, sztywny i spięty.

Na myśl o tym, że ten facet miałby być ojcem dzieci Catriony, Yannisa dopadło takie uczucie, jakby ktoś wbił mu nóż w brzuch i powoli go przekręcał, aby spotęgować cierpienie.

Gdy Cat i Adam wyszli z Harrym na spacer wokół domu, Milos zapytał Yannis:

– Myślisz, że to odpowiedni dla niej facet?

– Skąd mam, do cholery, wiedzieć? – burknął Yannis. – Przecież go nie znam.

– No właśnie. W tym rzecz. Powinieneś go lepiej poznać. Posłuchaj, mam pomysł. Jutro wylatuję, więc chcę się jakoś odwdzińczyć za twoją gościnę. Coś upichcę. Może zupę krewetkową i wołowinę z pieczonymi ziemniakami? – Yannis wzruszył ramionami. Było mu to obojętne. – Zjemy wszyscy razem, pogadamy dłużej z tym gościem i zobaczymy, co to za typ. Na razie wydaje się w porządku, ale kto go tam wie...

Okazało się, że Milos jest lepszym kucharzem, niż można by pomyśleć. Zjedli obiad na patiu, pod gołym niebem. Harry rzucał na oślep krewetkami, Milos go dopingował, Yannis ciągnął za język Adama, który całkiem umiejętnie odgrywał rolę Pana Czarującego, a Cat tylko mu potakiwała. „Tak, Adam. Zgadza się, Adam. Masz rację, Adam” – powtarzała jak katarynka. Yannis wreszcie zamilkł i ponuro dźgał jedzenie, wyobrażając sobie, że jest to kawałek ciała Adama Landry'ego.

Po obiedzie przeszli do salonu. Polało się wino. Adam trochę się rozluźnił i zaczął swobodniej rozmawiać, opowiadać dowcipy i anegdoty, śmiać się z tego, co mówił Milos. Yannis już z mniejszą wrogością patrzył na narzeczonego Cat. Prawdę mówiąc, nie mógł mu niczego zarzucić. Był bystrym, wykształconym, kulturalnym, bogatym i diabelnie przystojnym facetem. Poleciliby go pewnie każdej kobiecie... ale nie Catrionie. Czuł, że do niej nie pasuje. Między nimi nie iskrzyło. A przecież tu chodziło o coś bardzo poważnego: o małżeństwo!

Nie chciał, żeby poślubiła nieodpowiedniego faceta. Miał nadzieję, że Cat w porę się zorientuje, że popełniłaby ogromny błąd, wychodząc za Adama. Przecież jest bystrą, inteligentną, spostrzegawczą kobietą, wyliczał Yannis w myślach, czując jednak w środku niepokój, że to może nie wystarczyć.

ROZDZIAŁ ÓSMY

To nie był najbardziej udany weekend w jej życiu.

W niedzielę wieczorem Cat odwiozła Adama na lotnisko. Przed pożegnaniem obiecała mu, że przyleci w następny piątek do San Francisco, aby następnego dnia pójść z nim na bal do Wanamakerów. Czuła się jednak dziwnie. Przed jego przylotem sądziła, że wspólnie spędzony czas przybliży ich do siebie, ale stało się odwrotnie. Wyczuwała teraz między sobą a Adamem jakąś niewidzialną barierę, której wcześniej albo nie było, albo jej nie zauważała. Nie podobały jej się również reakcje Adama na Harry'ego. Rzecz jasna, był uprzejmy, ale przecież w stosunku do malutkich dzieci nie wystarczy być uprzejmym! Trzeba się do nich uśmiechać. Robić do nich głupie miny. Łaskotać je w stópki. Ciągle do nich mówić. Adam nie zrobił ani jednej z tych rzeczy. Wypowiedział do Harry'ego zaledwie trzy czy cztery słowa. Rzecz jasna, to nie było jego dziecko, ale wolałaby zobaczyć u niego odrobinę sympatii, zwykłego ciepła. Nie mogła się powstrzymać przed porównywaniem jego chłodnego, sztywnego zachowania do sposobu, w jaki Yannis traktował chłopca. Wiedziała, co bardziej się jej podoba, co bardziej jej odpowiada. Do diabła! – zaklęła w myślach. Obecność Adama wcale nie sprawiła, że zapomniała o Yannisie, tylko ujrzała go w jeszcze lepszym świetle.

– Nie słuchasz mnie – odezwał się Adam, gdy stali jeszcze na lotnisku.

– Przepraszam. Zamyśliłam się.

– Cały weekend byłaś zamyślona, nieobecna. Wiem, że masz teraz sporo na głowie. Babcia. Harry. Misty. – Przyjrzał jej się uważnie. – Myślałaś, że dzięki mnie przestaniesz o tym wszystkim myśleć, prawda?

– Taką miałam nadzieję – przyznała.

– Przepraszam. Próbowałem. Ale się nie udało. – Potrząsnął głową i uśmiechnął się smutno. – W przyszły weekend wrócisz do domu. Wszystko będzie już wtedy inaczej.

– Naprawdę?

– Tak. Inaczej i lepiej – pocieszył ją.

Nachylił się i znowu ją pocałował. Cat zamknęła oczy i próbowała skupić się na pocałunku, na ich wspólnej przyszłości, na szczęściu, które na nich spłynie. Gdy się pobiorą. Gdy urodzą im się dzieci. Adam pierwszy oderwał wargi od jej ust i zerknął na zegarek.

– Muszę już lecieć, kochanie. Zadzwoń do mnie!

Odszedł i zniknął w tłumie innych pasażerów. Cat jeszcze przez parę minut stała w miejscu, zdezorientowana i zagubiona.

Potem było jeszcze gorzej.

Dwie godziny później w drzwiach mieszkania Maggie pojawiła się Misty

z Devinem.

– Gdzie jest Harry? – zapytała od razu.

– Śpi – odparła Cat.

Misty wystrzeliła jak rakieta w stronę sypialni. Cat bała się, że Misty szarpnie za klamkę, wtargnie do pokoju i obudzi chłopca, lecz nagle zatrzymała się przy drzwiach, uchyliła je delikatnie i zajrzała do środka. Z jej twarzy ulotniło się napięcie, a w jego miejsce pojawiło się prawdziwe matczyne wzruszenie. Odwróciła się do Devina i powiedziała:

– Chodź, spójrz na swojego synka.

Devin był ucieleśnieniem wyobrażeń każdego człowieka o typowym, młodym żołnierzu. Nieco niższy od Yannisa, muskularny i kanciasty, miał opaloną twarz i kark, ale blade ramiona oraz krótko ostrzyżone, ciemne włosy. Spoglądając w jego poważną twarz, na której dominowały łagodne, jasnoniebieskie oczy, Cat dostrzegła wiele z Harry'ego.

Misty wzięła Devina za rękę i wprowadziła do pokoju. Szedł sztywnym, żołnierskim krokiem, wyraźnie stremowany. Stanęli przy kołysce. Przez długą chwilę Devin po prostu wpatrywał się w chłopca, aż wreszcie jego usta wykrzywił uśmiech. Wyciągnął drżącą rękę i pogłodził policzek chłopca.

– Piękny, prawda? – wyszeptała Misty.

– To najpiękniejsze dziecko na świecie – odrzekł łamiącym się głosem.

W jego oczach zamigotały łzy. Wyglądał jak mężczyzna, który przed chwilą zakochał się we własnym dziecku, w istnienie którego jeszcze nie do końca mógł uwierzyć.

Cat poczuła się nagle jak intruz, podglądacz. Kiedy zaczęła wycofywać się z pokoju, Devin spojrzał na nią i zapytał:

– Cat, prawda?

Skinęła głową.

– Jestem ci głęboko wdzięczny za opiekę nad moim synem. Nawet nie wiesz, jak wiele to dla mnie znaczy. Dziękuję.

– Nie ma za co. To była dla mnie przyjemność.

Ku jej zdumieniu, po chwili Misty powiedziała:

– Jestem twoją dłużniczką, Cat.

Zanim Cat zdążyła odpowiedzieć, Misty z twarzą mokrą od łez podbiegła do niej i przytuliła ją mocno, z całych sił. Cat odwzajemniła ten gest, czując, jak łzy napływają jej do oczu, a gardło ściska wzruszenie. To był ich pierwszy raz. Nigdy wcześniej się nie przytulały. Dzięki, Harry, pomyślała Cat, uśmiechając się i płacząc jednocześnie.

– Harry będzie za tobą tęsknił – powiedziała Misty nazajutrz rano, gdy Devin pakował bagaże do samochodu.

– Ja za nim też – odparła Cat. – To cudowny chłopiec.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po główce. Znowu miała ochotę się rozpłakać. Nie miała pojęcia, jak to przeżyje. Opiekowała się Harrym zaledwie kilka dnia, ale miała wrażenie, że to wszystko trwało bardzo długo. Przywiązała się do niego prawie jak do własnego dziecka.

Misty spojrzęła w jej zaszklone oczy i powiedziała:

– Możesz go odwiedzać, kiedy tylko zechcesz.

Cat uśmiechnęła się.

– Dzięki. Skorzystam z zaproszenia.

Patrzyły na siebie w milczeniu, trochę zmieszane i zawstydzone tą nagłą zmianą, jaka zaszła w ich relacjach. Misty spuściła głowę.

– Przepraszam, że byłam dla ciebie taką jedzą – wyszeptęła skruszona. – Zawsze zżerała mnie zazdrość. Miałaś wszystko, czego chciałam.

Cat zrobiła zdziwioną minę.

– Coś ci się pomyliło, Misty. To ty miałaś piękne blond włosy, wielkie niebieskie oczy i tłumy przystojnych adoratorów – odparła lekkim tonem.

– Co z tego? Ty miałaś babcie.

– A ty Waltera.

Misty machnęła ręką.

– Dziadek mnie nie lubił. Wolał ode mnie ryby, które złowił.

– Wcale nie! Kochał ciebie tak samo jak Maggie. Wiesz o tym, prawda?

– Wiem – przyznała Misty. – Teraz już wiem. Ale wtedy nie wiedziałam. Byłam głupia. A, właśnie. Zawsze ci zazdrościłam, że jesteś bystrzejsza i mądrzejsza. – Cat nie zdążyła zaprotestować. – Ale teraz to bez znaczenia. Mam wszystko, czego chcę. Kocham Devina. On też mnie kocha. No i mam najcudowniejszego synka na całym świecie! – rozpromieniła się, całując Harry'ego w czubek noska.

– To prawda. Absolutna prawda – potwierdziła Cat, wpatrując się w roześmianą buzię chłopca, za którą będzie tak tęsknić.

– Jeszcze raz dziękuję.

– Nie ma za co.

– Jest za co, Cat – odparła Misty i pocałowała ją w policzek.

Została sama.

Bez babci. Bez Adama. Bez Misty i Devina. Bez Harry'ego.

Usiadła na sofie. Cisza. Całkowita cisza. O taką ciszę modliła się parę razy w ciągu kilku ostatnich dni, gdy Harry ząbkował i płakał. A teraz ta cisza ją przygnębiała. Sprawiała, że czuła się pusta i samotna. Tylko koty dotrzymywały jej milczącego towarzystwa. Na dworze zaczęło padać. Idealnie pasuje do mojego nastroju, pomyślała, oplatając się ramionami.

Całe popołudnie spędziła w szpitalu z babcią, która powtarzała jej co chwila, żeby wróciła do domu, do San Francisco. Cat na razie nie miała na to najmniejszej

ochoty. Powiedziała, że zostanie tu dłużej, aż do momentu, gdy Maggie wyjdzie ze szpitala. Wróciła do mieszkania babci, usiadła na sofie, okryła się kocem i pogrążyła w ponurych myślach.

Ktoś zapukał do drzwi. Wstała i otworzyła.

– Cześć. Jak się czujesz?

Yannis. Ostatnia osoba, którą chciała teraz widzieć.

– Nie mam ochoty na towarzystwo – burknęła.

Wcisnął się do środka. Z jego włosów i kurtki skapywały krople deszczu.

– Milos wyjechał?

– Tak. Przyszedł się z tobą pożegnać, ale cię nie zastał.

– Och. Przepraszam. Byłam u babci.

Yannis usiadł na krześle. Rozpiął kurtkę i sięgnął za pazuchę.

– Harry to zostawił u mnie w domu.

W rękę trzymał pluszowego zajaczka.

To przelało czarę goryczy.

Cat wzięła do ręki pluszaka, przytuliła go i poczuła, jak dławi się łzami. Harry nie zostawił go specjalnie. Uwielbiał tę zabawkę. Lubił ją gryźć i całować. Ale pewnie już o niej nie pamiętał... Tak samo jak o mnie, pomyślała, czując ostre ukłucie w sercu.

– O rany – jęknął Yannis. – Nie płacz...

– Nie płaczę! – odparła ze łzami spływającymi jej po twarzy.

– To tylko zajac.

– Wiem – odparła, jeszcze mocniej tuląc do siebie pluszaka.

– Odeślemy im go pocztą. Nie płacz, na miłość boską...

Zdjął mokrą kurtkę i objął Cat, a następnie nachylił się i zaczął scałowywać łzy z jej policzków.

Mężczyzna wiele może znieść, ale kobieta płacząca na widok pluszowego zajacza to już przesada. Yannis nie mógł na to patrzeć. Coś ścisnęło go w środku, podszedł do niej i przytulił ją, wdychając zapach jej włosów, a potem smakując jej słone łzy.

Nie po to tutaj przyszedł. Nawet nie chodziło o zabawkę Harry'ego, którą chciał jej przy okazji oddać. Przyszedł tutaj, żeby przemówić jej do rozsądku. Uzmysłować, że wcale nie jest zakochana w Adamie Landrym. Gdyby jednak zaczął mówić i tłumaczyć, ona zaczęłaby się z nim spierać i kłócić. Tak to już jest z kobietami i słowami. Dlatego ucieszył się, że nadarzyła się okazja, aby w zupełnie inny sposób jej to przekazać, udowodnić. Nie słowami. Czymś znacznie silniejszym, bardziej sugestywnym. Pocałunkiem. Prawdziwym, nie wymuszonym czy jednostronnym. Miał nadzieję, że się uda. Nachylił się i musnął wargami jej usta o smaku łez. Zadrżała lekko. Nie odsunęła się. Uniosła głowę i rozchyliła wargi. Oplotła ramionami jego szyję, wypuszczając z rąk pluszowego zajacza.

Poczuł, jak między nimi rośnie płomień pożądania, którego oboje nie będą w stanie ugasić – będą musieli się w niego rzucić. Yannis pogłębił pocałunek, rozchylając jej wargi językiem, pragnąc więcej, coraz więcej. Przywarła do niego całym ciałem. Jej dłonie wdarły się pod jego koszulę, parząc jego mokrą i chłodną od zimnego deszczu skórę. Teraz to on zadrżał na całym ciele i jęknął pod nosem.

– Cat... – zaczął ochryplym szeptem, ale urwał. Nie wiedział, co powiedzieć. Nic nie chciał mówić. Chciał ją mieć. Dzisiaj. Teraz.

– Chodź – powiedziała, prowadząc go do sypialni.

Przyciągnął ją do siebie, poderwał do góry i wziął na ręce, wpijając się ustami w jej usta. Przeszedł parę kroków i ułożył ją na łóżku. Jej włosy, w tym świetle czerwone jak płomień, rozsypały się na poduszce. Zerwał z siebie koszulę i zdjął mokre dżinsy, a następnie rozebrał Cat, błyskawicznie, gorączkowo. Rozchylił jej nogi i zsunął się w dół ku jej najdelikatniejszemu miejscu. Z jej gardła wyrwał się głośny jęk. Pieścił ją ustami przez kilka chwil, aby przypomnieć sobie jej smak i zapach, a następnie powrócił do jej warg, całując je bez opamiętania i czując, że już dłużej nie wytrzyma.

Wsunął się w nią i zamarł. Ona również znieruchomiała. Oboje oddychali głośno i chłonęli to uczucie zespolenia, patrząc sobie głęboko w oczy.

– No i co dalej? – zapytała Cat.

Podrapała paznokciami jego pośladki.

Yannis zaśmiał się głośno. Śmiech i seks. Typowa Cat. Uwielbiał to. Dopiero teraz przypomniał sobie tak naprawdę, jak strasznie mu tego brakowało. Powoli zaczął się w niej poruszać, bojąc się, że lada chwila eksploduje dzięki samej świadomości, że znowu kocha się z tą kobietą, której tak nieludzko pragnął. Po kilku chwilach przyspieszył, ale to Cat jak zwykle narzuciła rytm. Cat, nieposkromiona, niezależna, najśłodsza, najlepsza...

Tej nocy kochali się raz, dwa, trzy razy. A może więcej? Cat przestała liczyć, zanurzona w krainie pożądania, emocji, boskiego ognia. Nie myślała. Czowała.

I wiedziała.

Wiedziała, że nie może dalej bronić się przed Yannisem. Wiedziała, że zaręczyła się z nieodpowiednim mężczyzną. Wiedziała, że okłamywała siebie przez te trzy lata oraz przez wszystkie miesiące, które spędziła z Adamem. Nie chciała dalej siebie okłamywać. Ale co to dokładnie oznaczało? Co miała zrobić?

Oplotła palcami dłoń Yannisa i przyłożyła ją sobie do serca, wypowiadając w myślach życzenie, aby to cudowne, niemożliwe do opisania uczucie, a raczej morze uczuć, które teraz ją wypełniało, rano jej nie opuściło, nie odpłynęło.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Obudziła się odprężona i zaspokojona. Zaczęła się przeciągać, ale nie mogła się ruszać. Leżała w czyichś silnych, ciepłych objęciach.

– Yannis?

– A kogo się spodziewałaś? – wyszeptał jej do ucha.

Odwróciła się twarzą do niego, zahaczając nosem o jego nos. Roześmiali się oboje. W jego oczach dostrzegła jednak drapieżne pożądanie. Ona nagle również poczuła, że już wcale nie jest zaspokojona. Przeciwnie, była głodna. Spragniona. Stęskniona jego ciałą, rozkoszy, którą jej dawał. Ujął w dłonie jej twarz i pocałował ją w usta. Całował ją długo, głęboko, nieziemsko zmysłowo, aż była już zupełnie rozbudzona i rozpalona. Następnie zaczął pieścić rękami całe jej ciało, lecz nie trwało to długo. Widocznie też już nie mógł dłużej czekać. Posadził ją sobie na biodrach i w pełnym świetle dnia kochał się z nią, szepcząc jej imię, ani na chwilę nie odrywając wzroku od jej oczu aż do momentu, gdy runęła na jego tors, półprzytomna od orgazmu.

Uniosła głowę, aby na niego spojrzeć. Jego usta wykrzywił uśmiech. Przypominał jej dziką panterę. Może to przez te czarne włosy, ciemny zarost na policzkach i brodzie, błyszczące oczy. Miał triumfalną minę. Patrzył na nią jak na swoją własność.

Bo nią jestem, pomyślała.

A potem powiedział:

– To tyle, jeśli chodzi o Adama.

Zamarła.

– Co?

Wzruszył leniwie ramionami.

– Chyba już udowodniliśmy, że go nie chcesz.

Poczuła się tak, jakby uderzył ją pięścią w brzuch. Albo jeszcze gorzej – w serce. Powoli odkleiła się od niego, ściągnęła koc z łóżka i szczelnie się nim owinęła.

– Tu chodziło o Adama?

– Oczywiście, że nie!

Wbiła w niego ostre jak sztylet spojrzenie.

– Kochałeś się ze mną, żeby udowodnić mi, że nie chcę Adama? – zapytała, a z każdym słowem jej głos stawał się coraz głośniejszy i bardziej piskliwy.

– Nie! To znaczy, tak. Ale nie tylko dlatego...

Nie miała ochoty dłużej go słuchać ani oglądać. Zgarnęła z podłogi swoje ubrania i zamknęła się w łazience.

– Cat! Cat! Na miłość boską. Otwórz te drzwi! – wołał, szarpiąc za klamkę.

Włączyła prysznic, aby go zagłuszyć. Rzuciła koc na ziemię i weszła pod strumień ciepłej wody. Na jej twarzy łzy mieszały się z kroplami. Jestem idiotką! – wyzywała się w myślach. Znowu zakochała się w Yannisie Savasie. A on ani odrobinę się nie zmienił. Nie, to nieprawda. Zmienił się – na gorsze. Zrobił coś paskudnego. Nigdy mu tego nie wybaczy.

Wyszła z łazienki dopiero wtedy, gdy jej oczy przestały być czerwone i opuchnięte od płaczu. Yannis już nie szarpał za klamkę. Pewnie poddał się i poszedł do domu. Wróciła do sypialni, wyciągnęła walizkę spod krzesła i zaczęła wrzucać do niej swoje rzeczy.

– Co robisz? – zapytał Yannis, materializując się nagle w progu.
– Pakuję się.
– Dlaczego?
– Bo wracam do domu.
– Nie możesz zostawić swojej babci.
– Mogę. Przeżyje. Opiekuje się nią tuzin lekarzy i pielęgniarek. Kiedy wyjdzie ze szpitala, zabiorę ją do San Francisco.
– Ona tego nie chce!
– Trudno. Ja tam mieszkam. Pracuję. Tam jest moje życie. I Adam! – wykrzyknęła. Wreszcie odwróciła się do niego i wbiła w niego nienawistne spojrzenie.

Jego oczy również zapłonęły.

– Nie wrócisz do niego po tym, co się między nami wydarzyło!
– O niczym się nie dowie.
– Nie możesz go poślubić!
– Nie mów mi, co mogę, a czego nie mogę – syknęła.

Zatrzasnęła walizkę, wyciągnęła ją na korytarz, ściągnęła po schodach i wsadziła do bagażnika. Wróciła na górę, by zabrać koty. Yannis zatarasował jej drogę swoim potężnym ciałem.

– Posłuchaj mnie!

Skrzyżowała ramiona na piersi.

– Słucham.

– Nie wychodź za niego. Nie popełniaj największego błędu w swoim życiu. Słyszysz mnie?

Tak, słyszała. Ale nie na takie słowa czekała. Nie powiedział: „wyjdź za mnie”. Ani „kocham cię”. Gdyby to powiedział... cóż, może by mu wybaczyła. Może rzuciłaby mu się ramiona. Może. Ale tego nie zrobił. Nie powiedział niczego, co chciała usłyszeć. Wyminęła go, wzięła na ręce swoje koty i wróciła do samochodu.

– Co z Maggie?

– Odwiedzę ją po drodze. Żegnaj, Yannis.

– Cat! Cat! – wołał za nią, gdy odjeżdżała.

Zamknęła szybę, żeby go nie słyszeć. Żałowała, że nie może w taki sam sposób zamknąć serca, żeby nic nie czuć, i wyłączyć mózgu, żeby nie myśleć.

To był bal jak z bajki.

Wszędzie dookoła złoto, kryształy i marmur. Mężczyźni w czarnych smokingach i śnieżnobiałych koszulach. Kobiety w wieczorowych sukniach, piękne jak boginie albo przynajmniej oszałamiająco eleganckie i idealnie zadbane. Cat, o dziwo, nie czuła się nieswojo w tej krainie luksusu i przepychu. Wyglądała olśniewająco w swojej granatowej, lśniącej sukni. Nawet Adam przyznał, że dokonała trafnego wyboru. Razem stanowili nieprzeciętnie urodziwą parę. Zdaniem Cat, Adam był najprzystojniejszym mężczyzną na całym balu.

Adam...

Wczoraj, tuż po przylocie, powiedziała mu, że nie może go poślubić. Wcisnęła mu w dłoń pierścionek zaręczynowy. Zanim zdążył otworzyć usta, wyjaśniła:

– To nie twoja wina, tylko moja.

Spuścił głowę. Gdy ją podniósł, na jego ustach błąkał się smutny uśmiech.

– Czułem, że to zrobisz.

– Naprawdę?

– Tak. – Po długim milczeniu zapytał: – Czy mimo to pójdziesz ze mną na bal?

Zamrugnęła zaskoczona.

– Chcesz, żebym poszła?

– Tak. Ty masz już suknię, a ja nie mam partnerki.

– Adam, ja nie zmienię zdania. Nie wrócę do ciebie.

– Wiem o tym. Ale... skoro nie spędzę z tobą całego życia, to przynajmniej ten jeden wieczór.

Uśmiechnęła się do niego. Pomyślała, że Adam ma w sobie tyle klasy, że mógłby ją obdzielić tuzin innych mężczyzn. Nie żałowała, że się z nim spotykała. Po prostu go nie kochała. On to wiedział i rozumiał.

– Dobrze, pójdę z tobą.

I tak oto znalazła się tutaj. Doskonale się bawiła. Do tańca zapraszali ją mężczyźni, których zdjęcia widywała w gazetach. Pomyślała, że będzie miała babci wiele do opowiedzenia. A chwilę później przemknęło jej przez myśl, że nigdy nie tańczyła z Yannisem. Tak wiele było rzeczy, których nigdy z nim nie robiła. I już nigdy nie zrobi.

– Zmęczona? – zapytał Adam.

– Tak, troszeczkę.

– Odwiozę cię do domu.

Dochodziła pierwsza w nocy, gdy dojechali do stojącego na wzgórzu

budynku, w którym mieszkała Cat. Adam zatrzymał auto, ale nie wyłączył silnika.

– Dobranoc, Cat. – Musnął wargami jej policzek. – Dziękuję za ten wieczór.

Cat była zaskoczona. Cieszyła się, że Adam z takim spokojem przyjął wiadomość o ich rozstaniu, niczego nie utrudniał, niczego nie rozgrzebywał, ale dlaczego nie odprowadził jej ostatni raz pod drzwi? Był dżentelmenem, robił to zawsze...

Nagle otworzyły się drzwi auta od jej strony.

– Dobranoc, Landry – rozległ się czyjś męski, szorstki głos.

Yannis?

Cat odwróciła głowę i spojrzała do góry.

– Tak myślałem, że to ty, kiedy zobaczyłem cię z daleka – mruknął Adam. –

Dobranoc, Savas. I powodzenia.

– Dzięki.

Wyciągnął ją za rękę z samochodu. Spojrzała na jego twarz oświetloną blaskiem latarni ulicznej. Miał zapadnięte, nieogolone policzki, blade usta, oczy jak dwie czarne dziury.

On wygląda tak, jak ja się czuję, pomyślała.

– Co ty tutaj robisz?

– Marznę – odparł, szcękając zębami. – Możemy wejść?

– T-tak. Oczywiście.

Miał na sobie dżinsy i koszulkę polo. Kiepski strój na marcowy wieczór w San Francisco. Weszli po schodach na trzecie piętro, otworzył drzwi i wpuściła go do środka.

– Długo czekałeś?

– Pięć czy sześć godzin.

– Godzin?

Przytaknął siny z zimna.

– Nie wiedziałem, że pójdziesz na ten cholerny bal. Myślałem, że zerwałaś z Adamem.

– Bo udowodniłeś mi, że go nie kocham?

Rzuciła torebkę na sofę i zapaliła światło. Obróciła się twarzą do Yannisa, skrzyżowała ręce na piersi i zażądała odpowiedzi:

– Po co tutaj przyszedłeś?

Omiótł ją wzrokiem.

– Pięknie wyglądasz.

– Dziękuję – mruknęła.

– Tu nie chodzi o niego. Wiedziałem, że go nie poślubisz.

Milczała.

– A czy poślubisz... mnie?

Chyba się przesłyszała. Muzyka na balu była taka głośna, nadal dudniła jej

w uszach... Poprosiła, by powtórzył.

– Czy. Za. Mnie. Wyjdiesz?

Zakręciło jej się w głowie. Runęła na sofę. Nie wiedziała, co powiedzieć ani co myśleć.

– D-dlaczego? – wydukała.

Yannis przeczesał dłonią zmierzwiłone włosy.

– Bo cię kocham. Bo chcę spędzić z tobą całe życie. Bo budzę się rano bez ciebie i mam wrażenie, że umarłem. Bo chcę z tobą rozmawiać, kochać się, mieć z tobą dzieci, doczekać się wnuków... Dlatego. Wystarczy?

Ucieszyła się, że siedzi, bo w przeciwnym razie zemdlałaby z wrażenia. Tym razem jej nie całował. Nie dotykał. Nie musiała czekać na słowa, których tak pragnęła. Już je usłyszała.

Ku swojemu zdumieniu, zaśmiała się.

– Tak, wystarczy. Wystarczyłoby samo „kocham cię” – odparła łamiącym się głosem.

Ukląkł przy niej i wziął w swoje wielkie, chłodne dłonie jej ręce.

– A więc?

– Tak. Wyjdę za ciebie.

Jego twarz rozpromieniła się. W jednej sekundzie przestał wyglądać jak żywy trup. Coś rozświetliło go od środka. Położył ręce na jej sukience i jęknął.

– Boże, jak to się zdejmuję?

– Ja to zrobię.

Sięgnęła ręką do ukrytego na plecach suwaka. Sukienka opadła do jej bioder. Wstała i zaprowadziła go do sypialni, gdzie dokończył ją rozbierać, a następnie zrzucił z siebie podkoszulek i zdjął spodnie.

Kochali się gorączkowo, z desperacką namiętnością, potwornym głodem, który trawił ich od środka. Szczytując, Cat miała wrażenie, że cały świat eksploduje... Ale gdy podniosła powieki, Yannis nadal tu był, wpatrując się w nią rozplamionymi oczami. Odtworzyła w myślach jego słowa, jego oświadczenia, i uśmiechnęła się promiennie.

Tak jak zwykł kiedyś to robić, zanurzył twarz w jej włosach, wciągnął głęboko do płuc ich lekko owocowy zapach i wyszeptał:

– Piękne. – Po chwili dodał: – Moje.

– Tak, twoje. Od zawsze.

– Na zawsze?

Skinęła głową.

– Dlaczego wcześniej byłem tak głupi?

– Co masz na myśli?

Opowiedział jej o tym, jak kilka dni temu jego matka przyjechała do niego w środku nocy, oświadczając, że rozstaje się z jego ojcem. Nie mogła dłużej znieść

jego pracoholizmu. Bała się, że zbyt intensywna praca, w wir której znowu rzucił się po zawale, zabije go. A ona zostanie sama... Wtedy właśnie Yannis zrozumiał, że nie chce być egoistą takim jak jego ojciec. Ani takim, jakim sam był przez całe życie, unikając odpowiedzialności, bojąc się bliskości. Zrozumiał, jak cenną rzeczą jest rodzina. Najcenniejszą. Wszystko inne jest tylko dodatkiem.

– Zawsze kochałem swoją rodzinę, ale źle się czułem, widząc dookoła siebie szczęśliwe małżeństwa moich braci i siostr, ich zdrowe i piękne dzieci, ich życie pełne prostych przyjemności. Zazdrościłem im, ale udawałem, że to wszystko mnie nie interesuje. A kiedy trzy lata temu odeszłaś ode mnie i nie wróciłaś, stałem się jeszcze bardziej cyniczny i zgorzkniały. Tylko dlatego, że jedyną rodzinę, jaką chciałem mieć, mogłem założyć z tobą. A skoro to było już niemożliwe, ponieważ wyjechałaś i zaręczyłaś się z innym mężczyzną...

Położyła palec na jego ustach. Wolałaby wykasować te trzy lata rozłąki, udawania, że może żyć bez Yannisa, może być szczęśliwa z kimś innym.

– Twoja mama wróciła do twojego ojca?

– Mam nadzieję. Kiedy wyjeżdżałem z domu, przyjechał ojciec, żeby z nią porozmawiać. Chciałem do nich zadzwonić, kiedy czekałem tutaj na ciebie...

– Dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Nie chciałem się wtrącać. Wcześniej już im powiedziałem, ile dla mnie znaczą. I ile znaczą dla siebie nawzajem. Teraz wszystko zależy od nich. Przede wszystkim od mojego ojca, który tak jak ja, musi przejrzeć na oczy, zdobyć się na odwagę i znaleźć odpowiednie słowa.

– Cieszę się, że tobie to się udało – wyszeptała. – Tak strasznie się cieszę.

Pocałował uśmiechem jej uśmiech.

– Ja też.

– Oto moja skromna rodzinka – oświadczył, gdy stali przed domem jego rodziców na Long Island, ledwie obejmując wzrokiem wystrojony tłum ponad stu jego siostr, braci, bratanków, siostrzenic, cioć, wujków, kuzynów i krewnych. Wśród nich było sporo osób, których Yannis nigdy wcześniej nawet nie widział. – Moja, czyli od tej pory także twoja – dodał z uśmiechem.

Cat zaśmiała się i objęła go ramionami. Stanęła na palcach, aby sięgnąć ustami do jego ust.

– Kocham ich wszystkich! – oświadczyła.

– Zobaczymy, co powiesz, gdy zjadą się do nas na wakacje...

Znowu się zaśmiała. Od kilku dni – odkąd Yannis podarował jej pierścionełk zaręczynowy – nie potrafiła przestać się śmiać i uśmiechać. Wzięli kameralny ślub w małym kościółku na wyspie. Wśród gości była tylko babcia Cat, rodzice Yannisa oraz Misty i Devin z Harrym, który nadal pamiętał swoich tymczasowych opiekunów, ponieważ uśmiechnął się na ich widok i wyciągnął do nich rączki. Cat oddała mu pluszowego zajączka, którego chłopiec najpierw pocałował, a potem

zaczął gryźć.

– Mam ochotę zrobić z tobą to samo, co on z tym zającem – wyszeptał Yannis do ucha Cat, przyprawiając ją o dreszcz.

Następnego dnia urządzili wielkie wesele w domu państwa Savasów na Long Island. Malena i Sokrates przy okazji odnowili śluby małżeńskie. Ojciec Yannis uroczyście przysiągł, że od tej pory będzie pracował mniej, ponieważ chce spędzić ze swoją piękną żoną drugą młodość. Mama Yannis promieniała z radości.

W pewnym momencie do państwa młodych podszedł brat Yannis, George.

– Poznajcie Daniela – powiedział, trzymając na rękach swojego pięcioletniego synka.

– Jaki piękny! – zachwyciła się Cat i zapytała, czy może go potrzymać. Yannis kolejny raz zauważył, jak pięknie jego żona wygląda z dzieckiem na rękach.

– Zostaniesz jego ojcem chrzestnym? – zapytał go George.

– Jasne.

– Odwdzięczysz się nam tym samym? – powiedziała Cat do George'a i poczuła na sobie zdumione spojrzenie Yannis. Zarumieniła się i zerknęła na niego z niewinną miną.

Nie musiała niczego tłumaczyć. Twarz Yannis rozświetlił uśmiech tak promienny, jakiego nigdy jeszcze u niego nie widziała. Nachylił się do niej i całował ją tak długo, aż zabrakło im tchu. Gdy oderwał wargi od jej ust, usłyszał, że Cat nuci pod nosem jakąś znaną melodię ze starego musicalu...

Po chwili przypomniał sobie jej tytuł. *Ach, co za piękny dzień.*

Pomyślał, że sam będzie nucił tę piosenkę każdego dnia do końca życia.

Kate Hewitt

Siedem dni w raju

Tłumaczenie: Jan Kabat

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Czy w ogóle zamierzała malować?

Kobieta wpatrywała się w płótno na sztalugach prawie od godziny. Chase Bryant obserwował ją, popijając drinka w barze nad brzegiem oceanu, i zastanawiał się, czy naprawdę dotknęła kiedykolwiek pędzlem papieru albo płótna. Była wybredna; od razu to zauważył. Spędzała czas w luksusowym kurorcie na karaibskiej wysepce, jej brązowe rybaczki miały nieskazitelne kanty, a bładoniebieska koszulka polo była świeżo wyprasowana. Ciekawiło go, co ta kobieta robi dla odprężenia. Jeśli się w ogóle odprężała. Zważywszy na jej zachowanie, wątpił w to. Mimo wszystko dostrzegał coś intrygującego w sztywnym ułożeniu ramion, w wąskiej linii ust. Właściwie nie była ładna – no cóż, w każdym razie nie w jego typie; lubił blondynki o obfitych kształtach. Ta kobieta była wysoka i koścista. Miała wąską twarz i posępną minę; nawet fryzura wydawała się ascetyczna – czarne włosy ostrzyżone na pazia.

Obserwował ją od chwili, gdy zjawiała się ze sztalugami i farbami pod pachą. Wybrała miejsce dostatecznie blisko baru, by mógł na nią patrzeć, popijając wodę sodową. Żadnego piwa. Była bardzo pedantyczna, kiedy rozkładała sztalugi, pudełko z farbami, mały stołeczek. Przesuwała wszystko cierpliwie, aż znalazło się na swoim miejscu. Wydawało się, że przygotowuje zajęcia dla ludzi po sześćdziesiątce. Cekał, wciąż się zastanawiając, czy potrafi choć trochę malować. Miała wspaniały widok – morze o barwie akwamarynu, rozległą połąć piasku. Niewielu ludzi mogło zakłócać jej pole widzenia; kurort był niezwykle luksusowy i zapewniał dyskrecję. I należał do jego rodziny. A on potrzebował dyskrecji.

Przestała układać swoje rzeczy i usiadła na stołeczku, wpatrując się w morze. Doskonała poza, plecy jak struna. Upłynęło pół godziny. Byłoby to nudne, gdyby nie widział jej twarzy i malujących się na niej emocji, ruchliwych niczym cienie na wodzie. Nie mógł się zorientować, o czym myśli. Był pewien, że o niczym wesółym. Przypuszczał, że czeka na zachód słońca, które zaczęło się już zniżać ku morzu. Ta pora była tutaj iście spektakularna; widział to już trzykrotnie. Lubiał patrzeć, jak słońce zachodzi, dostrzegał coś poetyckiego w tym intensywnym pięknie, które znikало w jednej chwili. Patrzył teraz, jak długie promienie błyskają na spokojnej powierzchni morza tysiącami światełek, a niebo płonie niezliczonymi kolorami – purpurowym różem, turkusem, złotem.

Wciąż tylko siedziała.

Po raz pierwszy doznał irytacji. Przyszła tu ze sztalugami; nie ulegało wątpliwości, że zamierza coś namalować. Czemu więc tego nie robiła? Bała się? Może była perfekcjonistką? Do diabła, wiedział już, że życie jest zbyt krótkie, by czekać na idealny czy nawet odpowiedni moment. Czasem trzeba było po prostu

robić swoje. Życ, dopóki to jeszcze możliwe. Odstawił szklankę, wstał i ruszył w stronę panny Pedantycznej.

Millie czuła się jak idiotka. Przyszła tu malować, a siedziała na tej olśniewającej plaży i wpatrywała się w nieskazitelnie czyste płótno. Nie miała już ochoty. Był to głupi pomysł, coś, co można znaleźć w poradnikach albo magazynach dla kobiet. Podczas lotu czytała o tym, żeby być dla siebie dobrym i miłym. Artykuł mówił o jakiejś kobiecie, która po rozwodzie zajęła się ogrodnictwem i w końcu otworzyła firmę zajmującą się architekturą krajobrazu. Inspirujące. Niemożliwe. Millie odwróciła się od sztalug. Ujrzała przed sobą umięśniony brzuch jakiegoś mężczyzny. Podniosła wzrok i zobaczyła ciemnowłosego adonisa, które się do niej uśmiechał.

– Słyszałem, że patrzy się na wysychającą farbę, ale to jest trochę śmieszne.

No tak. Mądrała. Millie wstała ze stołeczka i teraz ich oczy znalazły się niemal na tej samej wysokości.

– Nie ma tu śladu farby, jak pan zapewne widzi.

– Na co pani czeka?

– Na inspirację – odparła i popatrzyła na niego znacząco. – Nic z tego.

Jeśli próbowała go obrazić albo przynajmniej zirytować, to jej się nie udało. Roześmiał się tylko i obrzucił ją uważnym spojrzeniem ciemnych oczu. Millie stała spięta i bez ruchu, czując narastającą złość. Nienawidziła takich facetów: olśniewających, zalotnych i absolutnie aroganckich. Trzy wady w jej przekonaniu. W końcu zatrzymał wzrok na jej twarzy, a ona, zaskoczona i zaniepokojona, dostrzegła cień niemal współczucia.

– A tak poważnie, dlaczego nie pani nie namalowała? – spytał tonem, w którym nie wyczuwało się już flirtu.

– Nie pański interes.

– Oczywiście. Ale jestem ciekaw. Obserwuję panią prawie od godziny. Najpierw ustawiała pani wszystko bardzo długo, ale przez ostatnie trzydzieści minut patrzyła tylko przed siebie.

– Kim pan jest, prześladowcą?

– Nie. Po prostu śmiertelnie się nudzę.

Przyglądała mu się z uwagą, próbując go rozgryźć. W pierwszej chwili wzięła go za taniego podrywacza, ale w jego słowach było coś dziwnie szczerego. Jakby naprawdę kierowała nim ciekawość. I naprawdę się nudził. Kiedy tak czekał, patrząc na nią z lekkim uśmiechem, odpowiedziała bezwiednie:

– Po prostu nie dałam rady.

– Nie pierwszy raz?

– Coś w tym rodzaju.

Zaczęła pakować do pudełka farby. Nie było sensu udawać, że coś się tego dnia jeszcze wydarzy. Czy innego dnia. Czas malowania dobiegł końca. Wziął

sztalugi, złożył je jednym płynnym ruchem i oddał jej.

– Pozwoli pani, że postawię jej drinka?

Podobało jej się to „pozwoli pani”, ale mimo wszystko pokręciła głową.

– Nie, dziękuję. – Od dwóch lat nie wypięła z żadnym mężczyzną. Nie robiła niczego; oddychała tylko, pracowała i próbowała przetrwać. Nie chciała, żeby ten facet zmienił jej styl życia.

– Na pewno?

Odwróciła się do niego i przyjrzała mu się z uwagą. Naprawdę był irytująco atrakcyjny: ciepłe brązowe oczy, krótkie ciemne włosy, wyraźnie zaznaczona szczeka i ten umięśniony brzuch. Szorty nosił nisko na biodrach, nogi miał długie i mocne.

– Po co pan w ogóle pyta? – zainteresowała się. – Mogę się założyć, że nie jestem w pana typie.

Tak jak on nie był w jej typie.

– Już mnie pani oceniła?

– Bez trudu.

Skrzywił się nieznacznie.

– No cóż, ma pani rację. Jest pani za wysoka i... – Wysunął dłoń w stronę jej twarzy i Millie zeszytniała. – Surowa. No i włosy.

– Włosy? – Dotknęła ich odruchowo.

– Można się przestraszyć.

– Jest pan niepoważny. I niegrzeczny. – Nie mogła jednak powstrzymać uśmiechu. Podobała jej się ta jego szczerość.

– A więc kolacja?

– Myślałam, że chodzi o drinka.

– Wciąż pani ze mną rozmawia, więc podniosłem poprzeczkę.

Roześmiała się mimo woli.

– Zgoda, ale tylko na drinka.

– Jest pani gotowa się potargować?

Poczula nagły przypływ zainteresowania; układy? Czemu nie.

– A co pan innego proponuje?

Przechylił głowę i znów przesunął po niej uważnym spojrzeniem, a jej zrobiło się jednocześnie gorąco i zimno.

– Drink, kolacja i spacer po plaży.

Przeszył ją dreszcz niepokoju.

– Przesadza pan trochę.

Widząc jego szelmowski uśmiech, poruszyła odruchowo palcami u stóp; coś jej drgnęło.

– Wiem.

Zawahała się. Powinna się wycofać, powiedzieć mu, żeby dał sobie spokój,

ale byłoby to coś w rodzaju porażki. Pomyślała, że sobie z nim poradzi. Chciała się o tym przekonać. Potrzebowała tego.

– Świetnie. – Nie chodziło o to, że tego chce. Lubiła mierzyć się z drobnymi wyzwaniem, traktowała to jako sprawdzian wytrzymałości emocjonalnej i fizycznej. „Potrafię przebiec bez zadyszki pięć kilometrów w osiemnaście i pół minuty. Potrafię patrzeć na album ze zdjęciami przez pół godziny i nie uronić łzy”.

Uśmiechając się, wyciągnął rękę w stronę sztalug, które przyciskała do piersi.

– Poniosę je.

– Jest pan bardzo uprzejmy, ale nie trzeba. – Podeszła do kubła na śmieci i wrzuciła do niego płótno. W ślad za nimi poszły sztalugi, farby i stołeczek.

Nie patrzyła na niego, ale czuła, jak się czerwieni. Zachowywała się trzeźwo i praktycznie, zdawała sobie jednak sprawę, że może się to wydawać... surowe.

– Potrafi pani przestraszyć.

Spojrzała na niego, unosząc brwi.

– Mówi pan o moich włosach?

– O wszystkim. Ale proszę się nie martwić, podoba mi się. – Uśmiechnął się szeroko, a ona popatrzyła na niego ze złością.

– Nie martwię się.

– Ale najbardziej podoba mi się to, że tak łatwo panią wkurzyć. – Ruszył w stronę baru.

Millie nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Tak, była drażliwa. Nie opalała się, nie odwiedzała barów, nie umawiała się z nikim. Żadnego relaksu. Przez ostatnie dwa lata zajmowała się wyłącznie pracą. Gdyby poszła na plażę z książką albo MP3, byłoby to dla niej torturą. Teraz przynajmniej miało to trwać tylko tydzień. Mężczyzna – uświadomiła sobie, że nie zna nawet jego imienia – poprowadził ją przez nadbrzeżny bar do stolików rozstawionych na piasku. Cień parasola, wygodne wyściełane krzesła i wspaniały widok na ocean.

Kelner od razu do nich podszedł, więc Millie domyśliła się, że jest tu znany. Prawdopodobnie wydawał mnóstwo pieniędzy.

– Jak pan ma na imię? – spytała, siadając naprzeciwko niego.

– Chase – odparł z uśmiechem.

– Jest czarujący, Chase. Ćwiczysz go przed lustrem?

– Co ćwiczę?

– Ten twój uśmiech.

Roześmiał się i odchylił na krześle.

– Nie, nigdy. Ale rzeczywiście musi być bardzo miły, jeśli sądzisz, że ćwiczę. – Patrzył na nią uważnie. – Chociaż bardziej prawdopodobne, że według ciebie jestem aroganckim dupkiem, który widzi tylko siebie.

Teraz roześmiała się zaskoczona. Nie spodziewała się po nim takiej

szczerości.

- A ja prawdopodobnie mogłabym powiedzieć, co ty myślisz o mnie.
- To znaczy? – Uniósł brew.
- Sztywna, pedantyczna, przemądrzała. Taka, która nie wie, jak się zabawić.
- Od razu pożalowała tych słów. Nie taką rozmowę zamierzała z nim prowadzić.
- Szczerze mówiąc, wcale tak nie myślę. – Wciąż był zrelaksowany, ale taksował ją wzrokiem, a ona czuła się dziwnie odsłonięta. – Przyznam, że owszem, takie właśnie sprawiasz wrażenie. Ale pod spodem, w głębi... – Czekwała na dalszy ciąg. Na podryw. – Wydajesz się smutna.

Zastygła.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Beznadziejna riposta. Millie jednak nic innego nie przyszło do głowy. Wyjęła smartfon i wystukała kilka cyfr. Chase obserwował ją w milczeniu, ale coś w nim wyczuwała. Coś mrocznego, przenikliwego i całkowicie niespodziewanego.

- Jak masz na imię? – spytał w końcu.

Wciąż wpatrując się w telefon, świadoma, że zachowuje się niezbyt grzecznie, odparła:

- Millie Lang. – Żadnych nowych wiadomości. Do diabła.
- Zdrobnienie? Od Millicent? Mildred?
- Od Camilli.

– Camilla – powtórzył, bawiąc się sylabami, przeciągając je ze zmysłową uwagą, która nie wydawała się wymuszona ani udawana. – Podoba mi się. – Wskazał jej telefon. – Co więc się dzieje w prawdziwym świecie, Camillo? Jak twój pakiet akcji? W porządku? Radzą sobie bez ciebie w pracy?

Zarumieniła się i odłożyła smartfon. Miała właśnie sprawdzić indeks nasdaq. Piąty raz tego dnia.

- Wszystko okej. I proszę, nie mów do mnie „Camillo”.

Roześmiał się.

- Zapowiada się miły wieczór. Słowo daję.

Miała wrażenie, że rumieni się na całym ciele. Co za błąd – głupi, idiotyczny błąd. Naprawdę sądziła, że to możliwe – kolacja, zabawa, flirt? Śmieszne.

– Może powinnam już pójść. – Zaczęła się podnosić, ale Chase powstrzymał ją, kładąc dłoń na jej nadgarstku. Dotyk jego smukłych i chłodnych palców na jej skórze sprawił, że poczuła w głębi ciała wstrząs. To nie był typowy dreszcz podniecenia, reakcja na przystojnego faceta. Nie, to był wstrząs. Cofnęła gwałtownie dłoń, słysząc swój przyspieszony oddech. – Nie...

– Rany. – Podniósł ręce uspokajającym gestem. – Przepraszam, mój błąd. – Nie sprawiał jednak wrażenia kogoś, komu jest przykro. Wydawało się, że doskonale wie, co poczuła. – Mówiłem poważnie, Millie. Zapowiada się miły wieczór. Lubię wyzwania.

– Och, błagam. – Ten jego głupi komentarz sprawił, że poczuła się bezpiecznie. Chciała, żeby ten mężczyzna był właśnie taki, jak sądziła: atrakcyjny, arogancki i całkowicie niegroźny.

– Spodziewałaś się, że powiem coś takiego – uśmiechnął się Chase.

Wzięła do ręki menu.

– Zamówimy coś?

– Najpierw drinki.

– Dla mnie białe wino z lodem.

– Dobry wybór – mruknął, wstając od stolika.

Millie patrzyła, jak idzie w stronę baru, i nie mogła oderwać wzroku od jego swobodnego, zamaszystego kroku. Właściwie gapiała się na jego tyłek. Dobrze wyglądał w bermudach. Siłą woli skupiła uwagę na smartfonie. Dlaczego choć raz nie mogła się zniechęcić do pracy? Wiedziała oczywiście dlaczego; nie była do tego zdolna. Jack uparł się, żeby wzięła sobie wolny tydzień – żadnych telefonów. Nie miała wakacji od dwóch lat, a nowa polityka firmy nakazywała, ze względu na zdrowie pracowników, żeby raz w roku wykorzystać przynajmniej połowę płatnego urlopu. Niedorzeczność. Chciała pracować. Robiła to dwanaście, czternaście, a czasem nawet szesnaście godzin na dobę przez ostatnie dwa lata; nic dziwnego, że czuła się nieswojo.

– Proszę. – Chase wrócił do stolika i postawił przed nią kieliszek wina. Millie spojrzała nieufnie na jego drinka; wyglądał jak napój gazowany.

– Co pijesz?

– Colę. – Wzruszył ramionami. – Przynajmniej jest zimna.

– Masz problem z alkoholem? – spytała niespodziewanie.

Roześmiał się.

– Świetnie, przechodzimy od razu do sedna. Nie, nie mam. Chwilowo nie piję, to wszystko.

Upił coli, przyglądając się Millie w zamyśleniu. No dobra, tego rodzaju pytanie było trochę za wczesne, nawet dziwaczne, ale zapomniała już, jak prowadzi się niezobowiązującą rozmowę.

– Skąd jesteś, Millie?

– Z Nowego Jorku.

– Powinienem się chyba domyślić. Wyglądasz na kobietę z wielkiego miasta.

– Och, czyżby? – Poczuła się nieswojo. – Chyba uważasz, że mnie rozgryzłeś.

– Nie, ale jestem spostrzegawczy.

– A ty skąd jesteś?

Obdarzył ją jednym z tych niepokojących uśmiechów. Ma takie ciepłe oczy, pomyślała Millie. Chciała się w nich zanurzyć. Bezsensowne.

– Ja też jestem z Nowego Jorku.

– Chyba mogłam się tego domyślić.
Roześmiał się cicho.

– Jak?

– Wyglądasz na rozkapryszzonego chłopca z wielkiego miasta – odparła, na co on zamrugął z teatralną przesadą.

– Celny cios.

– Przynajmniej się rozumiemy.

– Naprawdę? – spytał cicho, a Millie skupiła uwagę na swoim drinku.

– Dlaczego jesteś taka drażliwa? – dorzucił.

– Wcale nie – odpowiedziała automatycznie. Naprawdę była drażliwa. Już zbyt długo nie zaangażowała się w żaden związek. I nie wiedziała, jak zacząć to teraz. Dlaczego się na to zgodziła? Znowu napiła się wina. – Przepraszam – powiedziała po chwili. – Zwykle nie jestem taka wredna.

– Czyli przy mnie ujawniasz to, co w tobie najlepsze?

– Chyba tak. – Napotkała jego spojrzenie, chcąc uśmiechnąć się z drwiną, ale skrzywiła tylko usta w dziwnym grymasie. Chciała, żeby był niefrasobliwy, ironiczny, płytki. Teraz jednak nie mogłaby go określić w ten sposób.

– Co tu robisz? – spytał.

– Jestem na wakacjach.

– Nie wyglądasz na kogoś, kto lubi wypoczywać z własnej woli.
Było to prawdą, ale nie podobało jej się, że wie. Że wie cokolwiek.

– Och? – Była zadowolona, że stać ją na drwiący ton. – Znasz mnie aż tak dobrze?

Nachylił się, w tym ruchu było coś drapieżnego.

– Tak mi się zdaje.

Millie odchyliła się na krześle i uniosła brwi w udawanym zdziwieniu.

– Jakim cudem?

– Przekonajmy się. – On też się odchylił i rozparł, sprawiając wrażenie całkowicie zrelaksowanego i jednocześnie niezwykle silnego. – Jesteś prawniczką albo pracujesz w finansach. – Zerknął na nią z uwagą i Millie zastygła. – Chyba finanse, coś wymagającego, ale też elitarnego. Zarządzasz funduszem osłonowym? Skąd, u licha, wiedział? Milczała.

– Pracujesz oczywiście do późna – ciągnął Chase, najwyraźniej rozbawiony tą swoją małą grą. – I mieszkasz w wieżowcu z pełną obsługą w... Upper East Side? W każdym razie niedaleko metra. Dojeżdżasz do pracy w niespełna dwadzieścia minut, choć przynajmniej dwa razy w tygodniu pokonujesz ten dystans biegiem. – Uśmiechnął się leciutko. – No i jak mi idzie?

– Kiepsko – oznajmiła Millie sucho. Kipiła z oburzenia, że ten mężczyzna potrafi czytać w niej jak w otwartej książce. Co jeszcze mógł ustalić dzięki tej swojej spostrzegawczości? – Biegam do pracy trzy razy w tygodniu, nie dwa, poza

tym mieszkam w centrum.

- Chyba się pomyliłem – odparł z uśmiechem.
- Mogłabym zgadywać tak samo, jeśli chodzi o ciebie.
- Dobra, strzelaj.

Zaczęła mu się bacznie przyglądać, tak jak on jej. Wzięła głęboki oddech.

– Myślę, że pracujesz w jakiejś pseudokreatywnej dziedzinie jak informatyka albo reklama.

– Pseudokreatywnej? – Omal się nie zachłusnął colą. – Naprawdę jesteś twarda, Camillo.

– Millie – przypomniała mu zwięźle. Tylko Rob nazywał ją Camillą. – Mieszkasz w Chelsea albo w Soho, w jednym z tych luksusowych loftów dla singli. W dawnym magazynie z widokiem na rzekę, całkowicie pozbawionym uroku.

– To jest tak stereotypowe, że aż bolesne.

– W wielkim salonie, w sam raz na przyjęcia. Skórzane sofy, ogromny telewizor i nowoczesna kuchnia pełna gadżetów, z których nigdy nie korzystasz.

Pokręcił głową, nie odrywając od niej wzroku. Uśmiechnął się, jakby się niemal nad nią litował.

– Spudłowałaś.

– Czyżby? – Skrzyżowała ramiona. Czują się dziwnie odsłonięta.

– No dobra, może masz rację co do loftu, ale mieszkam w Tribece. Poza tym mój telewizor jest średniej wielkości, wierz mi.

– A skórzane sofy?

– Skórę czyści się bardzo łatwo, w każdym razie tak twierdzi moja sprzątaczką. – Zobaczył, że Millie się krzywi. – I zapewniam cię, że często korzystam z kuchni. Gotowanie mnie odpręża.

Przyglądała mu się niepewnie.

– Nie gotujesz.

– Gotuję. Ale mogę się założyć, że ty nie. Kupujesz obwarzanka w drodze do pracy, darujesz sobie lunch i pochłaniasz na obiad miseczkę płatków owsianych przy zlewie.

Było to trochę zbyt bliskie prawdy i brzmiało żałośnie. Nagle Millie zaprzagnęła zakończyć tę małą grę. Za wszelką cenę.

– Kupuję też czasem jedzenie na wynos – powiedziała, siląc się na niefrasobliwość. – Czym się tak naprawdę zajmujesz?

– Jestem architektem. Zalicza się do pseudokreatywności?

– Zdecydowanie. – Uświadomiła sobie, że zachowuje się obcesowo, ale bała się stosować inną taktykę. Ten mężczyzna odsłaniał ją tak, że przypominało to obdzieranie ze skóry – bolesne i koszmarnie. Randka dobiegła końca.

– Jest miło, ale chyba już pójdę. – Dopiła wino i zaczęła się podnosić z krzesła, ale Chase powstrzymał ją tak jak wcześniej, chwytając za nadgarstek,

a ona znów zareagowała nerwowo.

– Boisz się, Millie?

– Boję się? – spytała pogardliwie. – Kogo? Ciebie?

– Nas.

– Nie ma żadnych „nas”.

– Wręcz przeciwnie, i to od chwili, w której zgodziłaś się na drinka, kolację i spacer po plaży – oświadczył cichym głosem. – Na razie był tylko drink.

– Puść mnie – powiedziała stanowczo. Wargi miała odrętwiałe, drżała na całym ciele.

Chase uniósł ręce, wciąż patrząc jej w oczy.

– Już puściłem.

Rzeczywiście. Stała w miejscu niczym kompletna idiotka, jakby uwięziona, podczas gdy pętał ją tylko własny strach. Nie mogła odejść. Przyznanie się do porażki nie wchodziło w grę. I gdyby zdołała sobie z tym poradzić – z nim – to czy nie oznaczałoby to czegoś? Czy nie udowodniłaby sobie i jemu, że nie ma nic do ukrycia i że się nie boi? Usiadła z powrotem i posłała mu przelotny, zimny uśmiech.

– Nie boję się.

Dostrzegła w jego oczach iskierkę aprobaty i poczuła się głupio zadowolona. Lepiej mieć ten wieczór jak najszybciej z głowy.

– Zamówimy coś?

– Nie tutaj – oznajmił Chase, a Millie popatrzyła na niego skonsternowana. Uśmiechnął się swobodnie, panując całkowicie nad sytuacją. – Zjemy w bardziej dyskretnym miejscu.

– Bardziej dyskretnym? – niemal pisnęła Millie, a na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

Przyszło mu do głowy, że powinien się zirytować. Ta kobieta była stuknięta albo wymagała cholernego zachodu. Ale nie czuł nawet najmniejszej irytacji. Bawił się tą ich pogawędką, podobało mu się, że nie pozostaje mu dłużna. I intrygowało go coś, co kryło się pod tą twardą powłoką – coś prawdziwego, głębokiego i żywego. Nie bardzo wiedział, co to jest ani co mógłby z tym począć.

Najpierw jednak kolacja.

– Spokojnie, nie zamierzam cię uprowadzić, choć byłoby to interesujące.

– Bardzo śmieszne.

Wciąż zachowywała się sztywno, twarz miała gniewnie zarumienioną. Nie wiedział, że zmiana planów wywoła taką reakcję... Nie, wiedział o tym doskonale. Nie przewidział tylko, że sprawi mu taką przyjemność.

– Masz rację, to niezbyt zabawne – zgodził się, udając skruchę. – Ledwie się znamy. Nie chciałem, żebyś się czuła w jakikolwiek sposób zagrożona.

– Daruj sobie tę poprawność polityczną.

Roześmiał się zachwycony. Millie nie uprawia gierek, nawet tych niewinnych.

– Okej. Mówiąc „bardziej dyskretne”, miałem na myśli pokój. Z przyzwoitką w postaci personelu kelnerskiego i całkowicie bezpieczny. Jeśli oczywiście czujesz się zagrożona.

– Nie czułam się tak ani przez chwilę – odparła Millie.

– Jesteś tego pewna? – spytał cicho, wiedząc, że naciska ją w sposób, który jej się nie podoba.

– „Zagrożona” to niewłaściwe słowo – powiedziała w końcu, a on zorientował się po ostrości jej tonu, że mówi prawdę. – Ale wzbudzasz we mnie niepokój.

– Czyżby?

Uśmiechnęła się zdawkowo.

– Nikt chyba nie lubi, kiedy mówi mu się niedwuznacznie, że je płatki śniadaniowe przy zlewie.

Nieźle. Uświadomił sobie, że miało to charakter obraźliwy.

– Nie użyłbym określenia „niedwuznacznie”. – Choć poniekąd tak się właśnie zachował.

– Tylko dlatego, że jesteś taki spostrzegawczy? – odpaliła.

– Udamy się więc w jakieś dyskretne miejsce, żebyś mogła się dalej czuć zaniepokojona?

– Cóż za atrakcyjna propozycja.

– Dla mnie jest atrakcyjna – oznajmił szczerze.

– Naprawdę? Co we mnie widzisz? – Sprawiała wrażenie ciekawej, ale też zdradzała coś, czego się bał: bezbronność. Naprawdę nie znała odpowiedzi i niech go diabli, jeśli on ją znał.

– A co ty widzisz we mnie? – spytał z kolei.

W jej oczach znów pojawił się cień.

– Rozbawiłeś mnie po raz pierwszy od... bardzo długiego czasu.

– To zobowiązujące.

Otworzyła szeroko oczy, które rozpały się ciepłem.

– Dlaczego?

– Bo będę musiał znów cię rozbawić.

Zdawało mu się przez sekundę, że od razu doprowadzi ją do śmiechu, i poczuł, jak coś wzbiera mu w piersi, przyptyw jakiejś nadziei i szczęścia, które wydawały się absolutnie bezsensowne.

– Nie jestem taka łatwa. – Pokręciła głową.

– Ta rozmowa przybrała właśnie bardzo ciekawy obrót.

– Chodziło mi tylko o rozbawienie – zaprotestowała, a potem naprawdę się roześmiała i jak mała dziewczynka zasłoniła usta dłonią.

– No, udało mi się – zauważył Chase cicho. Poczł jakąś pierwotną i głębką satysfakcję. Rozbawił ją. Dwukrotnie.

Patrzyła na niego, wciąż zakrywając sobie usta. Oczy miała szeroko otwarte, ciepłe i miękkie – jeśli tak można było je określić. Chase poczuł gdzieś głęboko drgnienie – tak, drgnienie fizycznego pożądania, ale coś jeszcze. Coś nie tak bardzo fizycznego i o wiele bardziej niepokojącego, wywołanego przez tę twardą kobietę o miękkich oczach.

– Zmieniłeś umowę – oświadczyła. Znów była konkretna aż do bólu. – Powiedziałeś, że zjemy kolację tutaj, w restauracji.

– Nie powiedziałem – odparł Chase. – Nie przeczytałaś tego, co napisano drobnym drukiem.

Czekał, aż Millie znów wybuchnie śmiechem, ale nie zrobiła tego. Jakby nie chciała, żeby pokazał swoją siłę i rozbawił ją po raz trzeci.

– Nie przypominam sobie, żebyś cokolwiek podpisywała – zauważyła. – A umowy słowne nie są prawnie wiążące.

Odchylił się na krześle; był zdumiony, że czuje się taki żywy. Taki pobudzony. Od miesięcy nie doznał przyływu podobnej energii. Od ośmiu miesięcy i sześciu dni, mówiąc dokładnie.

– No dobrze – powiedział. – Możesz iść.

Waliło mu serce na myśl, że ta kobieta może naprawdę wstać od stolika i ruszyć w stronę plaży, znikając z jego życia. Wiedział też jednak, że musi dać jej szansę. Jeśli miała z nim zostać, to dlatego, że sama tego chce. I musiała to sobie uświadomić. Nie wiedziała, co zrobić, i to ją irytowało. Podniosła wzrok, oczy znów miała czyste i szeroko otwarte, niezdradzające żadnych uczuć.

– Świetnie. Chodźmy gdzieś, gdzie będzie dyskretniej. – Po czym, nie czekając na niego, wstała od stolika.

Chase też wstał, pełen niespokojnego wyczekiwania. Uśmiechając się, ruszył przed siebie.

Millie szła uliczkami kurortu, który w porównaniu z plażą był chłodny i ciemny. Nie uświadamiała sobie jednak ani chłodu, ani ciemności, jakby wszystko w niej było jasne i ciepłe. Budziło to w niej lęk. Również to, że go pragnie. I nie chodziło tylko o pożądanie, urok czy biologiczną reakcję. To było pragnienie. Nie dotknęła mężczyzny od dwóch lat. W rzeczywistości dłużej, bo nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz kochała się z Robem.

– Tędy – mruknął, a ona weszła posłusznie do windy. Była duża, ale sprawiała wrażenie dusznej i ciasnej. Chase wciąż miał na sobie tylko bermudy. Czy cały wieczór zamierzał spędzić bez koszuli?

Millie odchrząknęła nerwowo i nienaturalnie głośno. Chase uśmiechnął się pod nosem. Wiedział, o czym ona myśli. Co czuje. Wiedział, z tą okropną arogancją, że ją pociąga, nawet jeśli jej się to nie podobało. Była zła na samą

siebie. Kolacja z człowiekiem pokroju Chase'a nie mogła niczego zmienić. Wręcz przeciwnie. Ten mężczyzna za bardzo przypominał Roba. Był taki, jaki jej mąż zawsze chciał być: silny, bogaty, władczy. Rob na steroidach. To, czego nie chciała.

- Zwolnij trochę, Millie.
- Co...? – Spojrzała na niego raptownie.
- Twój umysł pracuje na najwyższych obrotach. Widać to gołym okiem.
- To tylko kolacja. – Zmarszczyła czoło.

Chase uśmiechnął się. Millie odniosła dziwne, niepokojące wrażenie wywołane brakiem odpowiedzi z jego strony. Nie zgadzał się z nią. Nie chodziło tylko o kolację. O coś innego, o coś, co budziło w niej lęk.

Ale co?

- Jesteśmy na miejscu.

Drzwi windy rozsunęły się i Chase poprowadził ją korytarzem; po chwili wyszli na prywatny taras. Byli sami. Millie nie czuła się bezbronna, zagrożona czy zaniepokojona. Czuła się przerażona. Co tu robiła? I dlaczego doznawała podniecenia, ilekroć tylko na niego spojrzała? Nie czuła się tak żywa od śmierci Roba, może nawet dłużej – o wiele dłużej. Podeszła do balustrady i położyła dłoń na żelaznej poręczy, wciąż ciepłej. Jaskrawy zachód słońca przybrał już barwę wieczornego indygo, morze w dole przypominało ciemne, spokojne lustro.

- Straciliśmy najlepszy moment – mruknął Chase, stając obok niej.

– Tak myślisz? – Millie nie odrywała wzroku od nieba. – Ten jest dla mnie piękniejszy.

Chase przechylił głowę, a Millie zauważyła, że przesuwa po niej zamyślnym spojrzeniem.

- Nie dziwi mnie to – powiedział i założył jej kosmyk włosów za ucho.

Jej policzek pulsował, jakby przebiegł przez nią prąd.

Odwróciła się i znów spojrzała na zachód słońca.

– Wszyscy lubią te wibrujące kolory – zauważyła, starając się zachować lekki ton. – Ten purpurowy róż i pomarańcz... Olśniewające, ale krzykliwe, jak stara, przesadnie umalowana kobieta.

– Tak, ta chwila po zachodzie jest bardziej w twoim stylu. Elegancja i wyrafinowanie.

- A co ty wolisz? Chwilę przed czy po?

Chase nie odpowiedział, a Millie wydało się, jakby samo powietrze nabrzmiało nagle od oczekiwania. Ciężyło jej w płucach; wstrzymała oddech.

- Przed – odparł w końcu. – Wtedy jest zawsze coś, na co można czekać.

Millie nie miała już wrażenia, że rozmawiają o zachodzie słońca. Zerknęła na Chase'a.

- Powiedz mi, jak ci się udało tak szybko zarezerwować ten taras? A może

robisz to cały czas, tak na wszelki wypadek?

Roześmiał się. Ten mężczyzna cieszył się życiem. Pomyślała, że nie powinna być zaskoczona; od razu uznała go za hedonistę. W tej chwili jednak nie zamierzała go osądzać. Tak naprawdę czuła się zazdrosna.

– Lubisz wiedzieć?

– Jak zawsze.

– Moja rodzina jest właścicielem tego kurortu.

Podniosła gwałtownie wzrok i spojrzała mu w oczy.

– Ach.

Czyli architekt i spadkobierca majątku. Cały czas coś takiego podejrzewała. Powinna doznać ulgi; chciała, by był taki, jaki się jej wydawał, nic więcej, może nawet mniej. Dlaczego więc, patrząc na niego teraz, czuła się odrobinę rozczarowana, jakby ją zawiódł? Jakby naprawdę pragnęła, by był inny?

– Tak. Ach – uśmiechnął się drwiąco, a ona odniosła wrażenie, że odgadł jej myśli, i to nie po raz pierwszy tego wieczoru.

– To pewnie wygodne.

– Ma swoje zalety – odparł obojętnie, bez tej nonszalanckiej lekkości, i Millie uległa na chwilę ciekawości. Po raz pierwszy Chase sprawiał wrażenie spiętego, twarz miał poważną. Podsunął jej krzesło. Na stoliku dla dwóch osób migotała w zapadającej ciemności świeczka.

Millie przypomniała coś sobie nagle.

– Ten kurort należy do rodziny Bryantów.

– Bingo.

– Moja firma zarządza ich dochodami. – Właśnie dlatego tu wylądowała, by przetrwać jakoś ten wymuszony tydzień w leniwym luksusie. Jack to zasugerował.

– Wyznajesz zasadę: łączyć interesy z przyjemnością?

– Kwestia sporna. Zajmuję się w firmie czymś innym.

– No cóż, to dla mnie prawdziwa ulga. – Powiedział to z nietypową dla niego ostrością. Najwyraźniej temat rodziny i jej bogactwa drażnił go.

– Zatem jesteś jednym z Bryantów. – Poczwała instynktownie, że taka uwaga go zirytuje. – Którym?

– Znasz moją rodzinę?

– A kto jej nie zna?

Bryantowie byli stale obecni w nowojorskich tabloidach i na łamach plotkarskiej prasy. Co nie znaczy, by ją to interesowało. Trudno jednak było sprawdzać mejle, nie natykając się na coś takiego. Było trzech synów, o ile mogła sobie przypomnieć.

– Jestem najmłodszym z synów – wyjaśnił zwięźle Chase. Odchylił się na krzesło. Był zrelaksowany, głos miał spokojny. – Mój starszy brat Aaron zarządza naszymi nieruchomościami. Luke, średni, zajmuje się sprzedażą detaliczną.

– A ty się wyłamaleś i robisz swoje?

– Tak.

Wcześniejsza, nieznaczna ciekawość przerodziła się w głębokie zainteresowanie. Dlaczego Chase nie pracował dla rodzinnej firmy?

– Nie ma czegoś takiego jak Bryant Architecture, prawda?

Zacisnął usta.

– Zdecydowanie nie.

– Dlaczego wyłamaleś się z rodzinnej tradycji?

– Przechodzimy do spraw osobistych?

– A tak jest?

– Dlaczego wyrzuciłaś przybory malarskie?

Spojrzała na niego wystraszona. Uśmiechał się ironicznie.

– Ja pierwsza spytałam.

– No dobrze. Nie lubię, jak ktoś mi rozkazuje. Teraz twoja kolej.

– Nie lubię malowania.

Patrzył na nią, a ona na niego. Impas. Więc nie tylko ona miała sekrety.

– Ciekawe – oświadczył wreszcie zamyślony. Nalał do szklanek wody. – Nie lubisz malowania, ale postanowiłaś zawlec cały ten sprzęt na plażę i urządzić sobie pracownię na piasku?

– Kiedyś, kiedy jeszcze byłam młodsza, lubiłam to. – Znacznie młodsza i zdecydowanie mniej wyczerpana. – Pomyślałam sobie, że znów spróbuję.

– Dlaczego zmieniłaś zdanie?

– Nie czułam tego. – Wzruszyła ramionami.

– Nie wydajesz się osobą, która polega na uczuciach.

– Wciąż mnie oceniasz, Chase? – Uśmiechnęła się nieznacznie.

Wybuchnął śmiechem, jakby przyznawał się do porażki.

– Przepraszam.

– W porządku. Potrafię się dostosować do okoliczności.

– Kiedy chcesz.

Przyglądała mu się niepewnie. Może jednak było to coś osobistego.

– Niewykluczone.

– Co oznacza, że nie jesteś taka, jak się wydajesz – zauważył. – Prawda?

– Jestem dokładnie taka, jak się wydaję. – Zabrzmiało to niezbyt pewnie. No, świetnie.

– Nie, chcesz być taka, jak się wydajesz – sprostował. – Dlatego tak to właśnie rozgrywasz.

Poczuła złość, co było lepsze niż ten strach i pożądanie, które w niej wzbudzał jednocześnie.

– Co, odkurzyłeś swój podręcznik psychologii?

Roześmiał się.

– Winny. Nudzę się na tych wakacjach. Co innego mogę powiedzieć?

I tak zwyczajnie rozładował napięcie, które w niej narastało. A jednak Millie nie mogła się oprzeć wrażeniu – wręcz przekonaniu – że zrobił to celowo, że wycofał się dlatego, że sam chciał, a nie dlatego, że ona tego chciała. Jedną z osób przy stoliku kontrolowała sytuację, i to nie była ona.

– No dobrze. – Odetchnęła, starając się ukryć fakt, że serce wali jak młot. – Jeśli jesteś taki znudzony, to co robisz na wakacjach?

– Zalecenie lekarza.

– Słucham? – Pomyślała, że żartuje.

– Stres.

Nie wyglądał na zestresowanego. Wręcz przeciwnie.

– Wakacje ci służą.

– Tak się wydaje. – Wyraźnie silił się na beztroski ton.

Coś ukrywa, pomyślała Millie. Wiedziała z doświadczenia, jak fałszywa bywa taka niefrasobliwość.

– Co więc będziemy jeść? – spytała. Nie naciskał jej, więc i ona nie zamierzała go naciskać. Jeszcze jedna umowa, tym razem milcząca.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Po kilku sekundach przy stoliku zjawił się kelner z tacą pełną jedzenia. Millie patrzyła, jak nakłada jej na talerz lutjanusa w sosie cytrynowym i ryż kokosowy. Pachniało bosko.

Zaczekała, aż kelner zniknie, i zauważyła sucho:

– Niezła obsługa. Warto być jednym z Bryantów. Ma to swoje dobre strony.

– Czasem. – Znowu ten obojętny ton.

– Mieszkasz w kurorcie?

– Mam własną willę. – Tylko nieznacznie podkreślił słowo „własną”, ale Millie domyśliła się, że to drażliwa sprawa.

Skosztowała ryby. Też smakowała bosko. Przełknęła i zobaczyła, że Chase patrzy na nią. Po prostu patrzył, nie jakoś szczególnie, a mimo to poczuła reakcję ciała, dostrajanie się do jakiejś wewnętrznej częstotliwości. Poczowała ożywienie. Tyle czasu upłynęło...

– Dlaczego jesteś na wakacjach, Millie?

Czy jej imię zabrzmiało w jego ustach intymnie? Przełknęła kawałek ryby.

– Zalecenie lekarza.

– Naprawdę?

– Nie. Szefa. Nie miałam już dawno urlopu.

– To znaczy?

Miała wrażenie, że zaraz się udławi.

– Dwa lata – zdołała jakoś wykrztusić.

– Dość długo – zauważył po dłuższej chwili.

- To samo powiedział mi szef.
- Ale nie chciałaś wyjeżdżać na żadne wakacje?
- To chyba oczywiste.
- W dużym stopniu.
- Lubię pracować.
- Zarządzasz funduszem osłonowym?
- Z powodzeniem.
- I lubisz to?

Już chciała powiedzieć: „Oczywiście”, ale jakoś nie przeszło jej to przez gardło, jakby ktoś zasłonił jej usta. Patrzyła więc tylko, przełykała i czerwieniła się. Dlaczego w ogóle spytał? – zastanawiała się poirytowana. Z pewnością to lubiła, skoro pracowała tak ciężko.

– Rozumiem – oznajmił.

Ogarnęła ją nagle furia.

– Nic nie rozumiesz. – Była wściekła. Dlaczego ten facet sprawiał, że tyle czuła i tyle odsłaniała?

– Może nie – przyznał. Nie wydawał się ani odrobinę poruszony.

Millie odetchnęła niepewnie. Ta randka to był kiepski pomysł.

– Teraz twoja kolej.

– Co? – Zamrugła zdumiona.

– Musisz mi zadać pytanie natury osobistej. Uczciwe, prawda?

Nie spodziewała się tego.

– Dlaczego nienawidzisz być jednym z Bryantów?

Teraz to on zamrugwał.

– Nienawiść to zbyt mocne słowo.

– Owszem.

– Nigdy go nie użyłem.

– Nie musiałeś. – Upiła wody, rękę miała pewną, oddech spokojny. – Nie tylko ty potrafisz czytać w ludziach.

– Potrafisz we mnie czytać? – Chase nachylił się nad stolikiem, oczy błysnęły mu w blasku świecy. – O czym teraz myślę?

Wyzwanie. Millie nie miała odwagi odpowiedzieć.

– Nie wiem, o czym myślisz – odparła i odwróciła wzrok.

– Tchórz. – Chase parsknął śmiechem.

Tak, może była tchórzem, ale i on był. Millie wiedziała, że zachowywał się wobec niej prowokująco, bo nie chciał odpowiedzieć na jej pytanie dotyczące jego rodziny. Odsunęła talerz, choć zjadła ledwie do połowy.

– Co z tym spacerem po plaży?

– Już skończyłaś? – Uniósł brwi.

Pomyślała, że im prędzej upora się z tym wieczorem, tym lepiej.

- Było pyszne – zapewniła. – Ale już wystarczy.
- Mam nadzieję, że mówisz tylko o jedzeniu.
- Możesz to rozumieć, jak chcesz.
- W porządku, Millie. – Podniósł się z krzesła. – Chodźmy.

Sięgnął do jej dłoni, a Millie bezmyślnie i głupio pozwoliła mu wziąć się za rękę. Gdy tylko poczuła jego dotyk, znów doznała tej wewnętrznej burzy i zrozumiała, że całkowicie przepadła.

ROZDZIAŁ DRUGI

Chase poczuł, jak palce Millie sztywnieją w jego dłoni; po rękę przebiegł mu dreszcz. Wydawała się krucha – szczupłe kości okryte delikatną skórą. Nagle zapragnął się nią opiekować. To był głos ewolucyjnego instynktu, bo jeśli jakaś kobieta nie potrzebowała opieki, to właśnie Camilla Lang. Pomyślał, że uwolni rękę, był nawet tego pewien, ale się mylił. Nie chciała pewnie okazać słabości. Uśmiechnął się i wykorzystując sytuację, zacisnął palce, a ona od razu zeszywniała. Ta kobieta naprawdę była drażliwa. Chase podejrzewał, że ma po temu jakieś powody, i to poważne. Nieudany związek albo złamane serce; może coś mroczniejszego, trudniejszego. Nie chciał tego wiedzieć. Miał dość własnych problemów i nie zamierzał się nimi dzielić z Millie. Mimo to pomógł jej wstać, wciąż trzymając ją za rękę, i wyprowadził z tarasu na zewnątrz. Ruszyli między stolikami nadbrzeżnej restauracji wprost na piasek. Szła z nim bez słowa, nie próbując się uwolnić, ale też niezbyt zadowolona z takiego obrotu sprawy. Byli sami w ciemności. Millie uwolniła rękę niezbyt łagodnym ruchem.

– Przejdźmy się.

– Dobry pomysł.

Szli w milczeniu po plaży. Millie kroczyła wyprostowana jak struna, jej spodnie i bluzka wciąż wyglądały nieskazitelnie. Prawie zatrzymał się miejscu. Co on tu robił z tą kobietą? Czy nie można było lepiej spędzić czasu?

– Co? – Odwróciła się do niego, a on dostrzegł w blasku księżyca te ciepłe, miękkie oczy, przyćmione bezbronnością, którą starała się ukryć.

– To znaczy?

– Myślisz o czymś.

– Zawsze o czymś myślę. Jak większość ludzi.

Cień w jej oczach nabrał głębi.

– Nie, chodziło mi o to, że... – urwała, przygryzając po swojemu wargę. Przyszło mu do głowy, że w końcu się zrani. – Żałujesz tego, prawda? Tej całej głupiej randki.

– A ty? – Przystanął i obrócił się do niej twarzą.

– To chyba jasne, nie sądzisz?

Cofnął się o krok, przesuwając dłonią po włosach.

– Bardzo się różnimy, Millie.

– Dzięki Bogu.

Nie potrafił zdobyć się na śmiech. Doznawał zbyt wielu emocji: tęsknoty i pożądania, irytacji i irracjonalnego strachu. Co za piekielna mieszanka. Zaprosił ją, bo wydawało się to zabawne, ale zaczęło być coraz bardziej intensywne. Odetchnął przeciągle.

– Może powinniśmy na tym poprzestać.

Zamruła, jej twarz od razu straciła jakikolwiek wyraz. Chase zaklął w duchu. Nie chciał jej zranić, ale wiedział, że właśnie to zrobił.

– Millie...

– Świetnie. – Zaczęła się oddalać, wyprostowana jeszcze bardziej.

Obserwował ją przez chwilę, wyczerpany jej uporem i zły na siebie za swoją niezręczność.

– Nie zostajesz w kurorcie?

– Kończę nasz spacer.

Parsknął śmiechem. Ta kobieta podobała mu się jednak, bez względu na jej problemy.

– Nie wiedziałem, że umawialiśmy się na określony dystans.

– Nie dłużej niż dziesięć sekund. – Nawet się nie odwróciła.

Była już tak daleko, że musiał krzyczeć.

– Spacerowaliśmy ponad pięć minut!

– Najwidoczniej nie masz dość siły.

Było w tym więcej prawdy, niż był gotów przyznać.

– Millie. – Nie krzyknął tym razem, ale wiedział, że go usłyszała. Dostrzegł to w naprężeniu jej ramion, niepewności kroku. – Wracaj.

– Po co?

– No dobra, idę do ciebie.

Ruszył szybko przed siebie, zostawiając głębokie ślady w mokrym piasku, aż wreszcie ją dogonił. Nie zastanawiając się nawet nad tym, czy to dobry pomysł, ujął jej twarz. Jej skóra była jak chłodny jedwab, nawet lodowaty, a mimo to niewiarygodnie miękkie. Wszystko było miękkie, oczy, wargi, skóra. Była dostatecznie blisko, by mógł ją pocałować, a jednak tego nie zrobił. Nie opierała się, nic nie robiła. Była jak sarna zastygła w świetle reflektorów samochodowych, jak królik w sidłach. W pułapce. Przerazona.

– Przepraszam – tchnął w jej usta, mogąc sobie wyobrazić jej smak. Wiedział, że będzie czysty i świeży jak białe wino, które piła, tyle że to byłby jej smak. Esencja Camilli.

Cofnęła się nieznacznie.

– Za co?

– Za to, że zachowałem się jak palant.

Uśmiechnęła się leciutko.

– Którą chwilę tego wieczoru masz na myśli?

– No dobra, jak przemądrzały palant. Chodziło mi o tę sprzed dwóch minut, kiedy powiedziałem, żebyśmy z tym skończyli. – Przesunął kciukiem po jej wardze, bo nie mógł się powstrzymać, i poczuł, jak Millie zadrżała. – Wcześniej nie byłem chyba aż takim palantem.

Nie odpowiedziała. Zobaczył, że ma rozchylone usta, źrenice rozszerzone. Pożądanie. Krótki moment czułości rozpałił się nagle w coś niepowstrzymanego i niecierpliwego. Wiedział, że nie chodzi o zwyczajny pocałunek. A nie był w stanie zaakceptować czegokolwiek innego. Millie wyswobodziła się z jego objęć i cofnęła.

– Dzięki za przeprosiny – powiedziała tym swoim chłodnym głosem. – Ale są niepotrzebne. Ciekawie było cię poznać, Chase, sądzę jednak, że oboje dotrzyaliśmy umowy. – Uśmiechnęła się bez humoru, a on nie mógł znieść posępnosci w jej oczach. Do diabła, miały być takie miękkie. – Dobranoc – powiedziała i ruszyła z powrotem po plaży.

Nie patrzyła nawet, dokąd idzie. Chciała oddalić się od niego. Prawie ją pocałował. Prawie mu pozwoliła. W chwili, gdy jego dłonie muskały jej skórę, pieszcząc twarz jak coś cennego, chciała, by to zrobił. Pozwoliłaby mu na wszystko i dzięki Bogu, że nic nie zrobił i że ona miała dość sił, by się wycofać. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała, to zaangażować się z mężczyzną pokroju Chase'a Bryanta.

Zostawiła plażę za sobą. Chciała wrócić do swojego pokoju i miała nadzieję, że przy odrobinie szczęścia nie zobaczy Chase'a przez cały tydzień. Dlaczego jednak ta myśl rodziła w niej nie tylko rozczarowanie, ale wręcz poczucie osamotnienia? Millie pomyślała, że ten wieczór dowodził jednego: że jest gotowa coś ze sobą zrobić. Zdecydować się na związek.

Tyle że nie z człowiekiem takim jak Chase Bryant.

Te słowa rozbrzmiewały echem w jej głowie, kiedy się rozbierała, żeby wziąć prysznic. Czy rzeczywiście tego nie chciała? Związać się z kimś, kto potrafił widzieć ją taką, jaka była, ranić ją? Z pewnością nie chciała być raniona. Doświadczyła tego w życiu wielokrotnie. Weszła pod prysznic, zmagając się z myślami. Była tutaj – i Chase był – na tropikalnej wyspie, przez tydzień, i oboje nie mieli nic do roboty...

Właściwie dlaczego nie?

Co nie?

Nabrała na dłoń zbyt dużo szamponu i zaczęła wcierać go we włosy, drapiąc skórę, jakby chciała pozbyć się tych koszmarnych myśli. Co jej się roziło? Tygodniowy związek z Chase'em Bryantem. Romans. Tania, odrażająca seksualna transakcja. Nie akceptowała romansów. Oczywiście. Mąż był jej jedynym kochankiem. A jednak to rozważała. Zastanawiała się, jak smakowałby Chase, gdyby trzymał ją w ramionach. Chciała tego.

Musi tylko powiedzieć Chase'owi.

Chase patrzył na wyprostowaną postać, która szła miarowym krokiem po plaży, i zastanawiał się, dlaczego Millie go szuka? Nie mylił się; zmierzała prosto w jego stronę. Nie ulegało wątpliwości, że Millie Lang przypuszcza atak. A on

oczekiwał tego z radosną niecierpliwością. Przysiadł na pokładzie swojej łodzi żaglowej. O jej burty chlupotała łagodnie woda, słońce grzało przyjemnie plecy. Millie zbliżyła się jeszcze bardziej. Nie miał pojęcia, czego od niego chce. Przestał już rozmyślać o ich ostatniej randce – o pocałunku, do którego nie doszło, o bólu, który pojawił się na jej twarzy, o tym, że nie mógł zasnąć przez trzy godziny, wciąż widząc jej oczy. Postanowił, że nie będzie się nad niczym zastanawiał.

– Tu jesteś – oznajmiła.

– Szukałaś mnie?

– Owszem, szczerze mówiąc. – Dostrzegł w niej zdecydowanie.

– Jestem zaintrygowany. – Wstał, krzywiąc się nieznacznie z powodu bólu w stawach. Nie mógł już dłużej tego lekceważyć. Przyglądała mu się zmrużonymi oczami, a on się uśmiechnął. – Co więc cię trapi, groźna damo?

– To twoja łódź? – Stłumiła uśmiech.

Rozejrzał się wokół, przesadnie zdziwiony.

– Co... to?

– Bardzo zabawne.

– Tak, moja.

– Przypłynąłeś tu na niej?

Kiedyś było to możliwe. Ale nie teraz. Nie ufał już sobie na morzu.

– Nie, przyleciałem samolotem, jak większość ludzi. Trzymam ją tutaj.

– Przypuszczam, że Bryantowie to duża żeglarska rodzina. Pewnie jako dziecko należałeś do klubu jachtowego.

Dosłyszał znajomą ironię w jej głosie. Nie dorastała w luksusie, więc spodziewała się, że on urodził się w przysłowiowym czepku.

– Jako kilkulatek. – Wzruszył ramionami. – Żeglujesz?

– Nie.

– Powinnaś spróbować.

– Po co? – Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Bo to frajda. I wolność. Poza tym chciałbym zobaczyć cię na wodzie, twoje włosy porywane przez wiatr. – Zauważył, że trochę się rozchmurzyła.

– Chciałbyś, co?

– Tak, chciałbym.

– No cóż, już wyraziłeś opinię na temat mojej fryzury.

– Prawda. – Parsknął śmiechem. – Nie krępuj się i powiedz mi, co tobie nie podoba się w moim wyglądzie.

Przyjrzała mu się od stóp do głów, a Chase poczuł żywsze bicie serca. Podobało mu się to niespieszne, uważne spojrzenie. Millie Lang go oceniała.

– Powiem ci – oznajmiła z wolna. – Ale na razie niczego nie dostrzegam.

– Nie? – Czyżby Millie z nim flirtowała? Co zmieniło się od ostatniej nocy, kiedy to była ostra jak brzytwa? Kiedy pozwolił jej odejść, bo uznał, że tak będzie

lepiej – albo łatwiej?

A potem nie przestał o niej myśleć przez całą noc.

– Wejdz na pokład. – Wyciągnął do niej rękę.

Popatrzyła na nią nieufnie, a potem, zaczerpnąwszy oddechu jak przed nurkowaniem, chwyciła jego dłoń i przedostała się na łódź. Była to mała żaglówka z pojedynczą kabiną. Kupił ją za swoje pierwsze honorarium i opłynął nią pół świata, kiedy jeszcze był dzieckiem szczęścia. Teraz pływał po płycznach, niczym siedemdziesięcioletni emeryt. Żadnego ryzyka. Żadnego stresu. Żadnej frajdy.

– Jest... ładna – oznajmiła Millie.

Zorientował się, że nie ma pojęcia o łodziach. Co z tego? Podobało mu się, że jest z nim na pokładzie, nawet jeśli jej ubranie wciąż wyglądało nieskazitelnie.

– Mógłbym cię kiedyś zabrać – powiedział. – W rejs.

Dlaczego tu była? Przysunął się do niej, chłonąc jej zapach, coś czystego i cytrynowego. Odetchnął głęboko. Odwróciła się do niego, włosy poruszyły się niespokojnie.

– Mógłbyś – odparła niepewnie.

Wiedział, że Millie zamierza coś powiedzieć – ale co? Przybrał swobodną pozę.

– Więc?

– Co „więc”?

– Dlaczego tu jesteś, Millie?

Znowu to spojrzenie osaczonej zwierzyny. Ta kobieta była ucieleśnieniem sprzeczności.

– A to ważne?

– Ani trochę. – Była to prawda.

Zaczęła pocierać sobie ramiona, jakby zrobiło jej się zimno.

– Jak długo zostaniesz na wyspie?

– Chyba z tydzień.

– Nie wiesz dokładnie?

– Jestem elastyczny.

– A potem wracasz do Nowego Jorku?

– Taki mam zamiar.

– Nigdy cię tam nie spotkałam – powiedziała niemal do siebie, a Chase z trudem ukrył zdziwienie.

– To duże miasto.

Spojrzała na niego.

– I obracamy się w innych kręgach.

– Chyba tak.

– Zatem już się raczej nie spotkamy.

Powinien właściwie poczuć się obrażony, ale miał ochotę się uśmiechnąć.

Dlaczego tak mu się podobała ta jej uszczypliwość?

– Boisz się tego?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Tak po prostu będzie lepiej.

– Jeśli tak uważasz, to co robisz na mojej łodzi?

– Chodziło mi o to, co będzie później. Za tydzień.

Wciąż nie rozumiał.

– Okej. Chyba to przeżyję. – Nawet jeśli nie był pewien, czy tego chce.

– Tak będzie łatwiej – zauważyła niemal szczerze. – Dla mnie.

Teraz był naprawdę zmieszany.

– Millie, nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Wiem. – Zaciśnęła usta i skinęła zdecydowanie głową.

No dobra, pomyślał Chase, zaraz wszystko się wyjaśni.

– Pociągasz mnie. Pewnie wiesz o tym – wyznała niespodziewanie.

Wzruszył ramionami, co mogło oznaczać wszystko. Nie chciał psuć tej chwili, zgadzając się albo nie; chciał tylko, żeby mówiła.

– A ty pociągasz mnie. Chyba.

Sprawiła wrażenie tak żalostnej, a jednak tak wzruszająco bezbronnej, że z trudem się powstrzymał, by jej nie przytulić. Nie miał tylko pojęcia, co potem.

– Pociągasz mnie, Millie. Bardziej, niżbym się kiedykolwiek spodziewał.

Parsknęła śmiechem.

– Bo nie jestem w twoim typie.

– Nie. Ma to jakieś znaczenie? – Nie był nawet pewien, dlaczego o to pyta.

O co jej chodziło?

– Chyba nie. – Nie wydawała się do końca przekonana.

– Wierz mi, pociągasz mnie. – Gdyby zniżyła wzrok, przekonałaby się o tym.

– No cóż, w porządku.

– Cieszę się, że się zgadzamy.

Odetchnęła i popatrzyła mu prosto w oczy. Bezbronność i siła, twardość i miękkość.

– Mam nadzieję.

– Może wyjaśnisz po prostu, o co ci chodzi.

– Dobrze. – Odetchnęła głęboko. – Chcę się z tobą przespać.

Chase zachował spokój. Nie roześmiał się, nie unióśł brwi ani nawet nie zamrugął.

– Okej – oznajmił w końcu. – Dobrze... wiedzieć.

– Cieszę się, że tak uważasz.

Potarł się po brodzie, co wydało jej się seksowne.

– Skąd ta decyzja? – spytał.

No tak, zamierzał pytać. Niemal każdy facet wziąłby jej słowa za dobrą monetę i od razu spuścił spodnie. Ale nie Chase.

– Co masz na myśli?

– Dlaczego ja?

– Jesteś tu, wydajesz się interesujący i pociągasz mnie.

Uniósł brwi.

– Zakładam, że nie zawsze się tak zachowujesz.

– Właściwie nie. – Patrzyła mu w oczy.

– To dlaczego teraz?

Ile powiedzieć? Postanowiła trzymać się obranej taktyki.

– Nie chcę wchodzić w szczegóły. Nie chodzi o uczucia ani o to, żeby się lepiej poznać. Nic w tym rodzaju.

– Doceniam twoją szczerłość.

– To dobrze. – Znowu poczuła, że się rumieni. Wszystko to wydawało się świetnym pomysłem zeszłej nocy, kiedy nie mogła zapomnieć, jak bardzo pragnęła, by ją pocałował. Kiedy romans z Chase'em Bryantem wydawał się szansą na ucieczką od dawnego życia. Szansą, żeby choć na chwilę zapomnieć.

Teraz nie wyglądało to już tak prosto.

– Więc? – przynagliła zdecydowanym tonem.

– No cóż, schlebia mi to. – Pochylił się nad pokładem, żeby wciągnąć jakąś linę, a Millie czekała w napięciu. – Ale nie wskakuję tak szybko do łóżka.

– Żartujesz. – Starła się zachować obojętny wyraz twarzy.

Wyglądał na prawie rozbawionego.

– Skąd myśl, że jestem bawidamkiem, panno Groźna?

– Nie o to mi chodziło. – Millie podejrzewała, że jej twarz jest teraz krwiscie czerwona. – Tylko o to, że zaprosiłeś mnie wczoraj wieczorem, więc uznałam, że jesteś... no wiesz... otwarty.

– Otwarty? – Teraz był naprawdę rozbawiony.

– Na niezobowiązujący... – urwała, nie chcąc tego powiedzieć. Romans? Przygodę? Związek?

– Epizod? – podsunął usłużnie, a ona skinęła głową.

– Tak. Epizod.

– Interesujące. – Sięgnął po drugą linę, a Millie poczuła kołysanie łodzi pod stopami.

– No więc udzielisz mi odpowiedzi? – spytała, próbując nie okazywać niecierpliwości. Ani desperacji.

– Odpowiedzi – powtórzył w zamyśleniu Chase.

Millie zacisnęła zęby. Bawił się nią.

– Tak, Chase. Odpowiedzi.

– Czy się z tobą prześpię.

Zacisnęła szczęki.

– Tak.

Uśmiechnął się, zwijając tę drugą linę.

– Krótka odpowiedź brzmi: tak.

Odetchnęła z ulgą.

– A długa odpowiedź?

– Zrobimy to na moich warunkach.

Odwrócił się do niej, całkowicie rozluźniony i opanowany. Millie poczuła, jak podskakuje w niej serce. Nie było to przyjemne. A więc Chase zamierzał się z nią przespać. A ona z nim. Zamierzali uprawiać seks. Zaszło jej w gardle. Co właściwie rozpoczęła? I jak miało się to skończyć?

– Odpreż się, Millie. Nie zamierzam od razu ściągać spodni.

Tego właśnie początkowo od niego chciała: prostej, szybkiej transakcji. Teraz nie wiedziała, czego chce. Przełknęła nerwowo.

– Jakie są więc twoje warunki?

– Nie martw się. Dowiesz się w swoim czasie.

Zbyt późno zauważyła, że już płyną. Oddalali się od nabrzeża, a Chase grzebał przy żaglach czy takielunku. Nie miała o żeglarstwie bladego pojęcia.

– Co robisz? – spytała.

– Żegluję.

– Ale ja nie...

– Powiedziałem, że chcę cię widzieć na swojej łodzi – przerwał jej z uśmiechem. – Jak wiatr rozwiewa ci włosy.

– Ale...

– Moje warunki, Millie.

Wciąż się uśmiechał. Miała ochotę zakląć. W co się wpakowała?

– Rozluźnij się – powiedział.

– O to poniekąd chodziło – mruknęła.

– Cieszę się – oznajmił ze śmiechem.

Patrzyła, jak Chase rozwija żagiel; białe płótno łopotało w porywach wiatru. Uświadomiła sobie, że jest sam na sam z mężczyzną pośrodku morza. Z Chase'em. Nie była wystraszona ani zdenerwowana. Czowała się pobudzona. Żywa.

– Okej. – Podeszła do niego. – Dokąd płyniemy?

– A musimy dokądś płynąć?

– Lubię wiedzieć, na czym stoję.

– Zauważyłem.

Wiatr rozwiewał jej włosy. Kosmyki przywierały do jej warg, odsuwała je zniecierpliwiona. Chase uśmiechnął się zadowolony.

– Co? – spytała z irytacją. – Jesteś fetyszystą? Kobiety i włosy?

– Lubię, kiedy jesteś bardziej zrelaksowana. Bardziej naturalna – urwał,

jakby ważył słowa. – Miękka.

– Przestań – wymówiła to słowo ostrym tonem. – Przestań.

Teraz zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

– Co?

– Nie próbuj mnie zmieniać. Nie o to tu chodzi.

Nie zniosłaby, gdyby traktował to ze swej strony jak jakąś nieszczęsną misję.

Żeby się odprężyła i cieszyła życiem. Nie miał pojęcia.

– A o co chodzi? – spytał spokojnie. – O seks?

– Tak. Dałam to chyba jasno do zrozumienia.

– Owszem. – Z tym samym spokojem podszedł do żagła i zaczął coś z nim robić. – A ja dałem jasno do zrozumienia, że wszystko odbędzie się na moich warunkach. Uważaj!

– Co...?

Zobaczyła, że coś ciężkiego i drewnianego zmierza w stronę jej twarzy i po chwili poczuła na ramionach jego dłonie, które ją odciągnęły. Wpadła na jego klatkę piersiową, plecy uderzyły o nagie, twarde mięśnie. Walilo jej serce, jego ręce wydawały się gorące, kciuki dotykały odsłoniętej skóry na obojczyku.

– Co to było? – spytała roztrzęsiona.

– Bom. Musiałem halsować.

– Halsować?

– Zmienić kierunek. Powinienem cię ostrzec, ale ta rozmowa o seksie trochę mnie rozkojarzyła.

Brakowało jej słów. Myślała tylko o tym, że Chase ma takie ciepłe dłonie i że jego palce niemal otarły się o jej piersi. I o tym, jak bardzo tego pragnie.

– Dobrze się płynie. – Opuścił ręce. – Możemy usiąść.

Millie ruszyła za nim w stronę wyściełanej ławeczki na rufie. Chase wyjął z lodówki butelkę wody mineralnej i podał jej, potem sam się napił.

– Zdrowie. Przepraszam, że nie mogę uczcić tej doniosłej chwili szampanem.

– Dlaczego nie pijesz?

– Zalecenia lekarza. Ograniczenie stresu. – Znowu ta wystudiowana swoboda. Nie mówił jej prawdy albo przynajmniej nie do końca.

– No dobrze, powiedz mi o tych swoich warunkach.

– Po pierwsze sam zdecyduję, kiedy to zrobimy. I gdzie. I jak.

– Daleko posunięte żądanie.

– Wiem. I nie proszę. Po prostu mówię.

Omali nie upuściła butelki.

– Nie za bardzo mi to odpowiada.

– Okej. – Wzruszył ramionami.

– Co to znaczy: okej?

– Umowa zerwana. Żadnego seksu.

Przygryzła wargę.

– Nie o to mi chodziło.

– Jeśli chcesz się ze mną przespać, to musisz przystać na moje warunki.

– Brzmi to tak... zimno.

– Nie, Groźna, to ty chcesz pospiesznego numerku. Potem się otrząśniesz i będziesz żyła dalej.

– Nigdy tak nie mówiłam.

– Mylę się?

Odwróciła wzrok.

– To nie musi być nic pospiesznego.

– O co więc chodzi, o jakiś przełom? Pierwszy seks po zerwaniu z facetem, z którym byłaś bardzo długo?

Wpatrywała się w morze, w białe falbanki pośród nieskończoności błękitu.

– Nie.

– Rozwód?

– Nie.

Westchnął.

– Coś jednak jest, prawda?

– Może.

– Świetnie. Nie chcesz mi powiedzieć. Żadnych szczegółów.

– Zgadza się.

– Ale uprzedzam, nie interesuje mnie bezduszna, paskudna transakcja. Jeśli tego właśnie chcesz, idź do agencji towarzyskiej albo posiedź trochę dłużej w barze. Ktoś się trafi.

Zacisnęła zęby.

– Atrakcyjne, ale nie jestem zainteresowana.

– Dlaczego?

– Bo... – zawahała się. Było tak, jakby bez trudu przełamywał jej fortyfikacje, a ona nie mogła temu zaradzić. – Bo nie chcę tego.

Nachylił się.

– Czego właściwie chcesz, Millie? – spytał cicho.

Spojrzała na niego.

– Pragnę ciebie.

Patrzył na nią z uśmiechem i triumfem w oczach. Do diabła. Po co to wyznała?

– A ja ciebie – oznajmił. – I to bardzo. Ale chcę, żeby chodziło o coś więcej niż przełom, więc zrobimy to po mojemu.

Więcej niż przełom. Tkwiła już w tym po uszy. Była taka głupia, wmawiając sobie, że potrafi kontrolować Chase'a. Więc dlaczego w to brnęła? Dlaczego wciąż tu była, gotowa dotrzymać umowy? Czy naprawdę tak bardzo go pragnęła?

– W porządku. Zrobimy to po twojemu. Ale muszę wiedzieć, na czym to ma polegać.

– Nie – uśmiechnął się szeroko.

– Nie?

– Nie. Konieczne minimum informacji. Nic więcej.

Ścisnęła butelkę.

– Muszę wiedzieć, Chase.

– Ja o tym decyduję.

Nie mogła uwierzyć, że jest tak koszmarnie autokratyczny i arogancki, a ona to znosi. Czyżby odezwała się w niej niegrzeczna dziewczynka, która lubi, kiedy się jej rozkazuje?

– Świetnie. – Łyknęła wody, żeby zwilżyć wysuszone usta. – Co teraz?

– Teraz się rozbierzesz.

Upuściłaby butelkę, gdyby Chase jej nie złapał.

– Spokojnie. Żartowałem. Teraz się odprężymy, nacieszymy słońcem i morzem. Powiem ci, kiedy pojawi się kwestia ubrania albo jego braku.

Pokręciła głową.

– Dlaczego to robisz?

– Co?

– Bawisz się mną.

Uniósł brwi.

– Takie odnosisz wrażenie?

– W dużym stopniu.

– No cóż. – Spojrzał na nią bez wahania. – Pewnie dlatego, że ty próbowałeś robić to samo ze mną.

– Nieprawda. – Cofnęła się przestraszona.

– Czyżby? Wchodzisz na moją łódź i na dobrą sprawę żądasz, żebym się z tobą przespał. Uważasz, że się położę i pozwolę ci na wszystko?

– No... niezupełnie.

– Myślisz, że możesz mi mówić, jak, kiedy i gdzie mam uprawiać z tobą seks?

– Sam to robisz!

– Właśnie. I nie zamierzam trafić do twojego smartfona, żebyś mnie wykasowała, jak już będzie po wszystkim. Nie jestem funduszem osłonowym, Millie. Nie jestem pozycją, którą się odhacza. I nie jest nią to, co dzieje się między nami.

Miała wrażenie, że jej piersi ściska żelazna obręcz.

– Nic się między nami nie dzieje.

– Nieprawda. Wiesz o tym doskonale.

– Czego ty chcesz, Chase?

– Ciebie. Tak jak ty chcesz mnie. Sądzę tylko, że inaczej to pojmujemy.

Zdawało jej się, że tonie, i nie miała pojęcia, jak się uratować.

– Chyba tak – wydusiła w końcu.

Patrzył, jak Millie stara się przetrwać to, co powiedział. Musiał przyznać, że zagrał ostro. Sam nie wiedział dlaczego. Wydawało mu się, że poprzedniego wieczoru też nie zachował się delikatnie, a mimo to teraz przykręcił śrubę jeszcze bardziej. Działał instynktownie, mówiąc jej, że to on będzie rządził, i nie dlatego, że nie chciał być dla niej zabawką; czuł przez skórę, że Millie sama pragnie wyzbyć się tej swojej cennej wyższości. Chciał być tym, który jej to umożliwi. A to, co było między nimi... Miała rację. Niczego nie było. Nie tak naprawdę. Na razie. Czego więc chciał? Napił się wody, złakniony zimnego piwa. Sam był wystraszony całą tą rozmową. Tym, że prosił o więcej, niż kiedykolwiek zamierzał pragnąć, a co dopiero posiadać. Może zachowywał się w ten sposób, ponieważ od czasu diagnozy wszystko w jego życiu stało się ważniejsze, bardziej pożądane. Cenne. I jeśli czuł bliższy związek z jakąś kobietą, to być może powinien wykazać się zdecydowaniem. Kontynuować to tak długo, jak tylko się da. Tyle że nie wiedział nawet jak długo. Niewiele miał opcji do wyboru. Niewiele swobody. Przyszło mu do głowy, że kiepski z niego partner. Mimo wszystko Millie chodziło tylko o jeden tydzień, a to mu odpowiadało. Tyle mógł dać. I byłby to najbardziej niewiarygodny, intensywny tydzień, jaki oboje kiedykolwiek przeżyli.

– W porządku, Groźna?

– Robisz to celowo? – Popatrzyła na niego, wciąż trochę oszołomiona.

– Co?

– Przypierasz mnie do muru. Żebym się czuła nieswojo.

Milczał, udając, że się zastanawia.

– Tak.

– Pozwól, że coś ci wyjaśnię, Chase. Nie chcę, żeby ktokolwiek mnie naciskał. Chcę sobie zafundować tygodniowy romans i fantastyczny seks. To wszystko. A jeśli uważasz, że nie zdołasz mi tego zapewnić, to lepiej od razu odstaw mnie na brzeg. – Drżała.

– Fantastyczny seks?

– Tak. Zdecydowanie.

– Chyba dam radę.

– I nic ponad to – dodała z naciskiem.

– Na tym polega problem.

Westchnęła zniecierpliwiona, zakładając włosy za uszy. Wyglądała teraz młodziej, choć domyślał się, że jest w jego wieku. Po trzydziestce.

– Dlaczego?

– Bo nie sądzę, by seks mógł być fantastyczny, jeśli się nie naciska.

W przenośni, oczywiście.

Na jej twarzy malowało się takie niedowierzanie, że niemal się skrzywił.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie uprawiałeś wcześniej seksu dla zabawy?

Żadnych skoków w bok? Romansów?

– Nie twierdzą tak. – Doświadczył tego aż nadto swojego czasu. Nie był szczególnie dumny ze swej przeszłości, ale musiał się do niej przyznawać.

– To dlaczego upierasz się przy czymś więcej?

Wyciągnął nogi i splótł dłonie na karku.

– Zależy, co rozumiesz przez „więcej”.

– Przestań mówić zagadkami.

– No dobrze, postawię sprawę jasno. Będziemy tu przez tydzień, zgadza się?

– Zgadza się.

– Tydzień wyrwany z czasu, z rzeczywistości. I nie zobaczymy się więcej w Nowym Jorku. Tak?

– Tak.

– Widzisz, jesteśmy w tej samej sytuacji.

– Wyduś to z siebie – rzuciła zirytowana.

Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Uwielbiał ją irytować.

– Dajesz mi więc jeden tydzień, a ja daję ci fantastyczny seks. Umowa stoi?

– Nie podpiszę jej, dopóki nie powiesz dokładnie, o co chodzi.

– Dasz mi jeden tydzień – powtórzył. Nachylił się do niej, świadomy podniecenia i niecierpliwienia w głosie, w ciele. Niemal czuł, jak przebiega między nimi napięcie. – Jeden tydzień. Siedem dni. Ale dasz mi wszystko, Millie. Dasz mi całą siebie, żadnych uników. Jak na tacy. A ja w zamian oferuję ci fantastyczny seks.

Patrzyła na niego długą chwilę, źrenice miała rozszerzone – czy to był strach, czy pożądanie? Pewnie jedno i drugiego. Nie mógł wprost uwierzyć, że to robi. Nie mógł uwierzyć w to, jak bardzo tego pragnie.

– To wredny układ – zawyrokowała w końcu.

– Naprawdę tak sądzisz? – Doznał lekkiego rozczarowania, ale wciąż żywił tę niecierpliwą nadzieję. Millie była tutaj. Wciąż z nim rozmawiała, wciąż pragnęła.

A on pragnął jej, na Boga. Bardzo.

– Powiedziałam ci, że nie chcę pakować się w jakąś uczuciową historię. Nie chcę cię poznawać, Chase.

Rozczarowanie przemieniło się w autentyczny ból. Stłumił go czym prędzej.

– Z wyjątkiem aspektu seksualnego, jak rozumiem.

Westchnęła zdesperowana.

– Zmieniasz całkowicie to, na co się zgodziliśmy.

– Nie. Ty zmieniasz. Moje warunki, pamiętasz?

Uświadomiła to sobie z całą mocą. Czekał.

– Myślałam, że chodzi ci o... fizyczną stronę... kwestii. Coś bardziej wyrafinowanego. – Oblała się rumieńcem.

– To też możemy sobie zafundować, jeśli chcesz – zaproponował. Miało to w sobie intrygujący powab. – I rzeczywiście, powiedziałem „kiedy”, „gdzie” i „jak”, to prawda. Ale teraz dostarczam ci minimum koniecznych informacji.

Popatrzyła w milczeniu na horyzont.

– Nie chcę mówić o swojej przeszłości – oświadczyła zdecydowanie. – Wszystko, tylko nie to.

– Twardy warunek.

Spojrzała na niego, a on to odczuł jak cios. Wyglądała tak posępnie.

– Jeśli się nie zgadzasz, to od razu możesz zawrócić.

Patrzył jej w oczy. Była naprawdę piękna, ale to piękno wydało mu się niezwykle surowe. I ten smutek. Tyle smutku.

– Nie ma potrzeby – odparł, siłąc się na lekkość. – Zgadzam się.

Odetchnęła z ulgą.

– Dobra.

– Zatem umowa stoi?

Prawie się uśmiechnęła.

– Chyba tak.

Chase wstał, żeby ustawić żagle.

– Czas zacząć nasz tydzień.

ROZDZIAŁ TRZECI

Patrzyła, jak Chase steruje łodzią, i starała się zapanować nad szybkim biciem serca. Na próżno. Nie mogła uwierzyć, że się zgodziła. Że chciała się zgodzić. To nie były jej warunki, nie na dłuższą metę, ale uznała, że jakoś to przeżyje. Tydzień. Ani słowa o przeszłości. No i fantastyczny seks.

– Dokąd płyniemy? – Przyłączyła się do niego, gdy operował żaglem. Już wiedziała, że to bom.

– Ahoj, widzę ład. – Wskazał półksiężyc piasku pośród wody. Nic specjalnego.

– Co to jest?

– Nasza wersja *Ocalonych*.

– Bezludna wyspa?

– Wiedziałem, że jesteś bystra.

– Co będziemy tam robić?

Spojrzał na nią znacząco.

– A jak myślisz?

Millie przełknęła zbyt głośno.

– Spokojnie – dodał. – Zjemy lunch.

– Aha.

– Chociaż jestem prawie przekonany, że powinniśmy to zrobić. Przestałabyś patrzeć na mnie tak, jakbym miał lada chwila rzucić się na ciebie.

Doznała nagle niepokoju – i ulgi.

– Może to dobry pomysł.

Znów spojrzał na nią znacząco.

– Powiedziałem: „prawie przekonany”.

– No cóż, kiedy zamierzamy wobec tego...?

– Minimum koniecznych informacji – przypomniał jej beztrąsko. Potem zaczął kotwiczyć łódź. Dobili do brzegu wyspy – rzeczywiście, nic specjalnego.

Zeskoczył z łodzi pierwszy, odwrócił się i wyciągnął rękę.

– No?

Stała na pokładzie, opierając niepewnie stopę o reling.

– Nie, dzięki.

– Daruję ci tym razem, ale pamiętaj o naszych warunkach, Groźna – musisz dać mi wszystko.

Zauważyła, że jest jednocześnie poważny i zadowolony z siebie, a potem, bez słowa ostrzeżenia, skoczyła z łodzi i wylądowała wprost na nim. Zdążył tylko sapnąć i upadł w wodę, pociągając Millie za sobą. Od razu się przemoczyła i poczuła dotyk jego twardego ciała. Błysk podniecenia przyćmił wszelką myśl.

Dostrzegła jak przez mgłę, że Chase krzywi się z bólu. Zażenowana, próbowała zsunąć się z niego.

– Stało ci się coś...?

– Nie. Ale mnie zaskoczyłaś. – Zsunął dłonie niżej, na jej biodra. – Nawet mi się to podoba.

Wokół nich pluskała słona i ciepła woda. Ich twarze niemal się stykały, widziała kropelki na jego policzku i wargach. Nie mogąc się powstrzymać – właściwie dlaczego miałyby to robić – dotknęła czubkiem palca kropli na policzku Chase'a. Westchnął, patrząc jej w oczy. Już śmieiej dotknęła kropli na jego wargach. Ogarnęło ją pożądanie. Wystarczyłby jeden leciutki dotyk...

Chase się nie poruszył, opierał tylko dłonie na jej biodrach; łączyła ich bolesna bliskość. Czują na udach jego podniecenie i przesunęła się instynktownie, nie wiedząc nawet, czego pragnie. Nie potrafiła myśleć jasno. Chwila się przeciągała i Millie wstrzymała oddech, czekając, aż Chase się poruszy. W końcu to zrobił.

– Okej. – Uśmiechnął się i zsunął ją z siebie. – Lunch.

Zatem jeszcze nie teraz. Doznała dziwnego wrażenia, jednocześnie rozczarowania i ulgi. No tak, kiedy oglądali zachód słońca, powiedział, że woli bardziej chwilę przed niż po. Wciąż mieli na co czekać. Podniosła się, on też.

– Masz pod spodem kostium? – spytał.

– Kostium? – Popatrzyła na mokry top i rybaczki. – No... nie.

– Szkoda. Miałem nadzieję, że zobaczę cię w skąnym bikini.

– Nie mam bikini.

– Nich zgadnę... masz sensowny kostium jednoczęściowy?

– Łatwo się opalam.

– Przypomnij mi po lunchu, żebyś wysmarował cię kremem. Najpierw jednak ponurkujemy.

– Ponurkujemy? – spytała z niedowierzaniem. – Przecież nie mam kostiumu.

Wzruszył niedbale ramionami.

– Będziesz musiała pływać w bieliźnie. Albo nago. Jak wolisz.

– Co? – krzyknęła niemal.

Chase uniósł brwi.

– Millie, mamy spać ze sobą, tak? Patrzeć na swoje nagie ciała? Dotykać się w najbardziej intymnych miejscach? Doprowadzać się do ekstazy?

Czerwieniła się. Jak ogień. Za dużo szczegółów.

– To nie znaczy, że masz mnie w biały dzień oglądać tylko w bieliźnie.

– Może postanowiłem kochać się z tobą w biały dzień. – Wskazał wąskie pasmo piasku. – Może właśnie tam, na plaży.

Millie spojrzała w tamtą stronę i ujrzała ich dwoje, nagich, oblepionych piaskiem i splecionych.

– Mimo wszystko to coś innego – mruknęła.

Westchnął zniecierpliwiony.

– Chcesz pływać w ubraniu?

– Nie. – Sama nie wiedziała, czego chce.

Lecz jeśli wciąż tego pragnęła, to dlaczego się opierała? Dlaczego klóciła się z Chase'em w każdej drobnej sprawie? Przecież już ustalili, że nie będzie pytał jej o przeszłość. I że nie zobaczą się więcej po upływie tego tygodnia.

– Doskonale. – Gwałtownym ruchem ściągnęła top przez głowę i zsunęła spódnicę. Ubranie zaczęło się unosić na powierzchni morza, a ona uświadomiła sobie zbyt późno, że nie ma nic na zmianę. Nie bawiło jej, że będzie paradować po plaży tylko w bieliźnie. Uniosła brodę i popatrzyła na niego ze złością. – Usatysfakcjonowany?

– Nie określiłbym tego w ten sposób – odparł Chase, obrzucając ją leniwym spojrzeniem. – Raczej zadowolony.

Millie zadrzała, choć było parno. Czowała się śmiesznie w beżowym staniku i majtkach, mimo że Chase miał na sobie tylko bermudy. Oboje byli niemal nadzy, a jednak... Kiedy ostatnim razem ktoś oglądał ją w tak skąpym stroju? Rob, oczywiście. Był jedynym mężczyzną, który widział ją w bieliźnie, pomijając położną. Ta myśl była jednocześnie absurda i nieznośna. Pod uważnym spojrzeniem Chase'a czowała się boleśnie świadoma swoich wad. Uśmiechnęła się i wyjął z łodzi dwie maski do nurkowania. Millie patrzyła na nie podejrzliwie.

– Dlaczego właściwie mamy nurkować? Myślałam, że zjemy lunch.

– Najpierw musimy go złowić.

– Chyba żartujesz.

– A wyglądam na kogoś, kto żartuje?

– Skoro pytasz...

– To łatwe, wierz mi. Szukamy muszli, wiesz, takich dużych, różowych. – Skinęła głową. – Znajdziemy dwie, wyjmę z nich mięso i przyrządzimy sobie pyszną sałatkę.

– Na surowo?

– Nie jadłaś nigdy suszi?

– Tylko w luksusowej restauracji w Soho.

– Zaryzykuj, Millie.

Zmarszczyła czoło.

– Nie chcę się nabawić zatrucia pokarmowego.

– Sok cytrynowy zawiera dostatecznie dużo kwasu, żeby zabić wszelkie zarazki – zapewnił. – Jadłem to mnóstwo razy. – Chase rzucił jej maskę. – Szukaj muszli. Potrzebujemy tylko dwóch.

Włożyła niepewnie maskę. Wzięła głęboki oddech i zanurzyła się w innym świecie. Zobaczyła, że między skały umyka jakaś ryba w barwach tęczy. Woda

była niewiarygodnie czysta, dno oceanu otwierało się przed nią i ciągnęło w nieskończoność. Poczula, jak palą ją płuca; wynurzyła się, by nabrać powietrza.

– W porządku? – Chase też się wynurzył i teraz patrzył na nią z troską.

– Tak. – Była mu wdzięczna, że się o nią martwi. Może i zmuszał ją do wysiłku, ale martwił się o nią.

– Popłynemy dalej – zaproponował.

Podążyła za nim na głębszą wodę. Pływali i nurkowali w milczącej synchroniczności; wreszcie dostrzegła konchę usadowioną na skale, perlisko różową i fosforyzującą. Zanurkowała i objawszy dłonią jej gładką skorupę, wypłynęła na powierzchnię. Chase już na nią czekał.

– Mam! – krzyknęła jak rozradowane dziecko.

– Ja też jedną złowiłem. Wystarczy.

Ruszyli w stronę brzegu. Millie usiadła na plaży, podczas gdy Chase wziął z łodzi nóż, deskę i kilka limonek.

– Jesteś przygotowany.

– To danie nie wymaga zachodu, ale jest pyszne.

Słońce suszyło jej skórę, kiedy siedziała wsparta łokciami o kolana i patrzyła na niego. Mogła się domyślić, że nie pozwoli jej na beczynność. Skinął na nią.

– Możesz pomóc.

– Mam pokroić limonki? – spytała z nadzieją głosem.

– Pomyślałem, że spodoba ci się coś bardziej wymagającego. Możesz zająć się muszlami.

Poczula lekkie obrzydzenie, ale nie zamierzała dyskutować. Popatrzyła na mokry top, który suszył się na pokładzie, świadoma, że wciąż ma na sobie tylko stanik i majtki. Przynajmniej nie prześwitywały. Chase uchwycił jej spojrzenie.

– Twoja bielizna jest skromniejsza od niektórych bikini, jakie widziałem.

– Mogę się założyć.

– No dalej, Groźna. Dasz radę.

Dał jej nóż i poinstruował, jak się nim posługiwać, by opróżnić muszlę z zawartości. Krzywiąc się, Millie spróbowała i za trzecim razem udało jej się.

– Nieźle. Teraz musimy to tylko pofiletować. Mogę się tym zająć.

– Proszę.

– Pokrój limonki.

Pracowali przez chwilę w przyjaznym milczeniu. Kiedy wszystko zostało już przygotowane, Chase wziął z łodzi drewnianą miskę i zmieszał składniki. Potem podzielił sałatkę na dwie porcje i podał Millie talerz.

– Pani lunch, madame.

– Dziękuję. – Skosztowała i nie mogła ukryć zaskoczenia.

– Mówiłem, że będzie dobre.

– Nie musisz mi tego powtarzać. – Trąciła go żartobliwie stopą.

Chase uniósł brwi. Jakby z nim flirtowała. A ona po prostu... dobrze się bawiła.

– O czym myślisz?

Podniosła wzrok.

– To jest smakowite, ale szkoda łapać tak piękne stworzenia.

– Są piękne – przyznał. – I uznawane za gatunek zagrożony. Ale nie martw się, jest ich tu mnóstwo. Właściciele kurortu pilnują tego.

– Bardzo ekologiczne z ich strony. Polityka Bryantów?

– Polityka Chase'a Bryanta. I bardzo rozsądne z ekonomicznego punktu widzenia. Jeśli nie będziemy dbać o wyspę, nie będzie kurortu.

– Myślałam, że nie masz nic wspólnego z kurortem.

– Właściwie nie, ale interesuję się sprawami środowiska naturalnego, więc...

– Wzruszył ramionami, Millie nie dała się jednak zwieść.

– Coś się stało?

Zauważyła, że zeszywniał. Po krótkiej chwili odzyskał jednak tę swoją beztroskę.

– Mam przypomnieć klauzulę: ani słowa o przeszłości?

– Chodziło o moją, nie twoją.

– Zakładałem, że jest to obustronne.

– Drobnny druk – uśmiechnęła się.

Chase dokończył sałatkę, potem wziął naczynia i zaniósł do łodzi.

– Rozrabiałem w młodości, popełniłem kilka poważnych błędów i ojciec zdecydował, że nie powinienem mieć nic wspólnego z rodzinnym biznesem. – Wzruszył ramionami, jakby chodziło o zamierzchną przeszłość. – Poszedłem więc własną drogą i jestem cały w skowronkach. Albo w konchach.

Millie wyczuła pęknięcia w tej jego zbroi. Za bardzo silił się na lekki ton, a historia wydawała się zbyt prosta. Nie zamierzała go jednak naciskać.

– Chodź. – Wyciągnął do niej rękę. – Zbadamy wyspę.

– Zajmie nam to pewnie dwie minuty.

– Zdziwisz się.

Pomógł jej wstać, poczuła jego silną dłoń. Ten dotyk przyprawił ją niemal o dreszcz. Pomyślała, że gdy w końcu zaczną uprawiać seks, będzie on zdumiewający. Fantastyczny. Czy była na to gotowa?

– Nie denerwuj się – powiedział łagodnie Chase. – Wolę łóżko albo przynajmniej jakieś wygodne miejsce. Plaża wydaje się romantyczna, ale piasek bywa kłopotliwy.

– Próbowaleś tego? – Starła się nie okazywać rozdrażnienia. Zazdrości. Nigdy nie kochała się na plaży.

– Kilka razy. – Wzruszył ramionami. Prowadził ją w stronę niewielkiego zagajnika palm. – Wierz mi, rzecz jest przereklamowana.

Millie biła się z myślami. Okej, łóżko. Jakie? Jej własne, to w kurorcie? W jego willi? Jak zamierzali to zrobić? Bała się niezgrabności i zażenowania. Nie kochała się od ponad dwóch lat, a wcześniej tylko z jednym mężczyzną. Co jej strzeliło do głowy, żeby proponować przelotny romans? Nie nadawała się do tego. Wiedziała też, że rozważa to wszystko za późno. Trzeba było wcześniej pomyśleć o konsekwencjach. Nim zgodzili się na ten układ. Nim uświadomiła sobie, co to oznacza i że nie ma czegoś takiego jak prosty seks. Wiedziała jednak doskonale, że nie zamierza się wycofać. Pragnęła go. Czy miał na łodzi łóżko?

– Tak! – zawołał, a Millie stanęła jak wryta między drzewami.

– Co znaczy: tak?

Zatrzymał się i odwrócił irytująco rozbawiony.

– Tak, mam na łodzi łóżko.

Rozdziawiła usta.

– Powiedziałam to głośno?

– Nie, ale mogłem zajrzeć ci w myśli. Łatwo cię rozgryźć, choć przykro mi to mówić.

– Nie przewidziałeś, że skoczę na ciebie z pokładu – przypomniała mu.

– Prawda. Lubię, jak mnie zadziwiasz.

Ona też lubiła. Lubiła dotyk jego zwartego ciała. Sama myśl o tym przyprawiała ją o szybszy puls. Dlaczego czekała, aż ją pocałuje? A gdyby ona pocałowała jego?

– Nie spiesz się z tym – mruknął Chase. – Nasz pierwszy pocałunek musi być szczególny.

Parsknęła.

– Potrafisz czytać w myślach?!

– Patrzyłaś na moje usta jak na ostatni raport z giełdy. Nie trzeba było geniuszu, by odgadnąć, co ci chodzi po głowie.

Wyswobodziła dłoń z jego uścisku.

– Dokąd właściwie idziemy?

Znowu wziął ją za rękę.

– Pokażę ci.

Szli przez kilka minut między palmami. Chase przystanął w pewnej chwili i przyciągnął Millie do siebie. Zrobił to z taką swobodą, że nie odczuła najmniejszego zażenowania.

– Patrz.

Spojrzała we wskazanym kierunku i zobaczyła mały, uroczy staw pośród drzew, mikroskopijną oazę; jej powierzchnia przypominała zwierciadło. Millie uklękła i nabrała dłońmi wody; była czysta i chłodna. Popatrzyła na Chase'a.

– Jest świeża?

– Tak, to podziemne źródło. Napij się – poradził Chase. – Próbowałem jej

wcześniej, smakuje wspaniale. W mieście mogłabyś ją sprzedawać po pięć dolarów za butelkę.

Napiła się, świadoma jego wzroku. Kiedy to łyk wody stał się zmysłowy? Prowokacyjny?

– Wiesz, co jest najbardziej zdumiewające? – spytał.

– Co?

– Chodzisz przez większość dnia w bieliźnie i nawet tego nie zauważyłaś.

Roześmiała się zażenowana.

– Dzięki za przypomnienie.

Uśmiechnął się.

– Chciałem właściwie powiedzieć, że dwieście lat temu na małym atolu kilkaset metrów stąd wylądowali rozbitkowie bez kropli słodkiej wody. Nie odkryli tego miejsca i umarli z pragnienia.

– To straszne.

– Wiem. Gdyby spróbowali tu dopłynąć albo zbudować jakąś tratwę, mogliby przeżyć. – Pokręcił głową. – Ale za bardzo się bali.

Millie zmrużyła oczy.

– Mam wyciągnąć z tego jakieś wnioski?

Patrzył na nią z przesadną niewinnością.

– Wnioski?

Wyprostowała się.

– Gdyby ci żeglarze wykazali się większą odwagą, przeżyliby. Naprawdę. Wystarczyło tylko przepłynąć kawałek.

– Wątpię, czy w ogóle umieli pływać. Jak większość marynarzy w tamtych czasach.

– Nie potrzebuję opowieści z morałem.

– Był oczywisty, prawda?

– Aż nadto.

– W dodatku wszystko zmyśliłem.

Roześmiała się, trochę oburzona.

– Naprawdę?

– Nie. Ta historia jest prawdziwa. No cóż, w każdym razie taka krąży tu legenda. – Uśmiechnął się, a Millie nie wiedziała, czy ma go chwycić za gardło, czy pocałować. Miała ochotę zrobić jedno i drugie.

– Jesteś niesamowity.

– Tak słyszałem.

Popatrzył na nią znacząco.

– Posłuchaj, Chase, wiem, że jestem spięta i muszę się odprężyć. Pewnie śmiejesz się ze mnie.

– Nie śmieję się – odparł cicho Chase. – Wierz mi, to nie żarty.

Odwróciła wzrok, zaniepokojona poważnym tonem jego głosu.

– Nie chcę odgrywać narzuconej roli – powiedziała. – Lekkomysłny playboy uczy sztywną pracoholiczkę, jak się zrelaksować i bawić. Pokazuje jej, jak się naprawdę żyje. Nie tego od ciebie oczekuję.

Chase zbliżył się do niej.

– To może powinnaś mi powiedzieć, czego naprawdę chcesz.

Popatrzyła mu w oczy.

– Fantastyczny seks, pamiętasz?

– Tak. I pamiętam o układzie, który zawarliśmy. Jeden tydzień, a ty dajesz mi wszystko.

Podszedł do niej jeszcze bliżej, tak blisko, że poczuła jego ciepło, jego zapach. Słońca, piżma, męskości.

– Nie wiem, ile mogę dać.

Dotknął delikatnie jej brody.

– Ktoś cię skrzywdził, Millie. Rozumiem to. Ale tym razem może być inaczej.

Pokręciła głową, przełykając łzy.

– Nikt mnie nie skrzywdził, Chase. Nie tak, jak myślisz.

– Żadnych pytań o przeszłość, wiem – powiedział z cieniem uśmiechu. – A ten tydzień nie będzie jakąś lekcją. Jesteśmy tylko my. Mamy się sobą cieszyć.

– Okej.

Pogłaskał ją po policzku, a ona z trudem się powstrzymała, żeby nie zamknąć oczu i nie poddać się tej drobnej pieścizocie.

– Lubię patrzeć, jak otwierasz się niczym kwiat w słońcu. Lubię widzieć, jak na twojej twarzy pojawia się niespodziewanie uśmiech.

– Przestań.

– To cię przeraża, Millie? Tracisz poczucie bezpieczeństwa?

– Tak – przełknęła nerwowo.

Ujął drugą dłoń jej twarz, tak jak poprzedniej nocy. Zaledwie poprzedniej nocy? Miała wrażenie, że zna tego mężczyznę od lat. I że on zna ją.

– Ile czasu upłynęło od chwili, kiedy byłaś szczęśliwa?

– Dwa lata – odparła, zanim zdążyła pomyśleć. – Ale tak naprawdę dłużej.

Patrzyła na niego i wiedziała, że czerpie z niej więcej, niż ona zamierzała mu dać, i że chce tego. Chase przyglądał jej się z czułością i jednocześnie zawziętością, a potem pochylił się i musnął wargami jej usta. Westchnęła pokonana, gdy jej wargi rozsunęły się bezwiednie. Jego usta były takie, jak sobie wyobrażała: miękkie, twarde, chłodne, ciepłe. I tak boleśnie delikatne. Musnął jej wargi po raz drugi i trzeci, było to jak powitanie. Potem dotknął czubkiem ich kącika. Pozbawiona słów rozmowa dwojga ust. Jej wargi rozsunęły się zachęcająco. Zaczął ją całować jeszcze namiętniej, jego dłonie zacisnęły się na jej

twarży, a Millie uniosła ręce, żeby oprzeć je na jego nagich ramionach. Jednocześnie pragnęła się cofnąć i wszystko przeanalizować. Jego dłonie wydawały się większe niż dłonie Roba. Ciało twardsze. Pocałunek bardziej wymagający i jednocześnie bardziej delikatny. Bardziej pewny siebie. A jednak czy potrafiła sobie przypomnieć ten ostatni raz, kiedy całowała się z Robem? Tamtego dnia były tylko cierpkie słowa, niecierpliwe westchnienia... Nie pożegnała się z nim nawet. Chase uniosł głowę, odsuwając się nieznacznie. Millie zamrugła zdziwiona.

– Twój brak reakcji jest nieco deprymujący.

– Co? – Wciągnęła powietrze jak ryba. – Przecież widziałeś...

– Owszem, widziałem. Zaczęło się przyjemnie, ale potem odpłynęłaś. – Nie mogła temu zaprzeczyć. – O czym myślałaś, Millie? O jakimś innym facecie, prawda?

– Nie! – zaprotestowała, przygryzając wargę. Nie potrafiła kłamać, nie w przypadku Chase'a. – Nie mogłam się powstrzymać.

Po raz pierwszy zobaczyła, że się gniewa. Albo że jest zraniony. Coś błysnęło w jego oczach, potem się opanował.

– Wiem, że za dużo myślisz. Musisz się czasem wyłączyć, Millie.

– Wiem. – Zawsze to wiedziała. Cały ten romans sprowadzał się do tego, by nie myśleć. By nie pamiętać. Nie dręczyć się wyrzutami.

– Wracajmy na łódź – powiedział. – Musimy dopłynąć do kurortu przed zmrokiem.

Ruszyła za nim w milczeniu przez zagajnik palmowy i plażę. Chase nie obejrzał się ani razu, nie pomógł jej też wejść na pokład. Jakby wszelka serdeczność między nimi ulotniła się bez śladu. Millie zabrała swoje rzeczy, suche i sztywne od soli, i przycisnęła je do piersi. Stała niepewnie, podczas gdy Chase odcumowywał łódź; biła z niego tłumiona energia. Gniewał się na nią?

– Mogę się gdzieś przebrać?

– Nie zawracaj sobie tym głowy.

– Co? – Nie podobała jej się ta surowość w rysach twarzy. Zniknął czarujący, charyzmatyczny mężczyzna, którego polubiła i któremu zaufała. – Nie chcę wracać w samej bieliźnie.

Chase spojrział na nią z dziwną obojętnością.

– Możesz się ubrać później.

– Później?

– Po seksie. Tego chciałaś, prawda, Millie? Żadnych uczuć, poznawania siebie. – Rozłożył ręce z chłodnym uśmiechem. – No cóż, jesteśmy tu. Sami na oceanie, a w kabinie jest bardzo wygodne łóżko. Nie ma powodu, by do niego nie wskoczyć.

Millie przełknęła z wysiłkiem.

– To znaczy teraz?

– W tej chwili. – Wskazał kciukiem drabinkę prowadzącą pod pokład. –
Idziemy.

Co on wyprawiał, u diabła? Był skończonym draniem, sądząc po przerażeniu na jej twarzy. Ale czuł gniew. Świadomość, że Millie myślała o jakimś palancie, podczas gdy on przelał całą duszę w pocałunek, przyprawiła go o ślepią furję.

– No? – Wsparł dłonie na biodrach. – Na co czekasz?

Znowu przygryzła wargę.

– Sądząc po tym, jak na mnie patrzysz, to nie będzie fantastyczny seks.

– Zostaw to mnie.

Pokręciła głową.

– Nie lubię wściekłego seksu.

Popatrzył na nią twardo.

– Nie jestem wściekły. – Nie był, co sam musiał przyznać. Był zraniony. Nie podejrzewał, że tak zareaguje.

Millie odpowiedziała mu takim samym spojrzeniem, choć jej oczy miały błyskawice. Może i nie był zagniewany, ale ona tak. No dobra. Niech tak będzie.

– W porządku. – Uniosła dumnie brodę, wciąż spoglądając ze złością, i ruszyła w stronę drabinki.

Patrzył, jak schodzi na dół, drżąc z napięcia. A może z gniewu albo ze strachu. Czy nie tego właśnie chciała, szybkiego i pozbawionego znaczenia seksu? Mogła uwolnić się od Chase'a, albo tak przynajmniej wierzyła. A może on mógł się uwolnić od niej. Przez całe popołudnie prowokował ją do uśmiechów, bawiąc się doskonale. Każdy uśmiech, każdy śmiech wydawał się odkryciem. Zwycięstwem. Sądził, że budują coś razem – coś kruchego i tymczasowego, ale jednak coś. A ona przez cały czas myślała o jakimś głupim seksie.

– Długo mam czekać? – zawołała z dołu głosem pełnym napięcia.

Zszedł na dół i zobaczył, że Millie stoi przy podwójnym łóżku. Odwróciła się do niego, jej piersi unosiły się wraz z oddechem, pod jedwabnym materiałem widać było wypukłość sutków. Skrzywiła usta w kpiącym uśmiechu.

– No dobra, Chase. Przekonajmy się, co chowasz w zanadrzu.

Poczuł ucisk w żołądku. Jak mogło do tego dojść? Najpierw tyle czułości i żartów, a teraz zachowywali się tak, jakby się nienawidzili.

– Zdejmij stanik.

Poczuła ucisk w krtani, ale zrobiła to, o co prosił. Piersi miała małe i krągłe, podniesione i mocne. Doskonale. Chase przełknął ślinę.

– I resztę – nakazał.

Spojrzała na niego gniewnie, ściągając majtki. Wciąż unosiła dumnie głowę.

– To ma być gra wstępna?

Powstrzymał się od śmiechu. Była wspaniała. Naga, dumna, wyzywająca,

silna. Pokręcił głową.

– Chcę się przekonać, co dostanę. Zgodnie z umową.

– Umowa obowiązuje obie strony.

Pomimo gniewu odczuwał podniecenie. A może właśnie z powodu gniewu.

Nic już nie wiedział.

– O co ci chodzi, Groźna?

– Zdejmij bermudy.

Zrobił to.

Patrzyli na siebie niemal w posępnym milczeniu, oboje nadzy. Wydawało się, że powietrze jest naelektryzowane.

Co teraz?

Millie skrzyżowała ramiona. Czekwała. Chase czuł się jak cholerna małpa w cyrku. Najwyraźniej oczekiwała, że zacznie działać. Nie tak tego pragnął. Chciał zyskać jej zaufanie, nawet czułość, chciał, żeby pozbyła się tej swojej kontroli. Ona czepiała się jej rozpaczliwie, a on ją tracił. Nie tego chciał. Ale nie zamierzał się wycofać.

– Kładź się.

Uśmiechnęła się ironicznie, jakby niczego innego się nie spodziewała, i położyła się na łóżku. Wyciągnęła nawet ręce nad głowę, jakby całkowicie odprężona, ale w rzeczywistości drżała. Znów się zawahał. Nie chciał niszczyć tego, co między nimi było, nie chciał stracić jej zaufania, czułości i wszystkiego innego w akcie absurdalnie obojętnego seksu. Kogo oszukiwał? Nic między nimi nie było.

Tylko jedno – to tutaj, na łóżku.

– To wygląda na najgorszy seks w moim życiu – oznajmiła Millie, wciąż wyciągając ręce poza głowę. – Nie ma mowy o „fantastycznym”.

Zauważył, że wciąż drży. Usiadł na brzegu łóżka i przesunął dłonią po jej łydce, aż do kolana, potem jeszcze dalej, wyczuwając miękką i gładką skórę po wewnętrznej stronie uda. Poczuł, jak jej mięśnie naprężają się pod jego dotykiem. Wstrzymała oddech.

– Nie zmiernam się w to bawić – powiedział cicho.

Popatrzyła na niego zesztywniała.

– To był twój pomysł.

– Tak, przyznaję. Ale się zgodziłaś, bo tego chcesz.

– Myślisz, że chcę czegoś takiego?!

– Nie było w scenariuszu mowy o uczuciach czy poznawaniu siebie, prawda? – Przesunął dłoń jeszcze wyżej, chłonąc miękkość jej ciała. Jeszcze kilka centymetrów...

Wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana. Znieruchomiał.

– Wiesz, że mam rację, Millie.

W odpowiedzi wsunęła mu dłoń za głowę i przyciągnęła go, a potem pocałowała namiętnie, przywierając do niego całym ciałem. Przez chwilę był zszokowany. Potem pożądanie wzięło górę; odpowiedział na jej pocałunek, poddając się instynktowi, choć wiedział, że tego nie chce. Sądził nawet, że w głębi serca ona też tego nie chce. Próbowwała rozpaczliwie zachować kontrolę, a on nie mógł jej na to pozwolić. Potem jednak objęła go i w tym momencie przestał myśleć o tym, czego nie mógł zrobić. Ciało mówiło mu, co może zrobić.

– Millie. – Próbował uwolnić się z jej żelaznego uścisku. – Zaczekaj...

Ona jednak nie chciała czekać, była chętna, zniecierpliwiona, zdesperowana, zmuszała go, by czuł to samo. Jego samokontrola zniknęła. Jak mógł domagać się czegoś głębszego, skoro leżąca pod nim kobieta doprowadzała go do obłądzenia? Dotykaniem dłoni i nóg, którymi go oplatała. Próbował sobie przypomnieć, gdzie trzyma prezzerwatywy.

– Szybko... – wyszeptała chrapliwie.

Znieruchomiał. Dostyszał w jej głosie desperację, nawet smutek, a tego nie chciał. Bez względu na reakcję ciała.

– Millie. – Odsunął się od niej odrobinę i zobaczył jej bladą, nieprzytomną twarz. – Wstrzymajmy się na chwilę, okej? – poprosił niepewnie, choć pragnął w tym momencie zapomnieć o czułości, nawet o kondomach, i wbić się w nią.

– Nie, nie chcę.... – Zbladła i usiadła gwałtownie. – Chyba zwymiotuję.

Zsunęła się błyskawicznie z łóżka i rzuciła w stronę toalety. Usłyszał zdumiony, jak się krztusi.

Miał wrażenie, że i w jego przypadku był to najgorszy seks w życiu. Wciągnął bermudy, wyjął z szuflady podkoszulek i czekał na brzegu łóżka. Pojawiła się po kilku minutach, blada i roztrzęsiona. Chase zdobył się na uśmiech.

– To chyba nie z powodu lunchu.

Też się uśmiechnęła, choć dostrzegł w jej oczach cień bólu.

– Nie.

Gniew, napięcie, desperacja kilku minionych chwil zniknęły bez śladu, ale nie wiedział, co pozostało. Czuł się dezorientowany, jak ktoś, kto stracił fragment oglądanego filmu. Brakowało mu w tej historii kilku ważnych wątków.

– Masz. – Podał jej podkoszulek, a ona go włożyła. Włosy miała w nieładzie, T-shirt sięgał jej do połowy uda. Usiadła na łóżku jak najdalej od Chase'a.

– Przepraszam.

– Którą chwilę wieczoru masz na myśli? – zażartował, parodiując jej własne słowa z poprzedniego dnia.

Millie uśmiechnęła się słabo i oparła głowę o ścianę.

– Tę, w której zwymiotowałam. Kolejne rozczarowanie.

– Delikatnie powiedziane.

Patrzyli na siebie w milczeniu, ale Chase stwierdził zaskoczony, że nie czuje

się niezręcznie. Może nadchodził ten moment, kiedy nic nie wydawało się dziwne ani żenujące. Jeśli tak, to bardzo szybko osiągnęli ten etap.

– Chcesz mi powiedzieć, co się dzieje? – spytał.

– Pamiętasz warunki umowy?

– Ta klauzula została unieważniona, kiedy zwymiotowałam. Brakowało kilku sekund, żebym się w tobie znalazł.

Przygryzła wargę. Dotknął delikatnie wyraźnych śladów.

– Nabawisz się blizny, jeśli nie przestaniesz tego robić.

Westchnęła.

– Może to był kiepski pomysł, Chase.

Poczuł przyływ niepokoju. Bał się, że musi się z nią zgodzić. Tak, to był kiepski pomysł. Wydawało się, że ten nieszczęsny tydzień płata im bezustannie figle. Nie potrzebowali tego. Wmówił sobie, że chce czegoś intensywnego, ale to? Stanowczo za dużo.

– Dlaczego tak twierdzisz? – spytał bezwiednie.

– Bo nie jestem gotowa.

– Gotowa? – Odnosił inne wrażenie, kiedy pod nim leżała.

– Na to. Na romans, przygodę, jakkolwiek to nazwiesz. Chciałam być gotowa, pójść do przodu, ale nie wiem, czy mogę. Wciąż myślę... – urwała nagle.

Tyle już wiedział, ale nie podobało mu się to, co od niej słyszy. Zazdrość. To właśnie odczuwał: czystą i zwykłą zazdrość. Starał się stłumić ją w sobie.

– Niewłaściwie się do tego zabraliśmy, Groźna – powiedział. – To moja wina. Przepraszam.

– Za co? – Nie kryła zdziwienia.

– Za to, że się rozgniewałem. Nie podobało mi się, że byłaś wcześniej z jakimś facetem – uśmiechnął się kwaśno. – Wiesz, jakbyś uraziła moją męskość.

– Przepraszam.

– W porządku. Trzeba było to przełknąć. A tymczasem sprowokowałem nas do czegoś, czego nie chciałem.

– Wściekły seks, co?

– Nie jest taki wspaniały.

– Jak ten na plaży.

– Właśnie. Są przereklamowane – westchnął. – Wróćmy na pokład i zapomnijmy o tym, co było.

– No cóż, nie zapomnę szybko... jak stałeś przede mną nagi – oznajmiła prawie żartobliwie.

Odpowiedział jej uśmiechem.

– Ja też nie, wierz mi. – Wziął ją za rękę i odczuł wdzięczność, kiedy mu na to pozwoliła. Dziwne, jak szybko całe to napięcie, złość i ból zmieniły się w coś innego. W coś głębszego i prawdziwszego. W przyjaźń.

- Mam nadzieję, że nie będziemy nurkować, żeby zapewnić sobie kolację.
- Z pewnością. – Ścisnął jej dłoń, a potem pomógł wyjść na pokład.

Millie zbliżyła się na drżących nogach do ławeczki na rufie. Ten dzień wyczerpał ją emocjonalnie i fizycznie, zwłaszcza jego ostatnie chwile. Chase Bryant nieźle ją wymaglował. A może sama to zrobiła, próbując uprawiać desperacki, bezsensowny seks. Wierzyła, że tego pragnie, dopóki jej ciało się nie sprzeciwiło. Chase miał oczywiście rację. To nie małże jej zaszkodziły, tylko wspomnienia. Nie potrafiła wyłączyć umysłu, choć bardzo tego chciała. Nie mogła przestać wspominać, żałować. Pragnęła tej przygody, żeby zapomnieć, ale to nie działało w ten sposób. Było jeszcze gorzej. Chase budził w niej to wszystko, co chciała pogrzebać. Patrzyła, jak ustawia żagiel, i pomimo kiepskiego nastroju podziwiała jego szczupłe, umięśnione i opalone ciało. Nie spodziewała się wcześniej, że jest zdolny do takiego gniewu. I nie spodziewała się, że potem okaże tyle zrozumienia. Przez chwilę, kiedy leżeli na łóżku i słysząc było tylko ich oddechy, chciała mu powiedzieć. Podzielić się niepewnością, smutkiem i winą. Ale to oznaczałoby, że musiałaby powiedzieć mu o Robie. O Charlotte. Nigdy o niej nie mówiła. Nawet teraz czuła ból, wciąż świeży, choć minęły dwa lata. Dwa lata od tego telefonu, który zniszczył jej świat i zabrał wszystkich, których kochała. Czy rany nie powinny się przez te dwa lata zabiżnić? Czy nie nadszedł czas, by ruszyć dalej?

Chase usiadł obok niej. Była tak zatopiona w myślach, że go nie zauważyła. Dotknął jej ust i nawet teraz, po wszystkim, co się wydarzyło i nie wydarzyło, poczuła dreszcz pragnienia.

- Blizny, pamiętasz? Mówię poważnie.

Roześmiała się niepewnie.

- Robię to nieświadomie.

- Jakież to głębokie myśli każą ci zagryzać wargę?

- Nie są szczególnie głębokie. – Odsunęła się nieznacznie od jego dłoni. –

Wracamy do kurortu?

- Nie. Do mojej willi.

Poczuła drgnienie... czego? Nie strachu. Nie podniecenia. Nie, to było dziwne i nagle zrozumiała dlaczego. Doznała nadziei. Nawet po tej całkowitej klęsce pod pokładem Chase dawał jej – im obojgu – drugą szansę.

- Co będziemy tam robić?

Przyglądał jej się przez chwilę.

- Przygotuję ci coś do jedzenia, podczas gdy ty wymoczysz się w jacuzzi.

Potem zjemy najbardziej fantastyczny posiłek, jaki udało mi się kiedykolwiek przyrządzić, obejrzymy film, może napijemy się wina. Albo wody gazowanej.

- Brzmi zachęcająco.

- Cieszę się, że tak uważasz.

– A potem?

– Potem położymy się do mojego bardzo wygodnego i dużego łóżka, w którym będę cię tulił całą noc.

Mówił namiętym głosem, ale wyczuwała w tym tonie szczerłość i poczuła łązy w oczach.

– Dlaczego jesteś dla mnie taki miły?

– Żaden mężczyzna nie był dla ciebie wcześniej miły? – spytał cicho, jakby było mu przykro.

– Nie lituj się nade mną, Chase. Byłam... w bardzo udanym związku.

– Brzmi to niewiarygodnie nudno i nieromantycznie, ale okej. Cieszę się.

Roześmiała się. Nigdy nie odpuszczał, ale i ona nie odpuszczała.

– Twoja propozycja też nie brzmi ekscytująco. Nic intensywnego. A przecież tak miało być. Intensywnie.

– Słowo „intensywny” ma różne odcienie. Spokojny wieczór w domu też może ci się taki wydać.

Wstał i zaczął sterować łodzią, opierając dłoń na rumplu. Zapatrzył się w olśniewającą wędrowkę tej ognistej kuli ku spokojnemu morzu. Millie drgnęła, bo Chase przez moment wyglądał jak ona: smutny, spragniony nadziei. Potem odwrócił się z uśmiechem, znowu beztroski.

– Prawie dopłynęliśmy.

Pół godziny później Millie moczyła się w najbardziej luksusowej wannie, jaką widziała – ogromnej i marmurowej. Chase napełnił ją po brzegi gorącą wodą, potem dolał pół butelki płynu do kąpieli i położył obok dwa grube puszyste ręczniki. Zasalutował z uśmiechem, zamknął drzwi łazienki i poszedł przyrządzić kolację. Kiedy to czuła się tak niewiarygodnie rozpieszczana? – zastanawiała się Millie. Obdarzona miłością? Zanurzyła się w pianie, a potem pozbyła się piasku z włosów i niepokojących myśli. Chciała cieszyć się tym wieczorem, wszystkimi cudownościami, jakie obiecał jej Chase. Już dawno niczego takiego nie czuła. Jeden tydzień radości, zabawy, i owszem, także seksu. Pomimo niedawnej porażki wciąż mogli na coś liczyć. I cieszyć się tym. A potem się rozejść. Podążyć dalej, tak jak chciała, ponieważ cokolwiek innego – cokolwiek prawdziwego czy trwałego – było zbyt przerażające. Już raz kochała. I już raz straciła. Nie mogło się to powtórzyć.

Kiedy wyszła z łazienki, zobaczyła zdumiona swoją walizkę obok łóżka. Jak Chase zdołał dostać się do jej pokoju w kurorcie i zabrać rzeczy? Oczywiście, był Bryantem. Zapomniała o tym na chwilę; dla niej był tylko Chase'em. Poczowała irytację i jednocześnie wzruszenie. To było miłe, ale i zbyt troskliwe. Odłożyła ręcznik i wzięła jeden z nudnych strojów, które wybrała jej sekretarka, bezkształtną beżową sukienkę z krótkimi rękawami. Przyjrzała jej się i skrzywiła się zdegustowana. Nagle zapragnęła czegoś sexy.

Nigdy tego nie zaznała. „Sexy” nie istniało ani dla niej, ani dla Roba. Ich pożycie było udane, ale oboje odznaczyli się wstrzemięźliwością. Brak czasu na zabawę czy żarty. Na wszystko, co uosabiał Chase. Czy właśnie dlatego zdecydowała się na tę przygodę, pierwszą w życiu?

Może miał rację, może za dużo myślała. Poprawiając nudną sukienkę, poszła obejrzeć willę. Był to wspaniały dom z naturalnego kamienia, wtopiony w nadmorskie otoczenie, przestronny i jasny. Zastała Chase'a w nowoczesnej kuchni, otwartej na salon ze skórzanymi kanapami i oknem z widokiem na plażę i niebo.

– Pachnie cudownie.

– Kurczak z ananasem i salsą mango – wyjaśnił Chase.

Millie poczuła na jego widok lekki ucisk serca. Przebrał się w znoszony podkoszulek i spłowiałe džinsy. Wyglądał tak naturalnie pośród misek i patelni, a w powietrzu unosił się zapach owoców i przypraw. Nigdy nie gotowali, ona i Rob. Co wieczór kupowali coś na wynos. Po co gotować, skoro nie trzeba? – mawiał Rob, a ona nie miała nic przeciwko temu. Po dziesięciogodzinnym dniu pracy nie myślała o szykowaniu posiłków. I byli dumni, że Charlotte w wieku dwóch lat je to, co oni. Brie i wędzonego łososia. Curry i pad thai. Uwielbiała to wszystko. Coś ścisnęło ją za gardło. Dlaczego myślała o Charlotte? Nigdy tego nie robiła. Ta część przeszłości była zamknięta, schowana do pudełka z napisem „nie otwierać”. Nigdy. A jednak wspomnienia napływały bezwiednie.

– Millie? – Chase popatrzył na nią podejrzliwie. – Wszystko w porządku?

Skinęła głową i pociągnęła nosem. To było głupie, że się odkrywała, ale nic nie mogła na to poradzić. Myślała, że potrafi panować przez ten tydzień nad sytuacją, ale się myliła. Za dużo myślała. I za dużo czuła. Sądziła, że Chase pomoże jej zapomnieć, ale on tylko jej przypominał.

– Kąpiel była wspaniała – powiedziała, chcąc zmienić temat. – Mogłabym tak leżeć przez tydzień.

– Woda zrobiłaby się zimna. – Chase zaczął kroić z wprawą papryczki chilli.

– Słusznie. – Postanowiła mocniej stanąć na ziemi. Zachować dystans. – Przyjemnie nosić własne rzeczy, ale nie wiem, jak znalazły się w twojej sypialni.

– Przywiózł je bardzo miły goniec hotelowy, kiedy się kąpałaś.

– Nie powinieneś najpierw spytać?

– Znowu to samo? – Uniósł brwi. – Moje warunki, pamiętasz?

– Nie możesz mi tego za każdym razem przypominać, Chase.

– A to dlatego, że...

– To nieuczciwe. – Westchnęła zdesperowana.

– Prawda.

– Więc?

– Nie gramy w baseball, Millie. Nie ma zasad.

– Chcesz pokazać swoją siłę? O to chodzi?
– A tak ci się wydaje? – Sprawiał wrażenie szczerze zaciekawionego i Millie, chcąc nie chcąc, musiała zdobyć się na szczerość.

– Nie, i dlatego nie rozumiem. Wciąż nie pojmuję, czego chcesz, Chase. Większość mężczyzn skorzystałaby z okazji i dała nogę.

- Przykre doświadczenia?
- Nie zaczynaj. Żadnych pytań o przeszłość.
- Powiedziałem ci, czego chcę. Jednego tygodnia.
- Intensywnego tygodnia. All inclusive.
- Tylko taki mnie interesuje.
- Dlaczego?

Milczał przez chwilę. Skupił się na gotowaniu; wyjął z marynaty kilka kawałków kurczaka i wrzucił je na gorący olej. Millie czuła smakowity zapach.

– Dlaczego nie? – spytał w końcu i przewrócił kawałki na patelni. – Wiem, że prościej i łatwiej ślizgać się po powierzchni. Nie sięgać zbyt głęboko. Nie czuć zbyt dużo. Doświadczyłem tego. Tak wyglądała moja zmarnowana młodość.

Wiedziała, że ma rację. Łatwiej, prościej, bezpieczniej.

- A teraz?
- Chcę czegoś więcej. Carpe diem, na całego. Wyssać szpik z kości.
- Przez jeden tydzień.
- Tak. Mniej więcej.

– I postanowiłeś zrobić to ze mną? – Nie potrafiła ukryć niedowierzania. – Skoro wiesz, że kompletnie się do tego nie nadaję?

Uśmiechnął się szelmowsko.

– Jest ciekawiej. I tym łatwiej mogę stawiać warunki. Inaczej do niczego byśmy nie doszli.

Pokręciła głową. Jak mogła się z nim spierać? Wytłumaczyć, że ten tydzień mógłby pozbawić ją skorupy ochronnej, narazić na ból? Bała się. Nie chciała się do tego przyznać nawet przed sobą. Usiadła na stołku i oparła się łokciami o blat.

– Dlaczego zmieniłeś zdanie? Dlaczego przestałeś ślizgać się po powierzchni?

Polął mięso resztką marynaty, mieszając powoli.

– Mogę chyba powołać się na wiadomą klauzulę i powiedzieć, że też nie chcę mówić o przeszłości.

– Masz coś do ukrycia?

Dostrzegła mroczny błysk w jego oczach. Wyczuwała, że jest drażliwy na punkcie rodziny, ale trochę już jej powiedział. Czy chodziło o coś innego? O coś, czego miała nie wiedzieć?

– Niezupełnie – odparł, nakładając porcje ryżu na dwa talerze. – Parę rzeczy, o których wolałbym nie mówić.

- A ta twoja zmarnowana młodość?
- Próbujesz mnie poznać?
- Może.

Wzruszył ramionami.

– Typowe, jeśli chodzi o zepsutego dzieciaka. Wywalili mnie z kilku szkół, rozbiłem ojcowskie maserati. Na koniec przespałem się z jego dziewczyną. Miarka się przebrała. – Opowiadał o tym z nonszalancją, ale Millie wyczuła w jego głosie nutę samoobrony, może bólu.

- Rzeczywiście, określenie „zmarnowana” jest jak najbardziej na miejscu.
- No cóż, lubię iść na całość.

Nałożył aromatyczne kawałki kurczaka na ryż i Millie musiała przyznać, że danie wygląda smakowicie. Ten mężczyzna umiał gotować.

- Co sprawiło, że się zmieniłeś? Już chyba nie rozbijasz maserati?
- Tylko od czasu do czasu.
- Mówię poważnie.

– Chcesz być poważna? – westchnął i podał jej talerz. – Wobec tego potrzebuję pożywienia.

Usiedli w aneksie jadalnym, z widokiem na ocean ciemniejący pod niebem zmierzchu.

- Twoja ulubiona pora dnia – zauważył cicho Chase.

Poczuła dreszcz na myśl, że ten mężczyzna zaczyna ją poznawać. I że jej się to podoba.

- Więc? – spytała. – Skąd zmiana?
- Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że ojciec nie chciał, żebym uczestniczył w rodzinnym biznesie?
- Podejrzewam, że stało się to po tym incydencie z dziewczyną?
- Tak. Postanowiłem oczywiście zachowywać się jak najgorzej.
- Ile miałeś lat?
- Siedemnaście.

Millie była zaskoczona sympatią, jaką odczuła wobec nastoletniego Chase'a. Zwykle śmieszyli ją bogaci i zepsuci chłopcy, którzy rozbijali się w samochodach i zaliczali panienki w błyskawicznym tempie, ale gdy rzecz dotyczyła Chase'a... gdy wiedziała, że nie jest ani płytki, ani zepsuty, że odznaczał się głębią, jakiej nie dostrzegała u większości znanych sobie ludzi... no cóż, wyglądało to inaczej.

- Czyli byłeś złym chłopakiem?
- Mniej więcej. Przyjęcia, samochody, kobiety, alkohol. Od czasu do czasu narkotyki, z czego nie jestem dumny. – Wciąż mówił o tym lekko, ale dostrzegła w jego oczach cięć. Poczuła go w sercu. Co za smutne, puste życie. Jej życie, w całkowicie inny sposób, też było smutne i puste.

- Co było punktem zwrotnym?

Spojrzał na nią.

– To zaczyna być bardzo osobiste.

Postanowiła nie ustępować.

– Wiem.

– Mój ojciec zmarł. Ukończyłem college, studiowałem architekturę głównie dla zabawy. Wciąż byłem kompletnym nieudacznikiem. – Umilkł, a ona miała ochotę go dotknąć. Powstrzymała się w ostatniej chwili. – Dowiedziałem się, że mnie wydziedziczył. Już wcześniej groził, że to zrobi, ale nie bardzo w to wierzyłem. I choć przyznaję, że byłem zawiedziony z powodu tych pieniędzy, czułem coś jeszcze gorszego. Rozczarowanie sobą i swoim życiem. – Tym razem Millie się nie powstrzymała i dotknęła jego dłoni; dla niej to było bardzo ważne i zorientowała się, że on o tym wie. Popatrzył na ich złączone ręce, potem uśmiechnął się smutno i podsumował: – Niezbyt inspirująca historia.

– Wręcz przeciwnie. Uświadomiłeś sobie swoje błędy i coś zrobiłeś. Nie każdemu się to udaje.

– A tobie?

To proste pytanie wzbudziło w niej lęk. Bliskość i zaufanie były okej, dopóki nie odbił pałeczki. Cofnęła rękę.

– Może. W pewnym sensie. – Zacisnęła odruchowo palce. – Ale było za późno.

– Dlaczego za późno, Millie?

Milczała. I tak już powiedziała za dużo.

– Wszystkie te sekrety... Wiesz, że jesteś jeszcze bardziej intrygująca? Bardziej pociągająca? Chcę odkryć to, co skrywasz.

– Wierz mi, to nic ekscytującego. To... – odetchnęła. – Smutne, i to pod wieloma względami. Nie chcę ci o tym mówić, bo spojrzysz na mnie inaczej.

– I to cię martwi?

– Tak.

Lubiła, jak Chase się z nią drażni. Jak ją irytuje. Tak, nieraz było jej niezręcznie, ale sprawiał też, że czuła się żywa. Nie chodził wokół niej na paluszkach, byle jej nie zranić, jego uśmiech nie był za każdym razem zabarwiony litością. Nie patrzył na nią jak na uosobienie tragedii. Jak wszyscy inni. Może to właśnie ją w nim pociągało – że tak naprawdę w ogóle jej nie zna. A jednak, jak musiała przyznać, znał ją. Tę prawdziwą Millie. Tyle że nie wiedział, co wydarzyło się w jej życiu. I to jej się podobało. Jak jednak mógł ją znać, nie wiedząc o tym, co się stało? Zmęczona tymi myślami, podniosła się od stołu.

– Mówiłeś coś o filmie?

Po przyjacielskiej sprzeczce, czy oglądać coś przygodowego, czy raczej jakiś ambitny dramat, ustawili DVD. Chase usiadł na sofie i zanim Millie zdążyła się zorientować, przyciągnął ją do siebie i objął. Zesztywniała w pierwszej chwili,

potem się jednak odprężyła. Jego dotyk sprawiał jej przyjemność. Próbowwała skupić się na filmie – ambitny dramat, na który się uparła – ale była tak zmęczona, że opadały jej powieki. Musiała się zdrzemnąć, bo w pewnym momencie poczuła, jak Chase podnosi ją z kanapy.

– Nie mogę uwierzyć, że wysiedziałem tak długo, bylebyś mogła przy mnie zasnąć. – W jego głosie było tyle czułości, że Millie objęła go za szyję.

– Czas do łóżka – mruknął wyraźnie wzruszony.

Kiedy niósł ją do sypialni, Millie pomyślała sennie, że nie chciałyby znaleźć się nigdzie indziej. Tylko w domu Chase'a. W jego ramionach. W jego łóżku.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Millie obudziła się wcześniej. Przeciągnęła się i wsparła na łokciu, żeby popatrzeć na Chase'a. Spał głęboko, oddychając spokojnie. Wyglądał wspaniale: wyrazista, pokryta zarostem broda, złotobrazowe rzęsy. Usta pełne, nos prosty. Krótko przycięte włosy, na których migotało słońce. Jej spojrzenie zsunęło się niżej. Widziała już jego klatkę piersiową. Właściwie cały czas chodził półnagi. Teraz jednak miała okazję przyjrzeć się z bliska doskonale umięśnionej sylwetce: kępka ciemnobrazowych włosów, szerokie ramiona i wąskie biodra. Kryły się pod pościelą. Zastanawiała się, czy tam zajrzeć?

– Bokserki, Groźna.

Spojrzała mu raptownie w twarz. Zamrugał zaspany i posłał jej najbardziej seksowny uśmiech, jaki kiedykolwiek widziała. Zabiło jej żywiej serce, ale nie spieszyła się specjalnie.

– Wyglądasz na kogoś, kto lubi spać w stroju Adama.

– Nie, w bokserkach. Spanie nago może stwarzać niezręczne sytuacje.

Uśmiechnęła się.

– Chyba często zdarzały ci się niezręczne sytuacje.

– Dzięki temu życie jest ciekawsze.

– Wierzę ci na słowo.

Dotknął jej włosów.

– Nie są już tak groźnie nastroszone.

– Przedstawiają pewnie koszmarne widoki.

– Podobają mi się. – Założył jej kosmyk za ucho, potem przesunął palcami po policzku i dotknął kciukiem pełnej wargi. – Te ślady wyglądają trochę lepiej.

– Naprawdę? – Leżeli oboje w łóżku, prawie nadzy. Czy Chase zdjął jej zeszłej nocy sukienkę? Nie mogła sobie przypomnieć, ale ubrana była w jeden z jego podkoszulków. I nic pod spodem.

Z pewnością teraz...

– Choć jest to bardzo kuszące, najpierw chyba zjemy śniadanie – oznajmił, a Millie odetchnęła głośno.

– Przestań czytać mi w myślach.

– To łatwe. Wszystko ujawnia się w twoich oczach.

– Nie wszystko. – Chciała zachować pewne sekrety.

– Więcej, dużo więcej niż ci się wydaje – zauważył cicho Chase, przyciągnął ją i pocałował. – Wkrótce – wymamrotał w jej usta.

– Przestań to robić.

– Myślę, że ci się to jednak podoba.

Przyznawała mu rację, nawet jeśli to czytanie w jej myślach z taką łatwością

było irytujące. Tak, podobało jej się, że ją odkrywa.

– Co dziś robimy? – spytała, idąc za nim do kuchni. Przez wielkie okna wpadał blask słońca. Chase, wciąż tylko w bokserkach, sięgnął po młynek do kawy.

– Sama powinnaś zdecydować.

– Ja?

– Tak, ty. Przyłączyłaś się do zabawy, ale to za mało.

– Wydawało mi się, że tak właśnie ma być. Twoje warunki, pamiętasz?

– Owszem. A zgodnie z moimi warunkami ty decydujesz, co robimy.

Oczywiście, zachowuję prawo weta wobec wszelkich sugestii.

– Ach, rozumiem. Dzięki, że wyjaśniłeś to bez ogródek.

– Żaden problem.

Co chciała tego dnia robić? Chase kroił melona i papaję, a Millie się zastanawiała.

– Namaluję cię.

Znieruchomiał z kubkami w dłoniach.

– Szkoda, że twoje farby wylądowały w kubie na śmieci.

– Mogę cię narysować. – Sama była zdumiona swoją stanowczością. – Mam też kredki węglowe. Są w mojej walizce.

– Zmieniłaś zdanie co do malowania?

– Technicznie to nie będzie malowanie.

– Twoja drobiazgowość budzi podziw.

– Tak, zmieniłam zdanie – przyznała Millie.

Chase patrzył na nią bez zmrużenia powiek i chwila ta przerodziła się w coś, co pulsowało życiem i nadzieją.

– Dobrze – oznajmił. – Najpierw śniadanie, potem będziesz rysować. Zakładam, że wolisz mieć do czynienia z nagim modelem?

Parsknęła śmiechem.

– Możesz być bokserkach. Na razie.

Po śniadaniu Millie siedziała przy stole i wyobrażała sobie, jak ma go rysować; potem przyniosła kredki i papier i oboje wyszli na zewnątrz.

– Na pewno nie chcesz, żebym pozował ci nago? – spytał wyraźnie rozczarowany.

Millie pokręciła głową.

– Byłabym zbyt rozkojarzona.

– No, to przynajmniej coś.

– Staraj się zachowywać naturalnie.

Westchnął z przesadą.

– Słyszac coś takiego, człowiek przestaje się zachowywać naturalnie.

– Spróbuj.

– Założę się, że potrafisz skopać podwładnym jaja.
– To koszmarnie seksistowskie określenie.
– Ale tak jest, prawda? – Usadowił się na piasku, ręce oparł za plecami, nogi wyciągnął przed siebie. – Tak dobrze?

– Doskonale.

Znalazła wygodne miejsce i położyła szkicownik na kolanach. Przyjrzawszy się tego ranka Chase'owi, uświadomiła sobie, jak bardzo pragnie go rysować. Uchwycić tę swobodę i radość, by zapamiętać je na zawsze. By coś jej pozostało, gdy ten tydzień dobiegnie końca. Uświadomiła sobie też, jak bardzo zaczęło jej na nim zależeć. Czterdzieści osiem godzin – czterdzieści osiem intensywnych godzin – zmieniło to, co dotąd czuła. I ona też się zmieniła.

– Zaczynasz tym razem, Groźna?

– Tak. – Spojrzała na papier i zaczęła szkicować jego sylwetkę.

– Nie zajmowałaś się tym już od jakiegoś czasu – zauważył, spoglądając w morze, by mogła uchwycić jego profil. – Dlaczego przestałaś?

Wiedziała, że powinna przypomnieć mu o zasadzie milczenia, ale wydawało się to teraz bezsensowne. Mogła przecież kontrolować swoje słowa.

– Życie. Miałam za dużo pracy i malowanie zaczęło przypominać niemądrą rozrywkę. – Byli za bardzo skupieni na karierze. Ona i Rob.

– A potem zrobiłaś sobie wakacje i pomyślałaś, że znów spróbujesz?

– Z grubsza.

– To dlaczego wyrzuciłaś farby?

– Te wszystkie pytania... – westchnęła. – Bezustannie naruszasz naszą umowę, Chase.

– Mimo wszystko odpowiadasz. Przynajmniej teraz.

Rysowała coraz szybciej; spod kredek zaczynał się wyłaniać jego portret.

– Malowanie wydało się w pewnym momencie czymś zbyt oczywistym – odparła wreszcie. – Jakbym się próbowała odnaleźć czy coś w tym rodzaju.

– A próbowałaś?

Podniosła wzrok, zapominając na chwilę o szkicowniku.

– Nie jestem zagubiona – oznajmiła ostro. – Nie jestem załamana.

– Nie?

Znów wyczuła ten gniewny ton. Zaciśnęła palce na kredce.

– Nie.

– Bo wydaje mi się, że tak.

Węgiel wysunął jej się z dłoni.

– Jak śmiesz...

– Dlaczego tu jesteś, jak ci się wydaje? – Dostrzegła w jego oczach żywy błysk. – Dlaczego miałaś ochotę na ten szalony, intensywny tydzień? Można by pomyśleć, że tego wręcz potrzebujesz.

– Nie potrzebuję.

– Kłamiesz.

Nie podobało jej się, że potrafi ją przejrzeć. Że sama nie ma już siły zaprzeczać temu dłużej. Była zagubiona. Złamana. I potrzebowała tego tygodnia u jego boku; potrzebowała Chase'a. A on o tym wiedział. Podniosła kredkę, choć wiedziała, że nie będzie więcej rysować. Nie mogła. Patrzyła niewidzącym wzrokiem na szkicownik. Myśli kłębiły jej się w głowie, serce biło niespokojnie.

– Nasza sesja dobiegła końca? – spytał Chase. – Teraz będziesz na mnie zła, co? Millie Lang wkłada swoją zbroję i staje się groźna i surowa.

– To ty tak twierdzisz – zauważyła. Instynkt podpowiadał jej, żeby uciekać. Ratować się albo ocalić z siebie tyle, ile to możliwe. Jakim cudem zaszło to tak daleko? Chase potrafił sprowokować ją do emocjonalnej intymności, której tak się bała. Chciała tylko seksu, do diabła. I wciąż go nie uprawiali. Może nadszedł czas, żeby coś z tym zrobić?

– Nie zamierzam być zła na ciebie – oznajmiła, przyciskając szkicownik do piersi. – Ale powiedziałaś, że mogę zdecydować, co będziemy dziś robić, i właśnie zdecydowałam.

– I nie jest to szkicowanie. – Wciąż wyglądał na zrelaksowanego, jakby rozkoszował się miłym rankiem w słońcu.

– Nie. – W jej głosie wciąż pobrzmiwała nuta agresji. – Powiem ci, co to takiego.

– Mogę się domyślić... – mruknął.

Wściekła, że wciąż potrafi ją przejrzeć, rzuciła:

– Chodzi o seks. Chcę uprawiać z tobą seks.

Popatrzył na nią z leniwym rozbawieniem, choć nie czuł ani rozleniwienia, ani rozbawienia. Nie myślał. Szedł za głosem instynktu, odsłaniał się przed nią, ona przed nim. Przez kilka pełnych napięcia sekund wiedział, że połączyło ich to bardziej niż wszystko, co mogli robić w łóżku czy gdziekolwiek.

– Chcesz uprawiać ze mną seks – powtórzył. – Chwilami myślisz tylko o jednym, Millie.

– Mówię poważnie, Chase. Jedynym powodem tej głupiej przygody jest...

– A więc teraz nasza przygoda jest głupia. Czuję się urażony.

– Wiesz, o co mi chodzi. Zaczęłam to, ponieważ...

– Ty zaczęłaś?

– Przestań mi przerywać!

– To ja podszedłem do ciebie na plaży, kotku. I to ja ci wszystko zaproponowałem.

– To ja zaproponowałam, żebyśmy się przespali.

– Przyznam ci rację, ale to jedyne zwycięstwo, jakie odniesiesz.

Patrzyła na niego pobladła. Co budziło w niej taki strach? I w jaki sposób

seks miał cokolwiek rozwiązać?

– Dobrze. – Wstał z piasku, odwracając się, żeby Millie nie zauważyła grymasu wywołanego przez rwący ból w stawach. Pomyślał, że ten nowy lek nie jest taki skuteczny, jak mu się wydawało. Czuł się tak samo złamany jak ona. Po prostu lepiej to ukrywał.

– Dobrze? – powtórzyła niepewnie, przyciskając szkicownik do piersi, jakby chciała się osłonić.

– Tak. Seks. Dość długo czekaliśmy, prawda?

– Tak. – Nie zabrzmiało to przekonująco.

Nie był zaskoczony. Nie spodziewała się, że wyrazi zgodę... no ale tylko dzięki seksowi mógł uwolnić ją od tej kontroli, którą tak sobie ceniła.

Czas działać.

– Chodź – powiedział i wyciągnął do niej rękę.

Ujęła ją niepewnie, przygryzając wargę.

– Dokąd idziemy?

– Mówiłem ci, że wolę się kochać na łóżku, prawda?

– Tak...

Zaprowadził ją do domu, prosto do swojej sypialni. Odwrócił się do Millie, wciąż trzymając jej zimną, drżącą dłoń.

– Boisz się.

Już chciała zaprzeczyć, ale się rozmyśliła.

– Tak.

– Za dużo myślisz.

– Wiem.

– Chyba znam sposób, jak cię od tego uwolnić. – Otworzył kopniakiem drzwi i pociągnął ją do sypialni.

Millie czuła się dziwnie odrętwiała, wchodząc za nim do pokoju. Wyglądał tak samo, jak kilka godzin wcześniej, kiedy leżeli w tym miłym, szerokim łóżku, rozmawiali i dokuczali sobie żartobliwie. Teraz wydawał się zupełnie inny. Serce waliło jej jak młot. Nigdy jeszcze tak się nie czuła. To był jednocześnie strach i cudowne oczekiwanie. Chciała tego, nawet jeśli ją to śmiertelnie przerażało. Chase odwrócił się do niej, twarz miał poważną. Zamknęła oczy i odchyliła głowę, czekając, by przejął inicjatywę. By sprawił, żeby przestała myśleć.

Nic nie zrobił. Otworzyła oczy.

– Na co czekasz?

Uśmiechnął się.

– Przykro mi, Groźna, to nie jest jednoosobowy show Chase'a Bryanta.

– Mam coś zrobić?

– Wolalabyś pewnie, żebym to ja grał pierwsze skrzypce, ale nic z tego.

Roześmiała się niepewnie.

– Przepraszam. Upłynęło... trochę czasu.

– Zdażyłem się zorientować.

Znowu zamknęła oczy, tym razem z zakłopotania. Poczwała, że podchodzi bliżej, muska jej policzek i zakłada kosmyk włosów za uszy.

– Nie pomoże, jeśli powiem, żebyś się odprężyła, co? – spytał, a ona pokręciła głową. Zawahał się. – Jesteś pewna, że tego chcesz, Millie? Możesz się wycofać. Nie miałbym... no cóż, miałbym coś przeciwko temu, ale zrozumiałbym. Boisz się. Nie dziwię się.

Pokręciła tylko głową, nie otwierając oczu. Słyszała jego cichy oddech, czwała palce na policzku. Wreszcie uniosła powieki. Sprawiał wrażenie tak łagodnego i czułego, że ścisnęło jej się serce.

– Może niewiele zrobię, ale nie ucieknę – wyszeptwała.

– Dzięki Bogu.

Przyciągnął ją do siebie. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Stało się. Zamierzał ją pocałować, a potem...

– Przestań myśleć, Groźna.

– Nie mogę się powstrzymać.

– Wiem.

– Chcę zapomnieć. O wszystkim.

Ich usta dzieliły centymetry. Popatrzył na nią wzrokiem pełnym współczucia, przesuwając palcami po jej brodzie.

– Ale potem będziesz musiała sobie przypomnieć.

– Chcę zapomnieć na chwilę. Tylko na chwilę – westchnęła. – Proszę, spraw, bym zapomniała. O wszystkim.

Uśmiechnął się, choć dostrzegła w jego oczach cień troski.

– To wygórowane żądanie.

– Tylko ty możesz to zrobić. – Była o tym przekonana. – Bez względu na wszystko.

Pocałował ją w odpowiedzi, musnął jej wargi raz, drugi, jakby na próbę, nim pocwała, że zagłębia się w nią bez reszty. Podniecona, wbiła palce w jego barki. Zaczęła myśleć. Wbrew sobie. Jakby ten pocałunek zawładnął całym jej ciałem z wyjątkiem tego mrocznego zakątka, gdzie kryły się wspomnienia, czekając na chwilę jej słabości.

Nigdy nie całowałaś tak Roba.

Wrzeszczałaś na niego, nim odszedł po raz ostatni.

Nie pocałowałaś Charlotte na pożegnanie. Nawet na nią nie spojrzałaś.

Spokojnie, Millie. Otworzyła oczy.

– Przepraszam.

– Ja też. – Uwolnił się łagodnie z jej objęć. – Coś ci zaprzętało myśli.

Przyglądał jej się przez chwilę, potem wziął ją za rękę i zaprowadził do

łóżka. Zdjął koszulkę i ściągnął szorty.

- Teraz jestem nagi.
 - Widzę.
 - Wciąż masz na sobie ubranie.
 - Wiem.
 - Zamierzam je z ciebie zdjąć.
- Serce podjechało jej do gardła.
- Dobrze.

Widział ją już nagą, ale to był jej wybór. Teraz, kiedy stała nieruchomo, a on sięgał do guzików jej koszuli, wiedziała, że to jego wybór. Wyrzekła się odrobinę kontroli, tak jak tego chciał. Tak ja ona chciała, choć było to niewiarygodnie trudne. Jego palce poradziły sobie bez trudu z zapięciem.

- Podnieś ręce.

Zdjął jej bluzkę przez głowę i odrzucił na bok. Millie spuściła wzrok i popatrzył na zwykły biały stanik. Dlaczego nigdy nie pozwoliła sobie na bardziej seksowną bieliznę?

- Na tym chwilowo poprzestaniemy – oznajmił Chale. – Podoba mi się.

Niemal parsknęła z niedowierzania.

- Podoba ci się mój stary stanik?

– Wiem, dziwne, ale napatrzyłem się w życiu na mnóstwo koszmarnie oszukańczych biustonoszy. Ten niczego nie udaje ani nie skrywa. – Dotknął jej brody i odchylił głowę, żeby spojrzeć jej w oczy. – W przeciwieństwie do ciebie.

- Mój stanik jest bardziej szczery niż ja?

- W dużej mierze – odparł, rozpinając jej rybaczki.

Wstrzymała oddech, gdy zsuwał materiał z jej nóg. Dotyk Chase'a był delikatny, mimo to czuła ogień miejscach, w których ją muskał palcami. Osunął się na kolana i podtrzymując ją jedną ręką, drugą pomógł wyplątać się ze spodni. Była w samej bieliźnie. Znowu. A on klęczał przed nią nagi. Starła się zachować spokój, patrząc na niego z góry, na jego umięśnione ciało. Powolnym ruchem podsunął dłonie do góry i ujął jej biodra, a potem pośladki. Wydała stłumiony krzyk, gdy przybliżył twarz do jej łona. Nie dotknął jej jednak, owionął tylko oddechem i to wystarczyło. Ugięły się pod nią kolana.

Wstał z uśmiechem.

- Już lepiej – powiedział.

Roześmiała się niepewnie. Podniecenie stłumiło w niej strach. A potem znów odezwał się jej umysł, w którym zaczęły się kłębić wspomnienia i lęki.

- Przestań myśleć – nakazał.

- Nie mogę.

- To będę musiał ci pomóc.

- Tak. Proszę.

Pociągnął ją w stronę łóżka. Nagle wyobraziła sobie własne łóżko w Nowym Jorku, jej i Roba, szpitalne zakątki i wykrochmaloną pościel, i to, jak na nie runęła, kiedy już zadzwonił telefon, a policja powiedziała jej, że był wypadek....

– Połóż się.

– Dobrze. – Poczowała tylko ulgę, że przerwał jej myśli.

Położyła się na łóżku, a on klęknął nad nią.

– Co ty...

– Zaufaj mi.

Wiedziała, że mu ufa. Bez zastrzeżeń. Jednak ta myśl budziła też lęk. Chase sięgnął za jej głowę i ściągnął z poduszki satynową poszewkę. To samo zrobił z drugą poszewką. Millie czekała, podniecona i jednocześnie niepewna.

– Powiesz mi, co się dzieje? – Udawała beztroskę.

Chase ujął jej rękę i położył za jej głowę.

– Wiążę cię.

– Co? – Myślała, że to żart. Potem uświadomiła sobie, że już to zrobił i że jej ręka jest przywiązana poszewką do nogi łóżka. Patrzyła na niego zszokowana. Chase klęczał, uśmiechając się nieznacznie, wzrok miał mroczny i poważny. Czekał. Na przyzwolenie.

Odetchnęła, całe jej ciało było boleśnie świadome tego, co się dzieje. Zabrakło miejsca na myśli. Milczała. Pochylił się i pocałował ją głęboko w usta, jeszcze jeden pocałunek, który sprawił, że wygięła się instynktownie. Potem przywiązał jej drugą rękę. Leżała bezbronna, całkowicie poddana jego pieczytom. Było to o wiele intensywniejsze niż wszystko, co się między nimi dotąd wydarzyło, i wiedziała, dlaczego Chase to robi. Zabierał jej wszystko. Zabierał, żeby dawać. Przesunął powoli dłońmi po jej brzuchu, po piersiach, sięgnął do pleców, żeby rozpiąć stanik.

– Przepraszam – wyszeptał. – Podoba mi się, ale muszę go w końcu zdjąć.

Wciąż nie mogła dobrać z siebie głosu. Zwłaszcza wtedy, gdy rzucił biustonosz na podłogę i pochylił głowę nad jej piersiami, po czym musnął językiem sutki. Przeszył ją dreszcz rozkoszy, ale pojawiły się też myśli.

Mam za małe piersi.

Rob nie przepadał za nimi.

Nie zasługuję na takiego mężczyznę.

– Wciąż myślisz, co? – Uniósł głowę i spojrzał na nią.

– Przepraszam – wyszeptała.

– Nie przepraszaj.

– Tak bardzo chcę przestać myśleć. Pamiętać.

– Wiem.

– Pomóż mi – poprosiła błagalnie. – Pomóż mi, Chase.

Spojrzał na nią, na jego twarzy malowały się tkliwość i pożądanie. Co za

odurzające połączenie. Czują do niego teraz więcej niż kiedykolwiek, a on po chwili wziął jeszcze jedną poszewkę, złożył ją na pół i zakrył jej oczy. Millie westchnęła głośno. Chase czekał. Była zszokowana i jednocześnie świadoma, że tego pragnie. Pomagał jej w sposób, jakiego się nie spodziewała. Było to dziwne i budzące lęk, a mimo to zaskakująco skuteczne.

– Okej? – spytał, a ona skinęła głową.

Przewiązał jej oczy. Próbowwała dostosować się do tej nowej rzeczywistości. Jej świat skurczył się do czucia i dźwięku. I zapachu Chase'a. Potem poczuła jego usta między udami, w samym centrum swojego ciała, i drgnęła spazmatycznie. Nie spodziewała się tego. Doznawała przyjemności tak intensywnej, że aż graniczącej z bólem.

– Chase – westchnęła, przypominało to szloch. Wtedy przestał, doprowadzając ją na samą krawędź, ale nie dalej. Odczuła to niemal jak cierpienie.
– Chase. – Tym razem było to błaganie.

Słyszała jego urywany oddech, czuła napór jego kolan na uda, jego ciepło, i wiedziała, że jest tuż nad nią. Gdzie jej teraz dotknie? I wtedy zaczął dotykać, a ona, całkowicie skupiona na doznaniach, nie potrafiła sformułować nawet jednej myśli. Najpierw musnął wargami jej nadgarstek. Potem całował jej szyję. Potem usta, głęboko, a ona zareagowała, napierając na więzy. Całował ją wszędzie, były to delikatne, drażniące pocałunki, ugryzienia, ukąszenia, dotknięcia językiem. Krzyczała z rozkoszy i zdumienia, a potem pojawiło się coś głębszego. Coś zaczęło w niej pękać. Powiedziała mu, że nie jest złamana, i rzeczywiście tak było. Trzymała się jakoś ostatkiem sił, jej duszę i serce pokrywała pajęczyna pęknięć i rys. I teraz, będąc z Chase'em, rozsypała się całkowicie. Wyrzucała z siebie krzyki rozkoszy, radości i smutku, które przechodziły w szloch; wstrząsał całym jej ciałem, kiedy tak leżała odsłonięta. Bezbronna.

– Millie – powiedział głosem pełnym miłości.

– Tak... Tak, Chase, teraz.

Jak przez mgłę usłyszała dźwięk rozrywanej folii i wiedziała, że wreszcie w nią wejdzie. Nigdy niczego nie pragnęła tak bardzo, a jednak wydała krzyk zaskoczenia i radości, kiedy poczuła, jak wypełnia ją sobą. Była dotąd taka pusta. Objął ją i uwolnił z więzów, więc przywarła do niego, tuląc twarz do jego szyi i łkając z rozkoszy. Chase napierał, coraz głębiej, a potem, obejmując ją mocno i czule, przywiódł ich oboje do kresu. Kiedy trzymał łkającą Millie w ramionach, czuł, jak wali mu serce. Nigdy nie przypuszczał, że tak będzie wyglądał ich seks. Fantastycznie. Miał wrażenie, że jest całkowicie wyczerpany. Millie wtulała twarz w jego szyję. Chase nie odzywał się, wiedząc, że nie potrzeba słów. Głaskał ją tylko po plecach, po włosach, ocierał łzy z policzków. Cofnęła głowę i popatrzyła na niego. Była tak przejmująco odsłonięta; zrzuciła zbroję i maski. Nic już jej przed nim nie zakrywało, a on naprawdę nie wiedział, co ma o tym myśleć. Czekał na jej

słowa.

– Chcę ci powiedzieć... – odezwała się cicho i z wahaniem. – Chcę rozmawiać o swojej przeszłości.

Chyba nie chciał tego słuchać. Przytulił ją, wiedząc, że ona tego potrzebuje. Że potrzebuje jego.

– Okej – odparł.

– Dwa lata temu straciłam męża – wyznała Millie.

Cholera.

– Przykro mi – powiedział cicho. Podejrzywał jakąś tragiczną historię. Smutek sączył się z niej bezustannie. Ale mąż? Wdowa? Pomyślał o swoich złośliwych żartach i skrzywił się w duchu.

Głaskał ją po plecach, jakby chciał ją pocieszyć.

– Co się stało? – spytał w końcu, bo milczała uparcie.

– Zginął w wypadku samochodowym. Zderzenie z wielką ciężarówką. Jej kierowca chyba zasnął.

Nic mu nie przychodziło do głowy, więc tylko ją obejmował.

– Nie powiedziałam ci wcześniej, bo przez dwa ostatnie lata określało to wszystko, co robiłam. Każdy znany mi człowiek patrzył na mnie jak na chodzącą tragedię. – Była nią. – Nikt nie wie, co mi powiedzieć, więc albo mnie ignoruje, albo przeprasza. Nienawidzę tego.

Znał to, choć z innych powodów. Wiedział jednak, że nie wszystko mu powiedziała.

– Potem czuję się winna, że myślę w ten sposób. Jakbym chciała być szczęśliwa, nawet jeśli wiem, że nigdy nie będę.

– Wszyscy chcą być szczęśliwi – zauważył Chase. – Ty też możesz być szczęśliwa.

Ale nie z nim. Nie należało przypominać, że mają tylko jeden tydzień. Wiedział o tym. Jeszcze cztery dni.

– Podobało mi się, że nie wiesz – wyznała. – Że traktujesz mnie normalnie. I czułam się normalnie. Prawie.

– A potem czułaś się z tego powodu winna – dokończył. Co za przygnębiający cykl.

– Chyba tak. Ale to jeszcze nie wszystko.

Znowu umilkła. Wiedział, że będzie musiał skłonić ją do mówienia. Podejrzywał jednak, że brak mu siły. To sprawiało, że czuł się jak niewiarygodnie płytki drań, ale nic nie mógł na to poradzić. Miał dość własnego dramatu, tragedii i bólu. Nie wiedział, czy zdoła znieść jej nieszczęście.

I wiedział, że ona nie zniesie jego nieszczęścia.

– Byliśmy dobrym małżeństwem – odezwała się w końcu. – Kochałam go.

Co miał na to powiedzieć?

– Wiem, że żadne małżeństwo, żaden związek nie jest doskonały, ale patrzę wstecz i dostrzegam wszystkie błędy, jakie popełniłam – ciągnęła. – Oboje popełniliśmy. Oddalaliśmy się od siebie – wyznała po chwili. – Z różnych powodów. A tego dnia, kiedy zginął, byłam dla niego niedobra. Nie pamiętam nawet, o co się kłóciliśmy. Czy to nie głupie? Ale nie pamiętam... Nie pocałowałam ich... jego na pożegnanie. Nie powiedziałam nawet „do widzenia”, jak mi się zdaje. A Charlotte... – Głos utkwiał jej w gardle i Chase przytulił ją do siebie.

Wciąż milczał. Nie miał jej w tym momencie nic do zaoferowania i wiedział o tym. Może i ona wiedziała. Po chwili wysunęła się z jego objęć. Patrzył, jak zbiera swoje rzeczy i idzie do łazienki.

– Wezmę prysznic – powiedziała obrócona do niego plecami.

– Okej – odparł i gdy zamknęła drzwi, poczuł przyływ zawstydzającej ulgi.

Millie odkręciła wodę i oparła głowę o zimne kafelki. Serce nie waliło jej już tak mocno; zastanawiała się, czy w ogóle bije. Jeszcze przed chwilą czuła się tak wspaniale żywa, a teraz miała wrażenie, że jest w środku martwa. Odrętwiała z rozczarowania. Zatem Chase tak naprawdę nie pragnął intensywności. Nie tej, którą oferowała, próbując mu opowiedzieć swoją historię. Choć ją obejmował, czuła jego emocjonalny chłód. Naruszyła zasady ich umowy – zasady, które sama ustaliła – a jemu się to nie podobało. Nie chciał się tak bardzo zagłębiać. Idiotka. Weszła pod prysznic i zmyła z siebie ślady łez. Płakała oczywiście po wypadku. Była terapia, grupa wsparcia, nawet pamiętnik. Ale nigdy nie płakała tak jak teraz. Nigdy tyle z siebie nie dała, tak dobrowolnie, a to tylko sprawiło, że zapragnęła jeszcze więcej. Zapragnęła powiedzieć mu wszystko – o swoim małżeństwie, o wypadku, o Charlotte.

Jednak po kilkudziesięciu sekundach uświadomiła sobie, że Chase nie chce wiedzieć. Nie on jeden potrafił czytać myślach. Westchnęła i sięgnęła po szampon. Gdy powrócił rozsądek, wiedziała, że ten kierunek jej nie odpowiada. Już raz kochała i straciła. Nie zamierzała próbować tego ponownie, zwłaszcza z człowiekiem, który chciał się w to bawić tylko tydzień. Poczuli się lepiej. Odzyskała tę chłodną kontrolę i była zadowolona. Wyszła z łazienki i zobaczyła na łóżku ukośne promienie późnego słońca. Pomimo emocjonalnej burzy, która trwała przez całe popołudnie, Millie była głodna. Zawędrowała do kuchni, gdzie Chase rozmawiał przez komórkę. Czekwała, stojąc dostatecznie daleko, żeby nie podsłuchiwać. Rozłączył się po kilku sekundach i spojrzął na nią z uśmiechem.

– Jak prysznic?

– Świetnie. Umieram z głodu.

– Miło to słyszeć. Właśnie zarezerwowałem stolik w Straw Hat na Anguilli.

– Jak to daleko?

– Dopłyniemy w godzinę.

– Okej. – Może ucieczka z wyspy nie była złym pomysłem.

Rozległ się dzwonek przy drzwiach i Chase poszedł otworzyć. Miała wrażenie, że wszystko przebiega w przyspieszonym tempie.

– Co to takiego? – spytała, kiedy wrócił z kilkoma torbami na zakupy.

– Dwie sukienki. Pomyślałem, że przydałoby ci się coś nowego.

Popatrzyła na niego spokojnie.

– Mam całą walizkę nowych rzeczy.

Wzruszył ramionami.

– Nie wydaje mi się, by było tam coś zalotnego.

– Może mi na tym nie zależy.

Westchnął.

– Nie wkładaj ich, jeśli nie chcesz, Millie. Pomyślałem tylko, że byłyby w sam raz na naszą wielką randkę.

– Ach tak? Zatem to wielka randka?

– Co się z tobą dzieje? – Zmrużył oczy.

– Nic.

W jakiś sposób wszystko się między nimi zmieniło, i to na gorsze. Chase był spięty i drażliwy, choć starał się to maskować. Podobnie jak ona.

– Dobrze, obejrzę te sukienki. – Sięgnęła po torby i dostrzegła rozbawienie w jego oczach. – Dziękuję – dodała obojętnie.

Pół godziny później stała już na pokładzie łodzi, ubrana w luźną jedwabną sukienkę w kolorze cynamonu; płynęli w stronę Anguilli. Niewiele słów zamienili od czasu tej rozmowy w kuchni i milczenie denerwowało Millie. Była spragniona żartobliwie ironicznej pogawędki, swobody, jaką odczuwała w obecności Chase'a. On zaś ustawił rumpel i usiadł obok niej. Nie spytał, o czym myśli, nie odezwał się. Nie chciał tego wiedzieć. Przypuszczał szturm wtedy, gdy oczekiwał, że ona odpowie mu tym samym, zamiast się poddać. Bawiło go wyczekiwanie, chwila przed. Nie chwila po.

– Jakim cudem masz willę na wyspie, skoro nie chciałeś mieć nic wspólnego z rodzinnym biznesem? – spytała, kiedy milczenie stało się niezręczne.

Chase nie odrywał wzroku od ciemniejącego morza.

– Dziadek zapisał nam wyspę, mnie i moim braciom. Ojciec nic nie mógł na to poradzić. Jak tylko wyszedłem na prostą, zbudowałem sobie ten dom. Rzadko z niego korzystam, ale uważałem, że odgrywam się na ojcu, nawet jeśli już wtedy nie żył.

– To musiało boleć. Że cię wydziedziczył.

Chase wzruszył ramionami.

– Nie było to przyjemne.

– A twoja matka?

– Umarła, kiedy miałem dwanaście lat. Rak piersi.

– Przykro mi.

Znowu wzruszył ramionami. Najwyraźniej nie lubił mówić o tych sprawach, ale przynajmniej odpowiadał na pytania.

– A twoi bracia? Utrzymujesz z nimi kontakty?

– Powiedzmy. Aaron jest sympatyczny, ale traktuje życie jak grę, w której to on ma wszystkie pieniądze. Luke, ten średni, zawsze próbował coś udowodnić. Absolutny pracoholik.

– A ty?

– Czarna owca, której niby się udało.

– Są żonaci?

– Nie.

– I dogadujesz się z nimi?

– Można tak powiedzieć.

Nie wyczuwała w tym rodzinnego szczęścia. Dziękowała Bogu, że ma rodziców i siostrę, którzy kochali ją i wspierali, ale nawet oni nie potrafili przebić się przez mur, który wokół siebie wzniosła. Tylko Chase tego dokonał. Wiedziała, że musi przestać tak o tym myśleć, chcieć czegoś, czego nie mógł jej dać.

– A ty? Masz rodzinę? – spytał.

– Rodziców i siostrę.

– Jesteś z nimi blisko?

– Tak – umilkła. Nigdy nie powiedziała im o swoim małżeństwie tak dużo jak jemu.

– Ale nie za bardzo, co? – zauważył niemal cynicznie.

Pokręciła tylko głową. Nie chciała, by myślał, że jej rodzina jest taka jak jego albo że jej życie to tylko smutek.

– Nie, naprawdę jesteśmy zżyci. Moja siostra Zoe jest fantastyczna. Wpada prawie co tydzień z moim ulubionym przysmakiem, sprawdza, czy nie przemęczam się za bardzo.

– Twój ulubiony przysmak?

– Nachosy ze sztucznym serem.

Parsknął śmiechem.

– Niebył wyszukane.

– Cóż robić – odparła lekko i przez chwilę było tak, jak wcześniej: beztrosko, żartobliwie. Po chwili zauważyła, jak coś przygasa w oczach Chase'a; odwrócił się w stronę morza.

– Prawie dopłynęliśmy.

Restauracja umiejscowiona była na samej plaży, biały, wykładany terakotą budynek, jeden z wielu stojących wzdłuż brzegu. Millie zwolniła kroku, przyglądając się dzieciom. Jedna z dziewczynek miała ciemne loczki. Wyglądała na pięć lat; byłaby trochę starsza od Charlotte.

– Millie? – Chase wyciągnął do niej rękę.

Uświadomiła sobie, że stoi w miejscu i patrzy. Dzieci były dla niej od dwóch lat niewidzialne, jakby jej umysł wykluczył je ze świata. Nie dostrzegała ich w swojej kamienicy, na ulicy, w parku. Chwała Bogu, że jej życie tak bardzo skupiało się na pracy; rzadko widywało się dzieci na Wall Street. Teraz jednak ujrzała je w całej tej puciołowatej niewinności i poczuła bolesny skurcz zranionego serca.

– Millie – powtórzył Chase cicho.

Odwróciła się powoli od grupki małych obdartusów. Miała ochotę tłuc go pięściami w pierś. Widzisz, co mi zrobiłeś? Radziłam sobie, udawało mi się przetrwać, a ty wzbudziłeś we mnie to pragnienie i nadzieję. I już tego nawet nie chcesz. Uniosła głowę i weszła za nim do restauracji.

– Co to takiego? Wielka taca? – Millie wskazała prostokątne pudełko z piaskiem pośrodku blatu.

– Nie, można się tym bawić, czekając na jedzenie. – Chase wziął małą szpatułkę leżącą obok pudełka i podał jej z uśmiechem. – Spróbuj.

Nabrała na łopatkę trochę piasku i wsypała go z powrotem do pojemnika.

– Podoba ci się architektura?

– Te wszystkie pytania...

Spojrzała na niego gniewnie.

– To się nazywa rozmowa. – Była świadoma nerwowości w swoim głosie i wiedziała, że on też ją dosłyszał. Teraz jemu nie podobały się pytania.

Napił się wody.

– Lubię coś tworzyć. Mieć pomysł i zamieniać go w rzeczywistość.

– Dla jakiej firmy pracujesz?

– Chase Bryant Designs.

– Aha, masz swoją.

– Tak, założyłem ją pięć lat temu.

Oznajmił to z niejaką dumą w głosie. Chciała mu powiedzieć, że go podziwia, ale czy nie byłoby to głupie? Czułby się jeszcze bardziej nieswojo. Napiła się wina, jeden kieliszek, potem drugi.

– Zwolnij, Groźna, bo będę musiał nieść cię do domu.

Teraz to on okazywał nerwowość. Odsunęła kieliszek.

– Dlaczego tego po prostu nie powiesz?

– Czego?

– Że to koniec.

– Koniec?

– Tak. Od czasu... – urwała. – Doświadczyłeś intensywnego seksu i sprawa załatwiona. Może damy już spokój.

Znów sięgnęła po wino, żałując niemal, że zaczęła tę rozmowę.

– To ty cały czas wszczynasz kłótnie – zauważył łagodnie. – Kupiłem ci sukienkę i zabrałem do jednej z najlepszych restauracji na Karaibach. Wybacz, ale nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

– Nie wiesz? – spytała szczerze.

– Nie wiem.

Wciąż żywiła tę słabiutką nadzieję, chociaż wiedziała, że ona obumiera. Bolało ją, że nawet po tym wszystkim, co razem przeżyli, Chase nie potrafi przyznać, jak bardzo sprawy się zmieniły. Przez chwilę niemal chciała wstać i wyjść z restauracji. Nie potrzebowała tego. Nie potrzebowała Chase'a. Potem zjawił się kelner, a oni złożyli zamówienie. Stosowna chwila przeminęła. Została z powodu słabości. Słabości do niego. Nadzieja przygasła, ale wciąż tliła się w jej sercu. Chase dostrzegał emocje na jej twarzy – rozczarowanie, ból, żal – i żałował, że tak łatwo potrafi ją przejrzeć. Że psuł w tej chwili wszystko. Nic już nie było takie samo od czasu, gdy się kochali, i co ważniejsze, od tamtej późniejszej rozmowy. Naciskał bezustannie Millie, chciał zobaczyć, jak traci tę swoją kontrolę, chciał być tym, który do tego doprowadzi. A gdy mu się to udało i ona rzuciła się przepaść, co zrobił? Wycofał się, udając, że tego nie robi. Tchórz. Drań. Niech to diabli.

– Millie... – Dotknął jej dłoni. Spojrzała na niego, przygryzając wargę. – Przepraszam. Kompletnie to spieprzyłem.

W jej brązowych oczach pojawiły się łzy.

– Nie, to ja spieprzyłam. Nie trzeba było mówić tego wszystkiego... potem. To nie wchodziło w zakres naszej umowy.

– Sprowokowałem cię do tego.

Zdobyła się na uśmiech. Była jednak silna.

– Wiążąc mnie i zasłaniając mi oczy?

– Z grubsza.

– Robieś to już kiedyś wcześniej? – spytała szczerze zaciekawiona, a on się zaczerwienił.

– Nie.

– Ja też nie.

– Zorientowałem się.

Wybuchła śmiechem.

– Och, Chase, chcę, żeby to wróciło.

– Wróciło?

– Ty. Ja. My oboje. Świetnie się bawiłam i czułam się z tym naprawdę dobrze. – Miał wrażenie, że jej spojrzenie przeszywa mu serce. – To było niesamowite.

– Chodź. – Wstał, niemal przewracając kieliszki, i rzucił na stół kilka banknotów. – Wynośmy się stąd.

– Dokąd idziemy? – Wzięła go za rękę.

– Do jakiegoś pokoju. Z łóżkiem.

Millie nie pytała o nic, kiedy ruszyli w stronę ulicy. Zatrzymał taksówkę, do której wsiedli.

– Cap Juluca – rzucił taksówkarzowi i wyjaśnił Millie: – To miejscowy kurort. Zarezerwowałem pokój na wypadek, gdybyśmy mieli nie wracać.

Kierowca podwiózł ich pod główny budynek. Chase trzymał Millie za rękę, kiedy się meldowali w hotelu, i potem, kiedy szli do prywatnej kwatery.

– Chata z trawy? Poważnie? – spytała Millie.

– Luksusowa – wyjaśnił Chase i pociągnął ją do środka.

Millie popatrzyła na mahoniową podłogę, wygodne fotele ratanowe, moskitierę. I na łóżko. Szerokie, niskie łóżko z miękkimi poduszkami; za przezroczystymi zasłonami pluskał ocean. W trawiastym dachu i ścianach szeleścił wiatr.

– Tu jest pięknie.

– Ty jesteś piękna – powiedział zdławionym głosem.

– Nie potrzebuję pochlebstw, Chase. Wiem, że nie jestem piękna.

Powiedziała to tak rzeczowo, że ścisnęło mu się serce.

– Dlaczego tak uważasz?

– Nawet ty nazwałeś mnie groźną. I wiem, że nie jestem w twoim typie.

Posłuchaj, nie poproszę cię o coś, czego nie będziesz chciał mi dać. Obiecuję.

Wiedział, że sam skłonił ją do tego wyznania.

– Chodź tutaj – wymamrotał i pocałował ją, powoli i głęboko.

Wsunęła palce w jego włosy i przyłgnęła do niego całym ciałem. Udało im się jakoś dotrzeć do łóżka, zrzucając z siebie ubranie.

– Chcę cię dotykać – wyszeptała, zlizując sól z jego skóry. – Ostatnim razem nie miałam okazji.

Chciał, żeby go dotykała. Przekręcił się na plecy i rozpostarł ręce.

– Dotykaj mnie, Groźna. Jak tylko chcesz.

Przesunęła dłonią po jego piersi, po gładkiej skórze uda, a potem ujęła jego twardą męskość.

– Jak chcę?

– Tak.

Roześmiała się znowu, ale tym razem jak uwodzicielka obdarzona mocą. Lubił – nie, uwielbiał – widzieć ją taką. Pewną siebie, silną, zmysłową. Całowała jego pierś, rozpalając go do białości. Jego dłonie zaplątały się w jej włosy, kiedy zsuwała się coraz niżej.

– Millie...

– Powiedziałaś: „Jak tylko chcesz”.

Zamknął oczy, tłumiąc wszelkie myśli. Czuł tylko ją. Była tylko ona.

Uniósł gwałtownie biodra i krzyknął bezwiednie; poruszała się tak szybko, że ledwie to zauważył, kiedy znalazła się na nim, a on wypełnił ją sobą. Oczy miał zamknięte, cały był uległością.

Radością.

– Millie – powiedział głośno. – Millie.

Pochyliła się nad nim, omiatając mu włosami policzek, i wydała z siebie głębokie westchnienie.

Chase pomyślał, że ta kobieta go zabije, jeśli nie przestanie. Poczł łomot serca. Było to groźniejsze, niż chciał kiedykolwiek przyznać.

Przyszło mu do głowy, że byłaby to wspiania śmierć.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Millie patrzyła na ocean. W mrocznych wodach migotał blask księżyca. Chłód powietrza przynosił ulgę rozpalonej skórze. Chase zasnął, kiedy już przestali się kochać – nie, uprawiać seks – a ona się zdrzemnęła. Potem wyszła na zewnątrz, żeby posiedzieć na zimnym piasku. Kochali się w jej przekonaniu. Na tym polegał problem. Miłość to słowo budzące lęk. Zaczynała go kochać i miała koszmarne wrażenie, że jest zbyt późno, by powstrzymać ten zjazd po równi pochyłej. Do świata strachu i winy, gdzie człowiek się zastanawia, czy następny dzień nie będzie ostatnią chwilą szczęścia. Przecież wielu ludzi dostawało drugą szansę. Wielu ludzi żyło po bolesnej stracie dalej; wiązali się z kimś i znów ryzykowali. Tak, ale nie ona. Nie potrafiła sobie wyobrazić, by znów złamano jej serce. A Chase? Nawet jeśli był gotów kontynuować ich przygodę, to z pewnością chciałby więcej, niż mogła dać. Małżeństwo, może nawet dzieci. Ta myśl przyprawiała ją o strach i jednocześnie tęsknotę. Bajki. Chase nie był tym zainteresowany. Chciał się bawić, tak jak ona, ale nic więcej. Rozumiała to teraz. Postanowiła, że od tej pory będą grać według jego reguł. I jednocześnie jej reguł.

– Zastanawiałem się, gdzie jesteś.

Zesztywniała na dźwięk jego zasnętego głosu.

– Nie mogłam spać.

– Dlaczego?

– Cierpię chyba na bezsenność. Taka praca.

– Sprawdziłaś dziś notowania na giełdzie? – spytał półzartobliwie.

Nagle zdała sobie sprawę, że tego nie zrobiła. Od ponad czterdziestu ośmiu godzin. Dobry Boże!

– Oczywiście – odparła odrobinę za późno.

– Kłamczucha. – Usiadł obok niej.

Pomimo intymnych chwil, jakie przeżyli, bliskość jego nagich nóg przyprawiała ją o dreszcz.

– Na twojej łodzi nie ma zasięgu.

– Jesteś okropną kłamczuchą. Nie sprawdziłaś, bo w ogóle o tym nie pomyślałaś. I to cię przeraża.

Nie znalazła słów. Zaczynała go kochać i wiedziała, że to ostatnia rzecz, jakiej on może pragnąć.

– Giełda przetrwa beze mnie kilka dni.

– Ważniejsze, czy ty przetrwasz bez niej.

Nie mogła dostrzec w ciemności jego twarzy.

– Przecież tu jestem, prawda?

– Dlaczego wstałaś z łóżka?

– Co, pierwotny instynkt władcy? Czy może duma playboya?
– Duma playboya?
– Wiesz, to ty powinieneś odejść pierwszy. – Starła się zachować lekki ton, ale na próżno.

– Nie odchodzę, Millie. – Zabrzmiało to zbyt smutno.
– Na razie. Masz jeszcze cztery dni, a ja traktuję poważnie naruszenia jakiegokolwiek kontraktu.

Chase milczał, a Millie poczuła się niepewnie.

– Kiedy zaczęło się psuć między tobą a mężem? Dlatego wciąż czujesz się winna?

Znieruchomiała.

– Dlaczego pytasz mnie o to właśnie teraz?
– Bo powinienem spytać wcześniej. Kiedy chciałaś mi powiedzieć.
– Tak, powinieneś.
– Wiem.
– Posłuchaj, Chase, przyznaję, że byłam wrażliwa i odsłonięta... po seksie. – To było o wiele więcej niż seks. Więcej, niż oczekiwała. – O to właśnie chodziło w tym ćwiczeniu – dodała, wciąż siląc się na żartobliwość.

– Nazywasz najlepszy seks w swoim życiu ćwiczeniem?

Najlepszy seks w jej życiu. Nie mogła temu zaprzeczyć. Nawet jeśli nie był to tylko seks.

– Wiesz, o co mi chodzi.
– Chciałem, żebyś straciła nad sobą kontrolę, ale kiedy się to stało, nie wiedziałem, co robić. Przepraszam.

– Nie ma to właściwie znaczenia.
– Jak możesz tak mówić?
– Bo to prawda. Tamta... tamta rozmowa to była chwila słabości. Już mi przeszło.

– Ale nie mnie.

Poczuła ukłucie irytacji.

– Dlaczego to robisz? Myślałam, że ci ulży.
– Zamierzałaś powiedzieć mi coś jeszcze, coś więcej niż powiedziałaś.
– Nie.
– Zdradzić prawdziwy powód tego całego smutku. Powód, dla którego nie chcesz się od niego uwolnić.

– Jeśli wydaję się smutna, to dlatego, że mój mąż i... że mój mąż zginął. Myślę, że to oczywiste. – Spojrzała na niego z gniewem.

Chase patrzył jej w oczy.

– Jeśli nie zechcesz mi powiedzieć, to może powinienem zgadywać. Tak jak to robiłem w przypadku twojego mieszkania, pracy i stylu życia.

– Daj spokój.
– Wiem, że schrzaniłem sprawę, Millie. Chcę to teraz naprawić.
– Za późno. – Dziwiła się, że nawet na Karaibach może odczuwać lodowaty chłód. – Po co zawracać sobie tym głowę? Pozostało nam tylko kilka dni.

Nie wiedział, co powiedzieć. Patrzył na jej surowy profil i starał się odgadnąć jej myśli. Wciąż jednak nie wiedział, jaki jeszcze smutek Millie skrywa.

– Powiedziałaś, że ty i mąż odsunęliście się od siebie. Z wielu powodów.
Milczała. Przypomniawszy sobie wszystko, co wiedział o Millie. Wspomniała o jakiejś Charlotte...

Charlotte.

„Jeśli wydaję się smutna, to dlatego, że mój mąż i... że mój mąż zginął”.

Ktoś jeszcze zginął w tym wypadku. Ktoś o imieniu Charlotte.

– Twój mąż miał romans? – spytał cicho, a ona popatrzyła na niego zdumiona.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Powiedziałaś, że się od siebie oddalaliście. Z wielu względów.

– Nie tak bardzo.

– A o co poszło?

– To bez znaczenia.

– Bez znaczenia? Zabawne. Wykluczyłaś jakiegokolwiek rozmowy o swojej przeszłości.

– Opowiadałam ci o niej.

– Nie o wszystkim. – Nie wątpił w to.

– Dość – wyszeptała.

Czyli było coś jeszcze. Zdecydował się na strzał w ciemno.

– Dlaczego nigdy nie mówisz o Charlotte?

Patrzyła na niego z otwartymi ustami; w innych okolicznościach byłoby to nawet zabawne. Teraz wydało mu się przejmujące. Wyglądała tak, jakby uderzył ją pięścią w brzuch. Jakby złamał jej serce.

– Przestań – wyszeptała z takim bólem, że niemal zrezygnował.

Był gotów wziąć ją w ramiona i zapewnić, że o nic już nie będzie pytał, jeśli tylko uśmiechnie się do niego.

– Charlotte zginęła w wypadku z twoim mężem – oznajmił jednak stłumionym głosem. Dla niego też było to trudne. – Prawda?

Millie skinęła nieznacznie głową. Jakby wciąż go błagała, by przestał. Nie zrobił tego.

– Kim ona była, Millie? Kimś dla ciebie ważnym, to pewne.

Milczała, patrząc w morze.

Nagle pojął. Było to tak oczywiste i okropne, że przez chwilę nie potrafił dobyć z siebie głosu. Przywołał obraz sprzed kilku godzin – nagą Millie

pochylającą się nad nim i te dwie srebrzyste linie tuż pod jej pępkiem.

Rozstępy.

– Charlotte była twoją córką, prawda? – spytał cicho.

Zaszlochała i ukryła twarz w dłoniach.

– Zginęła w tym wypadku z twoim mężem – powiedział. – Och, Millie, tak mi przykro.

Wziął ją w ramiona, a ona wtuliła się w niego. Płakała wcześniej, kiedy się kochali. Sądził, że przełamał jej bariery, teraz jednak wiedział, że trzymała się rozpaczliwie tej ostatniej. Jej szloch przypominał krzyk cierpiącego zwierzęcia.

– W porządku, kochanie. Płacz. Płacz, moja najdroższa.

Moja najdroższa. Uświadomił sobie sens tych słów. Kochał ją. Nie zdziwiło go to nawet. Było zbyt prawdziwe. Nie wiedział, jak długo trzymał ją w ramionach. Czas stracił znaczenie. W końcu, po kilku minutach albo godzinach, Millie wysunęła się z jego objęć.

– Rob chciał, żebym usunęła ciążę. Właśnie wtedy wszystko zaczęło się psuć.

Chase odczuwał ból. Ból człowieka, który kocha.

– Chodziliśmy ze sobą już na studiach, ale czekaliśmy z małżeństwem na odpowiedni moment. Najpierw praca, mieszkanie. Myśleliśmy o dzieciach, ale postanowiliśmy odłożyć to na później. Rob był prawnikiem, całkowicie skupionym na karierze, tak jak ja. Odpowiadało nam to.

– Wierzę ci – powiedział cicho.

– Potem zaszłam w ciążę, kilka lat wcześniej, niż planowaliśmy. Miałam trzydziestkę. – Umilkła, pogrążona we wspomnieniach. Chase głaskał ją delikatnie po dłoni. – Byłam zaskoczona, ale nie martwiłam się. Wydarzyło się nie w porę, ale... myślałam, że się dostosujemy.

– Twój mąż się nie dostosował?

– Rob chciał najpierw zostać partnerem w kancelarii. To było dla niego bardzo ważne, a ja to rozumiałam. – Popatrzyła na niego ze smutkiem. – Nie powinieneś czuć do niego nienawiści.

Nienawiści? Oczywiście, że go nienawidził. Tego samolubnego drania. Ścisnął jej rękę.

– Ważniejsze chyba, że ty nie czujesz do niego nienawiści.

– Nie czuję – zapewniła. – Nigdy nie czułam. Było mi raczej... smutno. I miałam wyrzuty sumienia, jakby to była moja wina.

– Sama w ciążę nie zaszłaś.

– Wiem. Ale to wywołało mnóstwo nieporozumień w naszym małżeństwie, więc... zgodziłam się na aborcję.

Tego się nie spodziewał.

– Zgodziłaś się?

Skinęła głową. Po jej policzku spłynęła łza.

– Tak. Wmówiłam sobie, że tak będzie lepiej. Że nasze małżeństwo jest ważniejsze niż... dziecko. – Otarła łzę. – Nie mogłam tego zrobić. Poszłam w umówionym dniu do kliniki i usiadłam w poczekalni, a kiedy mnie wywołali... zrobiło mi się niedobrze.

– Zdarza ci się to w trudnych sytuacjach.

– Jeśli chodzi o obrót akcjami, mam nerwy ze stali.

– Nie wątpię.

– Wróciłam do domu i powiedziałam Robowi. Zaakceptował to. – Spojrzała na Chase'a. – Nie upiększam tej opowieści, wierz mi. Nie był złym człowiekiem. Kochałam go.

Chase milczał.

– Potem się urodziła. I była piękna. Nie miałam zdolności macierzyńskich. Nie nauczyłam się karmić piersią, nie potrafiłam nawet złożyć wózka. Nigdy sobie z tym nie radziłam.

– Są ważniejsze rzeczy.

– Wiem. Kochałam ją. – Jakby chciała go o tym przekonać, a on nie wiedział dlaczego. Nigdy nie wątpił, że kocha dzieci. – Wróciłam do pracy, kiedy Charlotte miała trzy tygodnie. Musiałam. I pracowałam do późna, dziesięć, dwanaście godzin. Mieliśmy nianię, Lucindę. Przebywała z Charlotte znacznie częściej niż ja.

– To nie znaczy, że byłaś złą matką.

– Nie, ale gdyby ktoś mi powiedział, że będę ją miała tylko dwa lata... – Spojrzała na Chase'a z takim smutkiem, że z trudem powstrzymała łzy. – Od razu zrezygnowałabym z pracy. W jednej chwili.

– Nikt nie wie takich rzeczy – powiedział cicho Chase. – Nikt nie wie, ile mu zostało czasu.

On z pewnością nie wiedział.

– Tak, ale żałuję, że o tym nie pomyślałam. Żałuję, że... nie pożegnałam się, kiedy Rob zabrał ją tamtego dnia. Jechali do zoo na Long Island. Musiałam iść do biura, to była sobota, denerwowałam się przed spotkaniem z klientem. Wypchnęłam ich za drzwi i nawet się nie obejrzałam.

– Och, Millie. – Wziął ją w ramiona. – Dlaczego nigdy nie mówisz o Charlotte?

– Nie mogę. Rodzice i siostra rozumieli i czekali, aż sama zacznę, ale nigdy się na to nie zdobyłam. Ludzie w pracy czuli się zbyt niezręcznie, więc się nie odzywali. Chodziłam na terapię i po prostu mówiłam o Robie. O nim mogłam mówić. Ale Charlotte... Boże, jak bardzo za nią tęsknię. – Znowu zaczęła szlochać. – Chcę żyć dalej, być szczęśliwa, ale boję się, że zapomnę o niej i że znów kogoś stracę. – Otarła oczy. – Nie przeżyłabym takiego bólu po raz drugi.

Chase czuł w sobie pustkę. „Nie przeżyłabym”.

– Tak – wymamrotał i gdy wciąż tulił ją do siebie i głaskał, poczuł, jak nadzieja, która niedawno zakiełkowała, umiera z wolna.

Millie wlepiła wzrok w piasek, ocierając łzy. Była słaba z wyczerpania. Nigdy tak nie płakała, nawet gdy dowiedziała się o wypadku. Tym razem jednak były to dobre łzy, uzdrawiające. Wyznanie Chase'owi prawdy przypominało przecięcie wrzodu. Bolesne i konieczne. I przyniosło ulgę. Spojrzała na niego i poczuła przyływ miłości.

– Dziękuję – powiedziała cicho i wzięła go za rękę.

Ścisnął jej dłoń. Nie bardzo wiedziała, co myśli. Miłość była bolesna, trudna, skomplikowana. I wspaniała. Podtrzymywała na duchu. Nie wyobrażała sobie teraz życia bez niej.

– Chodźmy do łóżka – powiedział.

Weszli do chaty, położyli się i okryli chłodną pościelą. Przez chwilę leżeli bez ruchu, potem Chase przyciągnął ją do siebie. Millie poczuła, jak opuszcza ją napięcie. Zamknęła oczy z uśmiechem i zasnęła.

Obudziła się sama w łóżku, przez zasłony wpadał blask słońca. Wpatrywała się w trawiasty dach, wspominając to, co się wydarzyło. Uśmiechnęła się. Włożyła sukienkę i poszła poszukać Chase'a. Nie było go na plaży, więc pomyślała, że zamawia śniadanie. Ruszyła w stronę osobnego budynku, w którym mieściła się łazienka. Weszła tam i stanęła jak wryta. Chase leżał na podłodze. Był kredowobiały na twarzy i nieprzytomny. Nie miała pojęcia, jak długo tak stała. W końcu uklękła przy nim i spróbowała wyczuć jego puls; wydawał się słabiutki.

– Chase. – Dotknęła jego twarzy. – Chase.

Nic.

Podniosła się z zimnej kamiennej podłogi i pobiegła z powrotem do sypialni. Wygrzebała z torebki komórkę i z ulgą zobaczyła, że jest zasięg. Wystukała 911, nie wiedząc nawet, czy taki jest tu numer pogotowia. Pytanie operatorki zaskoczyło ją kompletnie.

– Gdzie się pani znajduje?

– W kurorcie... – Próbowała sobie przypomnieć. – Cap coś tam.

– Cap Juluca?

– Tak.

– Proszę powiedzieć, co się stało.

– Nie wiem. Poszłam do łazienki, a on leżał tam nieprzytomny. Nie mogę go docucić.

Powróciły wspomnienia.

„Był wypadek. Stan krytyczny... Proszę natychmiast przyjechać”.

Kiedy dotarła do szpitala, było już za późno.

Usłyszała jak przez mgłę, że karetka przyjedzie za dziesięć minut.

– Proszę zostać na miejscu zdarzenia i czekać.

Miejsce zdarzenia. Te słowa wywołały instynktowną reakcję; omal się nie zakrztusiła. Nie mogła uwierzyć, że dzieje się to znowu. Klęczała na podłodze i trzymała zimną dłoń Chase'a. Raz się poruszył, drgnęły mu powieki. Potem znowu stracił przytomność. Z dali dobiegło zawrozczenie sygnalu karetki. Następną godzinę przypominała niewyraźną plamę. Chase, wciąż nieprzytomny, został zabrany do karetki. Millie pojechała razem z nim; w jej głowie kłębiły się pytania. Czy coś mu dolega? Bierze jakieś leki? Ma jakąś alergię? Nie wiedziała. Kochała go tak bardzo, teraz jednak nie mogła mu pomóc. Nie mogła nic zrobić... tak jak wtedy. Podczas długiej jazdy do szpitala odzyskał przytomność i spojrzał na nią.

– Chase...

Doznała ogromnej ulgi, kiedy się uśmiechnął. Pomyślała, że wszystko będzie dobrze. Z nim, z nimi. Potem dotarło do niego, gdzie się znajduje. Wzrok mu przygasł; odwrócił głowę w drugą stronę. Millie dotknęła jego dłoni. Cofnął rękę. Starła się tym nie przejmować. Byli w karetce, wszystko działo się tu inaczej. Ten gest nic nie znaczył. Potem siedziała w poczekalni i chciała, by ktoś jej powiedział. Cokolwiek. Wreszcie w drzwiach ukazała się pielęgniarka.

– Może się pani zobaczyć z panem Bryantem.

Chase siedział na łóżku, był blady, ale poza tym wyglądał na zdrowego. Odczuła ulgę na jego widok.

– Chase...

– Cześć, Millie.

– Wiedzą, co ci jest? Znalazłam cię w łazience i tak się wystraszyłam. – Szukała w nim oznak... czego? Nie odzywał się, nawet na nią nie patrzył. – Chase?

– Mam białaczkę, Millie.

– Co? – wymamrotała. – Powiedzieli ci o tym w szpitalu? Zrobili badania?

Pokręcił zniecierpliwiony głową.

– Wiem od ośmiu miesięcy i... dziewięciu dni. Zemdlałem rano, bo zażywałam nowy lek, który wywołuje zawroty głowy. Uderzyłem się o wannę.

Millie wciąż nie mogła zrozumieć.

– Masz białaczkę? – spytała w końcu.

– Przewlekłą białaczkę szpikową.

Osunęła się na krzesło, patrząc na niego bez słowa; miał obojętny wzrok. Domyślała się, co czuje.

– Dlaczego... mi nie powiedziałaś?

– Naprawdę o to pytasz?

– Nie chciałaś, żebym wiedziała?

– To oczywiste.

Poczuła się zraniona jego chłodnym tonem.

– Potrafię to zrozumieć, ale myślałam... po tym wszystkim... – Nie mogła znieść jego obojętnego spojrzenia. – Powiedz mi coś więcej.

– Więcej?

– O chorobie.

– Co chcesz wiedzieć? To białaczka. Cały czas biorę leki, ale objawy się nasiliły, więc moja lekarka zapisała mi coś innego. Dlatego byłem na wyspie... żeby sprawdzić przed powrotem do Nowego Jorku, czy ten nowy lek jest skuteczny.

– Trzeba było mi powiedzieć. – Wiedziała, że nie należy tego mówić, że chwila jest nieodpowiednia.

– Nie było powodu ci mówić.

– Nie było powodu? Jak wyobrażasz sobie związek między nami...

– Nie ma żadnego związku, Millie.

Gapiła się na niego z otwartymi ustami.

– Chase...

– Mieliśmy swój tydzień.

– Zostały jeszcze trzy dni.

– Zatrzymają mnie na noc, więc będziemy musieli wszystko skrócić.

– Wycofujesz się? – spytała i przez chwilę wydawało jej się, że coś do niego dotarło. Modliła się, by uświadomił sobie to, co się między nimi wydarzyło. By zrozumiał, że jest to dobre.

– Uważaj nasz kontrakt za zerwany – oznajmił obojętnie i odwrócił głowę.

Millie zacisnęła bezradnie pięści. Chase dotrzymywał pierwotnych warunków umowy. To ona się zmieniła, to ona chciała więcej. Tak dużo.

– Jak mam wrócić na St Julian?

Zawahał się. Wiedziała, o czym myśli. Żeby sama wynajęła łódź.

– Zabiorę cię jutro, jeśli zechcesz zostać tu jeszcze jedną noc.

– Dzięki – zgodziła się, bo nie była gotowa odejść na dobre. Potrzebowała czasu do namysłu.

– To nic nie zmieni, Millie. – Zabrzmiało to jak posępne ostrzeżenie.

Popatrzyła na niego chłodno.

– Wszystko się już zmieniło, Chase. Ale chyba o tym wiesz.

Wróciła do kurortu taksówką. Przystanęła na progu chaty, w której spędzili minioną noc jako kochankowie.

Białaczka.

Wiedział od ośmiu miesięcy. I zachowywał to wyłącznie dla siebie. Zastanawiała się, czy wiedzą jego bracia. Przypomniała sobie tę jego radosną maskę, podczas gdy w rzeczywistości zmagał się z chorobą. Czy było to jego schronienie? Czy tak radził sobie z sytuacją? A może był to jedyny sposób, by uniknąć koszarnej litości? Wiedziała, jak to jest być określanym wyłącznie przez ból. Rozumiała nawet, dlaczego Chase jej nie powiedział. Teraz było jednak inaczej. Oni byli inni; pomógł jej przełamać bariery i teraz musiała zrobić to samo

dla niego.

Jak?

Próbowała walczyć. Jak mógł być chory, skoro wyglądał tak zdrowo? Był taki radosny i żywy. Przypomniała sobie jednocześnie, jak się skrzywił, gdy skoczyła na niego z łódki, jak spoglądał posępnie na zachód słońca. Jak jej mówił, że chce korzystać z życia, wysysać szpik z kości. Teraz rozumiała dlaczego. Nie wiedział, ile czasu mu zostało. Chwilami była przerażona, chwilami miała ochotę uciekać, zapomnieć. Nie chciała przeżywać po raz drugi bólu straty. Jednak musiała walczyć, ponieważ życie bez niego nie miało po prostu sensu. Wzięła głęboki oddech. Będzie walczyć. A to oznaczało walkę z Chase'em. Oznaczało, że będzie musiała zrzucić swoją zbroję... i znaleźć jakąś broń.

Chase patrzył na lekarkę, która zjawiała się, by przekazać mu nowiny. Nie wiedział jakie, ale nie spodziewał się niczego dobrego. Życie z białaczką oznaczało powolne pograżanie się w niesprawności. W śmierci.

– Właśnie przysłano wyniki badań pańskiej krwi – powiedziała.

Chase przygotował się na najgorsze. Badał krew regularnie i wiedział, jakie wyniki oznaczają fazę przewlekłą. Faza akceleracyjna... to był koniec.

– I? – spytał lakonicznie, bo lekarka wciąż patrzyła na kartkę, nie udzielając mu informacji.

– Wyglądają całkiem nieźle.

„Całkiem nieźle” nie oznaczało „wspaniale”.

– Nieźle? – powtórzył.

– Liczba płytek w milimetrze sześciennym wynosi około dwustu tysięcy. Unormowała się, jak pan zapewne wie.

Liczba była wyższa przed dwoma tygodniami, kiedy zaczął brać nowy lek. Najwyraźniej spadała.

– Po powrocie do Nowego Jorku powinien pan znowu zbadać sobie krew. I ponownie sprawdzić skuteczność leku.

No tak. Poczul strach, który udawało mu się stłumić przez niemal tydzień. Strach, którego nie odczuwał od chwili, gdy poznał Millie i zakochał się w jej drażliwej osobowości. Odsunął od siebie tę myśl, przygotowując się na życie bez radości. Bez Millie. Nie wolno mu było jej na to skazywać. „Nigdy nie przeżyłabym po raz drugi takiego bólu”. Powiedziała to w chwili załamania, ale wiedział, że mówi szczerze. Spędził w szpitalu bezsenną noc; nigdy nie znosił sterylnych pomieszczeń, zapachu antyseptyków, smutku unoszącego się w powietrzu. Nie mógł spać z jeszcze jednego powodu – wspominał każdą chwilę spędzoną z Millie w ciągu czterech minionych dni. Cztery dni. Znał ją od czterech przeklętych dni. Trudno było pojąć, dlaczego myślał z takim niepokojem o tym, że ją straci. Ledwo ją znał. Tydzień wcześniej nie wiedział nawet o jej istnieniu. Nadszedł ranek, na horyzoncie zbierały się filetowe chmury; zapowiadano sztorm,

a to oznaczało trudny powrót na wyspę. Zastanawiał się, czy nie powiedzieć Millie, że nie może żeglować w takiej pogodzie, ale nie zamierzał się wycofywać. Znał Millie i wiedział, że nie podda się bez walki. Widział jej szok; wierzyła, że coś ich jeszcze czeka po tym tygodniu. Jak mogło być inaczej? Płakała w jego ramionach. Złamał jej serce. Był nieczułym głupcem, bo powinien wiedzieć, czym to się skończy.

Wychodząc ze szpitala, Chase pomyślał nagle z nadzieją, że być może uda mu się wyjść z tej sytuacji obronną ręką. Statystyki w przypadku jego choroby były niezłe. „Doskonałe”, jak oceniła jego lekarka, wręczając mu wypisy z literatury fachowej. Same tytuły budziły nienawiść: „Walka z białaczką; zaakceptuj diagnozę”. Co się tak naprawdę działo, kiedy człowiek miał białaczkę czy inną chorobę? Po prostu umierał. Koniec, kropka.

„Nie przeżyłabym tego bólu ponownie”.

Z pewnością, pomyślał Chase. Zamierzał tego dopilnować. Trwał w tym postanowieniu, dopóki jej nie zobaczył. Czekala na niego w chacie, gdzie się kochali. Gdzie było tak wspaniale. Teraz siedziała blada na brzegu łóżka, sukienkę miała pogniecioną. Nie wydawała się tego świadoma. Popatrzyła na niego tymi miękkimi, brązowymi oczami. Jak mógł myśleć kiedykolwiek, że jest twarda albo surowa? Groźna, tak ją nazywał, i nabrało to pieśczośliwego znaczenia, ale teraz wydawało się to śmieszne. Była miękkością, ciepłem, światłem. Miłością.

– Znowu przygryzałaś wargę.

– Trudno się wyzbyć starych nawyków.

Chciał powiedzieć coś dowcipnego, ale wiedział, że prowadzi to donikąd.

– Gotowa?

– Na szczęście nie wzięłam dużo bagażu.

Spojrzał na torbę podróżną obok jej stóp i sięgnął po nią. Wyciągnęła drżącą rękę.

– Wezmę ją.

Zesztywniał.

– Potrafię sobie poradzić z jedną torbą, Millie. Wbrew temu, co wcześniej widziałaś, jestem... – Zdrowy? Nie. – Okej.

– Wiem. Nie to miałam na myśli.

– Chodźmy.

Patrzyła na niego przez chwilę i to jedno spojrzenie wystarczyło, by jego wcześniejsze postanowienie zaczęło się chwiać. Chciał wziąć ją w ramiona. Nie, chciał, żeby to ona wzięła jego w ramiona. Chciał płakać w jej objęciach, tak jak ona płakała w jego. Milczeli, jadąc taksówką na przystań. Nie odzywali się nawet wtedy, kiedy pomagał jej wejść na pokład. Zaczekała z atakiem, aż wypłyną. Było tak samo jak wtedy, gdy walczyła o to, żeby się z nim przespać. Teraz walczyła, żeby z nim zostać.

– Zbadali ci krew w szpitalu?

– Owszem.

– Jakie wyniki?

Chase popatrzył na chmury zbierające się na horyzoncie.

– Chase? – nalegała.

– Nie chcę o tym mówić.

– Dlaczego?

– Bo to bez sensu. Mieliśmy swój tydzień i teraz koniec. – Zdobył się na opryskliwość. – Nie możesz już wkraczać w moje życie.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek to robiłam.

Nie odezwał się. Miała zapewne rację, nawet jeśli odczuwał to inaczej. Jakby zawładnęła nim w jakimś stopniu, ale nie zamierzał dawać jej tej broni do ręki.

– Myślę, że zależy ci na mnie.

Milczał. Tak było łatwiej. Wciąż obserwował horyzont, dopóki nie trąciła go w ramię. Odwrócił się zdziwiony i zobaczył, że Millie patrzy na niego ze złością.

– Nie zbywaj mnie w ten sposób. To tchórzliwe.

– Nazywasz mnie tchórzem? – spytał gniewnie.

– Uderz w stół...

Chciał odpowiedzieć jej złośliwie, ale zrezygnował. Miała rację. Był tchórzem.

– Przepraszam. Masz rację.

– Chwileczkę, zgadzasz się ze mną?

Westchnął, nie chcąc wdawać się w żartobliwą rozmowę, nawet jeśli tego pragnął. Tak jak pragnął jej.

– Millie...

– Nie rób tego, Chase. Nie odrzucaj tego, co mamy.

– Nic nie mamy.

– Jesteś nie tylko tchórzem, ale i kłamcą.

– Nazywaj mnie, jak chcesz.

– Spójrz mi w oczy i powiedz, że ci się podobam – rzuciła ostro Millie.

Potwierdzenie byłoby najprostszym wyjściem z sytuacji.

– Nie podobasz mi się.

– Spójrz mi w oczy, powiedziałam.

Gapił się na jej brodę. Podniósł z niechęcią wzrok, popatrzył jej w oczy i poczuł, że zatracą się w ich miękkości. Nie mógł tego powiedzieć. Patrzył w milczeniu.

– Widzisz? Podobam ci się – powiedziała z uśmiechem.

Dobrze, postanowił, że będzie szczery.

– Masz rację, podobasz mi się. To było parę wspaniałych dni i oboje coś poculiśmy. To normalne.

– Aha, więc teraz próbujesz mi wmówić, że to wszystko było na niby?
– A skąd mamy wiedzieć, że nie było? Spędzaliśmy czas na rajskiej wyspie. Nie widzieliśmy się w codziennym kieracie, w domu, w pracy. Czy moglibyśmy przetrwać pełen napięcia tydzień, nie wspominając już o całym życiu?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

– Nie chcę.

– Czego się boisz?

Umierania. W samotności.

– Millie, sama powiedziałaś, że nie chcesz ponownie przeżywać tego bólu.

Spojrzała na niego zdumiona.

– O to chodzi? Próbujesz mnie chronić?

– Jestem nieuleczalnie chory. Czeka mnie śmierć. To pewne.

– Wiesz co, Chase? Ja też jestem nieuleczalnie chora. Na życie. I też czeka mnie śmierć.

Prawie się uśmiechnął.

– Nie żartuj. Mówię poważnie.

– Ja też. – Przypuściła kolejny atak. – Sprawdziłam to i owo.

– Przez telefon?!

– Owszem. Szanse przeżycia w przypadku ludzi z twoim schorzeniem wynoszą osiemdziesiąt siedem procent.

Widział te statystyki, zapewne na tej samej stronie internetowej.

– U tych, których zdiagnozowano stosunkowo wcześniej.

– A u ciebie?

– Może. – Prognozy początkowo były dobre, ale potem liczba płytek spadła i pierwszy inhibitor przestał działać. Niewykluczone, że w ciągu roku osiągnęłyby fazę akceleracyjną. Mógł się znaleźć w tych pozostałych trzynastu procentach.

– A po pięciu latach choroby – ciągnęła Millie uparcie – szanse wzrastają do dziewięćdziesięciu trzech procent, jak w przypadku osoby zdrowej. Zdarzają się różne rzeczy. Wypadki, choroby, życie. Nikt nie ma gwarancji. Wiem coś o tym.

– Owszem. I dlatego nie chcę, żebyś przeżywała to znowu. – Doszedł do wniosku, że musi być brutalny, nawet jeśli miało ich to ranić. – Millie, gdybyśmy byli małżeństwem, znali się i kochali od lat, to owszem, oczekiwałbym, że byłabyś przy mnie. Ale znamy się od pięciu dni. Tak, przyznaję, to były najlepsze dni mojego życia. Ale to wszystko. Tylko dni. Za mało, żeby związać się z kimkolwiek, kto ma niepewną przyszłość.

– Może to ja powinnam o tym zdecydować.

Westchnął zmęczony. Była najbardziej upartą, najsilniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał, i choć podziwiał jej nieustępliwość, nie chciał już dłużej z nią walczyć.

– Nie możemy już o tym rozmawiać.

– Dlaczego, na Boga?

– Nie. – Wskazał niebo. Jeszcze przed godziną było błękitne, a teraz nad ich głowami kłębiły się fioletowe chmury. Wiaterek nabierał niebezpiecznie mocy. – Nadchodzi sztorm. Trzeba zabezpieczyć łódź, a ty musisz zejść pod pokład.

Millie patrzyła na groźne chmury. Nie wyglądało to dobrze. Zapomniała już o ich rozmowie.

– Co mam robić? – spytała.

– Zejść na dół.

– Będziesz potrzebował pomocy.

– Nie masz doświadczenia. Jeśli zostaniesz na pokładzie, będziesz tylko przeszkadzała. – Dostrzegł w jej oczach strach.

– Nie chcę, żebyś został tu sam.

– Znam się na rzeczy – zapewnił chłodno.

– Nie chodzi o twoją chorobę. Nikomu bym nie życzyła, żeby został sam na pokładzie. To niebezpieczne. Potrafię wykonywać polecenia.

– Akurat!

– Powiedz mi, co mam robić.

– Jestem pewien, że nigdy więcej tego od ciebie nie usłyszę. No dobra. Musimy zabezpieczyć łódź.

– Zakryć brezentem luki?

– Właśnie. Możesz też pozamykać wszystkie iluminatory i zabezpieczyć to, co leży luzem. Obok łóżka znajdziesz skrzynię. Ja wypompuję wodę z zęzy.

Wykonała posłusznie jego instrukcje. Kiedy zamykała luk w kambuzie, o szkło uderzyły pierwsze krople deszczu. Wrzuciła do skrzyni kilka książek i ubrań, a potem wróciła na pokład. Wiało już porządnie. Pomyślała o tropikalnych sztormach i huraganach, o których mówiło się w wiadomościach. Sądząc po minie Chase'a, sytuacja była poważna.

– Co teraz? – zawołała, chcąc przekrzyczeć wiatr.

– Ty wylewasz wodę z zęzy, a ja utrzymuję łódź dziobem do fal. Sprawdziłem naszą pozycję, jesteśmy w odległości dwudziestu minut od St Julian. Nie chcę na razie podpływać bliżej. Moglibyśmy wpakować się na skały.

Pokazał jej, jak wypompować wodę z zęzy. Pracowali w zgodnym rytmie; wiatr się wzmacniał, fale przewalały się przez dziób. Millie za bardzo skupiała się na robocie, żeby odczuwać strach. Była przemoczona i zziębnięta, sukienka kleiła jej się do ciała. Upadła kilka razy, kiedy łodzią zakołysało. Chase stał przy rumplu, opanowany i spokojny. Nawet w samym apogeum burzy czuła, że go kocha. Nie wiedziała, jak długo tkwią w miejscu. W pewnej chwili zauważyła, że wody w zęzie jest mniej i że już tak nie kołysze. Burza przeszła. Gdy morze się uspokajało, Chase spojrział na nią z uśmiechem. Wyglądał na wyczerpanego.

– Udało się – powiedział. – Dziękuję.

- Nieźle przetrwaliśmy tę burzę.
- Owszem – odparł obojętnym tonem.
- Skoro sobie z nią poradziliśmy...
- Poradzimy sobie z burzami życia? Znowu zaczynasz, Groźna?
- Nie odpuszczę, Chase.

Patrzył na nią przez chwilę ze smutkiem.

- Wiem o tym. I to mnie martwi. Zejdź na dół. Powinniśmy się przebrać.

Millie zeszła z nim pod pokład i oboje włożyli suche podkoszulki i szorty. Chase usiadł na brzegu łóżka i poklepał materac. Millie usiadła obok niego, a on wziął ją za rękę. Starła się zapanować nad sobą. Wiedziała, że znów zamierza doprowadzić ją do łez, ale tym razem nie sprawiłyby jej ulgi.

– Millie...

- Nie staraj się być delikatny. Oboje jesteśmy twardzi.

Uśmiechnął się.

- Masz rację. Jesteś silna i niewiarygodnie uparta.

- Nie zapominaj o „groźnej”.

– I „surowej”. Dużo tych określeń. – Głaskał jej dłoń, jakby nawet teraz czerpał przyjemność z tego dotyku. – Jesteś dostatecznie twarda, żeby zaakceptować prawdę.

- Którą prawdę? – spytała wyzywająco.

– Liczba płytek spada u mnie. To wciąż faza przewlekła, ale wiesz, że kiedy zaczyna się faza akceleracyjna, nie jest dobrze. Jest bardzo źle.

- Nikt nikomu nie daje w życiu gwarancji.

– Nie, ale gdy wejdę w tę fazę, nie będzie odwrotu. Przełom blastyczny jest wtedy tylko kwestią czasu i moje dni są policzone. Niełatwe dni. Chemioterapia, radioterapia, hospicjum, długie zmierzanie do końca. Nic przyjemnego.

Wyobraziła go sobie, słabnącego i kruchego.

- Wiem.

– A teraz trochę szczeroci. Przeżyliśmy intensywny tydzień. Zwłaszcza ty, zważywszy na to, że powiedziałaś mi o swoim mężu i Charlotte. Nie mówiłaś tak ani tak nie płakałaś od wypadku. Nic dziwnego, że poczułaś coś do mnie.

- Chcesz powiedzieć, że to nie było naprawdę?

– Mówię, że nie ma czasu, żeby się o tym przekonać. Wrócimy do Nowego Jorku, zaczniemy się spotykać, a za tydzień czy miesiąc wyląduję w szpitalu i wtedy wszystko weźmie w łeb. To nie fair, Millie.

- To ja powinnam decydować.

– Naprawdę tego chcesz? – spytał prawie rozgniewany. – Jesteś gotowa odgrywać cholerną opiekunkę, choć ledwie mnie znasz? Zmarnować najlepsze lata życia dla kogoś, komu brakuje czasu? Przeżywać to wszystko ponownie?

Milczała. Rzeczywiście, to było absurdalne. I okropne. Przez jedną

koszmarną chwilę nie była już pewna niczego. Poznała po jego twarzy, że to zauważył.

– Widzisz – powiedział cicho. – To się nie uda, Millie.

Bała się, że ma rację.

– Chcę, żeby się udało – powiedziała cicho.

– Zapamiętajmy to, co przeżyliśmy. Nic więcej.

Miała zbyt ściśnięte gardło, by mówić. Uśmiechając się smutno, puścił jej rękę i wyszedł na pokład.

Trzy dni później Chase leciał do Nowego Jorku. Studiował pewien projekt, który zajmował go bez reszty jeszcze przed tygodniem, ale on widział tylko Millie. Jej miękkie, ciemne oczy i uśmiech. Zapomnij o tym, powiedział sobie, i wymazał jej obraz z pamięci, tak jak to zrobił trzy minuty wcześniej. Odłożył projekt. Te ostatnie godziny z Millie były koszmarnie niezręczne, a jednak niezwykle cenne. Po powrocie na wyspę poszli do kurortu. Nie odzywali się. Wiedzieli oboje, że to koniec; pozostało tylko rozstanie i wszystko, co się z nim wiązało.

– Zostawię twoje rzeczy w recepcji. – Wciąż miała na sobie jego podkoszulek i szorty.

– Nie zwracaj sobie tym głowy – powiedział opryskliwie. Odczuwał ból, nie wiadomo dlaczego, bo przecież sam tego chciał. Ale bolało go, że tak łatwo zgodziła się z jego argumentacją.

Zatrzymała się na progu korytarza.

– Tam jest mój pokój.

– Okej. – Nie potrafił powiedzieć nic więcej.

– Chase...

Wiedział, że się złamie, jeśli Millie powie coś jeszcze. A to by oznaczało, że ruszą drogą, której chciał uniknąć.

– Do widzenia, Millie. – Wziął ją bez namysłu w ramiona i pocałował, jakby chciał zatrzymać w sobie wspomnienie o niej. Potem odszedł, nie oglądając się nawet.

Znowu sięgnął po projekt. Była to biblioteka uniwersytecka w New Hampshire; nie podobało mu się wejście. Kolor dębu przypominał mu oczy Millie. Do diabła. Nie było sensu brać się do pracy. Pomyślał, że jeśli się prześpi, to przynajmniej nie będzie o niej myślał.

Tylko śnił.

Kilka dni później Chase siedział w gabinecie swojej lekarki, Rachel. Przeglądała wyniki niezliczonych badań, które przeszedł po powrocie do Nowego Jorku.

– Najpierw dobra wiadomość? – spytała, a gdy skinął głową, oświadczyła: – Poziom jest stabilny.

– A zła wiadomość?

– Jest trochę niższy, niżbym wolała, ale może to wynikać z wielu przyczyn.
– Na przykład z tego, że nowy lek nie działa?
– Wiem, że takich sytuacjach pacjenci są skłonni spodziewać się najgorszego. Odruch obronny – odparła Rachel z uśmiechem.

– Doświadczenie mi mówi, że najgorsze często się spełnia.

Jak w przypadku jego matki, która zachorowała na raka piersi i zmarła w ciągu sześciu tygodni. Albo ojca, który zmarł na atak serca, zanim zdążyli się pojednać. Chase sądził naiwnie, że ma jeszcze mnóstwo czasu, by przeprosić za to, że był takim nieudacznikiem.

I przede wszystkim w przypadku Millie, kiedy jego dni były już najprawdopodobniej policzone. Tak, najgorsze się spełniało.

– Nie jest tak teraz, wierz mi – zapewniła Rachel. – Inhibitor nie działa tak, jakbym sobie życzyła, to prawda, ale jest jeszcze inny, który możemy spróbować. I choć poziom płytek spadł, nie oznacza to katastrofy.

– Ale obniżenie poziomu to oznaka fazy akceleracyjnej – zauważył Chase.

– Mogłoby tak być, gdyby występowało kilka innych symptomów. To, że nie reagujesz na jeden lek, nie oznacza wcale, że wykluczona jest jakakolwiek terapia.

– Ale nie jest dobrze.

– Wykryliśmy chorobę bardzo wcześnie; statystyki są optymistyczne.

– Nie jestem statystyką.

– Ale nie jesteś też beznadziejnym przypadkiem.

Nienawidził tego. Czuł się jak tykająca bomba.

– Żyj normalnie, Chase – poradziła Rachel. – Uwolnij się od strachu przed tym, co się może stać.

– Co się najprawdopodobniej stanie.

– Tego nie powiedziałam. Wypiszę ci nową receptę. Będziemy kontrolować poziom płytek przez najbliższy miesiąc.

– Świetnie. – Kolejne recepty. Uświadomił sobie, że zachowuje się jak dureń. – Przepraszam, Rachel. Miałem kiepski dzień.

Albo tydzień. Od chwili, gdy wysiadł z samolotu wprost w to jałowe życie.

– Jak w pracy? – spytała Rachel.

– Dobrze.

– Życie osobiste?

– To znaczy?

– Potrzebujesz ludzi, którzy mogliby cię wspierać.

Tego właśnie nie potrzebował. Nie powiedział nikomu w pracy. Nawet braciom.

Powiedział tylko Millie.

– W porządku – zapewnił lekarkę. Chociaż tak nie było. Wszystko było do niczego.

– Wiem, że zalegasz z robotą, Millie, ale to już przesada.

Millie podniosła wzrok znad komputera. Realizowała korzystny kontrakt, więc dlaczego nie była zadowolona?

– Lubisz, kiedy pracuję, Jack.

– Ale nie przez szesnaście godzin. Wypalisz się.

– Nic mi nie jest.

Kłamstwa.

– Jak było na wakacjach?

Upłynęły już dwa tygodnie. Kiedy nie zajmowała się pracą, każdą jej myśl zajmował Chase. Śniła o jego dotyku i uśmiechu.

– Millie...

– Wakacje? Och, wiesz...

– Wszystko dobrze?

– Tak.

– Co robiłaś?

– To, co się robi na wakacjach. – Łowi się muszle. Kocha. Płacze w czyichś ramionach. – Opałam się, pływałam...

– Zawsze wydawało mi się, że wolisz aktywnie spędzać czas.

– Nie.

– Millie. – Położył dłoń na jej biurku.

Dostrzegła ojcowskie współczucie w jego oczach.

– O co chodzi, Jack?

– W porządku? Naprawdę? Zważywszy na to, co się stało... wiesz... wypadek...

Jack nigdy o tym nie mówił. Dawała jasno do zrozumienia, że sobie tego nie życzy, a on to rozumiał. Dlaczego poruszył ten temat właśnie teraz?

– Dzięki, że pytasz, Jack. Ale... wszystko jest dobrze. Z każdym dniem jest lepiej.

Od kiedy wypłakała się w ramionach Chase'a, czuła się pewniej. Ale nie miała Chase'a. To była prawda. Bolesna prawda.

– No cóż, cieszę się. Zatem przestań pracować po szesnaście godzin, dobrze?

Millie uśmiechnęła się tylko. Nie zamierzała słuchać. W przeciwnym razie jej myśli zajmowałby wyłącznie Chase. Po co się bardziej torturować? Tydzień później zadzwoniła do niej jej siostra Zoe i poinformowała, że przyjdzie na kolację.

– Jestem trochę zajęta, Zo.

– No tak. Myślałam, że będziesz bardziej zrelaksowana po tych wakacjach, a jest gorzej niż zwykle.

– Jezu, dzięki.

– Mówię poważnie. Będę o siódmej.

Zoe była jedyną osobą, przy której Millie czuła się po wypadku swobodnie.

Siostra wiedziała o nieporozumieniach z Robem, choć nie znała ich źródła, rozumiała też, że Millie nie chce rozmawiać o Charlotte. Zjawiała się czasem, przynosiła chipsy, przyrządzała margaritę.

Zjawiała się punktualnie i od razu wyjęła chipsy.

– Co się stało na Hawajach? – spytała bez ogródek.

– Byłam na Karaibach.

– Słusznie. – Wyjęła z torby tubkę sera. – Więc co się tam wydarzyło, Millie? Bo coś się wydarzyło, a ja zamierzam to z ciebie wyciągnąć.

– Nic z tego – odparła zdecydowanie Millie.

– Mężczyzna? Jakiś egzotyczny romans?

Zoe zaczęła wyciskać ser na chipsy i Millie przypomniała sobie Chase'a, który żartował z jej ulubionej przekąski.

– Można tak powiedzieć.

– Co? – Zoe podniosła zdziwiona wzrok i strzeliła z tubki serem prosto na nieskazitelnie białą bluzkę Millie.

– Płacisz za pralnię chemiczną.

– Zgoda. A ty opowiadasz.

– Niewiele jest do opowiadania.

– Naprawdę spiknęłaś się z jakimś facetem? – spytała Zoe z takim niedowierzaniem, że Millie się uśmiechnęła.

– Tak.

– Był gorący?

– Totalnie.

– Jestem totalnie zazdrosna.

– I słusznie.

– A więc przygoda? Wakacyjny romans?

– Z grubsza. – Odwróciła się, żeby zmyć plamę z bluzki. Dobry pretekst, by ukryć łzy.

Zoe nie dała się oszukać.

– Och, kochanie. – Położyła jej dłoń na ramieniu. – Co się stało?

– To skomplikowane.

– Znam cię, więc się nie dziwię.

– Nie chcę komplikacji. I smutku.

– Wiem.

– Miał problemy.

– Tylko nie facet z problemami. Lepiej ci bez niego, wierz mi.

– To nie tak.

– A jak?

– On... – Nie chciała mówić o chorobie Chase'a. To nie był jej sekret. – Nieważne. Nie chciał mnie zranić.

– Beznadziejne tłumaczenie.

– Mówił poważnie.

Zoe wsunęła patelnię do piecyka.

– Och, doprawdy? Bo kiedy facet mówi o tym, że nie chce cię zranić, to znaczy to, że sam nie chce być zraniony.

– Nie... – Millie urwała nagle.

– Mam rację czy nie?

Czy było to możliwe? Chase wydawał się taki szczery, kiedy trzymał ją za rękę i mówił prawdę o sobie. Kiedy wypowiadał słowa „opiekunka”, „hospicjum”, „przełom blastyczny”. I wierzyła mu; przyszłość z Chase'em budziła lęk. A jednak nawet teraz jawiła się jako jedyna nadzieja.

A jeśli zerwał z nią, bo się bał, że ona z nim zerwie? Że nie da rady?

– Być może masz rację. Nigdy o tym nie pomyślałam.

Zoe zajrzała do piecyka.

– Jak na finansowego geniusza bywasz czasem głupia.

Millie musiała się z tym zgodzić.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Millie wygładziła obcisłą czarną sukienkę i wyprostowała ramiona. Potrzebowała prawie dwóch miesięcy, żeby odszukać Chase'a; znalazła adres jego firmy w internecie i mogła pójść do niego w każdej chwili. Nie chciała jednak ruszać na ślepo do walki. Należało zrobić to właściwie. Musiała wszystko obmyślić. Teraz stała w wejściu do jednego z manhattańskich muzeów poświęconego szwedzkiej sztuce nowoczesnej. Chase, jako autor projektu oranżerii na ostatnim piętrze, miał być obecny na uroczystym otwarciu. Przesunęła wzrokiem po tłumie, szukając Chase'a. Nadszedł czas, by zrealizować plan.

Chase patrzył na gości w smokingach i sukienkach wieczorowych. Zwykle lubił takie imprezy, ale tego wieczoru czuł się znużony. Czuł się znużony od trzech miesięcy, kiedy to zostawił Millie – i swoje serce – na karaibskiej wysepce. Upił szampana. Właściwie nie miał powodu do zmartwień. Jego projekt cieszył się ogromnym uznaniem, a nowy inhibitor, który przepisała mu Rachel, okazał się skuteczny. Oczywiście, nie było wiadomo, na jak długo, ale lekarka nie kryła zadowolenia z wyników badań, on zaś już dawno nie czuł się tak dobrze. Mógł się nawet napić. Dlaczego więc był taki skwaszony?

– Witaj, Chase.

Odwrócił się z niedowierzaniem na dźwięk tego znajomego głosu i zobaczył przed sobą Millie. Stała spokojna i opanowana z kieliszkiem szampana w ręku.

– O, zmieniłaś uczesanie, Groźna.

Uśmiechnęła się.

– Poprzednie ci się nie podobało.

Chłonał ją wzrokiem, bo pomimo krótkich i niesfornych włosów, wyglądała tak samo wspaniale jak kiedyś. Te same miękkie, ciemne oczy. Te same dorodne usta. Ta sama prosta elegancka figura w sukience, jakiej mógłby się po niej spodziewać – obcisła, czarna i jedwabna, z prostym dekoltem i ramiączkami, podkreślająca każde smukłe zaokrąglenie. Z trudem trzymał przy sobie ręce, tak bardzo chciał – pragnął – jej dotknąć.

– Jak ci się powodzi, Chase?

– Świetnie. A tobie?

– Tak samo.

Skrzywiła ironicznie usta. Nie był jednak takim błyskotliwym rozmówcą. Całą jego energię pochłaniało to, że na nią patrzył. Przypominał ją sobie.

– Dobrze cię widzieć – powiedziała.

– Ciebie też.

Wskazała tłum gości i panoramę Manhattanu za szklanymi ścianami.

– Podoba mi się.

– Dzięki. – Zachowywał się jak skończony idiota.

– Wiem, że jesteś tu gościem honorowym, ale może uda ci się wyrwać na jednego drinka pod koniec wieczoru? – W jej oczach można było dostrzec dawną bezbronność. – Przez wzgląd na dawne czasy.

Wiedział, że to nie jest dobry pomysł. Co mieli sobie do powiedzenia? Pomimo skutecznego działania nowego leku nie zmienił zdania co do ich wspólnej przyszłości. Wciąż był tykającą bombą.

Jeden drink. Żeby się dowiedzieć, co u niej słychać. Popatrzeć na nią. Nic więcej.

– Jasne.

– Świetnie.

Dojrzał w jej oczach ulgę i zrozumiał, że wciąż jej zależy. Do diabła, jemu też zależało. Może to był zły pomysł?

– Kiedy będziesz wolny?

– Już jestem wolny.

Może byłoby dobrze załatwić to wreszcie? Raz na zawsze. Przecież o to chodziło.

– No to chodźmy. – Millie odwróciła się i wyszła z oranżerii, a on podążył za nią.

Milczeli w windzie i na ulicy, kiedy Millie zatrzymała taksówkę. Chase nie dosłyszał adresu, który podała kierowcy; za bardzo pochłaniał go widok jej długich nóg w pończochach. Nosiła podwiązki, zobaczył nawet kawałeczek mlecznobiałego uda, kiedy siadała z tyłu.

Czuł, jak wali mu serce. Tak bardzo za nią tęsknił. I pragnął jej teraz.

– Dokąd jedziemy?

– Do mnie.

Poczuł się jak uderzony obuchem.

– Co?

Uśmiechnęła się niewinnie.

– Po co marnować dwadzieścia dolców na dwa kieliszki wina w zatłoczonym, hałaśliwym barze? Można to załatwić w bardziej cywilizowany sposób.

I bardziej niebezpieczny. Czy Millie się nim bawiła? Zawsze uważał, że jest zbyt prostolinijna, żeby stosować takie podstępny, ale może się mylił. Czego oczekiwała po tym wieczorze? Czego on oczekiwał? Nie odzywali się, dopóki taksówka nie zatrzymała się przed luksusowym wieżowcem. Chase sięgnął po portfel, ale Millie zdążyła już wyjąć kartę.

– Ja stawiam – mruknęła.

Wysiadł za nią z taksówki i wszedł do hallu wyłożonego czarnym marmurem i przyciemnionym szkłem. Pomachała odźwiernemu, potem zaprowadziła Chase'a

do windy. Czuł narastające napięcie. Podejrzewał ją o jakiś plan, ale nie wiedział, o co chodzi. Miał niejasne wrażenie, że się niedługo dowie. Dotarli do jej mieszkania; otworzyła drzwi i wpuściła go do wnętrza, jakiego się spodziewał. Urządzonego ze smakiem i nudnego.

– Wszystkim zajmował się dekorator wnętrz – wyjaśniła. – Nie miałam czasu chodzić po sklepach.

– Wciąż pracujesz po szesnaście godzin, Groźna?

– Mniej więcej. – Wzięła ze stojaka butelkę czerwonego wina i zaniósła do kuchni. – Może być?

– Jak najbardziej, ale zaczynam czuć się zbyt czyny.

Wręczyła mu butelkę i korkociąg.

– Niepotrzebnie.

– O co chodzi, Millie? Pomijając przyjacielskiego drinka?

– Mam ci do zaproponowania pewien układ.

Układ. Oczywiście. Nie był nawet zaskoczony, ale krew wciąż w nim buzowała. Nalał im obojgu.

– Jakiego rodzaju układ?

– Jedna noc.

Drgnęła mu ręka i na marmurowy blat spadła krwawoczerwona kropelka. Millie starła ją, a potem oblizwała kciuk. Chase doznał cholernego podniecenia.

– Co to znaczy jedna noc? – spytał łagodnie.

Wzięła od niego kieliszek i napiła się.

– Zdrowie – powiedział, walcząc z pokusą, by pochłonąć od razu całe wino.

Popatrzyła mu w oczy.

– Jedna noc na moich warunkach.

– To znaczy?

– Minimum koniecznych informacji, oczywiście.

– Dlaczego to proponujesz, Millie?

– Bo nie mogę o tobie zapomnieć. To wpływa na moją pracę, na moje życie.

I mogę się założyć, że z tobą dzieje się to samo. – Nie odpowiedział. Nie musiał. – Jedna noc, Chase, to wszystko. Żebyśmy mogli się od siebie uwolnić i pójść dalej.

Chciał już spytać, czy tego właśnie chce, ale się powstrzymał. Po co? On tego chciał.

– A jeśli się nie zgodzę?

– Zostaniesz i napijesz się dobrego wina ze starą przyjaciółką.

– A jeśli się zgodzę?

Uśmiechnęła się.

– Minimum koniecznych informacji, pamiętasz?

– To jakaś zemsta?

– Zemsta? – parsknęła śmiechem. – Nie. Uznaj to za... odwzajemnienie

przysługi.

Patrzył w swój kieliszek i zastanawiał się, dlaczego nie wieje stąd jak najszybciej. To było niebezpieczne. Głupie. Szalone.

I chciał tego. Tak bardzo. Tylko jedna noc. Jeszcze jeden raz z Millie.

– W porządku, Groźna. Zgadzam się.

– Nawet nie wiedząc, co cię czeka?

– Dam sobie radę.

– Zabawne – mruknęła. – Tak właśnie pomyślałam, kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy. Jakże się myliłam.

Odstawiła swój kieliszek i ruszyła w stronę salonu.

– Dokąd idziesz?

Zerknęła przez ramię.

– Do sypialni, oczywiście.

Znowu poczuł adrenalinę.

– Trochę szybko.

– Na razie.

Chase zamknął oczy. To była treść jego fantazji, jego marzeń. Od trzech miesięcy. Poszedł za nią do sypialni. Rolety były spuszczone, wielkie łóżko przykryte bładoniebieską narzutą. Pokój wydawał się gustownie nudny jak reszta mieszkania, ale z Millie stojącą pośrodku był najbardziej erotycznym pomieszczeniem, w jakim kiedykolwiek się znalazł.

Zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie.

– I co?

– Zdejmij ubranie.

Usłyszał w jej głosie nieznaczne drżenie i zrozumiał, że Millie nie jest tak doświadczoną uwodzicielką, jaką się początkowo wydawała. Nie wiedział dlaczego, ale był z tego powodu zadowolony.

– W porządku. – Zdjął krawat. Millie obserwowała go bacznie, kiedy rozpiął koszulę i szarfę od smokingu, a potem rzucił je na podłogę. – No?

– Spodnie też, szczęściarzu.

Zrobił to, potem zdjął bokserki i skarpetki. Był teraz nagi i podniecony, a Millie stała przed nim ubrana, nie zsunęła nawet szpilek z nóg. Przyjrzała mu się z uwagą, potem popatrzyła w oczy.

– Tęskniłam za tobą, Chase.

Nie odezwał się. Wiedział, że Millie domyślała się tego, co do niej czuje. Było to takie niebezpieczne. Takie podniecające. Nie mógłby odejść, nawet gdyby chciał.

Skinęła głową w stronę łóżka.

– Kładź się.

Wyciągnął się na łóżku, tak jak kiedyś ona, wyciągając ręce ponad głowę,

z pozoru całkowicie odprężony, ale tak naprawdę odczuwał napięcie. Nie wiedział, co Millie zamierza, był jednak pewien, że coś knuje. Płynnym ruchem rozpięła sukienkę.

– Widzę, że kupiłaś sobie seksowną bieliznę – zauważył.

Miała na sobie czarny satynowy stanik i czarne stringi, do tego czarne przezroczyste pończochy z podwiązkami. Oparła stopę na łóżku i powoli, leniwie, zsunęła pończochę. Chase patrzył zafascynowany. Potem zsunęła drugą i stanęła z pończochami w ręku.

– Striptiz? Podoba mi się.

– To dobrze. – Pochyliła się nad nim.

Był tak rozkojarzony bliskością jej uda i piersi okrytych czarną satyną, że nie zauważył, co Millie robi z tymi pończochami. A kiedy to sobie uświadomił, było już za późno.

– Związałaś mnie.

Obie ręce miał unieruchomione.

– Owszem.

Poruszył jedną ręką. Zaplotła solidny węzeł, ale mimo wszystko zdołałby się bez trudu uwolnić. Nie zamierzał jednak. Za bardzo intrygowało go to, co Millie chce zrobić.

Przesunęła opuszką palca po jego piersi, biodrze, udzie. Zareagował tak, jak mógł się w tej sytuacji tylko spodziewać.

Wyprostowała się.

– Co teraz, Groźna? – spytał.

– Zobaczysz. – Sięgnęła za siebie i wzięła do ręki coś długiego i jedwabnego. – Lub raczej nie zobaczysz.

Zamierzała zakryć mu oczy. Nie ruszył się, kiedy zawiązywała szarfę na jego głowie, zbyt zaciekawiony, by przerwać tę grę.

– Nie spytałaś, czy się zgadzam. Nieładnie.

– Nie chciałam pytać – odparła. – Nie wykręcisz się, Chase.

Po raz pierwszy poczuł dreszcz niepokoju.

– Co zamierzasz ze mną zrobić, Millie? – spytał z pozoru beztrosko.

– Zmusić cię do wyznania prawdy.

Zesztywniał.

– Prawdy? – powtórzył bezbarwnym głosem, bo przestało to już przypominać seksowną grę.

– Tak, prawdy.

Zorientował się, że Millie okrążyła łóżko, i poczuł się bardziej bezbronny niż kiedykolwiek.

– Długo trwało, nim sobie uświadomiłam, że nie mówiłaś mi prawdy – oznajmiła po chwili. – Kiedy powiedziałaś, że nie chcesz, żebym znów przeżywała

ból straty kogoś bliskiego. I tak dalej, i tak dalej.

Zdołał się uśmiechnąć.

– Sprowadzasz moją wrażliwość do banału.

– To nie był banal – powiedziała, a on się zorientował, że podeszła bliżej. –

To było kłamstwo.

Chase nie zdążył się nawet zastanowić nad odpowiedzią, ponieważ usiadła na nim okrakiem i osunęła się na jego uda. Czuł jej wilgotne ciepło, kiedy otarła się o niego.

– Torturujesz mnie, Millie – wyjąkał.

– O to właśnie chodzi.

Znowu się poruszyła; było to doznanie niemal bolesne w swej intymności.

Zdołał jakimś cudem zebrać myśli.

– Dlaczego uważasz, że kłamałem?

– Może nie robiłeś tego świadomie. Wmówiłeś sobie, że nie chcesz mnie zranić. – Nachyliła się, muskając go pierściami, i zaczęła całować w ramię.

– Nie chciałem cię zranić – odparł zduszonym głosem. – I wciąż nie chcę.

– Nie, Chase. Nie chciałeś zranić samego siebie. Wciąż nie chcesz.

Po raz pierwszy pomyślał o tym, żeby uwolnić się z więzów i przerwać tę farsę. O czym ona mówiła, do diabła? Usłyszał dźwięk rozrywanej folii i po chwili poczuł, jak Millie zakłada mu prezerwatywę.

– Millie...

– Nie dostrzegałam tego początkowo – powiedziała, poruszając się wolno. Uniósł instynktownie biodra. – Tego, jak bardzo chcesz stracić tę swoją kontrolę. Podobnie jak ja.

– Chyba stracę ją za parę sekund – zdołał z siebie wydusić.

– Nie taką kontrolę – odparła z rozbawieniem w głosie i zaczęła poruszać się wolniej. – Chcę to trochę przedłużyć, więc okaż mi cierpliwość.

Zaklął. Millie roześmiała się cicho.

– No, no, Chase, spokojnie.

– Wiesz, co mi robisz?

Znowu zakołysała biodrami.

– Chyba tak.

– Czego chcesz, Millie?

– Powiedziałam ci. Prawdy.

– Dostałaś ją.

– Nie. Nie boisz się tego, że mnie zostawisz. Boisz się tego, że zostaniesz sam. Boisz się, że nie wytrzymam i odejdę, że zostawię cię z twoim cierpieniem. Że złamię ci serce. – Mówiąc to, zaczęła poruszać się w coraz szybszym rytmie, głos miała zdyszany, a Chase nie był w stanie wydusić z siebie słowa.

Mógł tylko słuchać i wiedział, że właśnie o to jej chodzi.

– Że cię zranię, tak jak zraniła cię matka, która umarła, kiedy byłeś małym chłopcem. Jak zranił cię ojciec, który nigdy ci nie wybaczył i który cię wydziedziczył. Jak zranili cię bracia, którzy nigdy się tobą nie interesowali. Dałeś mi wszystkie elementy układanki, ale byłam zbyt pogrążona w swoim bólu, żeby od razu wszystko dopasować.

Nie mógł tego znieść. Był bliski najbardziej intensywnego orgazmu, jaki kiedykolwiek przeżył, i czuł jednocześnie, że serce rozpada mu się na kawałki.

Ponieważ miała rację.

– Millie!

Pochyliła się nad nim, uwolniła mu ręce i zdjęła przepaskę z oczu. Chase poczuł łzy w oczach, kiedy dotknęła jego policzków; na jej twarzy malowała się czułość, zawziętość, miłość.

– Przepraszam, że nie zorientowałam się wcześniej. Przepraszam, że czekałam tak długo. – Pocałowała go, był to długi i namiętny pocałunek. – Nie zostawię cię, Chase. Nawet wtedy, kiedy będziesz chory, przerażony i umierający. Mamy coś szczególnego, niezwykłego, i będę o to walczyła do końca życia.

Znowu go pocałowała, wciąż się poruszając, a on objął ją i przyciągnął do siebie. Wiedział, że nigdy nie pozwoli jej odejść.

Kochali się i rozmawiali ze sobą szczerze. Potem Millie leżała w ramionach Chase'a, a on wciąż przeżywał wszystko to, co się wydarzyło.

– Wiesz – powiedział, głaszcząc ją po ramieniu. – Ten układ w ogóle nie przypominał tamtego.

– Był lepszy. – Wtuliła się w niego.

Musiał się z tym zgodzić. Ten układ był lepszy. Doskonały.

EPILOG

Cztery lata później

Millie spojrzała na zielononiebieskie morze i westchnęła zadowolona. Słyszała Chase'a, który nucił coś w kuchni, szykując dla nich kolację. Przyjechali na wyspę, by uczcić kolejną rocznicę dnia, w którym potwierdzono oficjalnie, że nastąpiła całkowita remisja. Miał teraz takie same szanse jak każdy zdrowy człowiek.

Ostatnie cztery lata nie były wolne od strachu i bólu. Objawy nasiliły się tuż po ślubie i jego lekarka przepisała mu lek, który wciąż był badany klinicznie. Na szczęście okazał się skuteczny.

Chase powiedział braciom o swojej chorobie; doszło do pojednania. Millie nie mogła zapomnieć zdumienia i zaskoczenia w oczach Chase'a, gdy ścisnął się z nimi. Bał się tej chwili.

– Prawie gotowe – zawołał.

Uśmiechnęła się, kładąc dłoń na wciąż płaskim brzuchu. Miała jeszcze jeden powód do szczęścia. Było to coś sekretnego, cennego i budzącego odrobinę lęku. Coś, o czym dotąd nie powiedziała Chase'owi, bo sama nie była do końca pewna, co o tym myśleć. Upłynęły cztery lata, nim zdecydowała się zaryzykować tak wiele. Ponownie.

Teraz czuła się gotowa; dzięki mężowi miała siłę i odwagę, by spróbować, choć nie mogła liczyć na żadne gwarancje. Życie było pełne lęku, niepewności i bólu. Ale było też pełne nadziei.

– Kochanie? – zawołał Chase.

Uśmiechając się, Millie wstała z piasku, gotowa wyznać mężowi swój sekret.

Anne McAllister

Tydzień na Fidzi

Tłumaczenie:
Małgorzata Fabianowska

ROZDZIAŁ PIERWSZY

To papierkowa robota wiązała Sadie Morrissey ze Spencerem Tyackiem.

Spence kompletnie nie radził sobie z pracą biurową. Firma Tyack Enterprises, zajmująca się budownictwem i handlem nieruchomościami, odnosiła olbrzymie sukcesy, ponieważ jej właściciel odznaczał się wielką wnikliwością i spostrzegawczością, skrupulatnie przestrzegał zasad etyki zawodowej – oraz zatrudniał Sadie, która dbała o detale.

Pracowała u niego od wielu lat. Zaczęła jeszcze jako licealistka, kiedy Spence był tylko ubogim, lecz ambitnym dwudziestojednolatkiem. Obecnie, po upływie dekady, posiadał międzynarodowy koncern budowlany i prowadził interesy na pięciu kontynentach. Czasami Sadie myślała, że zawładnąłby już całym światem, gdyby tylko potrafiła nadażyć z papierkową robotą.

– Musisz pracować szybciej – powtarzał jej często, błyskając swym olśniewającym uśmiechem, gdy wpadał do biura w drodze do Londynu, Paryża, Aten czy Nowego Jorku.

– Nie da rady – odpowiadała i ciskała w niego zmiętą kulką papieru, a on mrugał do niej żartobliwie.

Opierała się jego uśmiechowi i urokowi.

– Mam wystarczająco dużo pracy – oznajmiała cierpko.

Oczywiście Spencer wiedział o tym. Wiedział, że Sadie ma na głowie wszystkie sprawy administracyjne oraz organizację spotkań biznesowych, a jej książka adresowa jest grubsza niż jego własna. Po prostu się z nią droczył. Potem z czarującym uśmiechem dorzucał jej kolejny tuzin spraw do załatwienia i wypadał z biura, żeby zdążyć na samolot, a Sadie wracała do swoich obowiązków.

Nie uskarżała się na los. Aż do zeszłego roku miała powód, żeby pozostawać w Butte. Opiekowała się swoją mieszkającą samotnie starą babką.

Jednak babka zmarła przed sześcioma miesiącami i rodzice gorąco namawiali Sadie, żeby przyjechała do nich do Oregonu, a jej brat Danny zapewniał, że bez trudu załatwi jej świetną pracę w Seattle.

Lecz Sadie nie wyjechała. Lubiła miasteczko Butte z jego burzliwą, powikłaną historią. Uwielbiała wyrazistą zmienność pór roku i rozległe krajobrazy Montany, wciąż uważała tę okolicę za najwspanialsze miejsce na ziemi.

Lubiła też swoje życie, mimo że wypełniała je głównie praca. Zawsze dobrze dogadywała się ze Spencerem w kwestiach zawodowych, a jej obowiązki były pasjonujące, choć wymagały szaleńczego zaangażowania i częstego wysiadania po godzinach. Starła się zapewnić sprawne funkcjonowanie biura, tak aby Spence mógł nadal wykupywać świat kawałek po kawałku.

Niekiedy dochodziła do wniosku, że powinna była urodzić się ośmiornicą.

Lecz dzisiaj nie wystarczyłoby jej nawet ośmiu ramion, żeby uporać się ze wszystkimi sprawami, które się na nią zwały. Telefon urywał się od samego rana. Do pory lunchu odbyła już cztery rozmowy z natrętnym Włochem, który koniecznie pragnął sprzedać Tyackowi jakieś osiedle apartamentowców w Neapolu, mimo iż zapewniała go, że Spence nie jest tym zainteresowany i przebywa teraz w Nowym Jorku. Rozmawiała również z władcym greckim potentatem o nazwisku Achilles, który również nie chciał przyjąć do wiadomości odmowy. Jednak jej najtrudniejszym zadaniem było opracowanie planu tygodniowego pobytu Spencera i jego partnerów biznesowych na jednej z małych wysepek archipelagu Fidżi – Nanumi – w kurorcie dla zestresowanych i przepracowanych biznesmenów, którego współwłaścicielami zamierzali zostać. Spencer odnosił się z rezerwą do tej podróży. Był człowiekiem czynu i nie miał czasu na błogi urlop w ziemskim raju.

– Nie jedziemy tam, żeby leniuchować – oświadczył jej ostatnio. – Chcemy jedynie obejrzeć ten ośrodek wypoczynkowy i, jeśli uda się nam zbić cenę, wykupić w nim udziały.

– Owszem, wy tego chcecie – zgodziła się Sadie. – Ale jego właściciel, pan Isogawa, pragnie, abyście doświadczyli kojącego spokoju miejsca, w które zamierzacie zainwestować.

Japoński przedsiębiorca Tadahiro Isogawa już podczas pierwszej rozmowy telefonicznej dał jej jasno do zrozumienia, że poszukuje takich inwestorów, którzy podzielą jego ideę prowadzenia kurortu i osobiście się z nią zaznajomią.

– Oczekuje, że zjawicie się tam wszyscy i spędzicie tydzień wraz z rodzinami, poznając ośrodek, piękną okolicę oraz siebie nawzajem – dodała.

– Nie mam rodziny – przypomniał jej Spencer.

– Więc powiedz to panu Isogawie. On przywiązuje wielką wagę do instytucji małżeństwa i rodziny. Uważa również, że ludzie, którzy zbyt ciężko pracują, niekiedy tracą prawdziwą hierarchię wartości i właśnie dlatego powinni przyjechać na wyspę Nanumi. To słowo w języku fidżi oznacza „przypomnieć sobie”.

Lecz Spencer pozostał niewzruszony. Uniósł brwi i rzucił Sadie sceptyczne spojrzenie, które znała aż nazbyt dobrze.

– Zrobisz, jak zechcesz – rzekła, wzruszając ramionami. – Ale on mówi, że jeśli zależy wam na podpisaniu umowy, powinniście pomieszkać tam przez tydzień razem z małżonkami.

Spencer wymownie przewrócił oczami, lecz jego pragnienie nabycia kurortu zwyciężyło i w końcu rzucił:

– Dobrze, niech będzie, skoro tak nalega. Zorganizuj wyjazd naszej grupy.

Tak więc do zwykłych obowiązków Sadie doszło jeszcze załatwianie wszystkich formalności związanych z podróżą inwestorów i ich rodzin do kurortu

Nanumi. Musiała też odpowiadać na tysiące pytań zdumionych i zaskoczonych żon, które upewniały się, czy wyjazd na Fidżi naprawdę dojdzie do skutku.

– Nigdy nie mamy urlopów – oznajmiła Marion Ten Eyck. – John zawsze jest taki zapracowany.

Mniej więcej to samo powiedziała Cathy, małżonka Steve'a Walkera. A żona Richarda Carstairsa, Leonie, wydzwaniała codziennie, pytając:

– Jesteś całkiem pewna? Czy Richard o tym wie?

Sadie upewniała ją wciąż od nowa, że Richard naprawdę wie o wyjeździe. Zaczynała dochodzić do wniosku, że pan Isogawa ma sporo racji – tym ludziom istotnie przyda się wypoczynek.

A kiedy wreszcie ukończyła przygotowania i zabrała się do przeglądania kontraktu na budowę osiedla w Georgii, telefon znowu zadzwonił.

Zamknęła oczy i pomodliła się o cierpliwość, po czym sięgnęła po słuchawkę, myśląc przelotnie, że w gruncie rzeczy nie potrzebuje ośmiu ramion, tylko ośmiorga uszu.

– Tyack Enterprises – rzuciła.

Usłyszała trzaski transoceanicznego połączenia, a potem głos mówiący po angielsku z obcym akcentem – na szczęście nie włoskim ani greckim.

– Ach, *Isogawa-san, konnichi wa* – rzekła z ulgą. – Miło mi pana słyszeć!

Mówiła szczerze. Pan Isogawa był chyba jedyną osobą na świecie, z którą ostatnio nie rozmawiała.

– Wszyscy przyjadą w niedzielę – poinformowała go i uśmiechnęła się z jego radosnej reakcji.

Już jakiś czas temu zorientowała się, że pan Isogawa czerpie wiedzę o ludziach Zachodu wyłącznie z filmów. A ponieważ ona nie spędzała czasu na pościgach samochodowych i strzelaninach, tylko ciężko pracowała, uważał ją za wspaniałą urzędniczkę.

– Pani też koniecznie musi przyjechać – powiedział.

– Dziękuję. Z przyjemnością bym to uczyniła – odparła Sadie z uśmiechem. Któż nie chciałby spędzić tygodnia w istnym raju u wybrzeży południowego Pacyfiku? – Ale mam tu mnóstwo roboty.

– Za dużo pani pracuje. Pani również powinna odpocząć. Znaleźć czas na prywatne życie.

Skąd się dowiedział, że ona w ogóle nie ma prywatnego życia?

– Proszę porozmawiać ze Spencerem – dodał. – On to załatwi.

Spence sam nigdy nie miał urlopów i nie widział żadnego powodu, by jego podwładni je brali. Formalnie Sadie przysługiwały co roku dwa tygodnie wolnego, lecz nie pamiętała, by kiedykolwiek je wykorzystała.

– Może kiedyś – powiedziała do pana Isogawy i dorzuciła w duchu: „Na święty nigdy”.

Jednak po odłożeniu słuchawki zastanowiła się nad jego słowami.

Nie nad propozycją wyjazdu na Fidżi – na to nie było szansy – lecz nad tym, że być może powinna wyrwać się stąd na dobre. Odejść z firmy. Przez całe lata wmawiała sobie, że jest zachwycona życiem, jakie wiedzie – wypełnionym obowiązkami, ale urozmaiconym i ekscytującym.

Ale czy to naprawdę jest życie?

Rob McConnell, z którym spotykała się od kilku miesięcy, był pewien, że nie.

– Nie masz czasu na nic oprócz tej przeklętej pracy – uskarżał się stale. – A lata lecą.

Wiedziała, że Rob się irytuje, gdyż pragnie czegoś więcej niż tylko przygodnego związku. Nie winiła go za to. Był miłym człowiekiem, chciał się ożenić i założyć rodzinę. A czas rzeczywiście uciekał. Sadie miała już dwadzieścia osiem lat – najwyższa pora, żeby związać się z kimś na stałe.

Pragnęła stałego związku – ale nie z Robem. I na tym polegał problem.

Może istotnie powinna się stąd wyprowadzić. Rozważała to od wizyty brata z żoną Kel i ich jednorocznymi bliźniakami. Danny zawsze był luzakiem, takim samym jak Spence, toteż ujrzenie go w roli głowy rodziny naprawdę nią wstrząsnęło.

– Kto by pomyślał, że ustatkuję się wcześniej od ciebie – powiedział do Sadie wieczorem w przeddzień wyjazdu i zmierzył ją uważnym spojrzeniem, pod którym aż się skuliła. – A ty wciąż jesteś wołem roboczym Spence'a. Tyrasz dla niego bez chwili wytchnienia.

– Wcale nie! – zaprotestowała, po czym zerwała się na nogi i zaczęła nerwowo krążyć po pokoju.

– A kiedy odpoczywasz? Gdy pracujesz siedemnaście godzin zamiast osiemnastu?!

– Mam wspaniałą pracę i lubię ją!

– A co z życiem osobistym? Prawie z nikim się nie widzisz.

– Nieprawda. Rob...

– Nie traktujesz go poważnie. Znajdź sobie kogoś na serio, wyjdź za mąż i załóż rodzinę, o której zawsze marzyłaś. Uwierz mi, tracisz tylko czas na Spence'a.

– Nie umawiam się ze Spence'em.

– I chwala Bogu – rzekł Danny. – To mój przyjaciel, ale nie jest wymarzoną kandydatką na męża, prawda?

– Ja tylko u niego pracuję.

– Więc rzuć tę pracę i wyjedź do Seattle. Tam bez trudu znajdziesz lepsze zajęcie.

– Nie mogę.

– Dlaczego? Czy on zawładnął twoją duszą?

– Och, oczywiście, że nie! – odparła, ale rumieniec oblał jej twarz.

Na szczęście Danny tego nie zauważył.

– W każdym razie to dziwne – powiedział. – Pracujesz u niego już od liceum.

– Bo on potrzebuje pomocy. Doskonale potrafi wynajdywać nieruchomości i zyskownie je remontować. Świetnie ogarnia całokształt zagadnień, ale nie radzi sobie z detalami i papierkową robotą. Zresztą przecież wyjechałam, nie pamiętasz? Przez cztery lata studiowałam na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles.

– Ale potem wróciłaś do niego!

– Nie do niego, tylko do pracy. Spence płaci mi krocie, a oprócz tego mam udział w zyskach firmy. Gdzie indziej w moim wieku znalazłabym taką świetną, perspektywiczną posadę? I w dodatku nadal mogę mieszkać w Butte.

– Ach, to rzeczywiście zaleta! Butte – centrum kulturalne zachodniej cywilizacji!

Istotnie, górnicze niegdyś miasteczko Butte było do niedawna zapadłą dziurą, lecz po długim okresie stagnacji teraz powoli znowu zaczynało się podźwigać i prosperować – w dużej mierze dzięki Spencerowi i kilku innym przemysłowcom, zdecydowanym inwestować tutaj i wprowadzić nowoczesne zmiany.

– Nie bądź uszczypliwy – rzuciła Sadie lodowatym tonem. – I nie kalaj rodzinnego gniazda. Spence tak nie robi, choć miałby do tego o wiele większe prawo niż ty.

Ona i Danny przeżyli w Butte szczęśliwe dzieciństwo ze zgodnymi, kochającymi rodzicami. Natomiast życie Spence'a, od momentu gdy skończył dziesięć lat i umarł jego ukochany dziadek, otaczający go troskliwą opieką, zmieniło się w istne piekło. Ojciec pijak niemal stale był bez pracy i tylko z rzadka pojawiał się w domu, by stłuc Spence'a i znęcać się nad żoną, która odgrywała się później na ich jedynym synu.

Spencer nigdy nie wpuścił Sadie do domu, ale nieraz słyszała, jak matka wrzeszczała na niego:

„Jesteś taki sam jak twój ojciec!”.

Jednak nic nie było dalsze od prawdy.

W przeciwieństwie do ojca Spencer zawsze uparcie dążył do wytkniętego sobie celu. Nawet gdy w liceum był kimś w rodzaju młodocianego przestępcy, chciał być najważniejszy w bandzie.

Zszedł ze złej drogi po tym, jak pewnego razu jego kurator wymógł na nim, by spotkali się nie w gabinecie, lecz przy grobie dziadka. Właśnie wtedy Spence postanowił dojść do czegoś w życiu, osiągnąć sukces i stać się możliwie jak najlepszym człowiekiem, by dziadek, gdyby mógł popatrywać z nieba, był z niego

dumny.

Pracował ile sił, odmawiał sobie wszystkiego i w wieku dwudziestu jeden lat kupił swój pierwszy dom – a raczej rudę z przeciekającym dachem.

Zaczął pracować w kopalni, potem zdobył lepiej płatne zajęcie kierowcy olbrzymiej ciężarówki i całymi dniami wywoził wydobywaną miedź. Nocami zaś remontował dom. Po siedmiu miesiącach sprzedał go z zyskiem i kupił do remontu następny, po czym powtarzał tę operację jeszcze kilkakrotnie.

Gdy skończył dwadzieścia dwa lata, uzyskał z banku pierwszą pożyczkę pod zastaw hipoteczny. Wówczas wynajął Sadie, aby zaprowadziła ład w chaosie jego dokumentów – i ulokował ją w mieszkalnej części ciężarówki.

– Nie mogę marnować pieniędzy na biuro – oświadczył.

Pracowała tam przez pierwszy rok w niesłychanie prymitywnych warunkach – przy świetle lampy akumulatorowej, przechowując całą kartotekę w tekturowym pudle. Ale powiodło się jej.

Podobnie jak Spencerowi. Po roku dorobił się pierwszego dużego budynku, potem kolejnego. W ostatniej klasie liceum Sadie dostała wreszcie własny gabinet.

Kiedy oznajmiła Spence'owi, że wyjeżdża na studia do Kalifornii, wpadł w furję.

– Przecież urządziłem ci gabinet. Myślałem, że będziesz nadal u mnie pracować!

– Nie przez całe życie – odparła. Zwariowałyaby, gdyby to miało trwać wiecznie, ponieważ odkąd sięgała pamięcią, była w nim zakochana.

Oczywiście Spence nic o tym nie wiedział. Sadie wcześniej próbowała z nim delikatnie flirtować, lecz kompletnie to zignorował. Tak więc, chcąc nie chcąc, pogodziła się z sytuacją i wyjechała na Uniwersytet Kalifornijski.

Miała nadzieję, że nauczy się mnóstwa rzeczy, a potem zdobędzie świetną pracę i pozna wspaniałego mężczyznę, dzięki któremu zapomni o Spencerze.

Wprawdzie każdego lata przyjeżdżała w odwiedziny do babci, mieszkała w domu rodziców i pomagała Spence'owi w pracy biurowej, lecz nie zamierzała już nigdy wrócić do Butte na stałe.

Wszystko poszło zgodnie z planem. Zyskała rozległą wiedzę, ukończyła studia z wyróżnieniem i otrzymała świetne oferty pracy – w tym także od Spencera.

Przyjechał na ceremonię rozdania dyplomów.

– Jestem żywotnie zainteresowany twoim magisterium z handlu – rzucił beznamiętnie, po czym z charakterystyczną dla siebie niecierpliwością jeszcze tego samego popołudnia zaproponował jej doskonale płatne stanowisko w swojej firmie oraz udział w zyskach.

Sadie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wciąż nie udało jej się o nim zapomnieć, a jego zabójczy uśmiech i muskularne ciało nadal wywoływały w niej rozkoszne drżenie.

Wiedziała, że zachowuje się beznadziejnie, i uznała, że potrzebuje terapii szokowej – pełnego zanurzenia w biznesowym świecie Spencera Tyacka, który wyleczy ją z wszelkich romantycznych mrzonek.

Tak więc przyjęła jego propozycję.

Od tego czasu minęło już sześć lat, w ciągu których wiele się wydarzyło. Wmawiała sobie, że wyzwoliła się spod uroku Spence'a, i spotykała się z innymi mężczyznami, choć żaden z nich nie przyprawiał ją o mocniejsze bicie serca.

Wiedziała, że Spencer nie jest przeznaczony dla niej.

– Lubię u niego pracować – oświadczyła Danny'emu.

Spencer był człowiekiem czynu. Posiadał w siedmiu krajach nieruchomości, osiedla mieszkaniowe, biurowce i apartamentowce – i wciąż tryskał nowymi pomysłami, które zawsze omawiał z Sadie.

Może istotnie nie miała osobistego życia, ale za to uczestniczyła w pasjonujących przedsięwzięciach biznesowych. W ubiegłym tygodniu Spencer finalizował w Helsinkach kontrakt na wybudowanie biurowca. W tym tygodniu oglądał w Nowym Jorku apartamenty, które zamierzał nabyć wspólnie z zaprzyjaźnioną firmą inwestycyjną Toma Wilsona i jego córki Deny – a w przyszłym, przy odrobinie szczęścia, podpisze umowę i zostanie współwłaścicielem kurortu na południowym Pacyfiku.

Sadie westchnęła smętnie i pomyślała, że ona w tym czasie będzie w Butte.

Telefon znów zadzwonił. Bez wahania podniosła słuchawkę.

– Sad-die, *case me, meu amor* – odezwał się głos gładki jak aksamit.

Rozpoznała go i uśmiechnęła się. Mateus Gonsalves był jedynym znanym jej mężczyzną oprócz Spencera, który rozpalał krew w żyłach kobiet – i wiedział o tym.

– Cześć, Mateus. *Obrigada*. Ale nie, nadal nie chcę za ciebie wyjść. A Spence jest w Nowym Jorku.

Gonsalves westchnął i przeszedł na doskonałą, choć obco akcentowaną angielszczyznę:

– Nie chcę poślubić Spence'a, tylko ciebie.

Prowadzili tę rozmowę już co najmniej z tuzin razy. Odkąd Spencer przedstawił Sadie swego brazylijskiego przyjaciela, Mateus stale flirtował z nią, wykorzystując swój latynoski czar, i namawiał, by została jego żoną.

– Nigdy nie mieszam interesów i przyjemności – odparła.

– A powinnaś. Życie w Rio to nieustanna zabawa. Zostaw tego pracoholika i przyjedź do mnie.

– Pracujesz niemal równie ciężko jak on – zaśmiała się.

– Ale lepiej to ukrywam i biorę urlopy.

– A w jakiej sprawie dzwonicz? – spytała.

Mateus jak zwykle wprawnie przełączył się na tryb zawodowy.

– Muszę porozmawiać ze Spencerem o pewnym budynku w São Paulo.
– Przekażę mu to – przyrzekła.
– *Obrigado*. Powiedz, że mam dla niego ofertę. I mam też propozycję dla ciebie.

– Nie poślubię cię, Mateus – powiedziała Sadie stanowczo.
– Nie mówię o małżeństwie – odrzekł smutnym tonem. – Ale teraz poważnie, powinnaś podjąć pracę u mnie. Otwieram biuro w Teksasie, a ty mogłabyś poprowadzić je jedną ręką.

I mieć prywatne życie, pomyślała przelotnie, lecz zaraz westchnęła i potrząsnęła głową. Opędzanie się od zalotów Mateusa byłoby prawdopodobnie jeszcze trudniejsze niż praca dla Spence'a, który zdaje się w ogóle nie pamiętać, że ona jest kobietą.

– Dzięki, Mateus, ale nie.
– Jeszcze o tym porozmawiamy – obiecał.
– *Adeus, carinha*.
– *Ciao*, Mateus – powiedziała.

Odłożyła słuchawkę i wzięła z biurka kontrakt, zamierzając przejrzeć go w domu. Dzięki temu będzie przynajmniej mogła powiedzieć, że wyszła z biura o normalnej porze. Lecz w tym momencie zadzwoniła jej komórka. Sadie spojrzała na wyświetlacz i gniewnie zmarszczyła brwi.

– Jest już po piątej – rzuciła do mikrofonu.
– Miło cię słyszeć – powiedział Spence. – Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła. Umilkł. Wydawał się podenerwowany.
– Słucham – rzekła, biorąc do ręki ołówek.
– To nic wielkiego. Przywieź mi do Nowego Jorku mój akt urodzenia oraz dokumenty rozwodowe.

Sadie zamarła.
– Jesteś tam? Słyszałaś mnie? – spytał ostro.
– Tak – zdołała wykrztusić.
– Świetnie. Złap samolot i dostarcz mi te papiery do jutra do drugiej po południu.

Nie potrafiła wydobyć głosu. Wpatrywała się w ołówek, który przed chwilą złamała.

– Mogłabyś mi pogratulować, ponieważ się żenię – rzekł Spencer wyzywającym tonem.

– Jutro? Czy to aby nie nadmierny pośpiech? – spytała.
Zamknij się! – nakazała sobie w duchu. Zamknij się, zamknij!
– Tym razem wszystko pójdzie dobrze – oświadczył beznamiętnie. – Nie tak jak z Emily.

– Nie miałam na myśli Emily – rzuciła Sadie, nie potrafiąc się powstrzymać.

– To nie ją poślubiłeś.

– Pamiętam, kogo poślubiłem – warknął Spence. Sadie również to pamiętała. Poślubił ją!

Poślubił ją, gdy piękność z wyższych sfer, Emily Mollineux, wystawiła go do wiatru i nie zjawiła się na ceremonii ślubnej w Las Vegas.

Kiedy wypadł z kaplicy z furją w oczach, Sadie poszła za nim. Nie wiedziała, co zamierzał, ale nawet przez myśl jej nie przeszło, że kilka kolejek whisky później Spence zaproponuje jej małżeństwo.

– Wyszłabyś za mnie, prawda? – zapytał natarczywie, a Sadie z absolutną szczerością odpowiedziała twierdząco.

I w ciągu godziny się pobrali.

Podpisali stosowne dokumenty i otrzymali świadectwo ślubu, a potem wrócili do apartamentu dla nowożeńców i kochali się namiętnie, rozpaczliwie i cudownie. To była najbardziej zachwycająca noc w życiu Sadie.

Lecz gdy obudziła się nazajutrz rano, Spencer już całkowicie ubrany rzucił, przechadzając się nerwowo po pokoju:

– To był błąd. Nie powinienem był... Do diabła! Przepraszam cię, Sadie. Nie zamierzałem... Nie wiem, co mi strzeliło do głowy! Ale nie martw się. Dostaniemy rozwód.

– R-rozwód? – wyjąkała.

Spencer gwałtownie kiwnął głową.

– Nie zdołamy uzyskać unieważnienia ślubu – rzekł posępnie. – Ale rozwód nie będzie stanowił problemu. Obiecuję, że się tym zajmę.

Czy związek z nią był dla niego taki okropny?

Taki straszny?

Najwyraźniej tak.

Spencer przyjrzał się jej badawczo.

– Dobrze się czujesz? – spytał.

Och jasne, fantastycznie. Nigdy nie czuła się lepiej!

– Nic mi nie jest – odparła tak spokojnie, jak tylko potrafiła.

– Nie miałem zamiaru... Żałuję, że... – Urwał. – Możesz tu zostać, jak długo zechcesz. Ja zadzwoniłem dziś rano do Barcelony. Po prostu polecę tam kilka dni wcześniej. Ale nie przejmuj się, mój adwokat zajmie się rozwodem. I mam nadzieję, że nadal będziesz u mnie pracowała – dodał z całkowitą powagą.

Najwidoczniej ta noc nic dla niego nie znaczyła. Sadie wiedziała, że powinna odmówić, ale obawiała się, że w ten sposób zdradzi się ze swym bólem. Dlatego odparła:

– Zostanę w twojej firmie... na razie.

Obdarzył ją tym swoim olśniewającym, seksownym uśmiechem, któremu od tylu lat usiłowała się oprzeć.

– A więc wszystko w porządku – rzekł uradowany. – Jesteś prawdziwym kumplem, Sadie.

Czy tylko tym dla niego była?

– Skontaktuję się z adwokatem – oświadczył – a potem zadzwonię do ciebie z Barcelony.

I to w zasadzie było wszystko.

Z wyjątkiem tego, że kiedy zatelefonował z Hiszpanii, spytał niezwykle zatroskanym tonem, jakiego nigdy wcześniej wobec niej nie używał:

– Dobrze się czujesz?

– Oczywiście – odparła.

Prędzej padłaby trupem, niż dała mu poznać, że śmiertelnie zranił jej serce.

Widocznie zabrzmiała przekonująco, gdyż już nigdy więcej o to nie zapytał.

A gdy po miesiącu zjawił się w biurze, rzucił tylko:

– Nie martw się. Wszystko załatwione. Mam te dokumenty rozwodowe.

I tak się zakończyło jej krótkie małżeństwo ze Spence'em.

Żadne z nich więcej do tego nie wracało. Sadie nigdy nie zapomniała, ale z czasem zaczęła myśleć o tym ślubie, jakby wydarzył się w jakimś równoległym wszechświecie. Jakby był snem... czy raczej koszmarem.

Aż do teraz, gdy powiedziała:

– Nie wiem, gdzie są te dokumenty.

– W mojej skrytce sejfowej. Masz do niej klucz – powiedział, po czym dodał: – To tylko biznes, Sadie. Chyba nie sądzisz, że się zakochałem?

– Biznes?

– Żenię się z Deną Wilson. To świetny pomysł. Połączymy siły i przez to podwoimy nasze wpływy i możliwości.

– Tak, ale... już jutro?

– Dzięki temu będziemy małżeństwem jeszcze przed podróżą na Fidżi. Po prostu zjaw się w sądzie z dokumentami jutro po południu. Ceremonię ślubną wyznaczono na drugą. Potraktuj to jak krótkie wakacje. Zarezerwuję ci pokój w hotelu. Muszę już kończyć, bo Tom i Dena właśnie pukają do drzwi. Do zobaczenia jutro.

Sadie stała, wpatrując się w słuchawkę. Miała wrażenie, że jej uporządkowany świat wywrócił się nagle do góry nogami.

Gdzie ona, u diabła, się podziewa! – zastanawiał się Spencer, przechadzając się nerwowo po korytarzu przed gabinetem sędziego i po raz dziesiąty spoglądając na zegarek.

Nie wiedział, o której Sadie przylatuje, gdyż na noc wyłączył komórkę, aby uniknąć jej telefonów i przekonywania, że popełnia błąd.

Był pewien, że tym razem nie popełnia żadnego błędu.

Owszem, błędem był zamiar poślubienia Emily Mollineux, podjęty pod

wpływem młodzięczego zauroczenia i szalejących hormonów – oraz chęci poślubienia piękności pochodzącej ze starej zamożnej rodziny.

Jeszcze większym błędem był ślub z Sadie. Odrzucony przez Emily, zachował się jak szaleniec, pragnąc za wszelką cenę odzyskać poczucie własnej wartości. Zwrócił się do Sadie, wykorzystując jej niezłomną przyjaźń – a ona się zgodziła. Jednak nazajutrz w trzeźwym świetle poranka uświadomił sobie, że popełnił błąd – i zrobił wszystko, aby go naprawić.

Obecnie nie popełni ponownie takiego błędu. Małżeństwo z Deną Wilson to czysty interes, korzystny dla obydwu stron.

Wiedział, że Sadie jest idealistyczną romantyczką, łudzącą się, iż pewnego dnia spotka tego „jedynego, wymarzonego mężczyznę”. Nie chciał słuchać jej krytyki własnych przyziemnych planów małżeńskich. Dlatego wyłączył komórkę... i nie miał pojęcia, kiedy Sadie się pojawi.

Nie mógł się do niej dodzwonić. Być może jeszcze leciała samolotem. Ale na Boga, lepiej, aby tak nie było! Ceremonia ślubna miała się rozpocząć za niespełna kwadrans.

– Sadie zaraz się zjawi – rzekł uspokajająco do Deny.

– Naturalnie – odparła ze swym zwykłym niewzruszonym uśmiechem. – Tymczasem przejrzę kilka dokumentów handlowych.

Po następnych dziesięciu minutach z sali sądowej wyszedł jej ojciec, Tom Wilson, i oznajmił:

– O dziewiątej wieczorem mam spotkanie z Sawyerem w Savannah. Lepiej już zaczniemy.

– Nie ma jeszcze Sadie – odparł Spencer.

– Nie żenisz się przecież z nią.

– Ale ona ma dostarczyć mój akt urodzenia i dokumenty rozwodowe.

– Więc weź ślub teraz, a o papierki będziesz się martwić później – zaproponował Tom i ostentacyjnie spojrzął na zegarek.

Spence uznał ten pomysł za rozsądny i logiczny. Takie też będzie jego małżeństwo. Dzięki połączonym aktywom państwo Tyackowie w dłuższej perspektywie ogromnie wzmocnią swoją pozycję na rynku budownictwa i nieruchomości. I na krótszą metę rozwiążą problem „rodzinnych oczekiwań” pana Isogawy. Ponadto przed miesiącem w Barcelonie Spencerowi niedwuznaczną propozycję uczyniła żona jednego z jego partnerów biznesowych. Nie miał najmniejszej ochoty na to, aby w kurorcie wznowiła swoje podchody, i żywił nadzieję, że posiadanie żony wystarczająco go przed tym zabezpieczy.

Tak więc małżeństwo z Deną otwierało przed nimi obojgiem obiecujące możliwości. Dena również to pojęła, gdy tylko wystąpił z tą propozycją.

– Sprytne – orzekła. – Zrobimy to dla interesu. I dla seksu, oczywiście. Ale żadnych dzieci. Takie są moje warunki.

Spencer zaakceptował je bez wahania, gdyż sam myślał podobnie.

I oto teraz byli tu wszyscy – z wyjątkiem Sadie.

– A więc jesteśmy gotowi? – zapytał energicznie Tom.

– Jasne – odparł Spencer.

Weszli do sali. Po chwili pojawił się sędzia i zaczął pośpiesznie klepać formułki ślubnej ceremonii. Spencer słuchał jednym uchem, uważając jedynie, by w odpowiednim miejscu powiedzieć „tak”. Nagle usłyszał skrzypnięcie drzwi i gwałtownie odwrócił głowę.

Ujrzał Sadie, jednak nie jak zazwyczaj spokojną i opanowaną, lecz wzburzoną, z rozwianym włosom i przekrwionymi oczami. Wyglądała jak spłoszona łania, schwytna na szosie w promień reflektorów pędzącej ciężarówce. Usiłowała coś powiedzieć, ale sędzia szorstko polecił jej usiąść i być cicho, po czym ciągnął dalej:

– Czy ktoś z zebranych wie o istnieniu jakichkolwiek prawnych przeszkód, uniemożliwiających zawarcie tego małżeństwa?

– Tak – odezwała się cicho Sadie.

Spence, Dena i Tom popatrzyli na nią zdumieni.

Sędzia ściągnął brwi i spytał:

– Jakie to przeszkody?

W co ona gra? – zastanawiał się gorączkowo Spencer, piorunując Sadie wzrokiem.

– On już jest żonaty – powiedziała. – Ze mną.

ROZDZIAŁ DRUGI

– Co takiego?! – zawołał Spencer. – O czym ty mówisz? To było wieki temu, a dokumenty rozwodowe...

Dena, Tom i sędzia trwali w milczącym osłupieniu.

– Musimy porozmawiać o tym na osobności – przerwała mu Sadie.

– Ja myślę! – warknął Spencer.

Rzucił przepaszające spojrzenie sędziemu, a potem chwycił ją brutalnie za ramię, wyprowadził z sali, wciągnął do niewielkiego pustego pokoiku po drugiej stronie korytarza, zatrzasnął drzwi i zapytał wściekle:

– Co ty, do diabła, wyprawiasz?

– Próbuję powstrzymać cię przed popełnieniem bigamii – odparła.

– Przecież następnego dnia po naszym nieszczęsnym ślubie złożyłem wniosek o rozwód!

– Nie – sprostowała. – Zadzwoiłeś tylko do adwokata i poleciłeś, żeby się tym zajął.

– A on to zrobił. Dostałem dokumenty!

– Dostałeś kopertę, której nie otworzyłeś. Ja na twoim miejscu upewniłabym się przynajmniej, że sprawa została załatwiona.

– Więc co było w tej kopercie? – spytał oszołomiony.

Wyjęła ją z aktówki i mu podała. W środku był list od adwokata rozwodowego, zawierający prośbę, by Spencer zapewnił sobie w Nevadzie adres stałego zamieszkania, a po sześciu tygodniach wypełnił i wysłał do kancelarii załączone formularze. Jeżeli po kolejnych sześciu tygodniach nikt nie zgłosi sprzeciwu, wówczas jego rozwód zostanie prawnie usankcjonowany.

Spence dwukrotnie przeczytał list, a potem cisnął go z furią na biurko.

– Do diabła! Mogli do mnie zadzwonić! Czy uważali, że się rozmyśliłem?

– Właśnie tak – odparła.

Poprzedniego wieczoru bez trudu odnalazła w sejfie akt urodzenia Spencera, lecz nie było tam dokumentów rozwodowych, a jedynie zapieczętowany list z kancelarii adwokackiej w Las Vegas. Zorientowała się, że Spence w ogóle go nie otworzył. Po przeczytaniu listu natychmiast zadzwoniła do sądu i dowiedziała się, że nie przeprowadzono tam żadnego postępowania rozwodowego dotyczącego Spencera Tyacka. Było już za późno, żeby skontaktować się z adwokatem. Zatelefonowała do niego dopiero dzisiejszego ranka podczas nieprzewidzianego międzylądowania samolotu w Detroit.

– Sprawdził w kartotece, lecz nie znalazł niczego oprócz notatki o twojej wstępnej prośbie telefonicznej – rzekła do Spence'a. – Powiedział, że uznał, iż po prostu zrezygnowałeś z rozwodu. Podobno ludzie czynią tak częściej, niż się sądzi.

Spencer wpatrywał się w nią bez słowa. Wzruszyła ramionami.

– A więc wygląda na to, że nadal jesteśmy małżeństwem.

Powiedziała to z pozornym spokojem, lecz przez całą noc ta myśl nie dawała jej zasnąć. Jest wciąż zamężna? Ze Spencerem?

– Do diabła! – zaklął ponownie i dłonią zmierzwił włosy. Na szczęście nie oczekiwała, że będzie wniebowzięty. – To kompletnie rujnuje moje plany. Ale to nie twoja wina – mruknął niechętnie. – Ja spieprzyłem sprawę.

Rozległo się ciche pukanie i Tom Wilson wsadził głowę przez uchylone drzwi.

– Załatwione? – spytał.

– Mamy... mały problem – odparł Spence. – Właściwie nie taki znów mały – dodał ponuro.

Tom spojrzął na Sadie.

– Wciąż jesteś z nią żonaty? – spytał z wyraźnym zdumieniem i dezaprobatą.

– Na to wygląda. Odwołuję ślub... na razie. Polec na spotkanie z Sawyerem, a ja porozmawiam z Deną. Jakoś to rozwiążemy.

– A co z inwestycją w kurort na wyspie? – wtrąciła Sadie. – Co z panem Isogawą oraz Richardem i Leonie Carstairsami?

– Dlaczego o to pytasz? Co wiesz o Leonie? – rzekł ostro Spence i przyjrzał się Sadie nieufnie, jakby podejrzewał, że go spieguje.

– Nic. To znaczy, niewiele – poprawiła się. – Wciąż do mnie wydzwaniasz. Obawiasz się, że Richard pojedzie na to spotkanie bez niej. Zapewniłam ją, że pan Isogawa zaprasza do swojego kurortu pary małżeńskie i że będzie tam mile widziana.

Spence zacisnął szczęki, a Wilson rzucił mu niezrozumiałe ukradkowe spojrzenie.

– Dobrze – mruknął Spencer. – To tylko... zresztą nieważne – urwał i odwrócił się do Toma. – Skontaktuję się z tobą.

– A co powiesz mojej córce?

– Wyjaśnię jej wszystko.

Tom popatrzył na niego z powątpiewaniem i potrząsnął głową.

– Jeśli to zawalisz...

– Nie zawalę – zapewnił go Spencer.

Wilson jeszcze przez chwilę wpatrywał się w niego, a potem zacisnął wargi, skinął mu szorstko głową na pożegnanie i wyszedł.

W pokoju zapadła cisza. W końcu Sadie ją przerwała.

– Możemy uzyskać rozwód.

– Nie w ciągu najbliższej pół godziny.

– No tak, ale...

– Mniejsza z tym... chwilowo. Zostań tutaj, a ja pomówię z Deną – rzekł

ostrym tonem i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Zachowuje się, jakby to była moja wina, pomyślała Sadie. Postanowiła, że tym razem sama dopilnuje ich rozvodu, a potem definitywnie odejdzie i znajdzie jakąś inną pracę. Miała już dosyć Spencera. Musi wreszcie rozpocząć własne życie.

Kiedy Spence wszedł do sali sądowej, Dena nawet nie podniosła wzroku, całkowicie pochłonięta studiowaniem papierów handlowych. Była jak zwykle nieskazitelnie elegancka i opanowana. Natomiast Spence przeciwnie – czuł się tak oszołomiony, jakby przed chwilą strzelono do niego z bliska z paralizatora.

Jest żonaty? Z Sadie? Już od czterech lat?

Wreszcie Dena skończyła przeglądać dokumenty i spojrzała na niego wyczekująco z chłodnym, powściągliwym uśmiechem.

– A więc to prawda? – spytała spokojnie.

– Najwyraźniej – odparł z wahaniem, po czym pokrótce opisał jej sytuację.

Nie wspomniał o niedoszłym ślubie z Emily – powiedział tylko, że był z Sadie w Las Vegas i pobrali się, a następnego dnia uświadomił sobie, że popełnił błąd. Wiedział, że brzmi to idiotycznie, więc starał się przynajmniej mówić rzeczowym tonem.

– Naturalnie powinienem był przeczytać ten cholerny list, a nie zakładać, że wszystko zostało załatwione – zakończył.

Dena milczała przez chwilę.

– A więc dobrze, to będzie dla ciebie nauczka na przyszłość – powiedziała w końcu łagodnie, jakby chodziło o głupią drobną pomyłkę, a nie olbrzymią katastrofę. Następnie gładko przeszła do interesów. – Chyba obojgu nam zależy na tym, aby sfinalizować umowę z Isogawą. Wobec tego zabierz do kurortu Sadie zamiast mnie. Ostatecznie przecież jest twoją żoną.

Spencer wpatrzył się w nią, zdumiony, że przyjęła to wszystko tak spokojnie, lecz zaraz przypomniał sobie, że dla niej małżeństwo z nim to wyłącznie kwestia biznesu.

– Tak, ale...

– Co innego możesz zrobić? – rzekła trzeźwo Dena. – Isogawa i jego „szczęśliwa rodzinka” nie będą zachwyceni, jeśli zjawisz się u nich tuż po złożeniu wniosku o rozwód. Pracowałeś ciężko, aby ta umowa doszła do skutku. To okazja, jaka zdarza się tylko raz w życiu.

– Wiem – odparł szorstko.

W sprawę byli zaangażowani również trzej inni, więksi inwestorzy – między innymi Richard Carstairs mający bogatsze doświadczenie w branży wypoczynkowej w rejonie Pacyfiku. Jednak to Spence nawiązał wstępny kontakt z panem Isogawą i zaangażował najpoważniejsze środki finansowe. Od sukcesu tego projektu zależała cała jego biznesowa reputacja.

– Tak więc musisz doprowadzić do podpisania umowy – stwierdziła Dena

bez ogródek. – Przynajmniej jesteś żonaty. Tylko to się teraz liczy.

Nagle i nieoczekiwanie w umyśle Spencera pojawiło się wspomnienie nagiej Sadie w jego ramionach. Ścisnął rękami głowę, jakby miała zaraz eksplodować.

– Źle się czujesz? – spytała Dena.

– Nie. Muszę to wszystko przemyśleć.

– Naturalnie. I podziękuj swojej szczęśliwej gwiazdzie, że Sadie zdążyła na czas. Pomyśl, jak kulturalny i cnotliwy Isogawa zareagowałby na wiadomość, że jesteś bigamistą! A Leonie byłaby zachwycona. Ujrzawszy na twoim palcu ślubną obrączkę, prawdopodobnie trzymałaby się od ciebie z daleka, ale jestem pewna, że na widok dwóch odrzuciłaby wszelkie skrupuły – dodała z uśmiechem Dena. Wstała, poklepała go po policzku i ruszyła do drzwi. – Wszystko będzie dobrze. Masz żonę, której potrzebowałeś, i w dodatku zorientowaną w twoich interesach. Poradzisz sobie.

Sadie usłyszała, jak Spence na korytarzu ryczał jej imię. Kusilo ją, żeby pozostać w toalecie dla pań, ale postanowiła stawić czoło sytuacji i omówić z nim postępowanie rozwodowe. Prawdopodobnie zdążył już nawet wypełnić stosowne formularze.

W gruncie rzeczy nic się nie zmieniło. Nie byli przecież prawdziwą miłującą się parą małżeńską. Wprawdzie ona wciąż jeszcze go kochała, lecz wiedziała, że musi zwalczyć to uczucie. Powinna była odejść już wiele lat temu.

No cóż, lepiej późno niż wcale, pomyślała, wychodząc na korytarz.

Spencer stał odwrócony plecami, wystukiwał wścikie numer w komórce i warczał:

– Cholera, Sadie! Gdzie jesteś, do diabła?

– Tuż za tobą – powiedziała. Odwrócił się gwałtownie. – Rozmawiałeś z Deną? Bardzo się zdenerwowała?

– Ani trochę – odparł, wzruszając ramionami, jednak w jego głosie zabrzmiała nuta irytacji.

Czyżby jednak nie traktował tego małżeństwa wyłącznie w kategoriach biznesu? – przemknęło Sadie przez głowę. Lubiała Denę i ubolewała, że tak bezceremonialnie zakłóciła jej ślub.

– To dobrze. Nie chciałam jej zranić.

– Jej? A co ze mną? – rzekł z wyrzutem Spencer.

– Dla ciebie to tylko kwestia interesów.

– Moje interesy również mogą na tym ucierpieć.

– Jak to? – spytała, przechylając głowę na bok. – Czy może liczyłeś, że dostaniesz od teścia w prezencie ślubnym wysepkę na Karaibach?

– Do cholery, wiesz dobrze, że nie! – zawołał z niekłamanym oburzeniem.

Sadie pożałowała swych podłych słów. Spencerowi Tyackowi nic w życiu nie przyszło łatwo. Nikt nigdy nie dał mu niczego za darmo i Spence szczylił się

tym, że zdobył wszystko własną pracą.

– Przepraszam – powiedziała szczerze. – Wiem, że to dla ciebie trudna sytuacja. Uzyskamy rozwód najszybciej, jak to możliwe, a potem będziesz mógł poślubić Denę.

– Nie, ponieważ rozwód nie spodobałby się panu Isogawie. W tych sprawach jest bardzo staroświecki i wierzy w świętość i niewzruszoność instytucji małżeństwa.

– Wbrew pozorom ja również – wymamrotała Sadie.

– W takim razie nie powinnaś się była zgodzić na nasz ślub – rzucił ostro.

Owszem, miał rację – lecz teraz było już za późno na samooskarżenia.

– Dobrze – rzekła. – Możemy z tym poczekać do twojego powrotu. Podpiszesz umowę. Isogawa nie musi się o niczym dowiedzieć. Niech myśli, że nadal jesteś kawalerem.

– To niemożliwe – odparł, potrząsając głową. Ja... – po chwili zaczął z miną, jakby chciał coś wyjaśnić, lecz potem rozejrzał się po korytarzu i zobaczył, że ludzie przyglądają się im podejrzliwie. Mocno chwycił Sadie za ramię i pociągnął ją w kierunku windy. – Nie chcę tutaj o tym rozmawiać. Weźmiemy taksówkę i pojedziemy do mnie.

Do niego? Sadie oczywiście wiedziała, że Spence ma apartament w Nowym Jorku na Upper West Side, a także na Karaibach, w Grecji i Hiszpanii – lecz nigdy tam nie była.

– Zabierasz mnie do siebie? – spytała zaskoczona.

– A gdzieżby indziej – odburknął szorstko – skoro jesteś moją żoną.

Rzucił lekko słowa „moja żona”, lecz zaakceptowanie tego faktu przychodziło mu znacznie trudniej. W istocie wydawało się wręcz niemożliwe. Jego „żona” siedziała obok na tylnym siedzeniu taksówki, możliwie jak najdalej od niego, i wyglądała przez okno, udając całkowicie pochłoniętą widokiem Eight Avenue. To było do niej niepodobne. Zazwyczaj żywo z nim rozmawiała, spierała się, dyskutowała. Teraz jednak zachowywała kamienne milczenie. Zastanawiał się, o czym ona myśli – choć, z drugiej strony, być może lepiej, że tego nie wiedział.

Zdawał sobie sprawę, że cała ta pogmatwana sytuacja wyniknęła wyłącznie z jego winy i był zdecydowany naprawić ją, przeprowadzając rozwód. Lecz najpierw musi sfinalizować sprawę kurortu. Oboje z Sadie zbyt ciężko nad tym pracowali, by teraz ryzykować, że umowa nie dojdzie do skutku. Jednak nie był pewien, jak ma sobie z tym poradzić. Jego zazwyczaj bezbłędna intuicja w tym przypadku go zawodziła.

Pomysł Deny, aby na wyspę Nanumi zabrał ze sobą Sadie Morrissey, wydawał mu się całkowicie nierealny. Ona nigdy się na to nie zgodzi. Doskonale ją rozumiał, lecz nie potrafił znaleźć żadnego innego rozwiązania.

Był jednak pewien, że Sadie coś wymyśli. Podczas ich wspólnej pracy często

się zdarzało, że występował z jakąś kontrowersyjną propozycją, a ona sprzeciwiała się i znajdowała lepsze wyjście. Liczył, że tak będzie i tym razem. Uśmiechnął się po raz pierwszy dzisiejszego dnia i rozparł się wygodnie na siedzeniu taksówki.

Całą drogę przebyli w milczeniu. Wreszcie zajechali przed kamienicę z brązowego piaskowca na Manhattanie. Spence zapłacił taksówkarzowi i wyjął bagaż Sadie. Weszli do obszernego holu.

– Mieszkam na drugim piętrze – oznajmił i puścił ją przodem.

– Nie musisz wnosić mojej walizki – rzekła. Spencer nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć.

Gdy wchodzili po schodach, widok kusząco krągłych pośladków dziewczyny przywołał wspomnienie ich wspólnej nocy. W głowie uparcie dźwięczały mu słowa „moja żona”.

Z wyjątkiem tej jednej nocy nigdy w istocie nie postrzegał Sadie jako kobiety. A teraz moment był na to mniej odpowiedni niż kiedykolwiek!

Do diabła, muszę natychmiast pozbyć się tych myśli! – postanowił twardo.

Zatrzymał się i poczekał, aż Sadie znajdzie się na następnym podeście. Obejrzała się przez ramię.

– Powiedziałam ci, że nie musisz nieść jej na górę. Jest ciężka.

Czy ona myśli, że nie jest w stanie udźwignąć jej przeklętej walizki?!

– Wszystko w porządku. Ja tylko... musiałem zawiązać sznurowadło. Idź dalej.

Sadie uniosła z powątpiewaniem brwi, ale ruszyła po schodach, a Spence poszedł za nią w bezpiecznej odległości.

Gdy dotarli na drugie piętro, bez słowa otworzył drzwi.

– Nie przeniesiesz mnie przez próg? – spytała Sadie.

Obrzucił ją zdumionym spojrzeniem.

– A chciałybyś?

– Nie, oczywiście, że nie. – Wbiegła do mieszkania. – Ja przecież... – skrzywiła się, a potem uśmiechnęła z zakłopotaniem – nie nadaję się na twoją żonę.

Spence wszedł za nią, kopnięciem zatrasnął drzwi i postawił walizkę na podłodze.

– Mylisz się – powiedział. – Ponieważ najwyraźniej wciąż jesteśmy małżeństwem, w piątek jedziesz ze mną na Nanumi – jako moja żona.

ROZDZIAŁ TRZECI

Ma z nim pojechać na Nanumi jako jego żona?

Wpatrzyła się w Spencera w oszołomieniu. Czy on sugerował, że...? Z pewnością nie mógł mieć na myśli...

Serce zabiło jej gwałtownie, gdy rozważała coś, co nigdy dotąd nie przyszło jej do głowy. Czyżby Spence w końcu ujrzał w niej kobietę i zamierzał kontynuować ich „małżeństwo”?

Stanął przed nią.

– W tej chwili jesteś moją żoną, a Isogawa ceni małżeńskie związki. Wszystko się więc doskonale składa, prawda? Pojedziesz ze mną – powiedział z uśmiechem w nadziei, że ona zaprotestuje i znajdzie jakieś lepsze rozwiązanie.

Sadie nagle pojęła, że Spencerowi wcale nie zależy na ich małżeństwie. Chodzi mu tylko o biznes i, jak często czynił, chce sprowokować ją do konstruktywnego sporu.

Właśnie w ten sposób współpracowali. Spencer występował z jakąś ekstrawagancką ideą i czekał na jej reakcję.

A Sadie zawsze korzystała z okazji. Uwielbiała się z nim spierać. To ją podniecało, upajało – oraz dawało poczucie współuczestnictwa w jego decyzjach, gdyż Spence pod wpływem argumentów często zmieniał zdanie i przychylił się do jej opinii.

Teraz jednak uśmiechnęła się przekornie i rzekła:

– Zgoda.

W pokoju zapadła martwa cisza. Osłupiały Spence wlepił w nią wzrok.

– Jak to? Zgadzasz się? – wykrztusił.

– Owszem – odparła spokojnie.

– No tak – wyjąkał. – To przecież jedyne sensowne rozwiązanie.

Sadie skinęła głową.

– Właśnie.

W rzeczywistości uważała, że jedynym sensownym rozwiązaniem byłoby natychmiast uciec stąd, gdzie pieprz rośnie. Nie przywykła, by Spence spoglądał na nią takim ostrym, surowym wzrokiem. Lecz w przeszłości nazbyt często łagodniała, pokorniała i wycofywała się potulnie. Pora z tym skończyć – dla dobra ich obojga.

– Tak – rzekła stanowczo. – Zgadzam się.

– Dlaczego? – zapytał.

Potrząsnęła głową. Sama jeszcze nie pojmowała w pełni swoich motywów. Wiedziała jednak, że musi mu coś odpowiedzieć.

– To tylko biznes, więc nie róbmy z tego wielkiej sprawy – powiedziała,

śmiejąc się w duchu z własnej naiwności. – Pojadę z tobą na Fidżi. A potem uzyskamy rozwód – tym razem prawdziwy – i zrezygnuję z pracy u ciebie. Wyjadę do rodziców i zniknę na zawsze z twojego życia.

– Nie bądź śmieszna – zaprotestował. – To znaczy, oczywiście weźmiemy rozwód, ale nie musisz wyprowadzać się z Butte.

– Owszem, muszę.

Nie zniosłaby po rozwodzie ze Spencerem Tyackiem powtórnego powrotu do roli szefowej jego biura. Była wystarczająco głupia, że zdecydowała się na to za pierwszym razem. Mimo wysiłków nie zdołała wyrzucić z serca uczucia do niego. I nigdy jej się to nie uda, jeśli przy nim zostanie.

Spojrzała mu w oczy, starając się zachować spokój, i powtórzyła:

– Będę twoją żoną przez tydzień – a potem odejdę.

Spencer przez długą chwilę mierzył ją gniewnym wzrokiem, wreszcie wzruszył ramionami.

– Rób, jak uważasz!

– Właśnie tak zrobię.

Sadie uznała, że podjęła słuszną decyzję. Pojedzie ze Spence'em na Nanumi jako prawowita żona i spędzi z nim tydzień, o jakim zawsze marzyła. A potem odejdzie. Będzie to dla niej wstrząs, który być może zdopinguje ją do tego, by zaczęła wreszcie żyć własnym życiem.

Spencer nie wydawał się w pełni przekonany do tego pomysłu, lecz Sadie nie zamierzała dłużej się z nim spierać.

– Jestem brudna i zmęczona. Nie spałam przez całą noc. Muszę wziąć prysznic.

Spence spojrzał na nią zaskoczony.

– Jak to? Tutaj?

– A gdzie? Masz tu chyba wannę i bieżącą wodę? – spytała kpiąco.

– Owszem – rzekł i wskazał jej głową drzwi łazienki.

– Dziękuję – odparła spokojnie, zadowolona, że ma ze sobą czyste ubrania. –

Od wczorajszego wieczoru jestem w drodze. Samolot lądował awaryjnie w Detroit z powodu kłopotów z instalacją elektryczną i naprawa trwała pięć godzin. Pomyśl tylko, gdyby się rozbił, zostałbyś wdowcem, co rozwiązałoby wszystkie problemy.

– Nie wygłupiaj się – rzucił ostro.

Wzruszyła ramionami. Bardzo się starała w tej sytuacji nie wygłupić. Wyjęła z walizki płócienne spodnie, koszulkę i świeżą bieliznę. Gdy ruszyła do łazienki, spostrzegła, że Spencer stoi nieruchomo i wpatruje się uporczywie w ubrania, które trzymała w ręku. Dopiero gdy zdał sobie sprawę, że zagraża jej drogę, odstąpił na bok.

– Uwinę się raz, dwa – powiedziała, mijając go.

– Nie śpiesz się – wymamrotał. – Przyniosę nam coś do jedzenia.

– Świetnie – rzekła z fałszywym entuzjazmem, choć była pewna, że nie przełknęłaby ani kęsa.

Z uśmiechem weszła do łazienki, a Spence został ze wzrokiem wbitym w zamknięte drzwi.

Sadie nosi jedwabną bieliznę!

Brzoskwińowe majteczki i skąpy koronkowy biustonosz wyglądały jak z katalogu wytwornego sklepu w Hollywood. Takich rzeczy z pewnością nie można kupić w Butte!

Spence nagle wyobraził sobie, jak ona by w nich wyglądała, i odetchnął głęboko.

Dawno temu, gdy Sadie była jeszcze nastolatką, Spence, odwiedzając Danny'ego, zauważył, że kształty jego siostry kusząco się zaokrągliły. Później nieraz, leżąc w łóżku, wyobrażał ją sobie nagą.

Gdy pewnego razu wspomniął o tym Danny'emu, przyjaciel zareagował z niespotykaną gwałtownością. Zrzucił go z barowego stołka, a potem przypadł do niego, dysząc ciężko, i ostrzegł:

– Nawet o tym nie myśl! Ona jest porządną dziewczyną i kiedyś wyjdzie za mąż – ale nie za takiego jak ty. Więc trzymaj się od niej z daleka, zrozumiałeś?!

Spence zrozumiał. Wiedział, że Danny ma rację. Sadie jest wspaniałą dziewczyną i zasługuje na to, aby poślubić dobrego, uczciwego człowieka. Najlepszego na świecie.

Bóg wie, że on taki nie jest! Pochodzi z rozbitej rodziny, ma na sumieniu rozmaite ciemne sprawy i nie nadawałby się na męża Sadie Morrissey.

Toteż traktował ją z szacunkiem i trzymał się od niej na dystans. Lecz nadal podziwiał jej urodę, z której Sadie najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy. Nie obnosiła się ze swoimi wdziękami i nie próbowała na chłopcach kobiecych sztuczek. Przeciwnie, w miarę jak piękniała, stawała się coraz bardziej cicha i skromna. Zarazem zaczęła odnosić się do niego obojętnie, niemal niechętnie.

Spencer doszedł do wniosku, że widocznie Sadie przestała go lubić i uznała, że nie jest godzien jej uwagi. Postanowił więc również dłużej nie zaprzętać nią sobie głowy.

Lecz pewnego zimowego popołudnia, gdy w kuchni Morrisseyów opowiadał Danny'emu o kłopotach z prowadzeniem dokumentacji swojej firmy, Sadie weszła, posłuchała przez chwilę i rzuciła:

– To głupstwo. Po prostu posegreguj wszystkie dokumenty.

– Zrobiłbym to, gdybym potrafił wymyślić jakiś system – odparł Spence.

– Ja ci go opracuję – rzekła beztrąsko.

– Wątpię – parsknął.

– Udowodnię ci – powiedziała.

I następnego dnia zjawiała się przy jego ciężarówce.

– Więc gdzie masz biuro? – spytała.

– Tam – odparł, wskazując głową naczepę mieszkalną.

Zamrugła, wybałuszyła na niego oczy, ale potem wzruszyła ramionami.

– Świetnie. Pokaż mi – rzekła, a kiedy się zawahał, zawstydzony panującym tam bałaganem, dodała kpiąco: – Boisz się, że dokonam czegoś, czego ty nie potrafisz?

Na takie wyzwanie oczywiście wpuścił ją do środka, gdzie na śpiworze i materacu piętrzyły się stosy papierów – notatek, świstków, kwitów, wyciągów i kontraktów handlowych.

– Nadal sądzisz, że zdołasz je posegregować?

– Zejdź mi z drogi – powiedziała i odsunęła go na bok. – I zostaw mnie tu samą.

Wyszedł na dwór, aby pobiegać i fizycznym wysiłkiem odegnać myśli o kuszących kształtach Sadie. Kiedy wrócił wieczorem zmęczony, ujrzał z ulgą znajomy bałagan. Papiery nadal leżały w stertach, choć nieco odmiennych.

Ponieważ nazajutrz rano wyjeżdżał do Los Angeles na tygodniowe seminarium poświęcone zagadnieniom handlowym, rzekł do Sadie:

– Dziękuję, że próbowałaś mi pomóc, ale jak widzisz, to nie takie proste, jak ci się wydawało. Daj sobie z tym spokój.

Lecz Sadie potrząsnęła głową.

– Jeszcze nie skończyłam – oświadczyła. – Daj mi klucz od ciężarówki.

Niechętnie wręczył jej klucz, a kiedy wrócił po tygodniu, zastał naczepę czysto wysprzątaną. Były w niej tylko materac, śpiwór oraz cztery pudła kartotekowe. Sadie wskazała je ręką.

– Są tam wszystkie papiery – posegregowane i poukładane we właściwym porządku. Jeśli chcesz, wyjaśnię ci zasadę tego systemu.

Lecz na seminarium Spencer nauczył się jednego – zalety zlecania zadań innym. Toteż natychmiast zatrudnił u siebie Sadie.

Przychodziła do niego każdego popołudnia po lekcjach i zmuszała go, by razem z nią przeglądał dokumenty. Często się z nim spierała. Mimo swoich zaledwie szesnastu lat miała wyrobione poglądy na wiele spraw i zadawała pytania, które Spencerowi nigdy nie przysły do głowy.

Dopiero znacznie później pojął, że Sadie nie tylko jest geniuszem organizacji, lecz także posiada wrodzony zmysł do interesów, znakomicie uzupełniający jego własne zdolności w tej dziedzinie, i poczuł ogromną satysfakcję, że dziewczyna u niego pracuje.

Jednak była nie tylko wspaniałą pracownicą, również piękną kobietą. Z tym ostatnim mógł sobie poradzić dzięki temu, że od dawna wypraktykował metodę szufladkowania swego życia.

Niegdyś, aby móc przetrwać, umieścił rodziców w osobnej mentalnej

szufladzie i w ten sposób odizolował się od ich gniewu, goryczy i klęsk. Podobnie teraz stworzył w umyśle dla Sadie szufladę, w której zatrzaskiwał wszystkie zmysłowe pragnienia, jakie w nim budziła. To działało aż do nocy, w której porzuciła go Emily. Wówczas, w tym najtrudniejszym momencie jego życia, Sadie znalazła się przy nim – łagodna, serdeczna, troskliwa.

Kochająca.

Spencer bardzo niewiele wiedział o miłości i znał ją jedynie z teorii. Ale tamtej nocy potrzebował uczucia i serdeczności Sadie – i nie potrafił się oprzeć tej przemożnej potrzebie.

Tak więc poprosił dziewczynę, by za niego wyszła. Poprosił? Prawdę mówiąc, raczej wymusił to na niej. Przez lata bronił się przed Sadie. Lecz tej jednej krótkiej nocy jej uległ.

Poślubił Sadie i kochał się z nią, odbierając jej niewinność. I oczywiście, ujrzawszy nazajutrz rano jej piękną uśpioną twarz, pojął, że postąpił podle.

Toteż zrobił to, co uważał za słuszne. Rozwiódł się z nią – a raczej, jak się okazało, usiłował się rozwieść a potem wepchnął wszystkie intymne wspomnienia z owej namiętnej nocy z powrotem do szuflady i mocno ją zatrzasnął. Przez następne cztery lata ani razu nie pozwolił sobie na rozmyślenia o wielkich zielonych oczach Sadie, jej złocistej cerze, długich nogach czy pełnych, kuszących ustach. Nie wspominał też nigdy tamtej nocy, kiedy się z nią kochał.

Ale w tej chwili był przekonany, że nie przetrwa tygodnia na wyspie Nanumi, dzieląc pokój z Sadie, jeśli już teraz nie może oderwać wzroku od jej bielizny.

Wiedział bowiem, że przynajmniej formalnie ma prawo do Sadie jako swej prawowitej żony.

Szuflada, w której umieścił Sadie Morrissey, nie tylko się otworzyła, lecz pękła na drobne kawałki. A jego uwolniona z więzi wyobraźnia szalała.

– Weź się w garść – mruknął do siebie wściekle. – Na miłość boską, to tylko interes.

Lecz jego umysł i, co ważniejsze, ciało wciąż przypominały mu, że Sadie jest obecnie jego żoną. Tylko przez tydzień, powiedział sobie. Do czasu podpisania umowy w sprawie kurortu. Postanowił, że za wszelką cenę zbuduje nową szufladę i na ten okres umieści w niej Sadie.

– Do diabła! – warknął, a potem walnął w drzwi łazienki i wrzasnął: – Sadie! Szum wody ustał.

– Co?

Zacisnął powieki, jakby to mogło powstrzymać go przed wyobrażeniem sobie jej nagiej pod prysznicem.

– Co chcesz na kolację? – zapytał.

– Zrób mi niespodziankę! – zawołała przez drzwi.

Lecz Spence usiłował nie myśleć o żadnych niespodziankach. Sadie zaś dodała po chwili:

– Po prostu przynieś coś, czego nie można dostać w Butte.

Spencer stał przed drzwiami, oddychając ciężko i próbując poskładać z powrotem resztki swego strzaskanego zdrowego rozsądku.

Coś, czego nie można dostać w Butte. To nie powinno być zbyt trudne. W każdym razie z pewnością łatwiejsze niż pozbycie się z umysłu obrazu nagiej Sadie.

Sadie pod prysznicem rozmyślała o propozycji Spence'a i usiłowała przekonać samą siebie, że może ją przyjąć, nie robiąc z siebie idiotki.

Wyszła z łazienki odświeżona i przebrana w czyste rzeczy. Czowała się lepiej, lecz zarazem była ostrożniejsza. Nie wiedziała nawet, czy zdoła przetrwać tę kolację ze Spencerem.

Zastała go w kuchni, gdzie rozkładał na stole pojemniki.

– To birmańskie potrawy – oznajmił, nie patrząc w jej stronę, a potem wyjął z kredensu talerze i srebrne sztucce oraz rozpakował pałeczki.

– Pachną wspaniale – rzekła z uśmiechem, wciąż trochę niepewna.

– Napijesz się wina? – zaproponował, wskazując zakorkowaną butelkę.

– Nie, dziękuję. Jestem tak zmęczona, że po winie natychmiast bym usnęła. Ale ty się napij.

Jednak Spence nie otworzył butelki.

– Siadaj i pałaszuj – powiedział. – Mamy tu wołowe satay, kurczęta z curry i coś z wieprzowiny, czego nazwy nie pamiętam, a ponadto sałatkę z krewetek i jabłka zapiekane w cieście. Niczego takiego nie dostaniesz w Butte.

Mówił szybko, nakładając sobie na talerz i nadal nie patrząc na nią.

Sadie również nałożyła sobie wszystkiego po trochu, ujęła pałeczki i odetchnęła. Kolacja zdawała się przebiegać niemal... normalnie. Jak jeden z ich zwykłych biznesowych lunchów.

Tyle tylko, że wówczas zawsze rozprawiali z ożywieniem nad stertami dokumentów, kontraktów i wykresów. Natomiast ten posiłek upłynął w milczeniu wywołanym przez unoszące się w powietrzu słowo „małżeństwo”. Sadie była zdezorientowana i nie wiedziała, czego ma się spodziewać.

Kiedy skończyli jeść i sądziła, że będą mogli porozmawiać, Spence wstał szybko i zaczął sprzątać ze stołu.

– Pomogę ci – zaproponowała.

– Nie, dziękuję. Kuchnia jest za mała dla nas dwojga. – Najwyraźniej jej unikał. Odwrócony plecami, zmywając talerze w zlewie, zapytał: – Napijesz się kawy czy herbaty?

– Poproszę o herbatę – odpowiedziała, zastanawiając się, od kiedy Spence tak sobie upodobał domowe zajęcia.

Podczas gdy napełniał czajnik, podeszła do okna i wyjrzała na park leżący na tyłach szeregu kamienic. Był rześki wiosenny wieczór. Na drzewach pojawiły się już małe listki, a w skrzynce na kwiaty u jednego z sąsiadów spostrzegła żonkile.

Pomyślała o żonkilach rosnących za jej domem w Butte, które jeszcze nie zakwitły, gdyż w Montanie wciąż było zimno. Lecz nawet zima w Montanie wydawała się cieplejsza niż atmosfera w tym pokoju.

Dobrze, pomyślała. Skoro on nie chce poruszyć tego tematu, ja to zrobię!

Podeszła do Spencera, który nalewał herbatę do filiżanek.

– Powiedziałaś, że żenisz się z Deną z powodów biznesowych. Lecz przecież mógłbyś ją poślubić kiedykolwiek, więc skąd ten pośpiech? Co takiego będzie się działo na Nanumi, że potrzebujesz tam żony?

– Sama mówiłaś, że Isogawa ceni związki małżeńskie.

– Ale nie oczekuje, że weźmiesz ślub tylko po to, żeby mu sprawić przyjemność. Więc dlaczego?

Spence popatrzył na nią gniewnie. Pomyślała, że jej nie odpowie, ale po długiej chwili odezwał się niechętnie:

– Chodzi o Leonie.

Sadie zamrugła zdziwiona.

– Leonie Carstairs? Czemu, u licha, miałbyś poślubić Denę z powodu żony Richarda?

– Och, rusz głową – rzucił niecierpliwie. – Ponieważ Leonie nie przywiązuje zbytnej wagi do bycia jego żoną!

– Co takiego? A więc... – Sadie urwała i zastanowiła się przez chwilę nad znaczeniem jego słów.

– Chcesz powiedzieć, że... Ale przez telefon zrobiła na mnie takie miłe wrażenie! Dzwoniła kilka razy. Mówiła, że Richard jest zawsze bardzo zapracowany. Wydawała się smutna, zdenerwowana i jakby niepewna, czy będzie na Nanumi mile widziana.

– Tak, jasne – mruknął ponuro Spence.

– Wyglądało na to, że martwi się, czy mąż znajdzie dla niej czas.

– Mąż? – rzucił Spencer sarkastycznym tonem.

– A któżby inny?

Nie odpowiedział, ale nagły rumieniec na jego twarzy był wystarczająco wymowny.

– Ty? – spytała wstrząśnięta. – Ona ugania się za tobą?

– Leonie Carstairs ugania się za każdym nieżonatym facetem.

– No tak... Ale czy poślubienie Deny nie jest nazbyt drastycznym sposobem powstrzymania Leonie? Nie mógłbyś po prostu jej odmówić?

– Nie – odparł ponuro Spence. – Próbowałem. – Zmarszczył brwi i przeczesał dłonią włosy. – Do cholery, robię interesy z Richardem od wielu lat.

Znałem jego pierwszą żonę Margaret. Stanowili wspaniałą parę. Zmarła pięć lat temu, a dwa lata później Richard poznał Leonie. Jemu stuknęła już pięćdziesiątka, a ona jest w wieku jego dzieci. Ale pragnął jej, więc się z nią ożenił. – Spencer zaczął chodzić niespokojnie po pokoju jak tygrys w klatce.

– A potem... potem odsunął się od niej. Szczerze mówiąc, sędzę, że Leonie go przeraża. Do diabła! Mnie też przeraża. Ona flirtuje ze wszystkimi. Myślałem, że robi to, aby zwrócić na siebie jego uwagę. Lecz po tym, co zdarzyło się w Barcelonie...

Umilkł i spochmurniał.

– Co się zdarzyło w Barcelonie? – spytała Sadie, starając się nie okazać zbytnej ciekawości.

– W zeszłym miesiącu pojechaliśmy tam z Richardem na spotkanie biznesowe i on zabrał ze sobą żonę. Pewnego wieczoru po powrocie z zebrania zastałem ją w swoim pokoju. Za kilka euro skłoniła pokojówkę, by ją wpuściła. Uważała to za zabawne, a teraz zamierzała się jeszcze lepiej zabawić. Ze mną.

Sadie zaschło w ustach. Czy Spencer chce powiedzieć, że przespał się z Leonie Carstairs?

– Wyrzuciłem ją pomimo jej gwałtownych protestów. Mówiła, że Richard się nie dowie, a nawet gdyby się dowiedział, nie obeszłoby go to. – Spencer ponuro potrząsnął głową. – Ale to nieprawda. Może nie poświęca jej zbyt wiele czasu, lecz uważa ją za swoją własność. Taki skandal spowodowałby zerwanie naszej biznesowej współpracy i zrujnowałby plany dotyczące kurortu. A poza tym ja nie śpiam z mężatkami.

– Naturalnie, że nie – rzekła Sadie z głębokim westchnieniem ulgi.

– Obawiam się, że na Nanumi ona spróbuje ponownie. Wiem jednak, że przed kilkoma miesiącami robiła podchody do Dana Fitzsimmonsa, ale zrezygnowała, kiedy się ożenił. Leonie wprawdzie nie szanuje własnej obrączki ślubnej, lecz najwidoczniej nie poluje na żonatych mężczyzn.

– I dlatego postanowiłeś poślubić Denę?

– Wydało mi się to dobrym pomysłem – rzekł szorstko. – Wbrew twoim złudzeniom na przestrzeni dziejów znacznie częściej małżeństwa zawierano z powodów ekonomicznych niż uczuciowych. Dena również tak uważa i dlatego nasz związek byłby udany. Zresztą jeśli podpisanie kontraktu handlowego o wartości kilkuset milionów dolarów może zostać udaremnione przez jakąś idiotkę, każda metoda obrony jest uprawniona.

– I co teraz będzie?

– Teraz kolej na ciebie. Przyjedziemy na Nanumi i będziemy się zachowywać jak para małżeńska. To znaczy, przed innymi ludźmi – uściślił pośpiesznie. – Nie obawiaj się, nie oczekuję od ciebie niczego więcej.

Sadie sama się już tego domyśliła. Jednak niespodziewanie ujrzała w jego

oczach zmysłowy błysk. Spence szybko odwrócił głowę i rzucił gwałtownie:

– Odwiozę cię do twojego hotelu.

– Do hotelu? – powtórzyła głupio, wciąż jeszcze oszołomiona tym, co przed chwilą zobaczyła w jego wzroku.

– Tak. Zarezerwowałem dla ciebie pokój w hotelu Plaza. – Wsadził do walizki jej brudne ubranie i zamknął ją szybko, jakby nie mógł się już doczekać, kiedy pozbędzie się Sadie. – Chodźmy.

A Sadie nie mogła przecież powiedzieć: „Chcę tu zostać”. Ponieważ Spencer najwyraźniej sobie tego nie życzył. Nie pragnął kontynuowania ich małżeństwa. A te namiętne, desperackie słowa, które szeptał jej owej nocy przed czterema laty, nie płynęły z głębi serca, lecz były jedynie wyrazem przelotnego nastroju. Tak więc teraz Sadie odrzuciła wszystkie romantyczne mrzonki i powiedziała to, co należało:

– Świetnie, dziękuję. Z pewnością mi się tam spodoba.

Zadarła wysoko głowę i wyszła na korytarz. Sądziła, że Spence odprowadzi ją tylko na dół, lecz on nieoczekiwanie wsiadł razem z nią do taksówki, a gdy przyjechali do hotelu, załatwił jej formalności meldunkowe i poszedł za nią do windy.

– To nie jest konieczne – rzekła zdesperowana.

– Owszem, jest – odparł oficjalnym tonem.

Przywykła do innego Spence'a – energicznego jak żywe srebro, szczerego aż do bólu, bystrego, porywczego i aroganckiego. Lecz teraz zachowywał się układnie, uprzejmie i sztywno, jakby jedynie wypełniał przyjęty obowiązek.

To było gorsze niż bezceremonialność, z jaką zazwyczaj ją traktował. Wtedy przynajmniej czuła, że łączy ich przyjaźń. Obecnie, gdy okazało się, że nadal są małżeństwem, panowało między nimi nieznośne napięcie.

W windzie milczeli, a kiedy dotarli do jej pokoju, otworzył drzwi i puścił ją przodem. Zachowywał się tak nienagannie, że miała ochotę go kopnąć.

Pokój był duży i pięknie umeblowany. Spencer umieścił jej walizkę na półce. Wychodząc, przystanął na korytarzu i uważnie przyjrzał się Sadie.

– Wszystko w porządku? – spytał. – Wiem, że to jest dla ciebie równie okropne, jak dla mnie. Przepraszam za tę całą sytuację...

Odejdź już, błagała go w duchu. Chcę zostać sama.

– Nie martw się o mnie. Jutro polecę pierwszym porannym samolotem, żeby zdążyć do biura na dziewiątą.

Na jego twarzy odmalowała się ulga, jakby nie mógł się już doczekać, kiedy Sadie wyniesie się z miasta.

– Przez cały tydzień będę zajęty w Nowym Jorku i nie zdążę wrócić do Butte. Kup sobie bilet na mój lot na Fidżi. Spotkamy się na lotnisku w Los Angeles. I znajdź kogoś, kto cię zastąpi na czas naszego pobytu w kurorcie. Tylko

kogoś kompetentnego, a nie jakiś ptasi mózdek.

– Dobrze, zajmę się tym – odparła. – Dziękuję, że mnie odprowadziłeś.

Zrobił zakłopotaną minę i odchrząknął.

– Wcześniej mówiłem serio, Sadie. Nie musisz porzucać pracy u mnie.

A więc stąd ta troska o mnie, pomyślała.

– Może być tak jak przedtem – ciągnął. – Możemy po prostu powrócić do...

– Dobranoc, Spence – rzuciła szorstko i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Sadie często marzyła o spędzeniu nocy w hotelu Plaza. W dzieciństwie jako namiętna pożeraczka książek zaczytywała się powieścią „Elosie” o dziewczynce mieszkającej w tym hotelu. Wydawał się on jej wówczas bardziej odległy i niedostępny niż kratery na Księżycu. Kratery widziała z Butte, natomiast hotel Plaza mogła sobie jedynie wyobrazić.

I oto teraz znalazła się tutaj – we własnym pokoju. Podobnie jak bohaterka powieści, mogłaby skakać po łóżku albo huśtać się na pręcie zasłony prysznic. Mogła też zadzwonić do obsługi hotelowej i zamówić potrawę, jakie tylko zechce.

Spence zapewnił ją o tym. Bardzo to wielkoduszne i uprzejme z jego strony, że zarezerwował jej ten luksusowy apartament. Zachował się jak dbający o pracowników szef. A nie jak mąż – ale przecież nie zamierza nim dla niej być. Nie będzie się tym przejmowała, postanowiła. Powinna już dawno go zostawić.

Jednak gdy wczoraj odkryła, że nadal są małżeństwem, jej świat wywrócił się do góry nogami, a wszystkie stłumione, rozpaczliwe i nieodwzajemnione uczucia powróciły ze zdwojoną siłą.

Nie mogła także pozbyć się myśli, że Spencer, wbrew swym deklaracjom o wyłącznie praktycznych powodach planowanego małżeństwa, zamierzał jednak spędzić z Deną noc poślubną. Jej z pewnością nie odeszłoby do hotelu.

Oczywiście, nie powinna być tym zaskoczona. Ale wszystko byłoby o wiele prostsze, gdyby go nie kochała – gdyby potrafiła po prostu odejść.

Lecz przez najbliższy tydzień będzie skazana na jego towarzystwo. Siedziała w olbrzymim łóżu w apartamencie hotelu Plaza i bliska łez zastanawiała się, jak, u licha, zdoła przetrwać ten tydzień jako prawowita żona Spencera Tyacka.

Spence zawsze uważał, że noc poślubna powinna być czymś wyjątkowym i niezapomnianym.

I rzeczywiście dobrze zapamiętał własną noc poślubną sprzed czterech lat – jako najbardziej zawstydzające i upokarzające doznanie w życiu! Najpierw ucieczka Emily, a potem desperacki ślub z Sadie.

A teraz ta noc! Wprawdzie nie zawarł dziś związku małżeńskiego, ale jednak niewątpliwie miał żonę! Przez cztery lata starał się za wszelką cenę zapomnieć o tym, że trzymał Sadie w ramionach i kochał się z nią. I oto teraz wszystkie te wysiłki poszły na marne i znów opadły go wspomnienia tamtej upojonej nocy.

Wszystko przez to, że zobaczył tę jej podniecającą koronkową bieliznę!

Przewracał się samotnie w łóżku, wspominając swoją noc poślubną i marząc o tym, by znów mieć przy sobie Sadie. Pragnął gładzić jej długie nogi, pieścić krągłe piersi i upajać się słodyczą jej ust.

Do diabła, nie myślał o takich rzeczach, odkąd przestał być nastolatkiem

poddanym władzy szalejących hormonów. Przecież jest rozsądny i logiczny i zamierza poślubić Denę. Jego namiętnością jest praca, a nie kobiety.

Usiłował pomyśleć trzeźwo. Być może przyczyną jego nagłego zainteresowania Sadie jest to, że miał spędzić tę noc z Deną?

To wydało mu się prawdopodobne. Oczekiwał, że będzie z nią dziś uprawiał seks, i dlatego czuł się niezaspokojony.

Zaczął nerwowo krążyć po pokoju, a potem wyrzwał przez okno. Była trzecia w nocy, ale w kilku sąsiednich mieszkaniach paliły się światła. Nowy Jork nigdy nie śpi.

Lecz Sadie z pewnością spała. Przysypiała już przy kolacji. Nie odzywała się i nawet na niego nie spojrziała. To zupełnie do niej niepodobne!

Rzucił się na łóżko i wpatrzył w sufit. Potem przewrócił się na bok, walnął pięścią w poduszkę i odkopnął kołdrę. Czuł się napięty jak struna.

Seks z pewnością pomógłby mu się odprężyć i rozładować frustrację.

Gdyby była tu Dena...

Ale to nie Deny pragnął, tylko ciemnowłosej Sadie. Wyobraził sobie jej gibkie ciało...

Do diabła! – zaklął i wyskoczył z łóżka.

Wpadł do łazienki, zrzucił szorty, wszedł pod prysznic i odkręcił kurek z zimną wodą. Lodowaty strumień ugasił żar jego zmysłów. Stał pod nim, póki nie zaczął szczełkać zębami. Wówczas wytarł się i wrócił do łóżka.

Jednak jego myśli natychmiast znów pobiegły ku Sadie! Wyobraził sobie, jak zdziera z niej ubranie i cienką koronkową bieliznę...

Na gzymsie kominka stała butelka szkockiej whisky, obiecująca pocieszenie i zapomnienie. Spencer nalał sobie szklaneczkę, a potem usiadł i wpatrzył się w nią ponuro.

Po domniemanym rozwodzie często szukał pociechy w alkoholu – dopóki pewnego poranka nie zdołał sobie przypomnieć, co robił poprzedniego dnia. Wówczas przeraził się, że matka miała rację i jest taki sam jak ojciec.

Odtąd przestał pić i jedynie w towarzystwie wypijał niekiedy kieliszek. Teraz szklanka szkockiej kusiła go, ale odwrócił się od niej ze wstrętem. Opadł na fotel i usiłował się uspokoić i opanować.

Wcale nie jest taki sam jak jego ojciec. Znajdzie inny sposób, aby uśmierzyć swoje cierpienie i zapomnieć o Sadie.

– Nic ci nie jest? – zapytała Martha Savas, zaglądając następnego popołudnia do gabinetu Sadie w Butte.

Martha była malarką i w swoim studiu na końcu korytarza pracowała nad kilkoma olbrzymimi paneau, które miały zawisnąć na ścianach banku, odnowionego niedawno przez firmę Spencera.

– Co? Och, nie, oczywiście, że nie – odparła Sadie z wymuszonym

uśmiechem. – A dlaczego pytasz?

Martha weszła do gabinetu i usadowiła się w fotelu.

– Bo wyglądasz okropnie.

– Jestem po prostu zmęczona. Wróciłam dziś rano, a jutro znowu wyjeżdżam.

– Czyżbyś wreszcie wzięła sobie urlop?

Kusiło ją, żeby odpowiedzieć twierdząco. Ostatecznie podróż na Fidzi można by nazwać urlopem. Jednak lubiła Marthę i nie chciała jej okłamywać.

Martha poznała Spencera w samolocie lecącym z Grecji. Zaproponował, by namalowała dla niego malowidło ściennie, a kiedy kilka tygodni później zjawiała się w Butte, wydawał się uszczęśliwiony.

Podczas pierwszego spotkania z Sadie Martha spostrzegła jej zazdrosne spojrzenie i roześmiała się.

– Nie bój się, Spence mnie nie interesuje. Nie odbiorę ci go.

Sadie wpadła w popłoch, zorientowawszy się, że jej uczucie jest dla wszystkich tak oczywiste. Wówczas Martha uśmiechnęła się współczująco i potrząsnęła głową.

– Zauważyłam, ponieważ czuję to samo – ale do innego mężczyzny.

Później okazało się, że miała na myśli Thea, który obecnie był jej mężem.

Tak więc teraz Sadie odpowiedziała jej:

– To nie urlop. Ja... jadę ze Spence'em na tydzień do tego kurortu na Nanumi.

Oczy Marthy rozbłysły radośnie.

– Hurra! A więc w końcu się w tobie zakochał!

Była tak szczerze uradowana, że Sadie z przykrością pomyślała o tym, że musi zepsuć jej wesoły nastrój.

– Nie, on mnie nie kocha. Chodzi wyłącznie o interesy. Zabiera mnie tam, ponieważ... potrzebuje żony.

Natychmiast pożałowała tego wyznania, lecz było już za późno. Martha spojrzała na nią zdumiona.

– Zwariowałaś, Sadie? Chcesz pozwolić temu przekłętemu krętaczowi, żeby przedstawił cię jako swoją żonę?!

– Ja naprawdę jestem jego żoną – wykrztusiła.

Martha oniemiała i popatrzyła na nią z niedowierzaniem. A potem nagle jej rysy złagodniały. Ujęła rękę przyjaciółki i uściśniła ją współczująco.

– Od jak dawna? – spytała.

– Od czterech lat. Ale to była moja wina.

I opowiedziała pokrótce o wydarzeniach z przeszłości. Wiedziała, że Spence byłby na nią wściekły za wyjawienie, że Emily go porzuciła – lecz musiała o tym wspomnieć, żeby wytłumaczyć swoje postępowanie.

– Spytał: „Wyszłabyś za mnie, prawda?” – zakończyła. – A ja powinnam była odmówić.

– To nie takie proste – rzekła Martha. – Gdy Spence wbije sobie coś do głowy, nie można go od tego odwieść. Poza tym przecież go kochałaś.

– Ale on mnie nie kochał! – zaprotestowała Sadie. – Nie chciałaś poślubić Thea, kiedy sądziłaś, że nie darzy cię miłością.

– To co innego – odparła Martha. – Nie znałam Thea tak długo jak ty Spence'a. Sama zaproponowałam, żebyśmy ograniczyli się do upajającego seksu bez żadnych zobowiązań. – Zaczzerwieniła się. – Nie patrz tak na mnie. Wiem, że byłam szalona. W każdym razie on się zgodził, więc uznałam, że chodzi mu tylko o erotyczną przygodę. Toteż kiedy się dowiedział, że jestem w ciąży, i zaproponował małżeństwo, sądziłam, że powoduje nim poczucie odpowiedzialności, a nie miłość.

– Ale jednak okazało się, że jest w tobie zakochany – stwierdziła z satysfakcją Sadie, przypominając sobie pełne determinacji zaloty Thea. – To było takie romantyczne. Upewniłaś się, że cię kocha, i wyszłaś za niego. Ze mną było inaczej. Poślubiłam Spence'a, ponieważ sądziłam... miałam nadzieję... – Urwała i zamrugnęła, aby powstrzymać łzy. – Ponieważ jestem idiotką – dokończyła cicho.

– Nie, to on jest idiotą – rzekła Martha bez wahania i założyła nogę na nogę. – Więc co się potem stało?

– Zamierzał się ożenić z Deną Wilson i poprosił, żebym przywiozła mu do Nowego Jorku dokumenty rozwodowe. Ale okazało się, że wcale nie dostaliśmy rozwodu! Spence miał wyłączoną komórkę, więc nie mogłam go wcześniej zawiadomić.

– To znaczy, że powiedziałaś mu o tym dopiero podczas ślubu? – zaśmiała się Martha. – No cóż, to przynajmniej go nauczy, żeby nie wyłączać telefonu.

– Zapewne – skrzywiła się Sadie. – Weźmiemy rozwód, ale jeszcze nie teraz. On... w przyszłym tygodniu potrzebuje żony na Fidżi – w związku z interesami, które tam prowadzi.

– To dla ciebie trudna sytuacja – westchnęła Martha.

– Owszem. Ale nie mam wyjścia.

– Dlaczego?

Sadie zdała sobie sprawę, że nie potrafi odpowiedzieć na tak bezpośrednio postawione pytanie. W końcu wymamrotała, że jest mu to winna.

– Nic mu nie jesteś winna – rzuciła z oburzeniem Martha.

– Zgodziłam się go poślubić. I wciąż jestem... jego żoną – wydusiła Sadie, a potem dodała, widząc powątpiewające spojrzenie przyjaciółki: – Poradzę sobie z tym. A potem się rozwiedziemy... i odejdę.

– Och, na litość boską, co ty wygadujesz?! – zawołała Martha. – Przecież kochasz go od wielu lat! Jak mogłabyś odejść? Zamierzasz spędzić tydzień w raju

z ukochanym mężczyzną, a potem podkulić ogon i uciec? Musisz o niego walczyć!

– Jak mam to zrobić? – rzekła z westchnieniem Sadie. – Pracuję u niego tak długo, a ani razu nawet się ze mną nie umówił.

– Ale poprosił cię, żebyś za niego wyszła – powiedziała Martha. – I to nie z powodu interesów.

Sadie przypomniała sobie gorące pocałunki i pieszczoty Spence'a podczas ich nocy w apartamencie dla nowożeńców. Była wówczas oszołomiona i zachwycona – i zareagowała na nie z równym żarem, choć obawiała się, że w istocie były przeznaczone dla Emily. Kochali się namiętnie i cudownie, a kiedy potem wyczerpani leżeli spleceni ze sobą, Spence wyszeptał: „Zawsze chciałem, żebyś to była ty”.

Zastanawiała się teraz, czy mówił szczerze i czy w ogóle był świadomy, że to powiedział. W każdym razie już nigdy więcej nie powtórzył niczego podobnego.

– Czemu milczysz? – spytała Martha. – Zastanawiasz się, jak go zdobyć?

Sadie uśmiechnęła się nieśmiało i odparła:

– Może.

Do końca tygodnia Spencer nie zadzwonił do Sadie.

Dlaczego miałyby to robić? Spotka się z nią na lotnisku w Los Angeles, a potem w samolocie będą mieli wiele godzin, żeby nadrobić zaległości w pracy. Nie musi instruować jej codziennie. Sadie jest bystra i kompetentna.

I jest jego żoną!

A Spencer Tyack nie wiedział, co ma powiedzieć jej jako swojej żonie.

Gdyby poślubił Denę, dyskutowałby z nią o pracy, przyszłych projektach oraz źródłach sfinansowania inwestycji na Nanumi.

Oczywiście z Sadie również często omawiał kwestie biznesowe. Ale nie teraz, gdy wciąż widział w wyobraźni jej brzoskwiową jedwabną bieliznę, a wspomnienia ich wspólnej nocy nie pozwalały mu skupić się na niczym innym.

Teraz w ogóle nie potrafili z nią rozmawiać!

Co zresztą nie miało znaczenia, ponieważ ona także ani razu nie zadzwoniła. Nie zawiadomiła, że dotarła do Butte, nie informowała go o bieżących sprawach biurowych ani nie podała mu godziny swego przylotu do Los Angeles.

Przez cały tydzień porozumiewali się wyłącznie za pomocą poczty elektronicznej. Spencer uznał, że to o wiele bardziej praktyczne niż telefony – lecz także irytujące, gdyż na wszystkie wysyłane tą drogą polecenia Sadie odpowiadała niezmiennie jednym słowem: „Załatwione”.

Gdy się spotkają, będą musieli koniecznie ustalić kilka kwestii. Ich plany się nie powiodą, jeżeli nadal będzie go ignorowała. Pan Isogawa jest bystry i nie uwierzy, że są kochającą się parą, jeśli przez cały tydzień będą na siebie warczeć albo unikać się nawzajem.

A jeśli nawet Isogawa nie zauważy rozdzwiewku między nimi, Leonie

niewątpliwie go dostrzeże i wykorzysta. Spencer miał szczęście, że w Barcelonie udało mu się usunąć ją z pokoju bez wiedzy jej męża i nie chciał, by ta sytuacja się powtórzyła. Lubił Richarda i w gruncie rzeczy także Leonie, o ile nie zachowywała się jak dziwka. A miliony Richarda Carstairsa były absolutnie niezbędne do sfinalizowania inwestycji na Nanumi.

Tak więc musi jasno wyłożyć Sadie, czego oczekuje od niej jako żony. I – Boże dopomóż! – będzie musiał zachowywać się jak jej mąż.

– Już jestem – odezwał się za jego plecami znajomy głos.

Spencer odwrócił się gwałtownie i ujrzał Sadie Morrissey, jak zwykle schludną, rzeczową i opanowaną. Dzięki Bogu!

A jednak na jej widok serce zabiło mu mocno, gdyż jego pierwszą myślą było: „Jaką bieliznę ona ma teraz na sobie?”.

Opanował się z wysiłkiem, ostentacyjnie spojrzął na zegarek i rzucił:

– Zjawiałaś się w ostatniej chwili.

– Miałam sporo spraw do załatwienia – rzekła tonem, który uświadomił mu, że nie jest ani trochę bardziej zachwycona tą sytuacją niż on.

– Załatwiłaś zastępstwo w biurze? – spytał.

– Oczywiście. Inaczej bym tu nie przyleciała.

– Kogo wybrałaś?

Zawahała się przez ułamek sekundy, a potem odpowiedziała:

– Grace.

– Grace?! Grace Tredinnick? – zawołał z niedowierzaniem. – Czy ty kompletnie zwariowałaś? Ona ma osiemdziesiąt lat.

– Osiemdziesiąt dwa – uściśliła Sadie wyniośle. – Wiedziałaś, że ukończyła z wyróżnieniem Wyższą Szkołę Handlową w Butte?

– Nie. Ale to nie upoważnia jej do kierowania moją firmą o wielomilionowych obrotach!

– Musiałam znaleźć kogoś w krótkim czasie i znalazłam Grace – rzekła Sadie wyzywająco. – Zresztą w razie czego nie zostanie bez pomocy – powiedziała, a gdy Spence westchnął z ulgą, dorzuciła: – Wybrałam też Claire i Jeremy'ego.

– Jeremy'ego?! – wrzasnął Spencer, bliski apopleksji. – Claire jeszcze ujdzie. Przynajmniej nie jest kryminalistką, chociaż ma chyba nie więcej niż piętnaście lat. Ale Jeremy?! Na litość boską, Sadie! Przecież on jest młodocianym przestępcą!

– Był – poprawiła go Sadie. – Ty oczywiście uważasz, że nikt taki nie może zejść ze złej drogi?

Obydwoje dobrze wiedzieli, że Spence w młodości dopuszczał się znacznie gorszych występów niż Jeremy.

Spiorunował ją wściekłym wzrokiem.

– Ja zmasałem swoje winy.

– On również. Poza tym Theo i Martha ręcą za niego. Theo uważa, że on się świetnie spisze.

– Skąd wiesz, że nie zamorduje Grace?

– Ponieważ wysłano go do poprawczaka za malowanie graffiti na murach, a nie za zabijanie starszych pań. W ostatnim semestrze dostał celującą ocenę z księgowości. A Claire z powodzeniem studiuje handel. Wszyscy troje doskonale sobie poradzą.

Jej oczy rzucały ogniste błyski, a na policzkach wykwitły rumieńce – jak zawsze, gdy się ze sobą spierali. Spencer poczuł nagle bezmierną ulgę, ujrawszy znów dawną Sadie.

Uśmiechnął się, lecz po chwili uśmiech spłynął mu z twarzy. Ogarnęła go panika na myśl, że właśnie w tej chwili Sadie może mieć na sobie jedwabną koronkową bieliznę i że jest jego żoną!

Odetchnął głęboko i rzucił:

– No cóż, zobaczymy.

A więc to tak.

Rozwiąły się wszelkie nadzieje Sadie na to, że skłoni Spence'a, by wreszcie ją zauważył i zdecydował się kontynuować ich małżeństwo.

Traktował ją dokładnie tak, jak zawsze. Wrzeszczał i kłócił się z nią – a ona odruchowo odpowiadała mu tym samym. Wiedziała oczywiście, że wybór Grace, Jeremy'ego i Claire go rozjuszy, ale naprawdę nie miała czasu znaleźć nikogo innego, skoro jechała razem z nim na Nanumi. A nie chciała zrezygnować i odejść, nie podejmując próby walki o Spence'a.

– Przepraszam – powiedziała, gdy wsiedli do samolotu i usadowili się w wygodnych fotelach przedziału klasy biznesowej. Spencer mruknął coś, co uznała za oznakę udobruchania, a potem wyjął z teczki gruby plik papierów.

– Musimy je przejrzeć – rzekł.

– Teraz?

– Oczywiście.

A więc tyle zostało z jej planów, by odbyć z nim szczerą rozmowę od serca. Najwidoczniej według niego miała jedynie odegrać rolę małżonki.

– Doskonale – rzuciła chłodno.

Spence, jak zwykle, mówił bez przerwy. Omawiał zaległe kwestie biznesowe, zlecał jej napisanie i wysłanie rozmaitych listów oraz załatwienie mnóstwa spraw.

Podczas gdy ona przez ostatnie trzy dni próbowała przygotować się na nadchodzący tydzień i wyobrazić sobie swoje życie jako żony Spencera, on najwyraźniej nie poświęcił temu ani chwili refleksji.

– Słuchasz mnie, Sadie?

Zaczerwieniła się.

– Co? Przepraszam, ale jestem trochę zmęczona po podróży. Pójdę się odświeżyć do toalety.

Spryskała twarz wodą, a gdy wróciła, stewardesa właśnie roznosiła posiłek, po chwili zaś zaczęto wyświetlać film.

– Och, świetnie! – zawołała, zadowolona, że przez dwie godziny nie będzie musiała stawiać czoła Spencerowi.

– Obejrzyj film, a ja przez ten czas popracuję – powiedział.

Wyjął laptop i zaczął z furią walić w klawisze. Film był dobry. Wciągnął Sadie i pozwolił zapomnieć o chaosie panującym w jej własnym życiu. Jednak w pewnej chwili zauważyła, że Spence przestał pisać i spogląda na nią posępnym wzrokiem.

– Coś się stało? – spytała.

Wzdrygnął się zaskoczony i szybko potrząsnął głową.

– Nie – rzekł szorstko i powrócił do pisania.

Sadie westchnęła i przeniosła wzrok na ekran, lecz wciąż zastanawiała się, o co mu chodziło.

Kiedy film się skończył, Spence zamknął laptop.

– Musimy porozmawiać – powiedział poważnym tonem, całkiem nie w swoim stylu, a potem zawahał się, co również było do niego niepodobne. – Wiem, dlaczego za mnie wysłaś – oznajmił w końcu.

Sadie zeszywniała w swoim wygodnym fotelu.

On wie, że darzę go uczuciem? – pomyślała w panice.

– Wiesz? – wyjąkała.

Skinął głową, wciąż z kamienną powagą.

– Tak. I chcę ci powiedzieć, że to doceniam.

Docenia to, że go kocham?!

– Przed chwilą uświadomiłem sobie, że zrobiłaś to dla dobra firmy – ciągnął. Wpatrzyła się w niego oszołomiona. – Po prostu usiłowałaś mi pomóc i jestem ci za to bardzo wdzięczny.

Wspaniale! Właśnie tego oczekiwała – wdzięczności!

– Wiem, jakie to wszystko było dla ciebie trudne. I nadal jest. Ale poradzimy sobie z tym, prawda? – Popatrzył na nią wyczekująco.

Co miała odpowiedzieć? Kocham cię, ty idioto?

– Mam też nadzieję, że zgodzisz się spełnić to, o co cię poproszę. Och, to nic kompromitującego – zapewnił pośpiesznie.

Sadie nie potrafiła się już powstrzymać.

– Nic kompromitującego? O co ci chodzi?! – wybuchnęła.

– Wiesz dobrze, o co mi chodzi – warknął. – Nie oczekuję, że będziesz ze mną sypiała!

– Oczywiście, że tego nie oczekujesz – mruknęła bardziej do siebie niż do

niego.

Jednak Spencer usłyszał i oczy mu się zwięziły.

– Natomiast oczekuję, że będziesz się zachowywała jak moja szczęśliwa żona.

– To znaczy? – rzuciła prowokująco.

– To znaczy spróbujesz udawać, że choć trochę mnie lubisz.

– Lubię cię – odparła szczerze. – O ile nie zachowujesz się jak osioł.

– Co masz na myśli?

– Powinieneś mi zaufać, że cię nie zawiodę.

Przez chwilę Spencer wyglądał na zaskoczonego, a potem nerwowo skinął głową.

– A więc dobrze. – Milczał przez moment. – Zdajesz sobie sprawę, że będziemy musieli dzielić wspólne *bure*? To rodzaj miejscowej chaty krytej słomą – wyjaśnił. – Są tam salon oraz sypialnia z dwoma łózkami.

Sadie poczuła się nagle znużona. Nie miała siły dłużej z nim rozmawiać. Może dlatego, że jej na nowo rozbudzone nadzieje legły w gruzach, gdy uświadomiła sobie, że Spence ma zamiar jedynie udawać, iż coś ich łączy.

– W porządku – powiedziała. – Zrobię co w mojej mocy, aby przekonać Leonie Carstairs, pana Isogawę oraz wszystkich innych, że jestem głęboko oddaną ci żoną. A teraz, jeśli już skończyłeś wyjaśniać mi moje obowiązki, chciałabym się przespać.

I nie dając mu szansy na odpowiedź, owinęła się kocem, maksymalnie odchyliła fotel, odwróciła się do Spencera plecami i zgasiła swoją lampkę. Po czym odfrunęła myślami i zapadła w sen.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Sadie przespala resztę lotu.

Spence wiedział o tym, ponieważ nie mógł zasnąć, mając ją obok siebie. Przyglądał się jej, dręczony frustracją i pożądaniem.

– Do diabła! – rzucił wreszcie przez zęby, gwałtownie odwrócił głowę i uchwycił się kurczowo poręczy fotela.

Stewardesa podeszła do niego.

– Czy coś się stało? – spytała.

– Nie, nic mi nie jest – powiedział cichym, opanowanym głosem. – Po prostu... coś sobie przypomniałem.

Przypomniał sobie, jak trzymał w ramionach nagą Sadie!

– Może coś panu podać?

– Poproszę o kawę... dużo kawy. Muszę popracować.

Praca zawsze pomagała mu przezwyciężyć zły nastrój, zapomnieć o brutalnym ojcu i jędzowatej matce.

Gdy stewardesa przyniosła kawę, wyjął laptop i otworzył plik dotyczący budynku w São Paulo, którego nabycie radził mu Mateus Gonsalves. Bezskutecznie usiłował się skupić i w końcu zaklął pod nosem.

Sadie westchnęła przez sen i odwróciła się do niego z lekko rozchylonymi ustami. Ogarnęło go pragnienie, żeby je namiętnie pocałować...

Nie powinien o tym myśleć. Sadie go nie chce.

Kiedy jej oznajmił, że wie, że poślubiła go dla dobra firmy, nie powiedział całej prawdy, gdyż ta prawda była o wiele gorsza.

Sadie Morrissey wyszła za niego z litości! Wzdrygnął się na tę myśl.

Nienawidził litości. Nie znosił, gdy w młodości nauczyciele okazywali mu współczucie. Owszem, miał trudne dzieciństwo, ale przetrwał i poradził sobie bez niczyjej pomocy.

Nie wiedział, dlaczego Sadie tak się rozzłościła, gdy ją zapewnił, że nie zamierza z nią sypiać. Zrobił to, aby ją uspokoić. Miał nadzieję, że zdoła nad sobą zapanować. Zresztą nie będą dzielili łóżka, lecz tylko wspólny domek.

Zerknął na nią i ujrzał, że jej bluzka się podwinęła, odsłaniając fragment nagiego ciała. Ogarnęła go fala pożądania. Pośpiesznie zamknął oczy, ale zaraz je otworzył, gdyż Sadie wymamrotała coś i ujęła go za ramię.

Popatrzył na nią podejrzliwie. Czyżby się obudziła i drażniła się z nim? Lecz jej oddech się nie zmienił nadal był spokojny i miarowy.

Miała smukłe palce z krótko, praktycznie obciętymi paznokciami. Trudno byłoby się domyślić, że to dłoń kobiety noszącej seksowną koronkową bieliznę. Spencer wstrzymał oddech i starał się nie poruszyć, choć cały płonął pod jej

dotykami – tak jak przed czterema laty. Zaciśnął powieki i usiłował o tym nie myśleć. Chyba postradał zmysły, proponując jej, by towarzyszyła mu w tej podróży.

Zarazem jednak był tym zachwycony!

Sadie obudził turkot tacy na kółkach ze śniadaniem. Czuła się odświeżona i pokrzepiona. Poruszyła się i przyjrzała spod przymrużonych powiek Spencerowi, który nieogolony ślęczał nad jakimiś papierami. Wyglądał na zmęczonego i wątpiła, czy tej nocy w ogóle spał.

– Wyspałaś się? – rzucił.

– Owszem – odparła. Wyjęła z torebki szczotkę do włosów, szminkę i lusterko i doprowadziła się jako tako do porządku, a potem spytała: – Przez cały czas pracowałeś?

– Miałem zaległe sprawy do załatwienia i chciałem się przygotować do rozmów z Isogawą.

– Nie martw się, wypełnię swoje zadanie – zapewniła go. – Będę... twoją żoną.

Wpatrywał się w nią przez długą chwilę. Wydało się jej, że ujrzała w jego oczach przelotny namiętny błysk.

Nie wmawiaj sobie niczego – pomyślała. – Nie łudź się, to tylko twoje fantazje i rojenia.

– W porządku – odparł i szorstko skinął głową.

Stewardesa podała im tace. Po śniadaniu Spencer wyjął z aktówki małe aksamitne puzderko.

– Masz – rzekł i bezceremonialnie rzucił je na kolana Sadie, która podskoczyła, jakby to był granat.

– Nie bój się, nie wybuchnie.

Dziewczyna w milczeniu przyjrzała się uważnie pudełeczku.

– Dalej, otwórz je – zachęcił ją Spence. – Nie możesz przecież być moją żoną bez ślubnego pierścionka.

To było takie szokujące i nieoczekiwane. Choć w gruncie rzeczy nie powinna być zaskoczona. Spencer zawsze planował wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Modliła się, aby nie zadrżały jej palce, gdy otwierała wieczko.

Wpatrzyła się z zapartym tchem w dwa pierścionki.

– Nie podobają ci się? – zapytał po krótkiej chwili Spence beznamiętnym tonem. – Nie są zbyt... tradycyjne.

Właśnie to było w nich takie zachwycające! Widziała pierścionek, który kupił Emily – efektowny, nieco pretensjonalny brylant otoczony małymi rubinami. Ujrzała też przelotnie pierścionek zaręczynowy Deny – złotą obrączkę z pojedynczym diamentem.

– Oczywiście mogłem ci dać pierścionek Deny – rzekł Spencer. – Nie

sądziłem jednak, aby...

– Nie – przerwała mu Sadie. – Te są piękniejsze. – Pierścionek zaręczynowy był cienką złotą obrączką z misternie rżniętym nefrytem, a ślubny zrobiony był z czystego nefrytu ozdobionego celtyckimi ornamentami. Spodobałyby się jej irlandzkim przodkom. Kręgi zielonego i złotego ognia – pierwotne i doskonałe...

Obydwa były tak bardzo w stylu Sadie, że wydało jej się to niesamowite. Zdumiona, popatrzyła uważnie na Spence'a.

– Poprzednim razem nie kupiłem ci żadnego – przypomniał jej.

– Wiem, ale dałeś mi ten stary pierścień z czerwonego kamienia, który odziedziczyłeś po swoim dziadku.

– Pierścień dziadka? – powtórzył zdziwiony. – Myślałem, że go zgubiłem.

– Nie. Zdjąłeś go i włożyłeś mi na palec, mówiąc, że to tylko tymczasowo, dopóki nie znajdziesz czegoś lepszego. Naprawdę nie pamiętasz?

Potrząsnął głową w oszłomieniu.

– No cóż – rzekła. – Wróciłeś dopiero po miesiącu i chyba o nim zapomniałam. Powinnaś była ci go zwrócić.

W rzeczywistości jednak wcale nie zapomniała. Ceniła i uwielbiała ten pierścień. Nosila go na łańcuszku na szyi przez cały miesiąc i zdjęła dopiero wtedy, gdy Spencer po powrocie oznajmił, że otrzymali rozwód. Wówczas schowała pierścień do szuflady nocnego stolika. Odtąd często przed snem otwierała szufladę, dotykała go i rozmyślała o tym, jak mogłoby wyglądać jej życie ze Spencerem.

– Wciąż go mam – oświadczyła, a potem dorzuciła wbrew sobie: – Mogę ci go oddać, jeśli chcesz.

– Byłbym ci wdzięczny – rzekł Spencer. – To jedyna pamiątka po dziadku. Moglibyśmy dokonać wymiany... jeżeli zechcesz – dodał szybko. – Jeśli nie podobają ci się te obrączki, kupię ci inne. Sądziłem po prostu...

– Są piękne – powiedziała żarliwie Sadie. Wyjęła ślubny pierścionek z pudełeczka i włożyła sobie na palec. – Pasuje doskonale.

– Kamień ma barwę twoich oczu – rzekł nagle Spence, jeszcze bardziej ją zadziwiając, i zaczerwienił się.

Sadie była oczarowana. Poczula przelotną pokusę, żeby poprosić go, aby włożył jej na palec drugi pierścionek. Uznała jednak, że nie należy ponaglać Spence'a. I tak uczynił więcej, niż się spodziewała. Toteż sama wsunęła pierścionek na palec.

Podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Spencera.

– Dziękuję ci – powiedziała. – Obydwa są przepiękne.

Odchrząknął z zakłopotaniem.

– Cieszę się, że ci się podobają. Możesz je potem zatrzymać. To znaczy, kiedy za tydzień wrócimy z Fidżi – wyjaśnił.

A więc nadal zamierzał się z nią rozwieść. Sadie nie wiedziała, co o tym

myśleć.

Wiadomość o tym, że podczas ich poślubnej nocy podarował Sadie pierścień po dziadku, głęboko wstrząsnęła Spencerem. To dowodziło, jak bardzo był wówczas otumaniony. Nie wyobrażał sobie, by mógł go oddać komukolwiek.

Ten wielki, niezgrabny pierścień z czerwonego kamienia wyrzeźbił własnoręcznie jego pradziad, kiedy jako młody człowiek przyjechał do Montany pracować w kopalni miedzi. Pierścień był ozdobiony macicą perłową, wyciętą niezdarnie w kształt serca. Pradziad zamierzał podarować go swojej żonie. Był bardzo ubogi i dopiero po trzech latach zdołał zaoszczędzić dość pieniędzy, by sprowadzić rodzinę z Kornwalii do Butte.

Jednak pociągiem przyjechały tylko jego dzieci, chłopiec i dziewczynka, które ledwo rozpoznał. Ich matka zmarła podczas podróży.

Nosił więc przez całe życie ten pierścień, aby o niej pamiętać, mimo że kawałek serca odłamał się i zaginął. Przed śmiercią przekazał pierścień synowi, a ten w swoim czasie oddał go ojcu Spence'a.

Ojciec jednak nigdy go nie włożył.

– Nie lubię pierścionków – oświadczył i trzymał go w salaterce na biurku. Spence potajemnie często wkładał go sobie na palec.

Potem ojciec ich opuścił, pozostawiając pierścień. Spence przymierzał go jeszcze częściej. Gdy nieco dorósł, pierścień przestał być za luźny i już nie wydawał mu się ciężki.

Jednak pewnego dnia, kiedy miał już piętnaście lat, pierścień zniknął.

– Pozbyłam się go – oznajmiła matka. – Obrzydliwa starość, w dodatku uszkodzona. Moim zdaniem przynosił pecha – dodała, potrząsając głową.

– Gdzie on jest?! – zawołał zrozpaczony i wściekły chłopiec.

– Zniosłam wszystkie rzeczy twojego ojca do sklepu ze starzyzną – odpowiedziała.

Spencerowi zależało jedynie na pierścieniu. Pobiegł tam natychmiast i odkupił go. To był jedyny przedmiot, który przypominał mu dziadka i szczęśliwe chwile dzieciństwa.

Zastanawiał się teraz, czemu, u licha, oddał go Sadie w tamtą noc po ich ślubie. Jednak zanim zdołał znaleźć jakąś odpowiedź, samolot zaczął już podchodzić do lądowania.

Gdy wylądowali, Sadie odetchnęła głęboko i zapytała:

– Jesteś gotowy?

Skinął głową. Miał nadzieję, że istotnie tak jest, choć w głębi duszy wciąż odczuwał niepokój.

Gdy wszyscy pasażerowie wstali i ruszyli do wyjścia, Sadie wsunęła mu coś w dłoń.

– Masz – powiedziała. – Będiesz jej potrzebował.

– Co to jest? – spytał, lecz po chwili sam poznał odpowiedź.

Ślubna obrączka. Nie oczekiwał, że Sadie również o tym pomyśli.

– Miałaś dobry pomysł – stwierdził.

Leonie ją zauważy i zrozumie, że nie jest już wolny. A pan Isogawa dowie się, że oboje z Sadie są małżeństwem.

Wsunął obrączkę na palec i nagle poczuł się żonatym mężczyzną.

W samą porę, pomyślał Spencer, gdy przeszli przez odprawę celną i skierowali się ku hali odlotów do wyczarterowanego samolotu.

Wszyscy inni już tam czekali. Obydwie pary z Nowej Zelandii – Steve Walker ze swą żoną Cathy oraz John i Marion Ten Eykowie – a także Richard i Leonie. Czworo Nowozelandczyków rozmawiało między sobą, a Richard jak zwykle siedział z nosem w laptopie, całkowicie pogrążony w pracy. Natomiast Leonie, gdy tylko podniosła wzrok znad czasopisma i zobaczyła nadchodzącego Spencera, pisnęła radośnie:

– Spence, kochanie!

Ruszyła do niego z otwartymi ramionami. Spencer przygotował się do odparcia ataku, lecz w tej samej chwili Sadie ujęła go pod rękę i rzuciła beztrąsko:

– Nie przedstawiś nas sobie, najdroższy?

Najdroższy? Spencer zaniemówił z otwartymi ustami. Lecz rozpromieniona Sadie ciągnęła dalej:

– Poznają cię po głosie, Leonie! To ja, Sadie!

Przejęła uścisk przeznaczony dla Spencera i sama mocno objęła osłupiałą kobietę.

– S-Sadie? – wybełkotała Leonie, wyswobadzając się z jej objęć. – Ty jesteś Sadie? Spencera...

– Żona – dokończył gładko Spence. – Poślubiłem Sadie, a ty masz okazję jako pierwsza nam pogratulować.

Na twarzy Leonie odbiły się szok, zdumienie, konsternacja i wiele innych uczuć.

– Ale przecież... ona u ciebie pracuje – wyjąkała, wbijając wzrok w Sadie, która wytrzymała bez drgnienia jej badawcze spojrzenie.

– Tak, a raczej pracowała – odparł Spence.

– To historia jak z romansowej powieści – rzekła do niej wesoło Sadie. – No wiesz, po wielu latach szef dostrzega w swej podwładnej kobietę.

Niebieskie oczy Leonie rozszerzyły się ze zdziwienia. Uśmiechnęła się smutno.

– No cóż, gratuluję – powiedziała, a potem zawołała do męża: – Richard! Zgadnij, z czym przyjechał Spence!

– Z kontraktami, mam nadzieję – odrzekł z roztargnieniem Richard, nie podnosząc wzroku znad laptopa.

– Bez wątpienia, kochanie – rzuciła niecierpliwie Leonie. – Ale przywiózł też żonę.

– Tyack ma żonę?! – zawołał Richard, gwałtownie podrywając głowę. Odsunął komputer i podszedł szybko, obrzucając Sadie pełnym aprobaty wzrokiem. Uścisnął jej rękę, pocałował ją w oba policzki i uśmiechnął się do niej promiennie. – Poślubiłaś szefa, tak? Jesteś mądrą dziewczyną... i w dodatku piękną. – Odwrócił się do Spence'a. – A ty też nie jesteś głupi. Ta dziewczyna ma na głowie całe twoje biuro, prawda?

– Wykonuje świetną robotę – odparł sztywno Spencer, zastanawiając się, czemu Richard wciąż trzyma jej dłoń.

Sadie uśmiechnęła się i zręcznie uwolniła rękę.

– Staram się utrzymać go w tym złudzeniu – rzekła żartobliwie do Richarda.

Mężczyzna się roześmiał.

– Cieszę się z tego tygodnia na wyspie. Isogawa miał wspaniały pomysł. Będziemy mieli mnóstwo czasu, żeby lepiej poznać się nawzajem.

Spence wpatrzył się w niego podejrzliwie. Czy Richard próbuje flirtować z Sadie?

– Z pewnością będziemy się z wami często spotykać – powiedziała, obejmując swym uśmiechem również Leonie. – Nie mogę się już tego doczekać, podobnie jak poznania osobiście pozostałych – dodała, widząc zbliżających się Ten Eyków i Walkerów.

Spencer dokonał prezentacji, ale Sadie zdawała się znać już ich wszystkich.

– Oczywiście, że się znamy – oświadczyła. – Dokonałam rezerwacji wszystkich lotów. Wielokrotnie rozmawiałam z Marion i Cathy przez telefon.

– Naprawdę? – spytał Spence, nieco speszony i oszołomiony, podczas gdy jego żona gawędziła już swobodnie ze wszystkimi, niczym ze starymi przyjaciółmi.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pan Isogawa czekał na nabrzeżu na ich hydroplan. Był wytwornym mężczyzną dobiegającym siedemdziesiątki, miał siwe włosy i szczeciniasty wąsik i wyglądał dokładnie tak, jak Spencer go sobie wyobrażał – jak człowiek surowy, pryncypialny i wymagający.

Skłonił się i uściśnił dłoń Spence'a, po czym rzekł:

– Chodźmy do domku letniego. Moja żona nie może się już doczekać poznania was. Dobrze, że zjawiliście się tu wszyscy. Nanumi to miejsce stworzone dla rodzin.

Uklonił się ponownie i polecił grupie milczących i uśmiechniętych służących, by zanieśli bagaże gości do ich kwater. Potem poprowadził przybyłych drewnianym chodnikiem.

Letni domek okazał się niskim, krytym słomą pawilonem z drewna i szkła, utrzymanym w miejscowym stylu. Stał nad półkolistą zatoką, harmonijnie wtopiony w przepiękny krajobraz tej rajskiej wysepki na Pacyfiku. Spence usłyszał, że obok niego Sadie westchnęła z podziwu.

Dena z pewnością nie zwróciłaby w ogóle uwagi na otoczenie. Lecz Sadie była olśniona i zachwycona wyspą, kurortem i pomieszczeniem, do którego weszli – przestronnym pokojem o wysokim suficie i szklanej ścianie z widokiem na zatokę. Był tam bar z bambusowym kontuarem, niskie stoły oraz stojące wokół nich fotele i krzesła z obiciami w barwne polinezyjskie wzory.

– Usiądźmy – zaproponował pan Isogawa, wskazując je gestem. – A teraz przedstaw nas sobie, Spencer-san.

Podczas prezentacji Japończyk kłaniał się z ceremonialnym uśmiechem i ścisnął dłonie gości. Wreszcie Spence ujął za rękę Sadie i rzekł:

– Chciałbym, abyś poznał moją żonę. To jest Sadie.

Konwencjonalna uprzejmość Isogawy ulotniła się w jednej chwili, zastąpiona przez szczerą radość. Mężczyzna popatrzył na Spence'a, a potem szybko przeniósł spojrzenie na dziewczynę.

– Sadie! – zawołał. – Więc wyszłaś za niego!

Uśmiechnęła się nieśmiało i odparła:

– Tak.

Pan Isogawa klasnął w ręce i uśmiechnął się serdecznie. Uklonił się Sadie o wiele głębiej niż pozostałym, a potem ujął jej dłonie i przemówił do niej szybko. Po japońsku!

Spence gapił się na niego zdumiony.

– Ona nie potrafi... – zaczął.

Lecz najwyraźniej potrafiła, ponieważ odpowiedziała w tym samym języku.

– Od kiedy mówisz po japońsku? – zapytał Spencer.

Sadie skończyła zdanie skierowane do Isogawy i dopiero potem odpowiedziała z lekkim wzruszeniem ramion:

– Moją współlokatorką na Uniwersytecie w Los Angeles była Amerykanka pochodzenia japońskiego, Tammy Nakamura. To ona mnie nauczyła. Kiedy rozpocząłeś negocjacje handlowe z panem Isogawą, wypróbowałam moje umiejętności podczas telefonicznych rozmów z nim. Uważa, że jestem bardzo zdolna – dodała z uśmiechem.

Isogawa z zapalem pokiwał głową.

– Sadie ciężko pracuje. Jest bardzo inteligentna i piękna – powiedział, nie puszczając jej dłoni.

Co takiego mężczyźni widzą w jej dłoniach? – zastanowił się Spencer.

W tym momencie pan Isogawa powiedział coś do Sadie w swoim języku. Dziewczyna zarumieniła się i uniosła lewą rękę, a Japończyk przyjrzał się uważnie obrączkom na jej palcach.

Spencer poczuł lekki dreszcz niepokoju. To były zwykłe nefrytowe pierścionki, wytwory sztuki ludowej, niezbyt cenne ani piękne. Nagle pożałował, że nie ofiarował jej obrączki z brylantem, przeznaczonej dla Deny.

Lecz pan Isogawa uśmiechnął się – tym razem ten uśmiech objął również jego oczy i zdawał się wypływać z głębi duszy – i rzekł do Sadie:

– *Sono yubiwa, o'suki desuka?*

– Czy mi się podobają? – przetłumaczyła i energicznie kiwnęła głową. – Och, tak! To znaczy *hai*.

Uśmiech na pomarszczonej twarzy Isogawy się pogłębił.

– Mnie także – powiedział Japończyk i spojrzał uważnie na Spence'a. – Widzę, że dobrze wybrałeś.

Spencer wcale nie był pewien, czy te słowa dotyczyły tylko obrączek.

Isogawa odwrócił się do kobiety mniej więcej w jego wieku, ubranej we wzorzysty sarong, która kryła się w cieniu w kącie pokoju.

– Moja żona Toshiko – rzekł.

Następnie kolejno przedstawił jej wszystkich zebranych. Kiedy doszedł do Sadie, obydwie kobiety rozpromieniły się i po złożeniu stosownych ukłonów zaczęły gawędzić jak stare dobre przyjaciółki.

– Widzę, że znasz również panią Isogawę – stwierdził zdziwiony Spence.

– Poznałyśmy się przez telefon – zaśmiała się Sadie. – Ona się uczy angielskiego, więc zaofiarowałam jej pomoc. Uczymy się razem, prawda? – zwróciła się do niej powoli i wyraźnie.

– Sadie to dobra nauczycielka – odparła pani Isogawa. – Bardzo bystra.

– Właśnie widzę – mruknął Spencer.

Pracował nad podpisaniem tej umowy, zajmując się jednocześnie innymi

inwestycjami na całym świecie. Wysyłał Sadie instrukcje i zadania, pozostawiając jej ich realizację. Aż do tej pory uważał, że główną przyczyną postępów w sprawie kurortu na Nanumi była jego bezbłędna intuicja. Teraz jednak uświadomił sobie, że pan Isogawa zgodził się rozważyć propozycję bandy zachodnich biznesmenów w o wiele większym stopniu dzięki gorliwym staraniom Sadie i nawiązanym przez nią przyjacielskim kontaktom, niż dzięki temu, że on sam okazał się błyskotliwym strategiem i zebrał grupę odpowiednich inwestorów.

Pan Isogawa przemówił teraz szybko do żony i jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

– Jesteście małżeństwem? – spytała.

– Owszem – odparła Sadie.

– To nowożeńcy – rzekła przeciągle Leonie. – Jakież to słodkie.

– W podróży poślubnej – dodał Japończyk.

– No, niezupełnie – zaoponowała Sadie.

Lecz pan Isogawa wiedział swoje. Kazał podać szampana, a gdy wszyscy goście trzymali już napełnione kieliszki, powiedział coś do młodego służącego, który skinął głową i szybko wyszedł.

– A teraz wzniesmy toast za waszą pomyślność – rzekł do Spencera i Sadie, po czym życzył im długiego życia, bogactwa, szczęścia i mnóstwa dzieci.

Pozostali przyłączyli się do tych życzeń.

Po toaście Sadie wdała się z panem Isogawą w rozmowę o urządzeniu i wyposażeniu kurortu.

– Wykorzystaliśmy dzieła miejscowych artystów – oznajmił – a także tutejsze materiały i tkaniny. Staramy się zaoferować naszym gościom wszystko co najlepsze z tego pięknego zakątka świata. – Zerknął na służącego, który właśnie powrócił, po czym rzekł do gości: – A teraz, jeśli nie macie nic przeciwko temu, Jale zaprowadzi was do waszych *bure*. Nie wiedzieliśmy, że przywieziesz świeżo poślubioną małżonkę – zwrócił się do Spence'a. – Przygotujemy dla was coś specjalnego. Przed waszym przyjazdem Toshiko i ja przenieśliśmy się do chaty dla nowożeńców, ponieważ jest niewielka i zapewnia intymny nastrój. Nie wiedzieliśmy, że będziemy gościć prawdziwych nowożeńców w podróży poślubnej. Tak więc zamienimy się z wami.

– My nie... – zaczął Spence.

– To nie jest konieczne – rzuciła pośpiesznie Sadie.

Pan Isogawa uciszył ich oboje uniesieniem ręki.

– Owszem, jest. *Shinkon-san ni, tekishite imasu*.

Spencer popatrzył wyczekująco na Sadie.

– On mówi, że tak należy – przetłumaczyła szybko. – Chce, abyśmy tam zamieszkali, ponieważ to odpowiednie miejsce dla nowożeńców.

– Ale my nie jesteśmy w podróży poślubnej – zaprotestował Spence. –

Przyjechaliśmy tu w interesach. Mamy uzgodnić kwestię zainwestowania w tutejszy kurort.

– A jaka jest idea tego kurortu? – zapytał z prostotą pan Isogawa.

Zakłopotany Spence potrząsnął głową.

– Nie rozumiem.

– Przeznaczaliśmy ten kurort dla par, dla rodzin – wyjaśnił Isogawa. – Pragniemy, aby przyjeżdżały tutaj przypomnieć sobie, co w życiu jest najważniejsze. Właśnie to oznacza nazwa Nanumi. Tak, oczywiście, że ubijemy interes. Ale interes jest tylko drobną częścią życia. Najmniej istotną częścią. Rozumiesz?

Jego ciemne oczy zdawały się wwiercać w głąb duszy Spencera.

– No... tak.

Spence pojął przynajmniej zasadniczą koncepcję. Jego własna rodzina była zawieszona w próżni. Pierścień z czerwonego kamienia, który dał Sadie, symbolizował jego jedyne doświadczenie rodzinnych więzi – miłość, jaką darzył go dziadek. Lecz ojciec zlekceważył ten symbol i nie chciał nosić pierścienia, a matka potem go wyrzuciła.

Natomiast Sadie przyjęła propozycję Isogawy z zachwyconym uśmiechem, jakby naprawdę była żoną Spencera.

– Dobrze – zgodził się Spence. – Ale powtarzam, że jesteśmy tutaj przede wszystkim z powodu interesów.

– O interesach porozmawiamy później – rzekł Japończyk z lekkim ukłonem.

– Teraz po prostu zacznij się cieszyć małżeństwem ze swą piękną żoną.

Domek dla nowożeńców stanowił skrzyżowanie siedziby „Robinsona szwajcarskiego” z projektami z magazynu „Nowoczesna Panna Młoda”.

Sadie stanęła w drzwiach i rozejrzała się z zachwytem. Wszystkie mijane przez nich bungalowy i *bure* wyglądały pięknie, lecz ten był wyjątkowy.

Wyspiarską chatę o słomianym dachu umieszczono w rozwidleniu olbrzymiego drzewa, tak że zdawała się unosić między jego konarami. Dwanaście schodków prowadziło do krytego liśćmi ganku, na którym łagodnie kołysał się hamak. Wnętrze – z podłogą z miejscowego twardego drewna pokrytą matami *kiao* i naturalnym pryznicem-wodospadem osłoniętym bambusowymi ściankami – było eleganckie i przestronne. Na ścianach wisiały zasłony z barwnych tkanin, a umeblowanie stanowiły: olbrzymie łóżce, lekki wiklinowy stół i krzesła stojące przy oknie, z którego rozpościerał się widok na rajską plażę, oraz dwa wyściełane fotele *kauri*. Całość robiła wrażenie egzotyczne, a zarazem swojskie i przytulne, i przewyższała wszelkie marzenia Sadie.

– Mam nadzieję, że będziecie tu bardzo szczęśliwi – powiedział młody służący Jale, po czym skłonił się im lekko i wyszedł.

Oboje zostali sami w *bure* dla nowożeńców, posiadającym jeden pokój...

i jedno łóżko.

– Czyż tu nie jest miło? – spytała wreszcie Sadie, gdyż Spence uparcie milczał.

– Będziemy musieli dzielić ze sobą łóżko – rzucił opryskliwie i zaczął niespokojnie krążyć po pokoju. – Nie mogę spać w hamaku. Isogawa by to zauważył. Nie możemy ryzykować.

– Wiem – rzekła. – Pozostanę po mojej stronie. Obiecuję, że nie będę cię napastować.

– Nie o to mi chodzi – rzekł szorstkim tonem. – Przyrzekłem ci, że będą dwa łóżka.

„Przyrzekłeś też, że przez całe życie mnie kochał, szanował i otaczał opieką” – pomyślała Sadie, ale nie powiedziała tego głośno.

– Nie przeszkodzi ci to? – spytał.

– Jakoś przeżyję – odparła. – A ty?

– Oczywiście! Wszystko pójdzie jak z płatka – powiedział Spence, lecz przez cały czas trzymał się możliwie jak najdalej od łóżka.

Sadie starała się tego nie zauważać. Zrzuciła sandały i stanęła boso na chłodnej drewnianej podłodze.

– Może popływamy w morzu? – zaproponowała.

Spence zerknął na łóżko.

– Świetny pomysł – powiedział. – Przebierz się pierw sza. Ja... Och, do diabła, zostawiłem w letnim domku moją aktówkę. Pójdę ją przynieść.

– Chyba nie zamierzasz zostać tam i pracować?

– Skądże! – Ruszył do wyjścia, ale przystanął na ganku i odwrócił się do niej. – Dziękuję. Nigdy dotąd nie uświadamiałem sobie, ile ci zawdzięczam. Teraz wiem, że wszystkie sprawy związane z podpisaniem tej umowy przebiegają na razie gładko dzięki przyjacielskim stosunkom, jakie nawiązałaś z państwem Isogawa, Walkerami, Ten Eykami, a nawet Richardem i Leonie.

– Sprawilo mi to przyjemność – odparła szczerze Sadie. – Oni wszyscy są bardzo interesującymi ludźmi.

– Owszem. Ale chcę, byś wiedziała, że doceniam to, co robisz.

Zawahał się, jakby chciał dodać coś jeszcze, lecz ostatecznie odwrócił się i szybko wyszedł z chaty.

Sadie przyglądała mu się, dopóki nie zniknął wśród palm, a potem z westchnieniem padła na łóżko. A więc Spence zauważył, że nawiązała kontakty z wszystkimi osobami zaangażowanymi w zawarcie umowy. Docenia jej starania i jest jej wdzięczny! Prawdopodobnie sądzi nawet, że zrobiła to wszystko wyłącznie dla dobra firmy.

Czasami Spencer Tyack jest niewiarygodnie głupi, pomyślała. I niewykluczone, że w trakcie tego tygodnia będę miała ochotę go zamordować.

Ale uśmiechnęła się do siebie – ponieważ przywiózł mnie do prawdziwego raj, więc równie dobrze mogę najpierw popływać.

Sadie, John i Marion pływali w ciepłej, spokojnej, przejrzystej wodzie, niczym we wspaniałej turkusowej wannie.

Spencer się nie zjawiał.

– Pewnie pracuje – rzuciła Marion.

– Cholerny głupiec – stwierdził John.

Sadie zastanawiała się, czy Spence celowo jej unika. Przez godzinę na przemian pływała i wylegiwała się na plaży, lecz on nadal się nie pojawił.

– Prawdopodobnie dopadł go Richard i wciągnął w dyskusję o jakichś długofalowych projektach – zawyrokował John. – Jest jeszcze większym pracoholikiem niż Spence.

Richard? A może po drodze dopadła go Leonie? Raptem Sadie doszła do wniosku, że musi to sprawdzić.

– Pójdę go poszukać – oświadczyła.

– Złap go za ucho i przyprowadź tutaj – poradziła Marion.

Sadie owinęła się w biodrach ręcznikiem i ruszyła ścieżką w kierunku chaty. Zobaczyła, że drzwi są otwarte. A więc nie ma z nim Leonie.

– Spence! Jeśli pan Isogawa się dowie, że pracujesz zamiast....

Urwała. Jej prawowity mąż spał na łóżku, lekko pochrapując.

– Spence – powtórzyła cicho, aby się upewnić, że nie udaje.

Nie poruszył się.

Nic dziwnego, że usnął, pomyślała. Pracował przez całą noc w samolocie, a miał już za sobą długi lot z Nowego Jorku do Los Angeles. Ma prawo być zmęczony.

Pochyliła się nad łóżkiem i napawała widokiem śpiącego Spence'a.

Wyglądał inaczej niż zazwyczaj, spokojniej. Jego twarz miała łagodniejszy, bardziej odprężony wyraz. Sadie zapragnęła pogładzić go po policzku i musiała użyć całej siły woli, aby się przed tym powstrzymać.

Przypominał teraz trochę chłopca, jakim był dawniej – a także mężczyznę, którego poślubiła przed czterema laty.

Tamtej nocy kochali się namiętnie, desperacko, niecierpliwie, a potem Spence wymamrotał: „To zawsze powinnaś być ty”. Niemal natychmiast usnął, a ona przyglądała mu się, zadziwiona obrotem, jaki przybrało nagle jej życie. Długo nie mogła zasnąć z obawy, że gdy się obudzi, wszystko to okaże się jedynie snem.

A gdy rano otworzyła oczy, rzeczywistość zmieniła się w koszmar.

Teraz znów patrzyła na tego śpiącego mężczyznę i walczyła z pokusą, by położyć się obok i przytulić do niego.

„No dalej – usłyszała w głowie głos Marthy. – Na co czekasz?”.

Lecz Sadie nie usłuchała. Odważyła się jedynie delikatnie musnąć jego potargane włosy.

– Kocham cię – wyszeptała.

To była szczerza prawda – mimo że Sadie wiedziała, że jej uczucie zapewne nigdy nie zostanie odwzajemnione.

Spence uśmiechnął się przez sen.

W łazience ich *bure* była zwykła wanna, w której Sadie mogłaby się wykąpać przez nikogo nie niepokojona. Lecz za przesuwanymi szklanymi drzwiami znajdowało się osłonięte bambusowymi ściankami patio, a w nim niewielki skalny wodospad.

Mogła się oprzeć pragnieniu, by położyć się na łóżku obok męża, ale widok tego naturalnego prysznica stanowił zbyt silną pokusę. Spojrzała na Spence'a. Spał kamiennym snem. Uznała więc, że może zaryzykować. Wzięła z łazienki ręcznik oraz różowy frotowy szlafrok, przeszła na palcach przez sypialnię i cicho odsunęła drzwi.

Spencer przewrócił się na drugi bok, lecz jego oddech wciąż był równy i spokojny.

Sadie omiotła wzrokiem łóżko i doszła do wniosku, że jest wystarczająco szerokie, by po wzięciu prysznica mogła ułożyć się po drugiej stronie i chwilę zdrzemnąć.

Wyszła na patio i zasunęła za sobą drzwi. Rozejrzała się niepewnie, zrzuciła kostium kąpielowy i wstąpiła do skalnej sadzawki pod prysznic wodospadu.

Poczuła się jak w siódmym niebie. Odchyliła głowę do tyłu. Ciepła woda łagodnie omywała jej ciało. Dziewczyna wzięła ze skalnej półki tubę ananasowego szamponu. Wycisnęła trochę na dłoń i wtarła we włosy, a potem spłukała je i przyglądała się, jak piana spływa na jej ramiona i piersi.

Znowu weszła pod prysznic, który zmył z niej pianę. Powiała lekka morska bryza, poruszając liśćmi pobliskich drzew. Z odległej plaży dochodziły rozbawione głosy. Steve, Cathy i Leonie dołączyli do Marion i Johna i teraz wszyscy zaśmiewali się wesoło. Jakże to dziwne, pomyślała Sadie. Mogę ich słyszeć tak wyraźnie, podczas gdy oni mnie nie widzą.

Ale czy aby na pewno nie widzą?

Wyciągnęła szyję, wyjrzała ponad ścianką patio i upewniła się, że jest ukryta przed ich wzrokiem.

Nikt jej nie widział. Nikt oprócz Spence'a.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Spencer śnił o tym, że rozbiera Sadie i pokrywa pocałunkami jej twarz. Był to wyrazisty, sugestywny sen. Kiedy rozpinął stanik dziewczyny, usłyszał trzask haftki.

Trzask haftki?

Poderwał głowę i otworzył oczy w momencie, gdy Sadie z cichym trzaśnięciem zasunęła drzwi do wewnętrznego patio ze skalnym prysznicem. Po chwili przez ich szklaną taflę ujrzał coś, co podnieciło go o wiele mocniej niż poprzednie senne marzenia i fantazje. Sadie Morrissey powiesiła na haczyku ręcznik i szlafrok, zerknęła szybko na drzwi, zrzuciła kostium kąpielowy i stanęła naga pod strumieniem wody.

Spencerowi zaschło w ustach. Wpatrywał się bez mrugnięcia w jej piękne brzoskwiniowe ciało.

Jego własne ciało, już wcześniej pobudzone przez erotyczne sny, natychmiast zareagowało na ten widok. Jęknął cicho i ze świstem wciągnął powietrze. Zacisnął powieki, a potem uchylił je nieco, mając mimo wszystko nadzieję, że uległ jedynie złudzeniu wywołanemu zmęczeniem podróżą, stresem i przepracowaniem.

Lecz dziewczyna wciąż tam była. Stała w płytkiej skalnej sadzawce, a jej mokra naga skóra lśniła w promieniach słońca.

Spencer pomyślał, że mógłby dołączyć do Sadie. Ostatecznie przecież ona jest jego legalną żoną. Mógłby wyskoczyć z łóżka, zrzucić ubranie, wejść pod prysznic i gładzić jej pokryte pianą ciało. Mógłby całować jej usta, szyję, piersi, pępek, a potem podążyć jeszcze niżej...

Zacisnął szczęki i odwrócił się na bok, a jego ciało krzyczało w niemym proteście, że odmawia mu się tego, czego tak bardzo pragnie.

Dlaczego nie miały tego zrobić – a nawet czegoś więcej?

Czy Sadie by go odepchnęła? Konieczność dzielenia z nim łóżka zbytnio jej nie zirytowała.

Czyżby w gruncie rzeczy chciała, aby się z nią kochał?

Przecież cię poślubiła, podszeptęło jego ciało. Tak, ale uczyniła to pod presją, odparował umysł.

Widziała, że jesteś zdesperowany i nie potrafiła odmówić. Wyszła za ciebie z litości!

Bo jaki inny mogłaby mieć powód? Znała jego rozbitą, patologiczną rodzinę, widziała, jak dorastał w biedzie jako młodociany przestępca i niewątpliwie uważała go za kiepskiego kandydata na męża.

Spencer doskonale zdawał sobie sprawę, że Sadie Morrissey zasługuje na

kogoś o wiele lepszego niż on.

Tak więc nie wolno mu oddawać się fantastycznym, nierealnym mrzonkom. Musi się skupić wyłącznie na kwestiach zawodowych.

Co oznacza, że teraz powinien natychmiast stąd wyjść!

Spencer dobrze znał słabość ludzkiej natury, a już szczególnie swej własnej – i wiedział, że wszystkie, nawet najtwardsze postanowienia mogą zawieść w obliczu zbyt silnej pokusy.

Sadie wyszła spod strumienia wody, wytarła się i owinęła w różowy płaszcz kąpielowy. Przeczesała palcami włosy, żeby nie wyglądać jak strach na wróble, odetchnęła głęboko i odsunęła drzwi możliwie jak najciszej, mając nadzieję, że Spence nie zajął całego łóżka.

Lecz jego tam nie było! Pokój zionął pustką.

Z mocno bijącym sercem pobiegła do łazienki, ale tam też nie znalazła Spencera. Wyszła na frontowy taras i nawet rzuciła okiem na plażę, która jednak już opustoszała. Słychać było tylko plusk fal omywających brzeg i cichy szelest palmowych liści, poruszanych lekką bryzą.

Spence się ulotnił.

Ale dokąd? I dlaczego?

Jego ubranie wisiało w szafie, brakowało tylko spodenek kąpielowych. Czy obudził się i postanowił pójść na plażę, żeby jej poszukać?

Ale przecież musiał zobaczyć ją pod prysznicem.

Nagą!

Sadie zaczerwieniła się, gdy to sobie uświadomiła. Niewątpliwie ją widział. Będąc pod prysznicem, nie można było niczego dostrzec przez szklane drzwi, gdyż odbijały się w nich promienie słońca – ale z sypialni całe patio było widoczne jak na dłoni!

Spencer nie mógł jej nie zauważyć.

Dziewczyna oblała się jeszcze gorętszym rumieńcem – lecz teraz już nie z zakłopotania, lecz z dojmującego poczucia upokorzenia.

A więc Spencer zobaczył ją nagą, po czym natychmiast odwrócił wzrok i uciekł od niej!

Zapagnęła umrzeć ze wstydu. Zrozpaczona zastanawiała się, jak zdoła przetrwać cały tydzień w jednym domu – wręcz w jednym łóżku! – z mężczyzną, który nie może znieść nawet jej widoku.

A ona roiała sobie, że ich małżeństwo mogłoby się przekształcić w prawdziwy związek! Śmiechu warte! Jak mogła być aż tak beznadziejnie głupia i naiwna?!

Późnym popołudniem rozległo się głośnie bicie bębnow, wzywające gości na kolację.

Sadie wiedziała, że musi pójść do sali jadalnej. To część jej zadania.

Przez ostatnie dwie godziny płakała gorzko, skulona w wiklinowym fotelu. Powtarzała sobie, że to głupie i bezsensowne, ale nie mogła powstrzymać łez.

Nie miała pojęcia, gdzie jest Spencer – gdzie się zaszył, uciekając przed widokiem jej nagości. Lecz była pewna, że wkrótce się zjawi, oczekując od niej odegrania roli kochającej żony. Tego właśnie spodziewał się po nich pan Isogawa.

Ogarnęła ją wściekłość. Otarła łzy i starannie nałożyła na twarz odrobinę makijażu. Oczy miała wciąż czerwone od płaczu, lecz zamierzała wytłumaczyć to wpływem słonej morskiej wody.

Wyjęła z szafy letnią sukienkę na ramiączka w jaskrawe pomarańczowe i czerwone wzory, którą Martha pożyczyła jej w przeddzień wyjazdu.

„Theo uważa ją za bardzo seksowną – oznajmiła i z uśmiechem uniosła znacząco brwi. – Może Spence też będzie tego zdania”.

Teraz Sadie włożyła ją i postanowiła, że spędzi ten tydzień możliwie najprzyjemniej. Do diabła ze Spencerem!

Gdy zjawiała się w jadalni, pan Isogawa wstał szybko od stolika, przy którym siedziała jego żona oraz małżeństwo Ten Eyków, i podszedł do Sadie. Zapropozował, aby do nich dołączyła, a potem zapytał:

– Dobrze się bawisz?

– Tak, dziękuję. *Arigato* – powtórzyła po japońsku. – Cudownie spędziłam czas. Zdażyłam już popływać w morzu, a nasze *bure* na drzewie jest wspaniałe. Skalny prysznic to fantastyczny pomysł.

Widocznie zabrzmiała przekonująco, gdyż Isogawa uśmiechnął się promiennie i spytał:

– A Spencer też się dobrze bawił? Gdzie on się podziewa?

– Zasnął – oznajmiła Sadie szczerze. – W samolocie przez cały czas pracował, więc teraz zmorzył go sen. Poszłam na plażę bez niego. Kiedy się obudził, zapewne postanowił zwiedzić wyspę na własną rękę.

Była to prawda – choć może niecała. Pan Isogawa kiwnął głową.

– Ciekaw jestem, czy mu się spodobała.

Dowiedzieli się tego po kilku minutach, gdy Spence się zjawił. Okazało się, że odkrył ścieżkę biegnącą wśród zarośli na szczyt wzgórza, skąd rozciąga się zachwycający widok na niemal całą wyspę.

– Niesamowite. Wprost zapiera dech w piersi – opowiadał z ożywieniem.

Wyglądał piekielnie przystojnie w spodniach khaki i błękitnej koszulce polo o odcieniu jego oczu. Był wypoczęty, spokojny i zrelaksowany.

Sadie poczuła, że go nienawidzi, lecz mimo to postanowiła odegrać jak najlepiej swoją rolę, toteż spytała sztucznie wesołym tonem:

– A więc miło spędziłeś czas?

– Tak – przyświadczył z zapalem. – Wybacz, że nie poszedłem z tobą popływać, ale byłem bardzo zmęczony i zdrzemnąłem się, a gdy się obudziłem

i zszedłem na plażę, aby do ciebie dołączyć, już cię tam nie znalazłem.

Owszem, gdyż stałam naga pod prysznicem. Mogłeś tam do mnie dołączyć – pomyślała Sadie, lecz oczywiście nie powiedziała tego głośno. Posłała mu tylko uśmiech, mając nadzieję, że wypadł naturalnie.

– Jutro zabiorę cię na to wzgórze – oświadczył Spence. – Jestem pewien, że ci się spodoba.

Otoczył ją ramieniem. Sadie zeszywniała, oburzona jego udawaną czułością. Miała ogromną ochotę go kopnąć, ale wiedziała, że ich kłótnia nie tylko udaremniłaby podpisanie umowy z panem Isogawą, lecz także wprowadziłaby w zakłopotanie wszystkich obecnych. Toteż ponownie się uśmiechnęła i ucałowała Spence'a w policzek.

Mężczyzna drgnął, zaskoczony. Po chwili w jego oczach błysnęła przekora. Nieoczekiwanie pochylił się nad Sadie i z uśmiechem pocałował ją w usta.

Spiorunowała go wściekłym wzrokiem, lecz po chwili spostrzegła, że żona Richarda Carstairsa przygląda się im uważnie i pojęła, że ten pocałunek Spencera miał być po prostu sygnałem dla Leonie, by trzymała się od niego z daleka.

– Chodźmy, pora na kolację – rzekł Isogawa. Ujął żonę pod ramię i poprowadził ją do jadalni, a Spencer uczynił to samo z Sadie.

Znacznie później, po wspaniałej kolacji – która upłynęła na uprzejmych rozmowach i nawiązywaniu bliższych, mniej oficjalnych kontaktów – Spence otworzył drzwi ich *bure* i rzekł żywo:

– No, wszystko poszło dobrze.

– Tak sądzisz? – rzuciła ironicznie Sadie, wciąż zaszokowana naturalnością, z jaką przychodziło mu uprawianie hipokryzji.

Gdy weszła do środka, odniosła wrażenie, że ich jeszcze niedawno tak wielkie łóżko skurczyło się do rozmiaru znaczka pocztowego. A zapadła już noc i nie można było wyjść z sypialni pod pretekstem kąpieli morskiej czy spaceru.

– A ty nie? – spytał Spence. – Wszyscy dobrze się bawili, kurort jest cudowny, jedzenie wyśmienite, a Leonie zostawiła mnie w spokoju. Isogawa to miły gość i najwyraźniej uważa cię za uroczą. Ja zresztą też – dodał wesoło.

– Dlaczego? Bo odstraszyłam Leonie? Bo twój wspaniały plan się powiódł? Rzeczywiście, wszystko idzie wręcz świetnie! – rzuciła z furją.

Spencer zmarszczył brwi.

– Co ci się stało? Dlaczego tak się wściekasz?

– Wcale się nie wściekam – rzekła, wzruszając ramionami.

– Przecież widzę. Chodzi ci o dzisiejsze popołudnie, tak?

– Co masz na myśli?

– Do cholery, chyba widzisz, że staram się, jak mogę – warknął. – Dobrze, w porządku, przepraszam. Ale nie jestem ślepy, Sadie. Skoro nie zaciągnęłaś zasłon, nic nie mogłem na to poradzić, że cię zobaczyłem. Lecz przecież

natychmiast wyszedłem, prawda?

Sadie ze zdumienia otworzyła usta. A więc on sądzi, iż jest wściekła dlatego, że ujrzał ją naga, a nie dlatego, że zaraz potem uciekł ze wstrętem. W osłupieniu potrząsnęła głową, usiłując się w tym wszystkim połapać, i w końcu zapytała głupio:

– To z tego powodu wyszedłeś?

– A co, chciałaś, żebym się na ciebie gapił? – rzucił kpiąco.

– Oczywiście, że nie. Wróciłam z plaży i nie potrafiłam się oprzeć pokusie, by wziąć ten naturalny prysznic. A ty przecież spałeś! Bądź pewien, że nie próbowałam cię uwieść!

– Zauważyłem – rzekł bezbarwnym tonem. – Ale wyglądałaś tak ponętnie... Wiedziałem, że nie zdołam nad sobą zapanować, więc wyszedłem.

– Ponętnie? – powtórzyła. – Uważasz, że jestem...? – urwała i wlepiła w niego zdumiony wzrok.

– Jesteś pociągająca jak diabli, Sadie Morrissey – rzucił Spence. – Wyglądałaś cudownie pod prysznicem, a ja niewątpliwie nie zadowolilibym się jedynie patrzeniem na ciebie. Zapragnąłbym czegoś więcej – a tego nie było w naszej umowie. Dlatego wyszedłem z pokoju. Nic lepszego nie mogłem wówczas zrobić.

– Naprawdę nic? – wyrwało się Sadie.

Ich spojrzenia się spotkały i przepłynął pomiędzy nimi elektryczny prąd. Dziewczynę zalała fala frustracji i nieodpartego, dojmującego pożądania – ale nie miała pojęcia, czy Spence czuje to samo.

Zacisnął zęby.

– Nie kuś mnie, Sadie. Małe dziewczynki bawiące się zapałkami mogą się poparzyć.

Miała wrażenie, że uwolniła się nagle od wszystkich lęków i zahamowań. Serce jej waliło.

– Czy to obietnica? – spytała prowokująco.

– Przestań! – rzucił ostro Spence. – Chodźmy spać. Przecież już cię przeprosiłem za to, że mamy tu tylko jedno łóżko!

– Mnie to nie przeszkadza – oświadczyła śmiało.

Zignorował jej słowa.

– Pójdę się przejść po plaży, a ty w tym czasie się przebierz. Gdy skończysz, mignij światłem.

Powiedziawszy to, otworzył drzwi i wyszedł w mrok.

Stał na dworze, wpatrując się w nocne niebo i powtarzając sobie, że wszystko pójdzie gładko.

Oboje z Sadie przetrwali ten pierwszy wieczór i dobrze odegrali swoje role. Owszem, zdarzyło się kilka trudnych momentów, ale jakoś sobie poradził.

Przeprósł ją za to, co się stało po południu – choć nie było w tym jego winy – a potem wyszedł, zanim mogłaby błędnie zinterpretować jego słowa.

Miał nadzieję, że gdy wróci do sypialni, dziewczyna będzie już spała. Dzień był wyczerpujący, a ona od dawna nie miała chwili odpoczynku.

Modlił się w duchu, żeby Sadie istotnie była zmęczona. On sam odczuwał znużenie, gdyż przed kolacją celowo przeszedł kilkanaście kilometrów. Wątpił, by na wyspie pozostały jakieś szlaki, których jeszcze nie przemierzył. Wiedział, że jedynie doprowadziwszy się do krańcowego zmęczenia, będzie mógł zasnąć, leżąc obok Sadie Morrissey.

Tak więc z pewnością zdoła nad sobą zapanować.

Przecież nie jest już napalonym nastolatkiem!

Światło w oknie ich *bure* zamigotało i nagle pewność go opuściła.

Uspokój się, rzekł do siebie stanowczo. Wszystko będzie dobrze. Daj jej jeszcze pięć minut, a usnie jak dziecko.

Czekał, usiłując nie myśleć o nagiej Sadie, leżącej pod kołdrą w ich wspólnym łóżku. W końcu wszedł po schodkach i otworzył drzwi.

Sadie wcale nie leżała pod kołdrą! Siedziała na łóżku w cienkiej i kusej nocnej koszulce. Na jego widok uśmiechnęła się i przeciągnęła leniwie.

– Powiedziałem ci, żebyś poszła spać – rzucił z furią Spencer. – Co ty wyprawiasz?

– Ja coś wyprawiam? – powtórzyła niewinnie.

Nie dał się na to nabrać.

– Próbujesz mnie kusić – powiedział oburzony.

– I co, udało się? – spytała z lekkim uśmiechem.

– Do diabła, Sadie! Naprawdę o to ci chodzi?! – zawołał.

Zawahała się przez chwilę, a potem spytała z szelmowskim uśmiechem:

– A jak myślisz?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wydało mu się, że się przestyszał. Lecz po chwili objął ją mocno, przygarnął do siebie i przywarł spragnionymi wargami do jej ust.

Pocałował ją, a ona odwzajemniła pocałunek. Odniosła wrażenie, że po długiej podróży powróciła wreszcie do domu. Czuła się jak tamtej nocy przed czterema laty – a zarazem zupełnie inaczej. Wtedy całowali się niecierpliwie, gorączkowo i niepewnie. Teraz wszystko było tak, jak w jej najskrytszych marzeniach. Spence, całując ją, powierzał jej całego siebie. Mówił bez słów, że należy tylko do niej.

Ona duszą należała oczywiście do niego, odkąd sięgała pamięcią. Jednak aż do tej chwili obawiała się, że oddaje się bez reszty mężczyźnie, który z wyjątkiem jednej krótkiej nocy – oczekuje od niej jedynie zwykłej przyjaźni oraz ciężkiej biurowej pracy.

Ale teraz z jego pocałunku i lekkiego drżenia rąk poznała, że jej obawy były płonne. Pojęła, że Spence pragnie jej równie mocno, jak ona jego.

– Sadie – szepnął.

Jego dłonie dotykały jej i pieściły, przyprowadzając o rozkoszne drzenie.

Zamruczała cicho, ściągnęła mu koszulę przez głowę i pogładziła jego szerokie, muskularne plecy. Lecz była niecierpliwa i chciała więcej. Sięgnęła do klamry jego paska, ale to też trwało zbyt długo.

– Brak mi doświadczenia – wymamrotała.

Spence pomógł jej rozpiąć pasek. Szybko zrzucił spodnie i resztę ubrania i ukazał się Sadie w swej wspaniałej nagości.

Przywarła ustami do jego twarzy, a potem szyi, ramion i piersi. Oddychał teraz szybko i płytko. Przez jego rozpaloną skórę wyczuwała dłonią serce bijące w szaleńczym rytmie.

– Sadie, umieram... – jęknął.

Cofnęła się, przestraszona.

– Nie bój się. Umieram z miłości do ciebie – zaśmiał się.

Nie wierzyła mu ani na jotę, ale jednocześnie uwielbiała go za te słowa.

– Naprawdę? – spytała.

– A jak myślisz? – rzekł, kładąc się obok niej.

– Och – westchnęła z uśmiechem.

Całował jej usta i policzki, a potem ściągnął z niej nocną koszulkę i odrzucił na bok. Lecz Sadie nie chciała tylko biernie czekać. Z żarem oddała pocałunek i także zaczęła go pieścić.

– To naprawdę jesteś ty, Sadie.

Znów zaczął ją całować, a jego dłonie docierały wszędzie, poznając i ucząc

się jej kusząco pełnych kształtów i sekretnych zakamarków ciała. Sadie jęczała cicho i wiła się pod jego dotykiem, lecz sama również pieściła go namiętnie. Przed czterema laty była tak zaskoczona i oszołomiona nagłym obrotem wydarzeń i niespodziewanym ślubem, że podczas ich miłosnej nocy jedynie oddała się Spence'owi. Teraz pragnęła czegoś więcej i była o wiele bardziej aktywna. Dotykała go, głaskała, całowała i gryzła.

Spencer oddychał coraz szybciej, a serce waliło mu mocno.

– Sadie, poczekaj... – rzucił.

– Nie! Pragnę ciebie...

– Ja... też... cię pragnę... – wydyszał. – Ale muszę... – nie dokończył i zerwał się z łóżka.

– Co takiego? – spytała i spojrzała na niego oszołomiona.

Po chwili znalazł w walizce to, czego szukał. Ochrona. Sadie chciała mu powiedzieć, że jej nie potrzebują – że z radością zaszłaby z nim w ciążę w tym cudownym rajskim miejscu. Lecz on był już gotowy. Położył się na niej i rozsunął jej nogi, wnikając do tajemnego centrum jej kobiecości.

A Sadie przyjęła go w siebie.

Tak długo na to czekała. Czasami traciła już nadzieję, że kiedykolwiek jeszcze przeżyje takie zaspokojenie i spełnienie, jak przed czterema laty. W istocie nieraz myślała, że tamta noc tylko jej się przyśniła. Lecz teraz doświadczała ponownie owych uczuć i rozpoznawała je. A potem zniknęło wszystko oprócz oślepiającej kulminacji namiętności, gdy w końcu oboje stopili się w jedno.

Spencer wiedział, że jest jej winien jeszcze więcej, ale w tej chwili czuł się tak osłabły i wyczerpany, że ledwie mógł się poruszyć.

Sadie również leżała nieruchomo, choć serce waliło mocno w jej piersi.

– To było... cudowne – jęknęła bez tchu, objęła go za szyję i mocno pocałowała w usta.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– A więc uważasz to za dobre? – rzucił. – Pokażę ci, co znaczy naprawdę dobre.

– Teraz?

– Za kilka minut. Co ty na to?

– Sądzę, że za kilka minut zdołam to jakoś znieść – odrzekła żartobliwie po krótkim namyśle.

– To świetnie – powiedział, zanurzył palce w jej włosach i pocałował ją w czoło.

Wciąż ledwo mógł uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Lękał się, że za chwilę się obudzi i stwierdzi, że to tylko sen.

Lecz to nie był sen! Noc mijała, a oni kochali się bez końca. Spence postanowił pokazać Sadie wszystkie erotyczne pozycje, jakie potrafił wymyślić.

O świcie czuł się kompletnie wyczerpany. Ale nie dbał o to.

Spóźnili się na śniadanie i weszli do jadalni, gdy reszta gości skończyła już jeść i siedziała nad filiżankami kawy lub herbaty. Oboje byli zapatrzeni w siebie i promienieli ze szczęścia. Spędzili ze sobą najcudowniejszą – choć bezsenną – noc, a o świcie poszli popływać w morzu.

To był pomysł Spencera.

– Chcesz teraz pływać? – spytała Sadie, wpatrując się w niego z niedowierzaniem. – Jestem tak słaba i wyczerpana, że na pewno utonę.

– Chodź – powiedział, chwycił ją za rękę i wyciągnął z łóżka. – Zobaczysz, że będzie cudownie.

I rzeczywiście było. W porównaniu z rześkim porannym powietrzem woda wydawała się niemal ciepła. Baraszkowali w niej, całowali się ... i kochali. Potem leżeli na wodzie i patrzyli, jak słońce wstaje znad oceanu. Sadie opierała się plecami o pierś Spence'a, a on obejmował ją mocno.

Gdy niebo zmieniło barwę z granatowej na oszałamiającą mieszaninę fioletów, czerwieni i oranżów, po czym stało się bladożółte, a w końcu jaskrawobłękitne – wrócili z plaży do swego *bure* na drzewie i wzięli razem prysznic pod wodospadem, gdzie Spencer widział Sadie poprzedniego dnia.

Dziewczyna nie mogła wprost uwierzyć, że to było zaledwie kilkanaście godzin temu – że od tego czasu jej życie aż tak bardzo się zmieniło. Chociaż bolały ją wszystkie mięśnie, upajała się swym szczęściem i nie potrafiła powstrzymać głupiego radosnego uśmiechu. Spencer, mimo że nieogolony i z oczami przekrwionymi ze zmęczenia i niewyspania, wyglądał na równie zachwyconego, gdy oboje wkroczyli objęci do jadalni.

Sadie była przekonana, że każdemu wystarczy rzucić na nich okiem, by domyślić się, co robili w nocy. Gdy pan Isogawa zapytał uprzejmie, czy dobrze spali, odpowiedziała z uszczęśliwionym uśmiechem:

– Spędziliśmy wspaniałą noc.

– Jestem tego pewna – rzekła z zazdrością Leonie.

Richard puścił mimo uszu tę uwagę, ale Marion odezwała się dyplomatycznie:

– Tu istotnie jest zachwycająco. Łagodny klimat, spokój... i te cudowne fale.

Czyżby widziała nas na plaży? – zastanowiła się Sadie, oblewając się rumieńcem.

Cathy zaprowadziła ich do stolika.

– Siadajcie i zjedzcie śniadanie. Jest wspaniałe, świeże owoce, jajka, francuskie grzanki i co tylko jeszcze zapragniecie. Strasznie się objedliśmy. Podczas gdy mężczyźni będą omawiać sprawy zawodowe, Marion i ja zamierzamy wybrać się na spacer. Pójdziecie z nami? – spytała, spoglądając na Sadie i Leonie.

– Ja nie – rzuciła pośpiesznie Leonie. – Jale robi mi masaż – dodała

z dwuznacznym uśmiechem.

Jale był tym imponująco zbudowanym młodzieńcem, który poprzedniego dnia zaprowadził ich do *bure* – i najwidoczniej potrafił nie tylko dźwigać bagaże.

Sadie zerknęła na Richarda, aby się przekonać, jak na to zareaguje. Lecz on chyba w ogóle nie usłyszał Leonie. Był pogrążony w rozmowie z Johnem i nie zwracał uwagi na żonę.

– Bardzo bym chciała – powiedziała Sadie – ale nie jestem tu wyłącznie w podróży poślubnej. Mam również do wypełnienia obowiązki i muszę uczestniczyć w zebraniach.

Wprawdzie Spencer nie wymagał tego od niej, ale pragnęła patrzeć na niego przez cały dzień – także podczas pracy.

W nocy nie mieli zbyt wiele czasu na rozmowy, lecz odważyła się powiedzieć mu, że go kocha. Spence przygarnął ją do siebie i pocałował namiętnie, potem zajrzał jej głęboko w oczy i odpowiedział:

– Ja też cię kocham.

Zamrugła zaskoczona, a po chwili zalała ją fala radości. Spencer Tyack był powściągliwym człowiekiem, który dzięki swemu urokowi łatwo pozyskiwał sobie ludzi. Toteż miał wielu przyjaciół, lecz dotąd żadnej kobiety nie obdarzył miłością.

A jednak powiedział, że ją kocha. Była pewna, że później w sypialni ponownie jej tego dowiedzie. Póki co, sporządzając notatki, będzie mogła mu się przyglądać i obmyślać, co zrobią, kiedy wreszcie znajdą się sami.

Myśl o tym ponownie sprowadziła na jej twarz błogi uśmiech.

– Ach, ci nowożeńcy! – rzuciła ze śmiechem Marion. – Przestań śnić na jawie i zamów śniadanie.

Sadie znowu się zarumieniła. Usiadła pośpiesznie i zajrzała do bogatego menu. Poczwała nagle, że dosłownie umiera z głodu. W nocy straciła mnóstwo sił i teraz zjadłaby nawet konia z kopytami.

Ostatecznie jednak zdecydowała się tylko na szklankę soku owocowego, maślaną bułeczkę, omlet i filiżankę herbaty, nie chcąc, aby reszta towarzystwa wzięła ją za żarłoka. Postanowiła zachowywać się z godnością i umiarem – pod warunkiem, że w łóżku będzie mogła być wyuzdaną wszeteczną!

Nie potrafiła się powstrzymać i cicho zachichotała.

Cathy i Marion westchnęły z uśmiechem i pobłażliwie pokiwały głowami. Natomiast Leonie rzuciła mordercze spojrzenie Richardowi, który nadal nie zwracał na nią uwagi.

Sadie współczuła jej szczerze i żałowała, iż nie może jakoś pomóc – zwłaszcza że to właśnie próbie uwiedzenia Spencera przez Leonie zawdzięczała swe obecne szczęście.

– Ach, widzę, że jesteś dziś rano bardzo radosna – powiedziała pani Isogawa, przystając przy jej stoliku. – To bardzo szczęśliwe miejsce. Tutaj poznałam mojego

męża.

– Naprawdę?

– Tak – potwierdził z szerokim uśmiechem pan Isogawa, podchodząc do żony. – Spędzała na wyspie urlop z kilkoma przyjaciółkami, a ja zajmowałem się projektowaniem pawilonów tego kurortu. Nie mogłem oderwać od niej oczu i nie spocząłem, póki nas sobie nie przedstawiono, a wkrótce potem wzięliśmy ślub.

Oczarowana Sadie pomyślała, że to istotnie magiczne miejsce.

– Co roku przyjeżdżają tu nasi synowie, córki i wnuki – ciągnął pan Isogawa.
– Może w przyszłości wy również przywieziecie tu swoje dzieci.

Sadie rozmarzyła się o tym. Spojrzała na Spence'a, lecz on przysłuchiwał się wywodowi Steve'a Walkera.

– Nie musisz dzisiaj brać udziału w naszym zebraniu – rzekł do niej Isogawa. – Wykorzystaj pobyt na wyspie i wypoczywaj, a moja asystentka przekaże ci swoje notatki.

– Uczestniczenie w zebraniu sprawi mi przyjemność – odparła Sadie. – Zresztą to należy do moich obowiązków. Poza tym nieczęsto mam okazję oglądać Spence'a podczas pracy nad finalizowaniem umowy.

Isogawa skinął głową.

– Doskonale. W takim razie spotkamy się za godzinę.

Sadie kończyła śniadanie, przypatrując się Spencerowi. Siedział pogrążony w rozmowie z Richardem i Steve'em, lecz od czasu do czasu podnosił wzrok i spoglądał na nią z uśmiechem.

Wspominała ich ostatnią noc i rozmyślała o wszystkich przyszłych nocach, a jej serce wypełniała radość.

Richard, John i Steve dopadli Spencera, gdy tylko wszedł wraz z Sadie do jadalni, gdyż pragnęli natychmiast przedyskutować szereg spraw dotyczących Nanumi.

Nanumi. Sadie powiedziała, że to słowo znaczy „przypominać sobie”. I istotnie, Spence kładąc ją na łóżku i biorąc w ramiona, miał wrażenie, że wrócił do miejsca, w którym już wcześniej był. Wszystkie kalejdoskopowe wspomnienia – dźwięki, kształty, doznania, emocje – które wbrew sobie wyparł z pamięci, powróciły nagle z dawną siłą. A kiedy tej nocy kochał się z Sadie, poczuł, jakby ponownie zbierał porozrzucane fragmenty układanki, stanowiącej już niegdyś całość. W uszach rozbrzmiewały mu echem słyszane w przeszłości słowa i znów doznawał znajomych uczuć.

Przeżywał coś nowego i świeżego, a zarazem dziwnie mu bliskiego.

Kochając się z Sadie, rozpoznał uczucie, którego doświadczył jedynie podczas ich nocy przed czterema laty – niezaznane ani wcześniej, ani później. Utracił je, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, a teraz odnalazł ponownie w ramionach Sadie. Uczucie, że jest akceptowany i kochany – jakby po wielu

latach daremnych poszukiwań znalazł w końcu swój prawdziwy dom.

Ta myśl wciąż jeszcze go oszałamiała, gdy zbyt długo ją rozważał. To było niczym wpatrywanie się w słońce – przeżycie olśniewające, ale niemożliwe.

A jednak...

Sadie go kocha. Powiedziała mu to namiętnie i żarliwie.

On kocha ją równie mocno. Wyznał jej to nawet ku własnemu zaskoczeniu. Nigdy dotąd nie wypowiedział tych słów do nikogo, a jednak wobec Sadie same mu się nasunęły.

Uświadomił sobie, że w istocie darzył ją miłością od bardzo dawna – i to również go zaskoczyło.

Oczywiście wiedział, że zawsze lubił Sadie, podziwiał jej determinację, inteligencję i uzdolnienia. Niewątpliwie doceniał też pomoc, jaką mu okazała, kiedy budował podwaliny swojej firmy. Świetnie im się wówczas razem pracowało i dlatego, kiedy skończyła studia w Kalifornii, zrobił wszystko, aby ściągnąć ją z powrotem do swego biura.

Wszystko to była prawda... ale nie cała prawda. Spence pojął teraz, że przez lata czuł do Sadie Morrissey więcej, niż był skłonny przyznać. Pierwszych impulsów erotycznego pożądania doświadczył już wówczas, gdy jako licealistka zaczęła zmieniać się z podlotka w uroczą, pociągającą kobietę. Kobietę, która niewątpliwie zasługiwała na kogoś o wiele lepszego niż on. Ta świadomość trzymała na wodzy jego uczucia – aż do owej bolesnej, wstrząsającej chwili, gdy Emily go porzuciła i owe uczucia wzięły w nim górę.

Wtedy odważył się uczynić to, czego w głębi serca od dawna pragnął. Poprosił Sadie, by za niego wyszła.

I poślubił ją – a następnego dnia wszystko zniszczył. Lecz szczęśliwym trafem zyskał obecnie drugą szansę i już jej nie zmarnuje.

Był w siódmym niebie. Ostatniej nocy Sadie sprawiła, że doświadczył pełni, poczuł się żywy i kochany.

Miłość... Dotychczas nigdy jeszcze jej nie zaznał. Widział, jak inni darzą się nawzajem miłością, lecz sam nie kochał ani nie był kochany.

Ale to już przeszłość. Sadie go kocha – dowiodła mu tego tej nocy. Spence się uśmiechnął. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak szczęśliwy. Nadal był tym samym Spencerem Tyackiem, urodzonym w biednej dzielnicy, który przez wiele lat rozpaczliwie usiłował wydzwignąć się ze swego żalosego położenia i do czegoś dojść. Lecz w rzeczywistości miał wrażenie, że się na nowo narodził. Nic, co dotąd uzyskał czy osiągnął, nie wytrzymywało porównania z darem miłości, jaki ofiarowała mu Sadie.

– ...usłyszałeś choćby słowo z tego, co powiedziałem?

Szorstki głos Richarda Carstairsa przebił się przez rozkoszną niebiańską mgiełkę, spowijającą umysł Spencera, zmuszając go do zajęcia się przez chwilę

bardziej przyziemnymi sprawami.

– Co? Tak, oczywiście, że cię słucham – odparł. Lecz w istocie nie potrafił się skoncentrować na niczym oprócz Sadie. Zjadła już śniadanie, ale gdzie się podziała?

Szukał jej wzrokiem, dopóki nie dostrzegł, że stoi na tarasie. Bryza muskała jej włosy, a poranne słońce łagodnie oświetlało twarz.

– ...lecz również zbudować kilka stajni – powiedział Richard. – Co o tym sądzisz?

– Uhm – mruknął.

– Daj człowiekowi zjeść śniadanie – wtrącił Steve. – Porozmawiacie później.

Richard burknął coś niechętnie, ale odłożył dokumenty, rozejrzał się z roztargnieniem i spytał:

– Gdzie jest Leonie?

– Nie wiem – odparł Spence. W gruncie rzeczy nic go to nie obchodziło, ale ponieważ przepelniało go szczęście, poradził życzliwie: – Powinieneś ją odszukać i zobaczyć, czy się dobrze bawi, i pójść z nią popływać.

– Popływać? – powtórzył zdumiony Richard.

– Właśnie po to Isogawa nas tutaj zaprosił – powiedział Spencer z gorliwością neofity. – Żebyśmy przypomnieli sobie, co jest naprawdę ważne, i ponownie nawiązali więzi z naszymi rodzinami.

Richard potrząsnął głową.

– Leonie jest moją żoną, a nie rodziną.

Spence nie widział różnicy, lecz nie czuł się w tej kwestii ekspertem.

– To tylko rada – rzekł łagodnym tonem. Richard mruknął coś i znów wsadził nos w papiery.

Sadie spędziła cztery godziny na sporządzaniu notatek – i przyglądaniu się Spencerowi. Gdyby potrzebowała więcej powodów, by go pokochać, znalazłaby je tego popołudnia.

Zazwyczaj widywała go jedynie w biurze w Butte, kiedy pracowali we dwoje. Lecz dziś zobaczyła, jak współpracuje z innymi ludźmi, wysłuchuje ich pomysłów, uściśla je i dokonuje trafnych syntez. Z grupy przemysłowców o rozmaitych poglądach i odmiennych oczekiwaniach uczynił sprawnie działający zespół.

Oczywiście nie podpisano jeszcze umowy. Jednak Spencer nawiązał bliską więź z panem Isogawą. Obydwaj mężczyźni darzyli się szczerą przyjaźnią i prawdziwym szacunkiem. Również jego dobre stosunki z pozostałymi inwestorami rzucały się w oczy. Gdy w trakcie spotkania Richard Carstairs zanadto odbiegł od tematu, Spence umiejętnie i taktownie sprowadził go ponownie na główne tory. A gdy John Ten Eyk zaczął zbytnio grzęznąć w szczegółach, Spencer przedstawił mu ponownie ogólny obraz sytuacji. Potrafił dobierać właściwe słowa

i odpowiednio postępować z ludźmi. Dawał im poczucie pewności i pomagał skupić się na wspólnym programie.

– Byłeś nadzwyczajny – powiedziała mu Sadie po zakończeniu zebrania.

– Nie jesteś bezstronna – odparł z chłopięcym uśmiechem.

– Co nie znaczy, że się mylę – rzekła, a ponieważ ośmielała się już okazywać swoje uczucia, wspięła się na palce i pocałowała go gorąco.

Spence objął ją i zwrócił się do pozostałych mężczyzn:

– Wybaczcie nam, panowie, ale musimy z żoną przedyskutować kilka kwestii.

„Dyskutowali” przez resztę popołudnia – w łóżku i pod skalnym prysznicem. Wreszcie Spence zostawił ją, aby wraz z Richardem i panem Isogawą obejrzeć miejsce pod planowane stajnie.

Gdy całował Sadie na pożegnanie, zapytał:

– Masz ochotę wieczorem popływać?

– Popływać? – powtórzyła z uśmiechem.

– Wraz ze wszystkim, co się z tym wiąże.

– Naturalnie – odparła.

Gdy została sama, wzięła znowu prysznic, a potem ubrała się i poszła na spacer po plaży.

Przy leżakach stała Leonie i rozmawiała z Jale'em, uśmiechając się i zalotnie trzepocząc rękami. Kiedy ujrzała Sadie, odprawiła go gestem dłoni. Młodzieniec oddalił się pośpiesznie z wyraźną ulgą.

– Umówiłam się na następny masaż – wyjaśniła. – Ten chłopak jest świetny. Nie chcesz spróbować?

Sadie nie była pewna, w czym Jale jest taki świetny, lecz odparła stanowczo:

– Nie, dziękuję.

Leonie usiadła na kocu i wyciągnęła nogi.

– Przypuszczam, że nie masz ochoty, by dotykał cię ktokolwiek oprócz Spence'a. On niewątpliwie szaleje za tobą.

– Ja za nim też – odrzekła z prostotą Sadie. – A jak ty się bawisz? Wiem, jak bardzo chciałaś tu przyjechać i... – urwała zakłopotana.

– Czy Spencer opowiedział ci o tym, co zaszło w Barcelonie? – spytała Leonie, czerwieniąc się.

Obydwie kobiety spojrzały sobie w oczy.

– Owszem – odparła Sadie.

– Tak przypuszczałam. – Leonie parsknęła gorzkim śmiechem. – Kiedy wczoraj oznajmił o waszym ślubie, pomyślałam, że udaje, aby mnie odsunąć i zapobiec zerwaniu pertraktacji handlowych przez Richarda.

– Spence i ja jesteśmy ze sobą już od dawna, tylko się z tym nie afiszowaliśmy.

– Rozumiem. Masz szczęście. Zazdroszczę ci przede wszystkim tego, że on zwraca na Ciebie uwagę.

Sądząc z tego, co widziała, Carstairs ledwo zdawał sobie sprawę, że żona przyjechała razem z nim.

– Czy dlatego... eee... poszłaś do Spence'a... wtedy w Barcelonie? – spytała. – I dlatego potrzebujesz masażu Jale'a?

Leonie ponuro skinęła głową.

– Wciąż mam nadzieję, że Richard się ocknie.

– Chcesz to osiągnąć, wzbudzając w nim zazdrość?

– Czemu nie? Chcę, żeby mnie zauważył... przypomniał sobie, że jestem jego żoną. Co innego mogę zrobić?

– Może po prostu powiedz mu o tym – podsunęła nieśmiało Sadie.

– Mam mu powiedzieć, że chcę mieć dziecko?

– Dziecko? – powtórzyła zdumiona Sadie.

– Tak. Richard już ma dorosłe dzieci z pierwszego małżeństwa. Ale ja chcę mieć z nim dziecko i stworzyć rodzinę. Rozumiesz mnie?

– Tak, oczywiście.

Sadie marzyła o urodzeniu dzieci Spence'owi, odkąd tylko się dowiedziała, skąd się biorą. Wybrała już nawet dla nich imiona.

– Nie rozmawiałam o tym z Richardem, ponieważ on niemal nie dostrzeże, że ja w ogóle istnieję – mówiła dalej Leonie. – Wiesz, to bardzo dziwne... Zanim się pobraliśmy, nie widział świata poza mną. Ale kiedy włożył mi na palec pierścionek, natychmiast rzucił się z powrotem w wir pracy. Poślubienie mnie było dla niego jak podpisanie umowy. Ekscytowało go dążenie do celu, a kiedy już go osiągnął, stracił zainteresowanie.

– Może powinnaś spróbować mu opowiedzieć o swoich odczuciach?

– Chyba po prostu miałam nadzieję, że on sam to sobie uświadomi.

– Odczyta twoje myśli? – spytała z uśmiechem Sadie.

Leonie wzruszyła ramionami.

– Coś w tym rodzaju.

– To się nigdy nie zdarza – rzekła z przekonaniem Sadie. – Uwierz mi, mówię z własnego doświadczenia. Musisz mu o tym powiedzieć.

Leonie westchnęła, przechyliła głowę na bok i spojrzała na Sadie.

– Masz szczęście – mruknęła.

Sadie pomyślała o czterech latach spędzonych w czyścicu daremnego oczekiwania i o ostatniej nocy w ramionach Spence'a. Zanurzyła palce stóp w ciepłym piasku, poczuła na twarzy pocałunek słońca i z uśmiechem skinęła głową.

– Tak, wiem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Dziś po południu rozmawiałam z Leonie – oznajmiła Sadie.

Leżała w łóżku na boku i całowała nagi tors Spence'a.

– Uhm – mruknął; zeszywniał i głęboko wciągnął powietrze, gdy musnęła językiem jego pępek, a potem przesunęła usta niżej.

– Jesteś bardzo spięty – zauważyła.

– Nie, tylko wyczerpany.

– Ale widzę, że mimo to masz ochotę – rzekła z uśmiechem, wciąż dotykając go i pieszcząc.

Wrócili do siebie po wspaniałej kolacji, złożonej z soczystej wieprzowiny oraz miejscowych warzyw pieczonych w *lovo*, czyli fidżyjskim ziemnym piecu. Podczas gdy reszta towarzystwa przyjęła zaproszenie pana Isogawy na drinka i udała się do baru, Spencer wymówił się koniecznością przejrzenia z Sadie kilku ważnych dokumentów.

Lecz przez resztę wieczoru oboje nie widzieli żadnych dokumentów. Kochali się na przemian gorąco i namiętnie, to znów leniwie i swawolnie. Było w tym wszystko, o czym Sadie zawsze marzyła – wzajemna bliskość, zaufanie i intymność.

A upajając się miłością, przypomniała sobie smutną twarz Leonie.

– Miałeś rację – powiedziała pomiędzy pocałunkami. – Leonie rzeczywiście próbowała cię uwieść. Uważa, że jesteś fantastyczny, ale bardziej chodziło jej o Richarda. Próbowała wzbudzić jego zazdrość. Kiedy się poznali, za wszelką cenę usiłował ją zdobyć, lecz najwyraźniej traktował to jako rodzaj polowania. Kiedy po ślubie osiągnął swój cel, przestał zwracać na nią uwagę.

Spence zanurzył palce w jej włosach.

– I dzięki Bogu – rzekł. – W przeciwnym razie być może nie podpisalibyśmy tej umowy w sprawie kurortu. Naturalnie, to niedobrze, że Richard nie dba o żonę – zreflektował się po chwili. – Ale Leonie nie powinna się tak bardzo uskarżać. Dzięki mężowi podróżuje po całym świecie i ma trzy wspaniałe domy – na Florydzie, w Anglii i w Kostaryce. A teraz może się cieszyć pobytem na tej rajskiej wyspie.

– Nie sądzę, by zależało jej na tym wszystkim. Dla niej istotne jest jedynie małżeństwo z Richardem. Ona go naprawdę kocha.

– W takim razie wybrała dziwny sposób okazywania swego uczucia. Nie może po prostu z nim porozmawiać?

– Też jej to poradziłam – powiedziała, gładząc jego uda. – Ale rzecz w tym, że Leonie pragnie mieć z nim dziecko.

Spencer gwałtownie poderwał głowę.

– Daj spokój dzieciom! – zawołał. – Nie obchodzi mnie, czego chce Leonie! Ważne, że ja chcę ciebie.

Pośpiesznie sięgnął po prezerwatywę.

Sadie kochała się z nim z zapałem, rozkoszując się wspólnym rytmem ich poruszeń i doznań. Potem opadła na Spence'a, oparła głowę na jego piersi i wsłuchiwała się w mocne bicie serca.

– Kocham cię – wydyszała, po czym spojrzała na niego z czułym uśmiechem. – Może niedługo my też będziemy mieli dziecko?

Spencer nie odpowiedział od razu. Dopiero po chwili pocałował ją w policzek i rzekł:

– Ja też cię kocham.

Oboje ogarnął nowy przyływ namiętności. Gdy byli już spleceni w miłosnym uścisku, szepnął jej do ucha:

– Myślę, że nasze życie i tak jest wystarczająco barwne.

W piątek rano Leonie i Sadie wybrały się na plażę, podczas gdy mężczyźni dopracowywali ostatnie szczegóły umowy dotyczącej Nanumi.

– Porozmawiałam z Richardem – oznajmiła Leonie.

– Naprawdę?! – zawołała uradowana Sadie.

– No, najpierw musiałam przykuć jego uwagę i oderwać go od pracy. Zagroziłam, że rozwalę jego cholerny laptop! To zrobiło na nim wrażenie i wreszcie zaczął mnie słuchać. Wtedy wyłożyłam mu wszystko.

– I jak zareagował?

– Był zaskoczony, nawet oszołomiony. Przed ślubem nie rozmawialiśmy zbyt wiele, a później uznał, że wyszłam za niego dla pieniędzy. Ten idiota nie zdawał sobie sprawy, że naprawdę go kocham! – Leonie potrząsnęła głową i wydała z siebie dźwięk, mogący być równie dobrze śmiechem, jak szlochem. – Dopiero teraz to do niego dociera. Chyba dałam mu sporo do myślenia.

– A co sądzi o dziecku?

– Nie mógł uwierzyć, że mówię serio. Uważał, że jest za stary – a raczej, że ja tak o nim myślę. A potem zaczął się zastanawiać, co powiedzą na to jego dzieci. Przypuszcza, że nie aprobują jego małżeństwa ze mną. Ale to on musi podjąć decyzję, choć oczywiście może zapytać je o zdanie.

Sadie oświadczyła, że uważa to za bardzo rozsądne stanowisko.

– Mam nadzieję. Zobaczymy – rzekła Leonie z uśmiechem. – Powtórzył mi ze sto razy, że nasza rozmowa była wielkim krokiem naprzód. I nie wyklucza dziecka. W istocie ten pomysł chyba go kusi. Ale co najważniejsze, wie już, że go naprawdę kocham. A wszystko to zawdzięczamy tobie! – zawołała, serdecznie ściskając Sadie.

– Powiedziała, że to wszystko zawdzięcza mnie – powtórzyła Sadie z uśmiechem Spencerowi, który pojawił się na plaży i natychmiast porwał ją ze

sobą.

– Kto ci co zawdzięcza? – rzucił z roztargnieniem. Najwyraźniej coś go nurtowało.

– Leonie i Richard zaczęli ze sobą rozmawiać – powtórzyła cierpliwie. – On nareszcie jej słucha. Może nawet będą mieli dziecko. A Leonie uważa, że to wszystko dzięki mnie.

Lecz Spence tylko pobłażliwie potrząsnął głową. Najwidoczniej spędził ciężki dzień na precyzowaniu szczegółów umowy powołującej w kurorcie Nanumi konsorcjum inwestycyjne, i nic dziwnego, że nie obchodziły go rodzinne problemy Carstairsów.

– Z pewnością odczułeś ulgę, że ta umowa została wreszcie podpisana – powiedziała Leonie, gdy oboje wchodzili po schodkach na ganek ich *bure*.

– Owszem – westchnął Spence. – Myślę, że powinniśmy już wrócić do domu.

– Wrócić? – powtórzyła zaskoczona. – Pan Isogawa oczekuje, że zostaniemy tu do końca tygodnia. Poza tym jutro przyjeżdża jego rodzina, którą mieliśmy poznać, a także dzieci Walkerów i Ten Eyków. Przecież idea kurortu Nanumi polega właśnie na kultywowaniu i wzmacnianiu rodzinnych więzi.

Spencer zacisnął szczęki i wzruszył ramionami.

– Dobrze, zostaniemy, jeśli chcesz – rzekł.

Wszedł do pokoju i rzucił się na łóżko, a potem chwycił Sadie za rękę i przyciągnął do siebie.

Gdy obudziła się nazajutrz rano, Spence wciąż jeszcze twardo spał.

Nic dziwnego, pomyślała. Przecież kochali się niemal przez całą noc – namiętnie, niecierpliwie, wręcz desperacko. Prawie tak, jak przed czterema laty – tylko że teraz była pewna ich wzajemnej bliskości i miłości.

Dochodziła ósma. Sadie obiecała państwu Isogawa, że spotka się z ich dziećmi i wnukami o dziewiątej przy śniadaniu. Zdąży więc jeszcze wziąć prysznic. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby Spence przyłączył się do niej, ale wiedziała, że jest wyczerpany i znużony.

Popatrzyła na niego i jej serce wezbrało miłością. Musnęła dłonią jego potargane włosy, a potem nachyliła się i pocałowała go w nieogolony policzek.

Wzięła prysznic, wytarła się i uczesała. Kiedy wychodziła za pięć dziewiąta, Spence wciąż jeszcze spał.

Obudziły go śmiechy dzieci. Zaskoczony, otworzył oczy i przez chwilę nie wiedział, co się dzieje, a potem sobie przypomniał. Zjazd rodzinny.

Leżał, zastanawiając się, jak uniknąć całego tego zamieszania, gdy rozległo się pukanie. Wciągnął szorty, otworzył drzwi i zamrugał zdziwiony, gdy nikogo nie zobaczył. Dopiero kiedy spuścił wzrok, zorientował się, że przybysze ledwo sięgają mu do piersi.

Stali przed nim trzech chłopcy i dwie dziewczynki, podskakując i niecierpliwie przestępując z nogi na nogę.

– Nigdy nie widzieliśmy takiego dużego domku na drzewie. Mieszkasz tutaj?
– zapytał najwyższy chłopczyk, szeroko rozwierając oczy.

Po akcencie oraz podobieństwie do ojca Spencer rozpoznał synka Steve'a i Cathy Walkerów.

– Owszem, w tym tygodniu – odparł. Dzieci wyciągały szyje i zagłądały ciekawie. – Chcecie się rozejrzeć?

Czy chciały?! Niemal go rozdeptały, wbiegając do środka. Były zachwycone wielkim oknem i prywatnym wodospadem. Uganiały się roześmiane po całym *bure*, a Spencer śmiał się razem z nimi. Potem się przedstawił i poznał ich imiona. Najwyższy Geoff i najmniejszy Justin byli dziećmi Walkerów. Trzeci chłopiec nazywał się Keefe Ten Eyk, rudowłosa Katie była jego siostrą, a druga dziewczynka Mai – wnuczką państwa Isogawa. Nie znała angielskiego, lecz bariera językowa wcale jej nie przeszkadzała w wesołej zabawie.

– Fantastyczne! – zawołał Keefe. – Mógłbym tu mieszkać przez całe życie!

– Lecz na razie lepiej stąd wyjdź – odezwała się od drzwi Marion surowym tonem. – Wiesz przecież, że nie należy przeszkadzać gościom.

– Ale ten pan nam pozwolił – pisnął Justin, a reszta dzieci energicznie pokiwała głowami.

– Naturalnie – potwierdził Spence.

– Dzieci cię nie obudziły? – spytała wciąż zatroskana Marion.

– Nie. Już nie spałem i właśnie miałem pójść popływać.

– A więc chodźmy! – zawołał Justin, chwytając go za rękę, podczas gdy Mai nieśmiało ujęła drugą dłoń.

– Biegnijcie na plażę, zaraz was dogonię – rzekł Spence.

Gdy dzieci pognały z radosnym wrzaskiem, Marion zwróciła się do niego:

– Przepraszam, że sprawiły ci kłopot.

– Nic nie szkodzi. Są bardzo miłe – odparł.

Oboje ruszyli po schodkach w dół i po chwili spostrzegli grupkę osób wychodzących z letniego domku. Byli wśród nich starsi państwo Isogawa, młodsza para – zapewne syn i synowa – oraz dwoje wnucząt znacznie mniejszych od Mai.

Mały chłopczyk, najwyraźniej dopiero uczący się chodzić, stawiał chwiejne kroki, trzymany za rączki przez roześmianych Richarda i Leonie. Drugie dziecko piastowała w ramionach Sadie.

– Ona jest w swoim żywiole – zauważyła Marion, przyglądając się jej z uśmiechem.

A Spence musiał przyznać jej rację.

– Będzie dobrą matką – dodała.

– Tak – mruknął.

Sadie spędziła uroczy dzień, bawiąc się z wnuczkami państwa Isogawa i obserwując, jak Spence dokazuje ze starszymi dziećmi. Wyobrażała go sobie w przyszłej roli ojca i zaszokowała wszystkich, gdy na pytanie Leonie, ile chciałaby mieć dzieci, odpowiedziała:

– Ośmioro.

– Ha! – zawołał ze śmiechem John Ten Eyk.

– Niewątpliwie byś sobie z nimi poradziła – rzekła z przekonaniem Cathy.

Jednak Sadie spostrzegła przerażoną minę Spencera i zapewniła go pośpiesznie:

– W gruncie rzeczy wcale nie chcę ośmiorga. Wystarczyłoby troje lub dwoje, czy nawet jedno. W ostateczności moglibyśmy je adoptować.

Sadie czuła, że pomiędzy nią a Spence'em coś się popsło.

Kiedy dzieci udały się z rodzicami na obiad, oboje zasiedli do posiłku z Carstairsami. Leonie wciąż mówiła o wnukach państwa Isogawa, a Richard zdawał się podzielać jej entuzjazm.

– Moje dzieci... moje dorosłe dzieci – poprawił się i nałożył sobie na talerz porcję smaczkowej pieczonej wieprzowiny – będą musiały zaakceptować fakt, że chcę mieć jeszcze jedno dziecko. Ostatecznie nie są już nastolatkami zależnymi od tatusia.

Spencer przez cały obiad nie odezwał się ani słowem, a Sadie przyglądała mu się uważnie.

– Z przyjemnością przegadałabym z wami całą noc – rzekła do Carstairsów – ale wylatujemy jutro rano, a mam jeszcze mnóstwo rzeczy do spakowania. Pójdiesz ze mną? – spytała męża. – Czy może chcesz jeszcze trochę pozwiedzać wyspę?

– Chodźmy – powiedział, wstając od stołu.

Pożegnali się serdecznie z Carstairsami i resztą grupy. Richard i Leonie zamierzali spędzić na wyspie jeszcze kilka dni, a obie nowozelandzkie pary odlatywały nazajutrz nieco później. Potem Sadie zwróciła się do państwa Isogawa:

– To był najcudowniejszy tydzień w moim życiu. Dziękuję wam z całego serca!

– My też ci dziękujemy – odparł Japończyk z ceremonialnym ukłonem. – Z pewnością wrócisz tutaj, gdyż jesteś teraz częścią Nanumi. – Następnie uścisnął rękę Spencerowi i rzekł: – To nie pożegnanie, tylko nowy początek dla nas wszystkich. Mam nadzieję, że wkrótce przyjedziesz.

Spencer podziękował mu z powagą i życzył pozostałym dobrej nocy. Oboje z Sadie poszli w milczeniu drewnianym chodnikiem pod rozgwieżdżonym niebem. Dziewczyna upajała się tym pięknym wieczorem, który na zawsze pozostanie w jej pamięci.

Spence otworzył drzwi do ich *bure*. Sadie weszła do środka, a potem

odwróciła się i objęła go mocno.

– Było cudownie – szepnęła. – Jest cudownie.

Stał sztywno bez ruchu. Puściła go, odstaąpiła o krok i zajrzała mu w oczy.

– Co się stało?

– Nic – odparł z wysiłkiem. Twarz miał bladą i napiętą. – Ja tylko... – urwał, po czym podjął: – To, co powiedziałaś o dzieciach...

– Żartowałam! – przerwała mu ze śmiechem Sadie. – Nie martw się, nie będziemy mieli ośmiorga. Ale wszystkie nasze dzieci muszą być podobne do ciebie.

– Nie – rzucił.

– Owszem, tak. Nie wyobrażam sobie nic cudowniejszego niż chmara ciemnowłosych urwisów, kubek w kubek takich samych jak ty.

– Nie – powtórzył z uporem. – Nie chcę w ogóle żadnych dzieci.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zaczął nerwowo spacerować po pokoju. Sadie pojęła, że nie żartował.

– No cóż, może nie będziemy mogli ich mieć – powiedziała, zaskoczona gwałtownością jego reakcji. – Wtedy je adoptujemy.

– Nie ma mowy. Żadnych dzieci, Sadie.

– Ależ...

– Nie chcę skazać swojego dziecka na takie okropne dzieciństwo, jakim było moje.

– Ach, więc to cię martwi? Ale przecież to nie będzie takie dzieciństwo.

– Owszem, będzie. Wiem o tym, bo sam je przeżyłem. Nie chcę mieć dzieci. Postanowiłem tak już wiele lat temu.

– Spence...

– Nie – rzekł stanowczo.

Chciała się z nim spierać, dyskutować. Wiedziała jednak, że kiedy wbił sobie coś do głowy, nie da się go przekonać. A w tej chwili myślał obsesyjnie jedynie o swym strasznym dzieciństwie.

– Spence – zaczęła raz jeszcze łagodniejszym tonem, próbując pokonać mur, który wznosił wokół siebie.

– Tak będzie, Sadie. Żadnych dzieci. Koniec, kropka!

Co za uparty głupi osioł! – pomyślała.

– Ale przecież lubisz dzieci. Widziałam, jak się z nimi bawiłeś i...

– Oczywiście, że lubię, ale nie zamierzam wychowywać własnych.

– Nie możesz arbitralnie podejmować takiej istotnej decyzji.

– Owszem, mogę. I nie zmienię zdania. Jeżeli to dla ciebie takie ważne, powinnaś była mnie zapytać. Emily o tym wiedziała i Dena również. Żadnej z nich to nie przeszkadzało.

– Ale mnie przeszkadza. Poza tym nigdy mi nie powiedziałeś.

– Więc mówię teraz. Przykro mi, ale tak to wygląda – rzucił szorstko.

Podszedł energicznym krokiem do szafy, zaczął wyjmować swoje ubrania i wpychać je do walizki, odwrócony plecami do Sadie. Jego ruchy nie miały zwykłej płynności i miękkości – były gwałtowne i gniewne.

To nie był Spence, jakiego znała.

– Posłuchaj – spróbowała ponownie. – Bądź rozsądny i przemyśl to, zanim podejmiesz decyzję.

– Przemyślałem to, do diabła! – odparł ostrym tonem. – Zastanawiałem się nad tym przez całe życie. Nie, to ty powinnaś zachować się rozsądnie, rozważyć wszystko i się zdecydować. Jeżeli chcesz mieć dzieci, Sadie – jedno, ośmioro czy sto pięćdziesiąt troje – nie możesz być moją żoną i musimy się rozwieść.

Wpatrzyła się w niego oszołomiona.

Rozwieść się ? On znowu mówi o rozwodzie? Po tym najcudowniejszym tygodniu w ich życiu?

Spencer zamknął wieko walizki, a potem wpadł do łazienki i puścił wodę.

A więc dziś wieczorem nie wezmą razem prysznicu i nie będą się namiętnie kochać.

Wszystko przez jego gwałtowny, irracjonalny gniew wywołany lękiem, że ich dzieci mogłyby mieć takie samo okropne dzieciństwo, jakiego on doświadczył. Ale przecież to absurd! Spence musi to zrozumieć. Musi!

A jednak nie rozumie.

Przygnębiona Sadie usiadła na łóżku. Zaczynała pojmować, że jej mąż naprawdę traktuje serio swoje obawy.

Uspokój się, powiedziała do siebie. Zmusiła się, żeby wstać i zabrać się do pakowania. Mechanicznie i bezmyślnie wyjmowała ubrania z szuflad i zdejmowała z wieszaków. Niemniej te czynności w jakiś sposób ją uspokajały – a widok rozmaitych strojów przywoływał z pamięci chwile, gdy Spence je z niej zdejmował, aby się z nią kochać, dzielić z nią ciało, serce i duszę.

Więc jak może nie chcieć mieć z nią dzieci? Umie do nich trafić, a one go uwielbiają.

Widziała to dziś na plaży. Dzieciaki wprost lgnęły do Spencera, a on instynktownie wiedział, jak się zachować wobec każdego z nich. Dokazywał z Justinem i Keefe'em, uważnie wysłuchiwał opinii Geoffa, oczarował dowcipem Katie i zyskał dozgonną wdzięczność Mai, wybierając ją do swej drużyny podczas gry w piłkę.

Więc dlaczego rezygnuje z szansy przeżywania tego samego z własnymi dziećmi?

Sadie nie potrafiła tego pojąć. Miała jedynie nadzieję, że Spence się opamięta. Musi się opamiętać.

Musi.

Spencer wiedział, że Sadie będzie wstrząśnięta i że źle postąpił, nie powiedziawszy jej przed ślubem o swym postanowieniu.

Stał pod prysznicem. Gorąca woda omywała jego głowę i ciało, a on usiłował trzeźwo wszystko przemyśleć.

Emily nie miała nic przeciwko jego decyzji, a Dena przyjęła ją wręcz z ulgą. Oznajmiła, że nie posiada ani krzty instynktu macierzyńskiego i że niedawno zerwała z inwestorem z Bahamów Carsonem Sawyerem, ponieważ zaczął nalegać na założenie rodziny.

Toteż była zachwycona, że Spencer nie chce mieć dzieci.

– Wiedziałam – rzekła. – Wiedziałam, że będziemy do siebie pasować.

Ale wtedy pojawiła się Sadie z wieścią, że nadal jest żoną Spencera –

i zrujnowała wszystkie jego plany. A potem ofiarowała mu najpiękniejszy i najszcześniejszy tydzień, jaki kiedykolwiek przeżył. Nie potrafił ani nie chciał o tym zapomnieć.

Lecz nie chciał też jej oszukiwać. Nie mógł zwodzić jej wizją przyszłości, której nie pragnął. Powinien był powiadomić ją o swoim postanowieniu w dniu, w którym po raz pierwszy kochali się na Nanumi.

Jednak tego nie zrobił, a potem, gdy oświadczyła, że pragnie mieć z nim dzieci, nie chciał zepsuć tej pięknej chwili.

A więc dobrze, okazał się samolubnym i emocjonalnym tchórzem. Ale przynajmniej jest uczciwy. Sadie musi to przyznać.

Za nic nie chciał sprawić jej bólu. Do diabła, przecież ją kocha! Jednak musiał powiedzieć jej o tym wszystkim. Nie mógł pozwolić, by nadal marzyła o gromadce dzieci, których w rzeczywistości nie będą mieli.

W końcu Sadie się z tym pogodzi. Ostatecznie jest przecież dorosła.

A gdyby nie mogli mieć dzieci? Zdarza się to wielu parom. Czy wówczas by go znienawidziła? Czy mniej by go kochała?

Wiedział, że nie, gdyż całym sercem ufał w moc jej miłości.

Musi tylko dać jej czas na zrozumienie i zaakceptowanie jego decyzji. Musi dowieść jej, że ją kocha.

Spence wyszedł z łazienki z wilgotnymi włosami i *sula* owiniętym wokół bioder. W milczeniu obrzucił Sadie nieprzeniknionym spojrzeniem.

Ona również się nie odezwała.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Wszystko, co przychodziło jej do głowy, prawdopodobnie jeszcze pogorszyłoby sytuację. Znała Spence'a na tyle dobrze, by wiedzieć, że przypieranie go do muru nic nie da.

– Czy mam nastawić budzik? – spytał wreszcie bardzo grzecznie, uprzejmie... i chłodno.

– Owszem – odparła podobnym tonem. – Przecież nie chcemy spóźnić się na samolot.

Otworzył usta, jakby chciał jeszcze coś dodać, ale rozmyślił się i zacisnął wargi. Nastawił budzik, położył się i obserwował Sadie spod przymkniętych powiek.

Każdego innego wieczoru wśliznęłyby się do łóżka, objęłyby go i oboje wyruszyliby ścieżką wiodącą do niebiańskiej rozkoszy. Jednak teraz nie mogła tego zrobić, zmrożona jego obojętnym wzrokiem.

– Idę się umyć – rzuciła.

Chwyliła nocną koszulę i zniknęła w łazience.

Z radością wzięłyby ostatni prysznic pod skalnym wodospadem – najchętniej razem ze Spence'em. Ale nie było już między nimi zaufania, swobody i poczucia bliskości.

Poza tym nie chciała, by ją widział, jeżeli – a raczej gdy – będzie płakała.

Kiedy wyszła z łazienki, miała zaczerwienione oczy. Jednak Spencer nie mógł tego zauważyć. Górne światło było już wyłączone, paliła się tylko jej nocna lampka – a on leżał po swojej stronie łóżka, odwrócony do niej plecami.

Nie odezwał się. Nie wiedziała, czy śpi.

Cicho zgasiła lampkę i położyła się obok niego na łóżku, które znów wydało jej się wielkie jak stan Kansas albo Teksas.

Nie, raczej jak Alaska. Ogromna, rozległa... i lodowato zimna.

Sadie ogarnęła rozpacz. Spencer podjął arbitralną decyzję, opierając się na wspomnieniach, których z nim nie dzieliła. A potem wycofał się za nieprzebyty mur swego ponurego dzieciństwa.

Usiłowała stłumić szloch, ale Spence usłyszał i natychmiast odwrócił się do niej.

– Na miłość boską, nie płacz! – zawołał głosem przepelnionym cierpieniem.

– No, już cicho. Przepraszam. Wszystko będzie dobrze.

Jak on może być taki głupi? – pomyślała. Jak może zaprzeczać tej części siebie, która kocha dzieci? Objął ją i pocałował namiętnie, a ona oddała mu pocałunek i desperacko przywarła do niego. Kochali się żarliwie. W ciszy słychać było tylko ich urywane, zdyszane oddechy.

Jednak gdy skończyli, Sadie zamiast pełni i zaspokojenia poczuła zagubienie i pustkę. Leżała w milczeniu, wpatrując się w sufit.

Nazajutrz rano Spencer stwierdził z radością, że Sadie uśmiecha się i rozmawia z nim. Owszem, wciąż jeszcze była nieco spięta i odnosiła się do niego z niejaką rezerwą, lecz nie mógł jej za to winić. Wiedział, że jest zdenerwowana, ale był pewien, że z czasem pogodzi się z jego decyzją.

Musi tylko być cierpliwy.

Podróż powrotna do Butte była długa i męcząca, ale upłynęła bez przygód. Podobnie jak poprzednio, Sadie spała, a on się przyglądał i podziwiał jej urodę.

– A więc jak poszło? – zapytała ją Martha następnego ranka w biurze, nie potrafiąc powstrzymać ciekawości. – Och, widzę, że masz pierścionek! Jest przepiękny i idealnie w twoim stylu.

Sadie przytaknęła. Zdołała się nawet uśmiechnąć, choć jej serce przeszywał ból.

– Jesteś opalona i piękna, ale wyglądasz na zmęczoną – mówiła dalej Martha. – Mam nadzieję, że to ostatnie z powodu braku snu – dodała. – Czy wy...?

Sadie skinęła głową, lecz nadal unikała wzroku przyjaciółki.

Martha przyjrzała się jej uważniej.

– Tylko mi nie mów, że on jest aż tak kiepski w łóżku – rzekła przerażonym tonem.

– Nie! – odparła Sadie, oblewając się rumieńcem. – Było cudownie... ale

jest pewien problem.

– Jaki? – zapytała Martha.

Sadie zastanawiała się przez chwilę, czy ma jej powiedzieć. W końcu doszła do wniosku, że opinia osoby postronnej może się okazać cenna. Być może Martha uzna, że to Spencer ma rację. Tak więc zrelacjonowała jej wszystkie ostatnie wydarzenia.

– To był zachwycający, cudowny tydzień – zakończyła. – Kocham Spence'a i wiem, że on odwzajemnia moje uczucie. Ale zdecydował i nie chce więcej o tym dyskutować. Może to ja zwariowałam i nie mam racji?

– Masz rację – odparła stanowczo Martha. – Spence byłby wspaniałym ojcem. Dlaczego uważa inaczej?

– Myślę, że z powodu rodziców. Byli dla niego okropni i nie chce, aby nasze dzieci przeżyły to samo.

– Och, przecież to absurd! – zawołała przyjaciółka.

– My obie to wiemy. Ale jak przekonać o tym Spence'a?

– Nie mam pojęcia. Ale jeśli zależy ci na tym związku, musisz znaleźć jakiś sposób.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, pomyślała Sadie. Po powrocie do Butte Spencer rzucił się z zapalem w wir pracy. Stale wisiał na telefonie, wysyłał faksy albo e-maile – i ani razu nie wspomniał o spornej kwestii.

Można by niemal pomyśleć, że to się jej tylko przyśniło. Postanowiła się z nim rozmówić.

– Musimy porozmawiać – rzekła bez ogródek następnego ranka.

Być może nie wybrała najlepszego momentu, gdyż Spencer za kilka godzin wylatywał w dwutygodniową podróż służbową – najpierw na Bahamy, by spotkać się z Deną Wilson i jej ojcem, potem do Neapolu, aby dopilnować tamtejszej inwestycji, a stamtąd do Irlandii w okolice Cork, gdzie zamierzał zakupić luksusowe osiedle dla emerytów. Tak więc był niewątpliwie bardzo zajęty.

– Porozmawiać? O czym? – spytał, nie przestając pisać na klawiaturze kieszonkowego komputera.

Jednak gdy Sadie nie odpowiedziała, w końcu podniósł wzrok i popatrzył na nią pytająco.

Odetchnęła głęboko.

– O dzieciach.

Jego twarz zastygła. Milczał długą chwilę, jakby czekał na dalszy ciąg. Wreszcie rzucił niedbałym tonem:

– A o co chodzi?

I jakby chcąc podkreślić brak zainteresowania tym tematem, znów zaczął stukać w klawisze.

Sadie przypomniała sobie postępek Leonie i wyrwała Spence'owi

komputerek z ręki.

Spojrzał na nią, zdumiony jej zachowaniem.

– Powiedziałaś, że musimy porozmawiać – powtórzyła.

Zacisnął szczęki.

– A więc mów.

– Nie możesz tak po prostu decydować za nas oboje, że nie będziemy mieć dzieci – zaczęła.

– Owszem, mogę – odparł.

– Powinieneś to ponownie przemyśleć.

– Nie zmienię zdania – oznajmił stanowczo.

– Widziałam na Nanumi, jak wspaniale bawiłeś się z dziećmi. Ty je uwielbiasz.

– I co z tego?

– Więc dlaczego nie chcesz sam zostać ojcem? Wiem, że bylibyśmy dobrymi rodzicami.

Nie odpowiedział. Siedział milczący i nieporuszony – i tylko nieznaczne drganie mięśnia policzka świadczyło o wewnętrznym napięciu.

Oboje zmierzli się wzrokiem. Wreszcie Spencer, nie odrywając oczu od dziewczyny zamknął komputerek i wsadził go do kieszeni koszuli.

– Kocham cię, Sadie – rzekł równym, spokojnym tonem. – I myślę, że ty również mnie kochasz...

– Do diabła, pewnie, że cię kocham!

– Wobec tego postaraj się zrozumieć, że nie zmienię zdania. Moi rodzice...

– Och, przestań się chować za swoimi rodzicami!

Drgnął gwałtownie.

– Co powiedziałaś?

– Dobrze słyszałeś! Wywlekasz ich za każdym razem, gdy się przed czymś wahasz. Owszem, daleko im było do doskonałości. Byli parą nieszczęśliwych, żalonych i godnych litości ludzi. Ale jeżeli ulegniesz ich wpływowi, wówczas zwyciężą. Jeśli uwierzysz w to, co ci mówili, opanują twój umysł – ciągnęła porywczo Sadie. Nie mogła się powstrzymać, choć zdawała sobie sprawę, że powiedziała za wiele, sięgnęła ostrzem zbyt głęboko. – Nie widzisz, że wciąż mają nad tobą władzę?

– Do diabła, to nieprawda! – wrzasnął. Twarz miał szkarłatną, a na szyi wystąpiły mu żyły. – Nie sądzili, że cokolwiek w życiu osiągnę. Zawsze uważali, że jestem taki sam jak oni!

– A ty też w to wierzysz. Kocham cię, Spence, i myślę, że ty także mnie kochasz. Szkoda tylko, że chyba nie kochasz samego siebie.

Martwa cisza zapadła w pokoju, w domu, w całym stanie Montana. Świat znieruchomiał. Sadie wiedziała, że wypowiedziała niewybaczalną prawdę. Twarz

Spencera zrobiła się mroczna i zacięta.

Długo stali w milczeniu, aż wreszcie się odezwał:

– Wyjeżdżam na dwa tygodnie. Jeżeli zmienisz zdanie, spotkamy się po moim powrocie. Jeżeli nie, proponuję, żebyś wyjechała i wniosła sprawę rozwodową.

– Zaproponował ci rozwód?! – zawołała Martha, bliska apopleksji. – Co za dureń!

– Do tego uparty dureń – dodała Sadie bezbarwnym tonem.

Od wczorajszego wyjazdu Spence'a czuła się w środku martwa.

– Może się w końcu opamięta, dojdzie do rozumu – powiedziała przyjaciółka, uspokoiwszy się nieco.

Sadie pokręciła głową.

– On nie zmieni zdania.

Martha przyjrzała się jej uważnie i spytała:

– A ty?

– Ja też nie – odrzekła. Rozmyślała o tym przez całą bezsenną noc. – Gdybym została ze Spence'em na jego warunkach, byłoby tak, jakbym w niego nie wierzyła. A ja wierzę.

– Więc co zamierzasz zrobić? Rozwieść się z nim? – spytała pobladła Martha.

– Być może. Zobaczymy.

To były najdłuższe dwa tygodnie w życiu Spencera. Zazwyczaj lubił podróże, poznawanie nowych ludzi i miejsc. Teraz jednak rozpaczliwie pragnął jak najszybciej wrócić do żony. Co nie znaczy, że jej o tym powiedział. Zadzwoił do niej tylko raz, z Bahamów. Rozmawiali sztywno, uprzejmie i chłodno, ale pod koniec nie zdołał się powstrzymać i zapytał, starając się nie zdradzić tonem głosu swego lęku:

– A więc odejdziesz ode mnie?

– Jeszcze nie wiem – odparła.

Więcej z nią nie rozmawiał. Nie chciał jej słuchać. I tak już powiedziała za dużo. Starał się o tym nie myśleć. Przekonywał sam siebie, że nie mówiła serio, że powodował ją gniew. Był pewien, że Sadie tęskni za nim równie mocno, jak on za nią, i nie mógł się już doczekać powrotu do domu.

Udało mu się nawet złapać wcześniejszy samolot, lecący z Newark do Butte przez Minneapolis, tak że wylądował już o trzeciej po południu i pojechał prosto do biura, chcąc sprawić Sadie niespodziankę.

Lecz jej tam nie zastał.

W gabinecie siedziała przy komputerze Grace Tredinnick, co chwila poprawiając na nosie okulary i kiwając się w przód i w tył.

Spencer zastygł w drzwiach.

– Co tutaj robisz? – rzucił zaskoczony.
– Witaj, synku – powiedziała stara kobieta, zerkając na niego znad szkieł. – Spodziewaliśmy się ciebie dopiero jutro rano.

– Przyleciałem wcześniej. Gdzie jest Sadie? – spytał, rozglądając się po pokoju.

– Sadie odeszła. Właśnie dlatego ja tu siedzę – wyjaśniła.

Spencer miał wrażenie, że cała krew odpłynęła mu z głowy. Sadie odeszła? Poczul w żołądku bolesny skurcz. Ogarnęła go nagła fala gorąca, a potem przeniknął go lodowaty dreszcz.

– Dokąd? – zapytał drżącym głosem.

– Wyjechała do Austin w Teksasie. Dostała tam pracę.

Dlaczego odeszła? Przecież go kocha?!

– Zostawiła na twoim biurku list i jakieś rzeczy – dodała Grace.

Jeszcze nim skończyła mówić, minął ją i wpadł do swego gabinetu. Na blacie ujrzał kopertę i małe pudełeczko.

Kopnięciem zatrzaskał drzwi, opadł na fotel, rozdarł kopertę i wyjął pojedynczą kartkę. Sadie informowała go, że przyjęła pracę u Mateusa Gonsalvesa przy organizowaniu jego biura w Teksasie. Nie czyniła Spencerowi żadnych wyrzutów – oznajmiała po prostu, że postąpiła zgodnie z jego sugestią. Otworzył pudełeczko. W środku były trzy pierścienie – dwie obrączki, które ofiarował jej w samolocie, oraz ciężki sygnet z czerwonego kamienia, wyrzeźbiony przez pradziadka.

Trzymał je w dłoni i gładził kciukiem nefryt. Policzki miał już mokre od łez, gdy natrafił na krawędź intarsji sygnetu z odłamanym sercem.

Sadie miała nadzieję, że z czasem pogodzi się z ich rozstaniem. Nowa praca była ciekawa, a Mateus okazał się sympatycznym zwierzchnikiem i zostawił jej dużo swobody. Pracował ciężko, ale od czasu do czasu brał urlop, a poza tym kultywował cudowny latynoski zwyczaj – sjestę. Dzięki temu Sadie wprawdzie siedziała dłużej w biurze, ale w środku dnia mogła wychodzić i zwiedzać Austin.

Miała także mniej czasu na użalanie się nad sobą. Wiedziała, że odchodząc od Spence'a, podjęła słuszną decyzję. Kochała go, lecz zarazem zdawała sobie sprawę, że nie zdoła z nim żyć, jeżeli nadal będzie przekonany, że opinia rodziców o nim jest prawdziwa. Było w nim tak wiele miłości, którą mógłby obdarzyć ich dzieci, gdyby tylko zaakceptował samego siebie.

Lecz coraz trudniej przychodziło jej obstawać przy swoim postanowieniu, gdy dni zamieniały się w tygodnie, tygodnie zaś w jeden, a potem drugi miesiąc – a Spence się nie zjawiał.

Była pewna, że do niej przyjedzie – że przeczyta jej list i zrozumie, a potem odszuka ją i zabierze do siebie.

Pozostawała w kontakcie telefonicznym z Marthą. Dzwoniła też do Grace

Tredinnick i raz nawet rozmawiała ze Spencerem, gdy odebrał telefon w jej gabinecie.

– Sadie? – rzucił zdławionym głosem, gdy spytała o Grace.

– Cześć, Spence – wyjąkała zaskoczona. – Co u ciebie?

– Wszystko... dobrze. Znowu wyjeżdżam do Irlandii. Rozpoczynam tam kolejną inwestycję. To będzie... – urwał. – Nieważne. Z pewnością cię to nie interesuje. Prawdopodobnie masz równie ciekawą pracę.

– Robię teraz zupełnie nowe rzeczy – rzuciła z pozorną beztróską. – Niezwykle pasjonujące. W zeszłym miesiącu poleciliśmy z Mateusem do Rio.

– Przyszła już Grace – rzekł szorstko i oddał jej słuchawkę.

Ta krótka rozmowa nie pozwoliła Sadie zasnąć przez cały tydzień. A gdy zaczęła odzyskiwać równowagę, pewnego ranka do jej gabinetu wpadł Mateus i oznajmił:

– Pogratuluj mi zaręczyn.

Sadie nie była zbyt zdziwiona, gdyż podczas pobytu w Rio de Janeiro Mateus zadurzył się po uszy w młodą uroczą Brazylijkę o imieniu Cristina.

– To cudownie – powiedziała. – Ogromnie się cieszę.

Mówiła szczerze, lecz zarazem ta wiadomość sprawiła, że po powrocie do domu zaczęła na nowo opłakiwać swą utraconą miłość. Nie wniosła jeszcze sprawy o rozwód, ale oczekiwała, że lada dzień zrobi to Spencer. Będzie potem mógł poślubić Denę, jak pierwotnie zamierzał.

– Czy wspominał coś o rozwodzie? – spytała przez telefon Marthę.

– Nie rozmawia wiele z nikim z nas. Najwyżej czasem pogawędzi chwilę z Grace, ale najczęściej nie ma go w biurze.

Sadie zastanawiała się, czy Spencer pracuje, czy może szuka sobie nowej żony. Stale dręczyła się takimi myślami. Wiedziała, że powinna o nim zapomnieć, lecz niekiedy miała wrażenie, że nie starczyłoby jej na to całego życia.

W drodze do samoobsługowej pralni, mieszczącej się na parterze jej budynku mieszkalnego, powtarzała sobie po raz setny, że musi wyrzucić Spencera z pamięci. Wepchnęła do pralki kolejne sztuki odzieży, a potem dodała proszek i środek wybielający. Potrzebuję jakiegoś wybielacza dla mojego mózgu, pomyślała. Czegoś, co pozwoliłoby usunąć zeń Spence'a.

Gdy wkładała do szczeliny monety, padł na nią czyjś cień.

– Przepraszam, ale zajęłam ostatnią pralkę – rzuciła, nie odwracając się. – Proszę poczekać, aż skończę.

– Nie chcę pralki, tylko ciebie – powiedział znajomy, ukochany głos.

Odwróciła się gwałtownie.

Spence!!

Zaprzęgnęła podbiec do niego, objąć go i nigdy już nie wypuścić. Lecz on nie zrobił ani kroku ku niej. Stał w drzwiach, z kciukami zatkniętymi za pasek spodni,

jak rewolwerowiec. Zwilżył językiem wargi i odetchnął głęboko.

– Czy zechcesz mnie... i moje dzieci? – zapytał bez uśmiechu, ale w jego oczach ujrzała płomień namiętności.

– Och, Spence! – zawołała i rzuciła się ku niemu, omal go nie przewracając. Otoczył ją ramionami i trzymał kurczowo, jakby tonął.

– Sadie, tak bardzo za tobą tęskniłem – wyszeptał jej do ucha i zaczął całować ją w szyję.

Całe wieki czekała na tę chwilę, marzyła o niej i obawiała się, że nigdy nie nastąpi.

– Przepraszam – odezwał się za plecami Spence'a nieśmiały głos. Wysoka czarna kobieta o włosach ozdobionych pięknymi koralikami patrzyła na nich speszonym wzrokiem. – Chciałabym tylko dostać się do suszarki.

Oboje odstepili na bok, a potem Sadie rzekła do Spence'a:

– Chodźmy do mnie na górę.

Zazwyczaj podczas prania zostawała na dole i czytała książkę. Teraz jednak pociągnęła Spence'a za sobą po schodach.

– Dlaczego? – spytała, gdy weszli do jej mieszkania i przytulili się do siebie.

– Dlaczego przyjechałeś dopiero po kilku miesiącach? Co takiego się stało?

– Mateus się zaręczył. Pomyślałem... że ty... i on... – Spence potrząsnął głową. – Zostawiłaś mnie i pojechałaś do niego. On jest... świetnym kandydatem na męża. Prawdopodobnie nie miałby nic przeciwko tuzinowi dzieci. – Wzruszył ramionami. – Nie chciałem stawać ci na przeszkodzie.

Sadie odebrało mowę. Ona i Mateus? Gdyby nie jej smutek, mogłaby uznać to za zabawne.

– Nie – rzekła w końcu. – My nigdy...

– Nie wiedziałem. Zdaję sobie sprawę, że nie zachowałem się wobec ciebie właściwie. A ty masz rację. Byłabyś dobrą matką.

– Spence, chcę być z tobą, nawet gdybyśmy nie mogli mieć dzieci.

Teraz była tego pewna. Cierpiałaby, ale poradziłaby sobie z tym. Mając Spence'a, poradzi sobie ze wszystkim.

– Jeśli nie będziemy mogli mieć dzieci, adoptujemy je – oświadczył.

– Zmieniłeś zdanie.

To nie było pytanie. Nie musiała go zadawać, gdyż widziała odpowiedź w jego wzroku i uśmiechu.

Wypuścił ją z objęć i uniósł dłoń. Oprócz złotej obrączki ślubnej od niej ujrzała na jego palcu pierścień z czerwonego kamienia.

– Dziadek sprawił, że zmieniłem zdanie – powiedział. – A także Richard Carstairs.

Sadie popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Ujęła go za rękę, posadziła obok siebie na starej sofie i powiodła palcem po inkrustacji w kształcie

serca.

– Nie jest już ułamane – zauważyła.

– Naprawiłem je. Dorobiłem nowy kawałek i teraz jest całością – rzekł.

Niemal usłyszała, jak dodał w myśli: „Podobnie jak ja”.

– Ten pierścień przywołał mnóstwo wspomnień ciągnął Spence. – Kiedy znów zacząłem go nosić, przypomniałem sobie o dziadku. Był jedyną jasną postacią mojego dzieciństwa. Powtarzał mi zawsze, żebym nie słuchał tego, co mówią o mnie rodzice. Twierdził, że usiłują mnie zranić, ponieważ sami zostali zranieni przez los. Żałował, że nie potrafi im pomóc. „Masz w sobie siłę” – mawiał. – „Możesz zostać, kim zechcesz”. Dotąd sądziłem, że miał na myśli tylko sferę zawodową, ale teraz pojąłem, że chodziło mu też o coś więcej – o moje życie i ludzi, których kocham... o ciebie.

Podniósł jej dłoń do ust i ucałował delikatnie.

– Kilka tygodni temu zadzwonił do mnie Richard – rzekł. – On i Leonie będą mieli dziecko.

– To cudownie! – zawołała Sadie, śmiejąc się przez łzy.

– Tak – przyświadczył z powagą. – Przesyła ci podziękowania. Powiedział, że ich obudziłaś, sprawiłaś, że zaczęli ze sobą rozmawiać. Dzięki temu przemyślał swoją wcześniejszą decyzję i uświadomił sobie, że podjął ją pod wpływem lęku. Zupełnie tak jak ja – dodał Spence. – Nie chcę być taki jak moi rodzice. Pragnę stać się tym, kim chcę być, skoro wierzysz, że mogę to osiągnąć. Byłem przerażony... i wciąż jestem. – Uśmiechnął się niepewnie. – Ale może dziadek miał rację i jeśli odważę się zaryzykować, uda mi się – będę twoim mężem, ojcem twoich dzieci, człowiekiem, którego kochasz i który będzie cię kochał przez całe życie.

Sadie się rozplakała. Objęła Spence'a, całowała go i ocierała łzy – nie wiedziała, swoje czy jego.

– Tak bardzo cię kocham – wyszeptała łamiącym się głosem. – Myślałam, że już nigdy do mnie nie wrócisz, że utraciłam cię na zawsze.

– Ale przecież w końcu wróciłem, prawda? – rzekł, zaglądając jej w oczy.

– Och, tak – odpowiedziała. – Tak, mój ukochany!

To była najpiękniejsza Gwiazdka w życiu Spencera.

Było mroźnie i padał gęsty śnieg. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż podczas ich podróży poślubnej na Fidżi czy w Austin, skąd przed pięcioma miesiącami zabrał Sadie do Montany.

Lecz tego ranka uważał Butte za najpiękniejsze miejsce na świecie. Leżał na sofie, tuląc do siebie Sadie, i przyglądał się ich pierwszej wspólnej świątecznej choince.

– Jest piękna, prawda? – rzekł do Sadie.

– Owszem – odparła. – Ale jedna z ozdób wykonanych przez Grace wisi

w niewłaściwym miejscu. Czy mógłbyś ją przewiesić? – poprosiła.

Spence westchnął ciężko, wstał z sofy i podszedł do drzewka.

– Która? – spytał.

Grace Tredinnick zrobiła na drutach wiele okropnych ozdób – między innymi przedmioty, które zapewne miały być gwiazdami, lecz przypominały raczej głowy Marsjan z antenowymi czułkami.

– Tam z tyłu. Widzisz?

Zdjął z gałązki inne dzieło Grace, lecz gdy przyjrzał mu się bliżej, skonstatował, że to w gruncie rzeczy nie jest choinkowa ozdoba, tylko włóczkowe buciki dla niemowlęcia.

– Dlaczego Grace je zrobiła? – zapytał.

– To nie ona – odrzekła z uśmiechem Sadie. – To ja zrobiłam je dla naszego dziecka.

Oszołomiony Spence wpatrzył się w nią z niedowierzaniem.

– Czy ona... to znaczy, czy ty... jesteś całkiem pewna...?

Sadie skinęła głową, wciąż się uśmiechając. Spencer poczuł nagle, że zabrakło mu tchu.

– Czy... dobrze się czujesz? – spytał zaniepokojony.

– Tak – odparła i dodała z lekką obawą: – A ty?

Spencer zastanowił się przez chwilę. Pomyślał o stresie, ciężarze odpowiedzialności, potencjalnych zagrożeniach czyhających na ich dziecko, bezsennych nocach i płaczu niemowlęcia.

A potem uświadomił sobie z radością, że będzie dzielił życie z Sadie i miał z nią dziecko – i rozpromienił się w uśmiechu.

Przeszedł przez pokój, objął ją i pocałował.

– Dziękuję ci, moja ukochana. Nigdy w życiu nie czułem się szczęśliwszy.

